

Doskonnata

CECELIA

AHERN

Nowa bestsellerowa powieść autorki
PS Kocham Cię i Love, Rosie

CECELIA
AHERN
Doskonata

PRZEŁOŻYŁA
JOANNA DZIUBIŃSKA



Tytuł oryginału: ***Perfect***

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redakcja: *Dorota Kielczyk*

Redakcja techniczna: *Karolina Bendykowska*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Katarzyna Szajowska, Elżbieta Steglińska*

Zdjęcia na okładce

© Stephen Mulcahey/Arcangel Images

Copyright © Cecelia Ahern 2016

All rights reserved.

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2017

© for the Polish translation by Joanna Dziubińska

ISBN 978-83-287-0592-0

Wydawnictwo Akurat

Wydanie I

Warszawa 2017

DOSKONAŁY

Taki, który ma wszystkie wymagane lub pożądane elementy, właściwości i cechy; tak dobry, jak to tylko możliwe.

Perfekcyjny, wzorcowy, bez zarzutu, nieskazitelny, najczystszy, popisowy, najlepszy, najwyższej próby.

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12
- 13
- 14
- 15
- 16
- 17
- 18
- 19

20

21

22

23

24

25

26

CZĘŚĆ DRUGA

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

CZĘŚĆ TRZECIA

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

76



1



Chwast to po prostu kwiat, który rośnie w niewłaściwym miejscu”.

To nie moje słowa, dziadka...

We wszystkim dostrzega piękno, a może bardziej uważa, że rzeczy nietypowe i nie na swoim miejscu są piękniejsze niż cokolwiek innego. Codziennie widzę w nim tę cechę: woli mieszkać w starym domu na farmie niż w odremontowanej stróżówce; parzy kawę w starym żeliwnym dzbanku na kuchni opalanej drewnem, zamiast używać nowiutkiego ekspresu – mama kupiła mu na urodziny trzy lata temu i od tamtej pory urządzenie stoi nietknięte, tylko zbiera kurz na kuchennym blacie. Nie chodzi o to, że dziadek boi się postępu, on wręcz walczy o zmiany, ale lubi autentyczność, wszystko w swojej najprawdziwszej formie. I w to wchodzi podziw dla chwastów, że mają śmiałość rosnąć w miejscach, w których ich nie posadzono. Właśnie ta cecha dziadka sprawiła, że ja zwróciłam się do niego o pomoc w potrzebie, a on ryzykuje własne bezpieczeństwo, aby dać mi schronienie.

Schronienie.

Tego słowa użył Trybunał. Każdy, kto pomaga lub udziela schronienia Celestine North, zostanie surowo ukarany. Nie podają, o jaką karę chodzi, ale – biorąc pod uwagę reputację Trybunału – nietrudno sobie wyobrazić. Niebezpieczeństwo związane z tym, że przebywam na jego ziemi, najwyraźniej nie przeraża dziadka, a raczej umacnia go w przekonaniu, że ma obowiązek mnie bronić.

– Chwast to jedynie roślina, która rośnie tam, gdzie ludzie chcą uprawiać coś innego – mówi teraz, przystaje i schyla się, aby wyrwać, usunąć intruza swoimi masywnymi, silnymi dłońmi.

Sens jest ten sam, ale w niektóre dni inaczej dobiera słowa. Ma dłonie boksera, duże, masywne, przypominają łopaty, ale to też dłonie, które pielęgnują. Siały i zbierały żniwo z jego pola, chroniły jego dzieci i wnuki. Te dłonie, które udusiłyby człowieka, to te same, które wychowały córkę, uprawiały ziemię. Może najsilniejsi zawodnicy to żywicieli, bo czują się mocno związani z czymś głęboko w swoim wnętrzu, mają o co walczyć, mają coś, co warto ocalić.

Dziadek ma czterdzieści hektarów ziemi. Nie wszystkie są pod truskawki, jak to pole, na którym teraz jesteśmy, w lipcu udostępniane dla przyjezdnych. Rodziny płacą dziadkowi, żeby same mogły sobie zebrać truskawki, i z tego, co mówi, te pieniądze pozwalają mu jakoś przeżyć. W tym roku nie może z tego zrezygnować, nie tylko z powodów finansowych. Jeśli to zrobi, Trybunał zorientuje się, że dziadek mnie ukrywa. Obserwują go. Musi wszystko robić tak jak zawsze, a ja próbuję nie myśleć o tym, jak to będzie słyszeć ze swojej kryjówki buszujące wśród krzaków dzieciaki i jakie to dla mnie niebezpieczne – obcy ludzie na posesji, którzy przypadkowo mogą mnie odkryć.

Kiedy byłam małą, uwielbiałam przyjeżdżać tu ze swoją siostrą Juniper na czas zbiorów. Kończyłyśmy dzień z brzuchami pełnymi truskawek i prawie pustymi koszykami. Teraz farma dziadka nie wydaje mi się tym samym magicznym miejscem. Wyrwam chwasty z pola, na którym kiedyś snułam marzenia.

Wiem, że kiedy dziadek podczas pracy używa tych swoich sformułowań, mówi o mnie, jak gdyby wynalazł unikatową metodę farmerskiej psychoterapii. Na pewno ma dobre intencje, ale dla mnie to jedynie mocniej podkreśla fakty.

Jestem chwastem.

Na ciele wypalono mi pięć znamion oznaczających skazy i sekretne szóste znamię na wszelki wypadek. Za pomoc Naznaczonemu i okłamanie Trybunału społeczeństwo powiedziało, że mnie nie chce. Wyrwali mnie z twardego gruntu, chwycili za korzenie, potrzęśli mną i odrzucili na bok.

– Tylko kto nazwał je chwastami? – ciągnie dziadek, nie przerywając pracy.
– Nie natura. Ludzie. Natura pozwala, żeby rosły. Natura daje im miejsce. To ludzie przyczepiają im etykietę i je odrzucają.

– Ale te duszą kwiaty – odzywam się w końcu. Spoglądam w górę znad plewienia. Bolą mnie plecy, paznokcie mam brudne od ziemi.

Dziadek wbija we mnie spojrzenie, tweedowa czapka przesłania jasnoniebieskie oczy, zawsze skoncentrowane, zawsze czujne.

– Bo próbują przetrwać. Walczą o swoje miejsce.

Przełykam smutek i odwracam wzrok.

Jestem chwastem. Próbuję przetrwać. Jestem Naznaczona.

Dziś obchodzę osiemnaste urodziny.

Jest osoba, którą wydaje ci się, że powinieneś być, i osoba, którą naprawdę jesteś. Straciłam poczucie ich obu.

To, mówi dziadek, idealne miejsce, by zacząć od nowa.

2



Osoba, którą chyba powinnam być: Celestine North, córka Summer i Cuttera, siostra Juniper i Ewana, dziewczyna Arta. Powinnam niedawno zdać egzaminy końcowe i przygotowywać się na studia na wydziale matematyki.

Dziś obchodzę osiemnaste urodziny.

Powinnam świętować na jachcie ojca Arta. Bosco Crevan obiecał, że w prezencie pozwoli mi zrobić na pokładzie imprezę dla dwudziestu najbliższych przyjaciół i rodziny, może nawet dorzuci pokaz fajerwerków. Byłaby tam bulgocząca czekoladowa fontanna, w której wszyscy maczaliby pianki i truskawki. Wyobrażam sobie swoją przyjaciółkę Marlenę z czekoladowymi węsami i poważną miną. Słyszę jej chłopaka, który jak zwykle rzuca prostackimi żartami i odgraża się, że wsadzi do fontanny różne części ciała. Marlena przewraca oczami. Ja się śmieję. Zawsze udają, że się kłócą – lubią dramatyzować, żeby potem móc się pogodzić.

Tata myślałby, że robi furorę na parkiecie, tańcząc z moimi kumpelami i popisując się ruchami w stylu Michaela Jacksona. Widzę, jak mama modelka stoi na pokładzie w luźnej letniej sukience w kwiaty, a wiatr rozwiewa jej długie blond włosy, jak gdyby ktoś skierował na nią dmuchawę. Na zewnątrz – opanowana, ale w głowie będzie analizować sytuację: co trzeba poprawić, komu dolać drinka, kto wydaje się wykluczony z rozmowy, i natychmiast popłynie w pięknej sukience po pokładzie i wszystko naprawi. Mój brat Ewan, czerwony i spocony, będzie się zapychał cukrowymi piankami i czekoladą,

biegał ze swoim najlepszym kolegą Mikiem i wysączał ostatnie krople z butelek po piwie, przez co rozboli go brzuch i będzie musiał wcześniej wrócić do domu. Widzę swoją siostrę Juniper – stoi w rogu z koleżanką, wszystkiemu się przygląda. Zawsze trzyma się na uboczu, zawsze analizuje sytuację z pogodnym, nieśmiałym uśmiechem, zawsze obserwuje i rozumie wszystko lepiej niż inni.

Widzę siebie. Powinnam tańczyć z Artem. Powinnam być szczęśliwa. Ale nie jest dobrze. Spoglądam na niego, zmienił się. Jest chudszy, wygląda na starszego, zmęczonego, nieumytego i zaniedbanego. Patrzy na mnie, jego oczy na mnie patrzą, ale myślami jest gdzie indziej. Jego dotyk jest słaby niczym szept, a dłonie lepkie od potu. Czuję się tak jak wtedy, kiedy widziałam go po raz ostatni. To nie tak powinno być, nie tak, jak zawsze było, czyli idealnie, ale nie potrafię przywołać dawnych uczuć nawet w swoich marzeniach. Mam wrażenie, że to wszystko było bardzo dawno temu. Idealny świat – to już dla mnie zamierzchłe czasy.

Otwieram oczy i jestem z powrotem w domu dziadka. Przede mną leży kupna tarta jabłkowa w aluminiowej folii, z jedną świeczką. Jest osoba, którą wydaje mi się, że powinnam być, choć rzeczywistość nie pozwala mi nawet o tym w pełni fantazjować, i osoba, którą jestem teraz. Ta dziewczyna, uciekiniarka, tkwi w bezruchu i gapi się w zimną tartę jabłkową. Ani ja, ani dziadek nie udajemy, że jest inaczej. Dziadek twardo stąpa po ziemi, z nim nie ma żadnego owijania w bawełnę, życia złudzeniami. Patrzy na mnie smutno. Wie, że nie należy unikać tematu. Sytuacja zrobiła się zbyt poważna. Codziennie dyskutujemy nad planem. Uciekłam z domu, uciekłam przed swoją demaskatorką Mary May, strażniczką Trybunału, która ma za zadanie śledzić każdy mój ruch i upewniać się, że przestrzegam zasad Naznaczonych. Teraz przepadłam jak kamień w wodę – oficjalnie zostałam „zbiegiem”.

Mama kazała mi uciekać dwa tygodnie temu, nagły wyszeptany mi do ucha rozkaz wciąż wywołuje u mnie dreszcze, kiedy go sobie przypominam. Przewodniczący Trybunału Bosco Crevan był w naszym domu i domagał się od rodziców, aby mnie wydali. Mimo że Bosco jest ojcem mojego byłego chłopaka, że od dekady mieszkamy po sąsiedzku i że zaledwie kilka tygodni wcześniej jedliśmy razem obiad w moim domu, mama wolałaby, żebym uciekła, niż znów znalazła się pod jego opieką. Czasem potrzeba całego życia, żeby zbudować przyjaźń, i sekundy, żeby ktoś stał się wrogiem.

Jedynę, co musiałam ze sobą zabrać, to liścik przekazany mi przez Juniper. Od Carricka. Carrick siedział w sąsiedniej celi w areszcie w Zamku Highlandzkim, siedzibie Trybunału. Obserwował mój proces, kiedy czekał na swój, był świadkiem wypalania mi skaz. Wszystkich, w tym sekretnej szóstej. On jeden potrafi zrozumieć, co teraz czuję, bo przechodzi to samo. Nie mam już tego liściku, ale go nie potrzebuję. Nauczyłam się go na pamięć, potem zniszczyłam.

Od pewnego czasu bardzo pragnę znaleźć Carricka, a to nie takie proste. Jak tylko został wypuszczony, udało mu się wymknąć swojemu demaskatorowi. Podejrzewam, że moja popularność jemu też nie ułatwiła kontaktu ze mną. Znalazł mnie dwa tygodnie temu i ocalił podczas zamieszek w supermarkecie. Zaniósł mnie do domu, byłam nieprzytomna. Nie tak wyobrażałam sobie nasze spotkanie, na które czekałam od dawna. Zostawił mi liścik i zniknął.

Ale nie mogłam się z nim skontaktować. Bałam się też, że w mieście ktoś mnie rozpozna. Zadzwoiłam więc do dziadka. Wiedziałałam, że farma będzie pierwszym miejscem, jakie przeszuka Trybunał, ale potrzebowałam pomocy. Pobyt u dziadka miał być krótkim przystankiem do czasu, aż sytuacja się uspokoi. Teraz mam obawy, czy to kiedykolwiek nastąpi.

Odkąd znalazłam się na farmie, wielokrotnie węszyli na niej strażnicy Trybunału, tak zwani demaskatorzy, ale nie udało im się odnaleźć mojej kryjówki. Powinnałam się chować gdzie indziej, w bezpieczniejszym miejscu, ale przynajmniej na swojej ziemi dziadek ma przewagę. Żadne z nas się nie spodziewało, że demaskatorzy będą tak nieustępliwi w swoich poszukiwaniach.

Za każdym razem, kiedy podchodzą zbyt blisko mojej kryjówki, ledwo oddycham. Słyszę ich kroki, czasem oddechy, kiedy siedzę wepchnięta w ciasne przestrzenie, czasem w miejscach tak oczywistych, że nawet tam nie zaglądną, czasem tak niebezpiecznych, że nie ośmieliliby się zajrzeć.

Patrzę na płomień migoczący na zimnym cieście.

– Pomyśl życzenie – mówi dziadek.

Zamykam oczy i mocno się zastanawiam. Mam zbyt wiele życzeń, ale czuję, że spełnienie żadnego z nich nie jest w moim zasięgu. Wiem też jednak, że przestajemy marzyć w chwili, kiedy albo jesteśmy naprawdę szczęśliwi, albo

nadeszła pora, żeby się poddać. Żadna z tych sytuacji mnie nie dotyczy.

Nie wierzę w magię, ale dla mnie wypowiedanie życzeń to przejaw nadziei, uznanie woli, rozpoznanie dążeń. Może jeśli przyznasz przed samym sobą, czego chcesz, to staje się prawdziwe, daje ci cel i może pomóc go osiągnąć. Myśl pozytywnie. Wyobraź coś sobie, życz sobie tego i spraw, by się spełniło.

Zdmuchuję świeczkę.

Ledwie otworzyłam oczy, słysząc kroki w korytarzu.

Dahy, zaufany zarządca farmy dziadka, wchodzi do kuchni.

– Demaskatorzy tu są. Szybko.

3



Dziadek gwałtownie zrywa się od stołu – krzesło upada do tyłu na kamienną podłogę. Nikt go nie podnosi. Nie jesteśmy przygotowani na tę wizytę. Zaledwie wczoraj demaskatorzy przeszukali farmę wzdłuż i wszerz, więc sądziliśmy, że przynajmniej dziś będziemy mieć spokój. A gdzie ostrzegawcze wycie syren? Dźwięk, który mrozi krew w żyłach wszystkich ludzi w tym kraju. Dopiero gdy furgonetki się oddalą, ogarnia cię ulga, że na szczęście nie ty jesteś celem.

Nie ma czasu na dyskusję. Wybiegamy na zewnątrz. Instyktownie wiemy, że to koniec z ukrywaniem się w tym domu. Dały wybiega z nami na pola. Skręcamy w prawo, w przeciwną stronę do podjazdu, wzdłuż którego rosną kwitnące drzewa wiśni. Nie wiem, dokąd biegniemy, byle dalej od domu.

Dały po drodze tłumaczy:

– Dane zauważył ich z wieży. Zadzwoił do mnie. Żadnych syren. Chcą nas zaskoczyć.

Na ziemi dziadka stoją ruiny wieży wartowniczej, która świetnie służy jako bocianie gniazdo do wypatrywania demaskatorów. Odkąd się tylko pojawiłam, dziadek dniem i nocą stawiał tam na warcie któregoś ze swoich pracowników.

– Ale na pewno tu jadą? – pyta. Szybko się rozgląda. Coś rozważa, knuje, planuje.

Z zalem przyznaję: wyczuwam jego panikę. Jak nigdy dotąd.

Dahy kiwa głową.

Przyspieszam, aby dotrzymać im kroku.

– Dokąd idziemy?

Cisza. Dziadek wciąż zerka dokoła, wielkimi krokami przemierzając swoją ziemię. Dahy mu się przygląda, próbuje odgadnąć jego myśli. Jest dla mnie jasne, że nie mają planu, zaczynam więc panikować. Poznaje to po ucisku w dołku i po tym, jak niepokojąco szybko bije mi serce. Biegniemy ile sił w głąb ziemi dziadka nie dlatego, że ma plan, ale dlatego, że go nie ma. Potrzebuje czasu, aby coś wymyślić.

Pędzimy przez grządki truskawek, przez pola, które pieliliśmy jeszcze kilka godzin temu. Demaskatorzy nie noszą broni, ich bronią jest liczebność i posiadana władza. Sama ich obecność wystarcza, żeby wymusić dyscyplinę. Nie posiadają zaawansowanej technologii szpiegowskiej, a przynajmniej jeszcze nie, po swojej stronie mają jednak większość społeczeństwa, więc wszyscy są ich oczami i uszami.

Słyszemy, jak się zbliżają. Wcześniej przy przeszukaniu było tylko jedno auto, ale teraz wydaje mi się, że słyszę więcej. Silniki są głośniejsze niż dotąd, może przyjechali furgonetkami, nie osobówkami. Zwykle na samochód osobowy przypada dwóch demaskatorów, na furgonetkę czterech. Czy słyszę trzy furgonetki? Zaczynam drżeć, bo dwunastu demaskatorów dokładnie przetrząśnie teren. Znaleźli mnie, to koniec. Zaciągam się świeżym powietrzem, czuję, jak wolność wyslizguje mi się z rąk. Nie wiem, co mi zrobią, ale poprzednim razem, dwa miesiące temu, wypalili mi bolesne blizny, czerwoną literę © w sześciu miejscach, żeby wszyscy znali moje skazy. Nie mam ochoty się przekonywać, do czego jeszcze są zdolni.

Dahy spogląda na dziadka.

– Stodoła.

– Sprawdź.

Patrzą na pola, jakby ziemia miała im dać odpowiedź. Ziemia.

– Dół – mówię nagle.

– Nie sądzę, żeby to ...

– Będzie dobra – oznajmia dziadek kategorycznie i biegnie w stronę dołu

ziemnego, wykopanego pod palenisko.

Sama rzuciłam pomysł z paleniskiem, ale ta perspektywa sprawia, że jestem bliska płaczu. Kręci mi się w głowie na myśl, że mam się tam schować. Dahy wyciąga rękę, chce przepuścić mnie przodem; widzę współczucie i smutek w jego oczach.

Widzę także pożegnanie.

Dziadek prowadzi nas na polanę pod lasem, który graniczy z jego ziemią. Razem z Dahym cały ranek kopali tam dół, podczas gdy ja leżałam obok, leniwie obracałam w palcach dmuchawiec i patrzyłam, jak powoli rozpada się na wietrze.

– Jesteście jak grabarze – powiedziałam sarkastycznie.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, ile prawdy jest w moich słowach.

4



Palenisko w dole ziemnym to według dziadka jedna z najprostszych i najstarszych konstrukcji do gotowania. Dziura w ziemi, zwana także piecem traperskim, umożliwia pieczenie, wędzenie i gotowanie na parze. Jedzenie umieszcza się w dole ziemnym i przykrywa. Potem należy wszystko zasypać: ziemniaki, dynie, mięso, co tylko się chce, i zostawić do gotowania na cały dzień. Dziadek co roku ożywia tę tradycję z robotnikami farmy, ale zwykle w czasie żniw, nie teraz, w czerwcu. Zdecydował się zmienić zwyczaj, aby dodać swojej ekipie otuchy, jak to określił, w czasach kiedy musimy się wspierać. Wszyscy pracownicy dziadka są Naznaczeni i po nieustępliwych przeszukaniach ze strony demaskatorów i pod czujnym okiem Trybunału wszyscy wymagają moralnej naprawy.

O tym, że dziadek zatrudnia Naznaczonych, dowiedziałam się dopiero dwa tygodnie temu, kiedy się tu pojawiłam. Mama i tata nigdy o tym nie wspominali, a my zawsze odwiedzaliśmy farmę w niedzielę, jak pomocnicy mają wolne. Może proszono ich, aby trzymali się na uboczu, a może zawsze tam byli, tyle że wydawali mi się niewidzialni, tak jak większość Naznaczonych, zanim sama stałam się jedną z nich.

Teraz rozumiem, że przez to powstał jeszcze większy rozłam między dziadkiem a mamą, która nie aprobowała jego poglądów dotyczących Trybunału, sądu popieranego przez rząd, wytaczającego sprawy członkom społeczności za ich nieetyczne czyny. Sądziliśmy, że jego tyrady na ten temat to tylko teorie spiskowe, że jest niezadowolony z tego, jak wydaje się pieniądze

z podatków. A tu się okazuje, że miał rację. Widzę, że był jak krępujący sekret mamy. Jako znana modelka uosabiała ideał, przynajmniej na zewnątrz, a że odniosła na świecie ogromny sukces, nie mogła pozwolić, aby jej reputacja w Humming została narażona na szwank. Posiadanie ojca radykała, który jest po stronie Naznaczonych, zagrażało jej wizerunkowi. Teraz to rozumiem.

Niektórzy pracodawcy traktują Naznaczonych jak niewolników. Jeśli istnieje taka sposobność, za długie godziny pracy dają im minimalną stawkę. Wielu Naznaczonych cieszy się, że może pracować za schronienie i posiłek. Większość z nich to wykształceni, obcy ludzie. Nie są przestępcami, nie dopuścili się niczego, co byłoby niezgodne z prawem. Dokonali moralnych decyzji, na które krzywo patrzyło społeczeństwo, i za to zostali naznaczeni skazą. To taki zinstytucjonalizowany lincz.

Dahy był nauczycielem. Kamery w szkole zarejestrowały, jak brutalnie złapał jakiegoś ucznia.

Dowiedziałam się, że donoszenie na potencjalnych Naznaczonych Trybunałowi to sposób, którego używają ludzie przeciwko sobie. Eliminują konkurencję i mogą zająć czyjeś miejsce albo się zemścić. Nie zawsze chodzi o pozbywanie się wadliwych jednostek, ale o poprawę własnej sytuacji. Tak jak wtedy gdy ktoś potknie się o pękniętą płytę chodnikową i pozwie za to urząd miasta. Albo gdy poślizgnie się w restauracji na schodku i wniesie przeciwko niej oskarżenie, bo zwichnął nogę w kostce. Ludzie nadużywają systemu. Wielu szuka luk w prawie. Trybunał, „Strażnicy perfekcyjności”, jak określają samych siebie, to jedna wielka luka dla oportunistów i myśliwych.

Złamałam fundamentalną zasadę: Nie pomagaj Naznaczonemu. Zwykle przysługuje za to kara więzienia, ale mnie uznano za naznaczoną skazą. Crevan próbował znaleźć sposób, żeby mnie wyciągnąć z tarapatów. Plan był taki, że skłamię, powiem, że nie pomogłam starszemu mężczyźnie. Ale nie mogłam tego zrobić, przyznałam się. Oznajmiłam, że Naznaczony też zasługuje na pomoc. Skompromitowałam Crevana, a on stwierdził, że stroję sobie żarty z jego sądu.

W rezultacie uznano, że okłamałam Trybunał. Przyniosłam im wstyd, zdradziłam, wzbudziłam społeczne zainteresowanie, a potem publicznie wyznałam prawdę. Musieli ukarać mnie dla przykładu. Tak naprawdę wypalono mi znamiona za to, że okłamałam Trybunał, upokorzyłam ich, ludzie

zaczęli kwestionować zasadność instytucji.

Jedną z sił Trybunału są media. To ścisła współpraca, Trybunał dostarcza pożywki mediom, te zaś karmią ludzi. Wmawia się nam, że sędziowie mają rację, a skazani się mylą. Historia jest przeinaczana, pozostaje jednostronna, a głos rozsądku zagłusza się przenikliwą syreną demaskatorów.

Na długiej liście rozporządzeń przeciwko Naznaczonym znajduje się zakaz zajmowania przez nich kierowniczych stanowisk, na przykład menedżerskich lub innych, gdzie mieliby wpływ na to, co myślą inni. Istnieje jednak zasada, że przy rozważaniu kandydatur nie można kogoś dyskryminować ze względu na skazę, co stanowi nietypowe prawo obywatelskie w tym niehumanitarnym systemie. Mimo to większość Naznaczonych jest dyskryminowana w miejscu pracy. Ale nie u dziadka. On stara się, jak może, znajdować do pracy Naznaczonych i traktować ich dokładnie tak samo, jak traktowałby każdego innego.

Dahy pracuje u niego najdłużej, od trzydziestu lat. Ma na skroni brzydką bliznę za podjęcie złej decyzji. Znamię wypalono, zanim Trybunał zdołał dopracować izbę naznaceń i jej narzędzia. Ale to i tak nic w porównaniu z szóstą blizną na moim kręgosłupie, sekretnym znamieniem, które pozostawił sam sędzia Crevan. To osobista wiadomość. Sprawa między nim a mną.

Dahy podejmuje teraz kolejną złą decyzję – spiskuje, aby mnie ukryć. Dziadek może za to dostać co najmniej pół roku więzienia, ale boję się nawet myśleć, jaka kara czekałaby Dahy'ego za pomoc innemu Naznaczonemu. Kiedy jesteś Naznaczonym, myślisz, że już nie może być gorzej, aż wezmą się za twoją rodzinę i posłużą się nią, aby wyrządzić ci większą krzywdę i wymierzyć surowszą karę.

We troje gapimy się w prostokątną dziurę w ziemi. Słyszę, jak trzaskają drzwi – wiele drzwi – i wyobrażam sobie armię demaskatorów w ich czerwonych strojach bojowych i czarnych butach. Dogonią nas w zaledwie kilka minut. Wskakuję do dołu i kładę się na ziemi.

– Zasypcie mnie – rzucam.

Dziadek się waha, zanim przykryje mnie prześcieradłem, ale Dahy ciągnie za nie i rozkłada. Chwila zwłoki może mnie sporo kosztować. Leżę pod prześcieradłem, czuję, jak kładą na mnie drewno i mech, który rano zebrałam w lesie. Nie tylko kopałam własny grób, przygotowałam sobie też trumnę.

Kroki się zbliżają.

– Musimy natychmiast znaleźć Carricka – mówi cicho dziadek, a ja w milczeniu się zgadzam.

Słyszę chrzęst ściółki pod butami.

– Corneliusie – odzywa się nagle Mary May, a moje serce przechodzi w galop.

W tej kobiecie wszystko mnie przeraża. Jest tak bezduszna, że doniosła Trybunałowi na własnych bliskich za niemoralne praktyki w rodzinnej firmie, co miało też związek z tym, że siostra ukradła jej narzeczonego. Zawsze była obecna podczas przeszukań na farmie, teraz jednak, jak się zdaje, wróciła z całym plutonem. A przynajmniej kilkunastoma ludźmi.

– Witaj, Mary May. – Dziadek odpowiada szorstko. – W syrenach skończyły się baterie?

Ląduje na mnie kolejna warstwa. Celowo rzucona niedbale, aby zmylić demaskatorkę. Ląduje prosto na moim brzuchu, a ja duszę w sobie jęk i ochotę, żeby zacząć się wiercić.

Mary May nie uznaje żartów, jakichkolwiek oznak poczucia humoru ani pogaduszek. To ona prowadzi rozmowę, ona zadaje pytania.

– Co to?

– Dół pod palenisko – odpowiada dziadek.

Stoją nade mną, po mojej lewej. Z drugiej strony nadal lądują na mnie szczapy drewna, co znaczy, że Dały wciąż tu jest.

– Czyli?

– Nigdy o tym nie słyszałaś? Sądziłem, że wiejska dziewczyna zna takie rzeczy.

– Nie – odwarkuje ostro. Nie podoba się jej to, że dziadek wie, skąd ona pochodzi.

Dziadek lubi to robić – zrażać ją do siebie, pokazywać, że ma o niej różne informacje. Przytyki są subtelne i wypowiedane żartobliwym tonem, ale podtekst jest groźny.

– Kopię dół, na dno kładę prześcieradło. Wrzucam drewno na opał. Podpalam, a kiedy zacznie się tlić, kładę jedzenie i przysypuję ziemią. I przez

dwadzieścia cztery godziny jedzenie gotuje się w ziemi, z której wyrosło. Pychota. Nic nie może się z tym równać. Nauczyłem się tego od mojego dziadka, o on od swojego.

– Co za zbieg okoliczności – cedzi Mary May. – Kopiecie dół tuż przed naszym przyjazdem. Chyba niczego tam nie chowacie, co?

– Tak, to jest zbieg okoliczności, bo przecież dziś się was nie spodziewałem. Zresztą to nasz coroczny zwyczaj, zapytaj o to każdego na farmie. Prawda, Dahy?

Spada na mnie kolejna warstwa drew i mchu.

– Prawda, szefie.

– Myślisz, że uwierzę Naznaczonemu. – W jej głosie pobrzmiwa wyraźne obrzydzenie, że taki ktoś w ogóle się do niej odezwał.

Następuje długa cisza. Skupiam się na oddychaniu. Prześcieradło nie zostało przyklepane z każdej strony, do środka dostaje się powietrze, ale nie jest go wystarczająco dużo. Ta kryjówka to absurdalny pomysł – mój absurdalny pomysł. Teraz tego żałuję. Mogłam zaryzykować i spróbować się ukryć w ciemnym lesie. Może Mary May zgubiłaby się w nim na zawsze i we dwie bawiłybyśmy się w kotka i myszkę aż do śmierci.

Słyszę, jak Mary May powoli obchodzi dół. Może widzi kształt mojego ciała, może nie. Może zaraz ściągnie prześcieradło i mnie odsłoni. Skupiam się na swoim oddechu, czuję na sobie zbyt duży ciężar. Wołałabym, żeby przestali mnie zasypywać.

– Podpal to – rozkazuje.

– Co?

– Słyszałeś.

Na mnie leży biała płachta. Na niej jest drewno i mech. Nagle tkanina, która dawała lekki przewiew, przylega do mnie ściśle. Lekko w nią dmucham, ale ani drgnie. A teraz Mary May chce mnie podpalić. Wie, że tu jestem. Zostałam złapana w pułapkę.

Dziadek próbuje ją od tego odwieść. Nie miał zamiaru już teraz rozpalać ogniska. Jedzenie nie jest gotowe, trzeba je pozawijać. To trochę potrwa. Mary May odpowiada, że ma czas. Każe Dahy'emu, żeby przygotować wszystko jak trzeba, jej nie obchodzi jedzenie, chce podpalić mnie. Mówi

dziadkowi, żeby zajął się ogniem. To nie prośba – to polecenie. Wie też, że na farmie nie ma nikogo poza bandą Naznaczonych, ma w nosie ich plany i to, co będą jeść.

To się naprawdę dzieje.

Na nogach łąduje mi kolejny ciężar. Dziadek się nie spieszy, rozmawia, marudzi, stęka, jaki to jest stary i niedołążny.

– Sypnij tam – rozkazuje Mary May.

Kolejne ciężkie łupnięcie – tym razem w pierś.

Nie mogę oddychać. Nie mogę oddychać. Zamykam oczy, próbuję wrócić na jacht. Moje osiemnaste urodziny, czekoladowa fontanna, muzyka, wiatr od morza, osoba, którą powinnam być, nie osoba, którą jestem. Staram się oddalić od tego, co się dzieje, ale nie potrafię zniknąć. Jestem tu i teraz. Szczapy drewna miażdżą moje ciało, brakuje mi powietrza.

Mary May ponagla dziadka. Jeśli mnie odkryją, on też zostanie ukarany. Biorę głębokie wdechy, nie chcę, żeby moja pierś zbyt często unosiła się i opadała pod prześcieradłem i drewnem.

– Mam zapalniczkę – informuje Mary May.

Dziadek wybucha gromkim śmiechem.

– To nie wystarczy. Narzędzia trzymam w stodole. Zostań tu z Dahym, patrz, jak przygotowuje jedzenie. Zaraz wrócę.

Sposób, w jaki to mówi... Jest bardzo niewiarygodny. To jasne, że kłamie. Spryciarz. Mary May będzie podejrzewać, że próbuje się jej wymknąć, że w stodole jest coś lub ktoś, kogo należy przed nią ukryć. Tak nalega, żeby została z Dahym, że oczywiście Mary May przestaje skupiać się na dole i upiera się, by pójść do stodoły. Dahy pomoże mi się stąd wydostać.

Ale oczywiście Mary May kontaktuje się z innymi demaskatorami – mają pójść z Dahym, przyprowadzić Naznaczonych z farmy i ustawić ich tu w szeregu.

Spali mnie na oczach wszystkich zebranych.

5



Kiedy tylko ich kroki się oddalają, a głosy cichną, gwałtownie łapię powietrze. Przerazona, że to podstęp i Mary May stoi tuż przy mnie z bandą demaskatorów, nie bez trudu gramolę się spod prześcieradła i drew. To trudniejsze, niż myślałam, warstwa jest ciężka, dziadek naprawdę porządnie mnie przyrzucił.

Dłużej już się nie zastanawiam, czy to pułapka, nie chcę się udusić, wierzgam nogami, żeby zrzucić z siebie szczapy. Drewno frunie w powietrze. Wymachuję rękami. Część pokrywy ląduje z powrotem na moich udach i łydkach, boleśnie obija mi kości. Odgarniam płachtę z twarzy i czuję dopływ powietrza. Łakomie się nim zachłystuję. Gramolę się ze swojego grobu i biegnę w stronę lasu. Gdy stoję na granicy farmy, za którą rozciąga się bezpieczna ciemność, oglądam się za siebie. Dół wygląda jak po wybuchu bomby. Jeśli go tak zostawię, stanie się jasne, że dziadek mnie tu ukrył i celowo odciągnął stąd Mary May. Zostanie ukarany za moją bezmyślność. Zorientują się, że jestem w pobliżu i znajdą mnie w kilka sekund. Przy tyłu demaskatorach nie będę miała szans uciec. Wracam.

Słyszę w oddali dziadka i Mary May – idą ze stodoły. Dziadek mówi głośno, pewnie celowo, żeby mnie ostrzec.

Patrzę w głąb dołu, potem z powrotem na las, moją szansę na wolność. Nie mam wyboru.

Poprawiam prześcieradło, rozrzucone szczapy, mech tak szybko i starannie,

jak tylko mogę. Serce mi łomocze. Czuję pulsowanie w karku i głowie. Mam wrażenie, że poruszam się w zwolnionym tempie, jakby to był koszmar, z którego – miejmy nadzieję – w końcu się obudzę. Ale to nie sen. To rzeczywistość. Widzę mignięcie czerwonego munduru Mary May i znów zaczynam biec. Ledwie wpadam do lasu i chowam się za pierwszym drzewem, gdy podchodzą do dołu. Jestem przekonana, że mnie zauważyli. Przerazona przyklejam się plecami do pnia, serce wali mi jak młot, pierś gwałtownie faluje.

– Nie rozumiem, dlaczego nie mogliśmy użyć mojej zapalniczki – mówi Mary May z poirytowaniem. Złości się, że nie znalazła mnie w stodole.

Dziadek śmieje się kpiąco – to jeszcze bardziej ją rozwścieczy.

– Nie, nie, trzeba zadośćuczynić tradycji. Ten zwyczaj ma tysiące lat. To, że zmuszasz mnie do odpalenia paleniska wcześniej, niż zamierzałem, to jedno, ale skoro tak, przynajmniej rozpalę ogień po swojemu.

Mówi stanowczym tonem, po czym poznaję, że nic z tego nie jest prawdą. Choć lubi tradycję, nie ma nic przeciwko zapałkom i zapalniczkom, zwyczajnie poszedł do stodoły, aby dać mi szansę na ucieczkę.

Próbuje wzniecić ogień za pomocą krzesiwa i scyzoryka. Widziałam setki razy, jak to robi, jest w stanie wykrzesać ogień w zaledwie kilka sekund, ale teraz nie operuje przyborami równie zręcznie, udaje niedołęznego staruszka. Gra na zwłokę. Albo wie, że uciekłam, i daje mi czas, abym ukryła się głębiej w lesie, albo obawia się, że wciąż tkwię pod stertą drewna, i nie chce mnie podpalić. Chętnie bym krzyknęła, że wszystko w porządku, że nie ma mnie w dole, ale nie mogę, więc tylko nasłuchuję, jak przedłuża sprawę, i ukradkowo zerkam na jego twarz. Nie wygląda teraz na pewnego siebie.

– Coś nie tak, Corneliusie? – zagaduje Mary May. – Boisz się rozpalić ogień?

Dziadek ma niepewną minę. Jest rozdarty. Przepętniony udręką.

Nadchodzi Dahy, a z nim kolejni demaskatorzy, ale nie cały pluton, jak się spodziewałam. Dwaj mężczyźni i kobieta. Do tego ośmiu Naznaczonych. Są bladzi, jak gdyby Dahy im powiedział, co się wydarzy.

– Jego dokumenty i wszystkich innych są w porządku – melduje demaskatorka, zwracając się do Mary May.

– Tak samo jak wczoraj – rzuca z przekąsem dziadek. – I dwa dni wcześniej też, i kolejne dwa dni wcześniej, i kolejne trzy. Mogę cię podać na policję za nękanie.

– A my możemy cię aresztować za pomoc Naznaczonym – odpala demaskator.

– Na jakiej podstawie?

– Na takiej, że zatrudniasz wyłącznie Naznaczonych i pozwalasz im mieszkać na swojej ziemi.

– To przecież zgodne z prawem.

– Ale większość Naznaczonych dostaje płacę minimalną. Twoi pracownicy zarabiają całkiem sporo. Nawet więcej niż niektórzy demaskatorzy.

– I co ty na to, Naznaczony? – podchwytuje jeden z demaskatorów. – Staruszek traktuje was ulgowo? Myślicie, że możecie nam uciec?

Dahy ma na tyle rozumu, żeby nie odezwać się słowem.

– Myślisz, że przymykam na coś oko? – odzywa się demaskator Dan, który przyprowadził Naznaczonych pracowników farmy. To on pilnuje ich na co dzień, sugestie kolegów, że pozwala Naznaczonym robić, co im się podoba, to dla niego obelga.

– Odpalaj ogień – wtrąca się Mary May, kończąc spór.

Dziadek wreszcie wznieca iskrę. Boję się poruszyć, żeby mnie nie usłyszeli. W runie leśnym pełno patyków, gałązek i liści, które natychmiast mogą wskazać moją obecność.

Dziadek zbliża płomień do mchu; boję się, że się wycofa i tym samym zdradzi siebie i mnie. Więcej przekonania, dziadku. Jestem twoją wnuczką z krwi i kości, uwierz, że zdołałam uciec.

– Co jest? Celestine? – szydzi Mary May. – Czy ona tam leży? Jeśli tak, to zaraz ją stąd wykurzimy.

– Mówiłem już, że jej tu nie ma. – Dziadek wrzuca podpałkę do dołu.

Mech szybko zajmuje się ogniem, zaraz już płoną gałązki i szczapy drewna. Dahy spogląda na dziadka niepewnym wzrokiem. Wszyscy patrzą, jak ogień się rozprzestrzenia, czekają na moje krzyki. Obserwuję ich, wyobrażając sobie, że jestem tam pod spodem, a demaskatorzy gapią się z zadowoleniem

i satysfakcją. To napełnia mnie taką złością i nienawiścią do nich, że wszelkie myśli o tym, żeby odpuścić, zrezygnować ze swojej wolności, pryskają od razu. Nie poddam się, nie pozwolę im wygrać.

– I co teraz? – mówi demaskator zawiedziony, że przedstawienie się nie udało.

– Cóż... – Dziadek odchrząkuje, wciąż próbuje zachowywać się jakby nigdy nic, ale wiem, że jest wstrząśnięty. Albo właśnie podpalił swoją wnuczkę, albo nie podpalił. Mogłam zemdleć z braku tlenu. Ogień pochłania kolejne polana. – Musimy poczekać, aż zostanie sam żar, wtedy wyłożymy jedzenie i przykryjemy ziemią.

– To poczekamy.

Dziadek patrzy na Mary May. Wydaje się zagubiony, stary, cała jego nadzieja jakby zniknęła. Ale nienawiść, którą czuje, jest wyraźnie większa niż kiedykolwiek.

– To zajmie całe godziny.

– Mamy czas.

Zostają na posesji trzy godziny. Boję się ruszyć.

Kiedy ogień zamienia się w żar, dziadek i Dahy dostają nakaz, żeby umieścić opakowane jedzenie w dole. Pracownicy farmy obserwują to ze swoich miejsc w szeregu. Opaski z literą © na ich ramionach, tuż nad łokciem, są dobrze widoczne.

To miało być święto, wspólne spotkanie, żeby pokazać, że Trybunał ich nie złamie. Teraz towarzyszą im demaskatorzy. Schowana, skulona, trzęsąc się od wilgotnego chłodu lasu, sama nie czuję siły. To przypomina raczej klęskę.

Dziadek i Dahy przykrywają jedzenie ziemią, żeby gotowało się w żarze. Dziadek spogląda na swoją pracę tak, jak gdyby pogrzebał mnie żywcem. Znowu chcę do niego zawołać, że nic mi nie jest, że się wydostałam. Ale nie mogę.

Dzwoni telefon, odbiera go młodsza demaskatorka. Oddala się od reszty, żeby porozmawiać na osobności. Podchodzi bliżej mnie, znów się spinam.

– Dzień dobry, panie sędzio. Mówi Kate. Nie, Celestine tutaj nie ma. Sprawdziliśmy wszędzie.

Zapada cisza, a ja ze swojego miejsca słyszę głos Crevana. Kate idzie dalej i przystaje przy moim drzewie.

Przyklejam się plecami do pnia, mocno zaciskam powieki i wstrzymuję oddech.

– Z całym szacunkiem, panie sędzio, ale to piąta wizyta na tej posesji, a Mary May była bardzo drobiazgową przy przeszukaniu. Nie sądzę, żeby dziewczyna tu była. Uważam, że dziadek mówi prawdę.

Słyszę frustrację w jej głosie. Wszyscy czują na sobie presję sędziego Crevana, żeby mnie znaleźć. Kate robi kolejny krok do przodu i staje wprost na linii mojego wzroku.

Powoli rozgląda się po lesie, przeczesuje wzrokiem ciemność.

I wtedy spogląda prosto na mnie.

6



Spodziewam się, że powie Crevanowi, że mnie znalazła, rozłączy się, zawoła innych, zadmie w ten wielki czerwony gwizdek zawieszony u jej szyi na złotym łańcuchu. A jednak nie robi tego – zachowuje spokój, jej głos się nie zmienia. Patrzy prosto przeze mnie, jak gdyby mnie nie widziała. Dziwne. Spoglądam na swoje dłonie, żeby się upewnić, że sama siebie widzę.

– Rozumiem, mamy zabrać dziadka do Zamku Highlandzkiego – oznajmia i mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów, ale prowadzi rozmowę dalej, jakby mnie nie było.

Dlaczego mu nie mówi, że tu jestem?

Wiadomość, że zabiorą dziadka do Zamku Highlandzkiego do sędziego Crevana, który osobiście wypalił mi zamię i zniszczył życie, sprawia, że w mojej piersi wzbiera panika. Szybko zastępuje ją ogromna fala gniewu. Nie mogą zabrać mojego dziadka.

– Przywieziemy go – oznajmia Kate. Nadal na mnie patrzy, a ja czekam jak na rzucenie bomby na moment, kiedy powie Mary May i sędziemu Crevanowi, że jestem tuż przy niej. – Będziemy z powrotem za mniej więcej dwie godziny.

Już mam zacząć na nią krzyczeć, uderzyć ją, kopnąć, wrzeszczeć, że nie zabiorą ani mnie, ani dziadka, ale się powstrzymuję. W tym, jak na mnie patrzy, jest coś niezwykłego.

Wkłada telefon do kieszeni, posyła mi długie spojrzenie, jak gdyby się

zastanawiała, co powiedzieć, po czym jednak rezygnuje, odwraca się i odchodzi.

– No dobrze, staruszkę – woła do dziadka. – Sędzia Crevan chce zamienić z tobą słówko.

Nawet kiedy słyszę, jak samochody odjeżdżają, zostaję na miejscu. Siedzę w ciasnym i wilgotnym pustym pniu drzewa, próbując dojść do tego, co właściwie zaszło. Dlaczego mnie nie aresztowała?



Minęła godzina, odkąd Mary May opuściła posesję, zabierając ze sobą mojego ukochanego dziadka, jakby był jakimś kryminalistą. Nadal kulę się w drzewie, wyczerpana i głodna, zmarznięta i bardzo przestraszona. Czuję zapach dymu; żar tli się pod ziemią i gotuje jedzenie, którego pewnie nikt nie spróbuje. To miała być wesoła uczta. Dziadek specjalnie zaplanował ją na moje urodziny, pracownicy mieli przyjść z dziećmi posłuchać muzyki i pośpiewać, ale skoro nie ma gospodarza, teraz nikt nie będzie świętował. Nie wiem, co z nim zrobią w zamku. Już raz byłam zdana na ich łaskę i skończyłam z sześcioma bliznami na ciele. Przytłacza mnie poczucie winy, że znalazł się w takiej sytuacji. Boję się tego, co go czeka.

Auta odjeżdżają, a ja początkowo ani drgnę, bo może to pułapka, chytry podstęp i zostanę schwytana natychmiast, gdy wyłonię się spomiędzy drzew. Potem czekam, myśląc, że przyjadą po mnie pracownicy farmy, ale pewnie o tej porze siedzą zamknięci przez demaskatora Dana.

Jest już po godzinie policyjnej, która zaczyna się o dwudziestej trzeciej – wtedy wzmagają się kontrole i poszukiwania pojedynczych jednostek. Nie jest to dobra pora, żeby przebywać samemu, choć przynajmniej mogę się poruszać pod osłoną ciemności. Uznałam, że powrót na farmę nie wchodzi w grę, choć w domu jest ciepło, a na ganku tak zachęcająco pali się światło. Widzę je ze swojego miejsca.

Może pobiegnę do najbliższego sąsiada? Czy powinnam im zaufać, że

pomogą mi dostać się tam, gdzie ukrywa się Carrick?

Ale przypominam sobie zasadę numer jeden. Co powtarzał dziadek? Nikomu nie ufaj.

Nagle słyszę jakiś samochód. Trzaskają drzwi. I jeszcze dwoje kolejnych. Wrócili. Jaka jestem głupia! Czemu nie uciekłam?

Kroki w pobliżu. Męskie głosy. Z początku obce, a potem jeden znajomy, bardzo wyraźny.

– Tu jest ten dół – oznajmia Dahy. – Była tutaj.

Czy mogę ufać Dahy’emu? A może to on wezwał dziś demaskatorów? Wydał mnie, czy został zmuszony pomóc mi szukać kolejnej ekipie strażników Trybunału? Nie wiem, komu ufać. Jestem przemarznięta, przerażona. Mogę albo wyskoczyć i wrzasnąć „Ratujcie mnie!” – wtedy zepsułabym wszystko, co do tej pory zrobiłam, albo mogę siedzieć cicho. Siedzę cicho. Siedzę cicho.

– Pewnie uciekła do lasu – zastanawia się na głos kolejna mężczyzna.

Przede mną rozciąga się snop światła latarki, rozjaśnia ciemny las na – jak mi się zdaje – setki kilometrów. Wszędzie wokół wysokie grube pnie. Nawet jeśli pobiegnę dalej między drzewa i demaskatorzy mnie nie zobaczą, nie minie chwila, a już się zgubię w lesie.

To koniec, Celestine, to koniec.

I chociaż ciągle to powtarzam, nigdy się nie poddam. Przypominam sobie minę Crevana, kiedy do mnie syczał w Izbie Naznaczeń, kiedy kazał mi okazać skruchę. Myślę o dłoni Carricka przyciśniętej do szyby między galerią a Izbą Naznaczeń, propozycji przyjaźni. Wzbiera we mnie złość, słyszę kroki tuż-tuż. Wstaję, prostuję się. Rozciągam ręce i nogi i na raz, dwa... startuję z pustego drzewa w las. Płoszę wszystko co żywe wokół mnie i biegnę; mięśnie mam zdrętwiałe.

Mężczyźni od razu reagują.

– Tam!

Latarka zaczyna mnie szukać, robię więc uniki, ale korzystam ze światła, aby zobaczyć, co jest przede mną. Slalomem mijam drzewa, odpycham ich długie, cienkie igły, uchylam się i kucam, ale słyszę ich tuż za sobą.

– Celestine – syczy wściekły głos coraz bliżej.

Pędzę dalej, uderzam czołem o niską gałąź i momentalnie zaczyna kręcić mi się w głowie, ale nie przystaję, żeby odzyskać równowagę. Są tuż za mną, wszyscy trzej. Trzy latarki rozdygotane w biegu.

– Celestine! – woła ktoś donioślej, a ktoś inny go ucisza.

Dlaczego się uciszają? Mam zawroty głowy, chyba rozciąłam sobie skórę, ale muszę biec dalej, jak kazała mama. Dziadek powiedział, żeby nie ufać nikomu. Tata kazał ufać dziadkowi. Muszę biec dalej.

Nagle światło gaśnie, a las robi się czarny jak smoła. Zatrzymuję się w miejscu, słyszę tylko swój oddech. Tracę orientację, gdzie przód, gdzie tył, zupełnie zgubiłam się w gęstym lesie. Znów ogarnia mnie panika, ale po chwili przejmuję kontrolę. Zamykam oczy, czekam, aż ogarnie mnie spokój. Dam sobie radę. Odwracam się i szukam wzrokiem świateł farmy w oddali albo jakiegokolwiek wskazówki. Gdy robię krok, pod stopami strzelają mi gałązki.

Wtedy czuję silne ręce wokół mojej talii, zapach potu.

– Mam ją – woła mężczyzna.

Walczę z tym uściskiem, ale to na nic, nie mam jak się ruszyć. Nie poddaję się jednak, wierzgam, ile zostało mi sił, liczę, że go zmęczone, uderzę, podrapię, kopnę.

Ktoś włącza latarkę i świeci mi nią w twarz. Zarówno ja, jak i trzymający mnie mężczyzna odwracamy głowy od ostrego światła.

– Puść ją, Lennox – rozkazuje człowiek z latarką.

Od razu przestaję wierzgać.

Ramiona mnie puszczają, latarka wędruje do Dahy'ego, a ten trzyma ją tak, by oświetlić mojego oprawcę.

Ten człowiek ma rozbawioną minę.

Jest nim Carrick.



Mam w głowie chaos, kiedy wracam za Dahym na farmę. Carrick i jego przyjaciel Lennox idą za mną gęsiego. Co chwilę chcę się odwrócić i na niego spojrzeć, ale przy Lennoxie nie mogę. Zerkałam już dwa razy i za każdym Lennox mnie przyłapał. Jestem zdenerwowana, szczęśliwa – zaskakująco euforyczna reakcja na ponowne spotkanie z Carrickiem. W końcu coś się układa po mojemu.

Spełniło się moje urodzinowe życzenie. Przygryzam wargę, żeby ukryć uśmiech. To nie pora na wesołość, zresztą pewnie nie zrozumieliby, jaką czuję ulgę.

– Jakieś wieści od dziadka? – pytam cicho Dahy’ego.

– Nie. – Odwraca się przelotnie; wystarczy, żebym zauważyła jego zmartwioną minę. – Ale Dan robi wszystko, co w jego mocy, żeby się dowiedzieć.

Jestem cynicznie nastawiona co do Dana, który jest demaskatorem pracowników farmy. Jego układ z dziadkiem, żeby dać trochę luzu Naznaczonym, bardziej opierał się na karmieniu jego nałogu alkoholowego samogonem niż na poczuciu przyzwoitości.

– Dasz mi znać, kiedy czegoś się dowiesz?

– Pierwsza o tym usłyszysz.

– Dopilnujesz, żeby dziadek wiedział, że jestem bezpieczna?

Dan nie wiedział, że jestem na farmie, nie było między nimi aż takiego zaufania, pewnie więc nie jemu zostanie przekazana wiadomość dla dziadka, że nic mi się nie stało. Może demaskatorka Kate mu o tym powiedziała, ale wierzyć jakimkolwiek demaskatorowi znaczy źle zainwestować. Poza tym do końca nie wiadomo, czy mnie puściła wolno, czy jednak nie puściła. Wyciągam rękę, żeby chwycić Dahy'ego za ramię; zatrzymuje się. Zaciskam dłoń na jego opasce Naznaczonego. Lennox i Carrick ciągną się za mną.

– Dahy, skontaktuj się z moją rodziną, dobrze? Powiedz im, że dziadek jest w zamku. Przekaż, że nic mi nie jest.

– Wiedzą już o Corneliusie, ale to zbyt niebezpieczne mówić im o tobie przez telefon, Celestine. Trybunał pewnie założył podsłuchy.

Trybunał to nie superszpieg, ale skoro lata temu Juniper i ja wymyśliłyśmy, jak podsłuchiwać rozmowy telefoniczne sąsiadów za pomocą elektronicznej niani Ewana, a dziennikarze robią to na co dzień, to Trybunał z pewnością też potrafi.

– Musisz znaleźć sposób, żeby im powiedzieć.

– Celestine...

– Nie, Dahy. – Podnoszę głos i słyszę, jak drży. – Dziadek nie może siedzieć w celi, czy gdziekolwiek go tam osadzili, i myśleć, że właśnie spalił żywcem swoją wnuczkę. – Głos mi się łamie. – Musisz mu to przekazać.

Dahy w końcu załapuje. Łagodnieje.

– Jasne. Znajdę sposób, żeby mu to przekazać.

Puszczam jego rękę.

– Nic mu nie będzie, Celestine, wiesz, że jest twardy – dodaje. – Jeśli już, to szybko będą chcieli się go pozbyć, zanim na śmierć zagada ich teoriami spiskowymi.

Uśmiecham się niemrawo na tę próbę poprawy nastroju i kiwam głową w podziękowaniu. Próbuję nie zwracać uwagi na łzy, które wzbierają mi w oczach, i nie wyobrażać sobie okropnych scenariuszy tego, co czeka dziadka. Jak ludzie buczą na niego i wyzywają go, kiedy idzie kocimi łbami po dziedzińcu w Zamku Highlandzkim. Jak patrzą na niego i krzyczą, jakby był przestępcą; jak rzucają w niego różnymi rzeczami i go opluwają, a on stara się nie spuszczać głowy. Jak tkwi zamknięty w celi. Jak musi odpowiadać

Crevanowi na rozprawie. Jak siedzi w Izbie Naznaczeń. Jak doświadcza tego wszystkiego, co spotkało mnie. Gdy chodzi o ciebie, jakoś to znosisz, ale kiedy coś takiego przydarza się ludziom, których kochasz, możesz się załamać.

To, co zrobił mi Crevan, było nietypowe, a przynajmniej tak mi się wydaje. Działał pod presją, stracił nad sobą panowanie. Mogę jedynie mieć nadzieję, że nie potraktuje dziadka tak jak mnie.

Podchodzimy do jeepa, który zaparkowali przed domem. Nie tracimy czasu na zbędne gadki, wszyscy trzej niecierpliwie czekają na to, kiedy znów będą bezpieczni. Jest po dwudziestej trzeciej, Naznaczeni nie powinni przebywać na zewnątrz. A nasza trójka jest dodatkowo nieposłuszna Trybunałowi, staliśmy się „zbiegami”

Mam zaledwie chwilę, żeby spakować kilka swoich rzeczy: parę ubrań, które dziadkowi udało się zabrać podczas ostatniej wizyty w domu, najdłuższego dnia w moim życiu, kiedy zostawił mnie samą na farmie. Nie ma tego wiele, mieści się w mały plecak, i tyle mi wystarczy, ale myślę o wszystkich swoich ciuchach w szafie w domu, z których każdy tyle dla mnie znaczył, był częścią mnie, sposobem wyrażenia siebie. Teraz zostałam z tego odarta i zdaję sobie sprawę, że tylko słowami i czynami mogę pokazać, kim naprawdę jestem.

Żegnamy się z Dahym, który życzy nam powodzenia, i raz jeszcze błagam go, aby jak najszybciej przekazał dziadkowi informację ode mnie.

Carrick otwiera mi drzwi. Nasze oczy się spotykają, serce zaczyna mi szybciej bić.

– Musimy opatrzyć ci tę ranę. – Patrzy na moje czoło, którym walnęłam w gałąź.

Przy dawce adrenaliny nie poczułam bólu, teraz jednak rana piecze mnie na wietrze. Gdy Carrick przygląda się mojej głowie, ja mogę spojrzeć na jego twarz. Nigdy nie stałam koło niego tak blisko, dotąd za każdym razem dzieliło nas szkło albo byłam nieprzytomna podczas zamieszek w supermarkecie. Czuję, jakbym go doskonale znała, a jednocześnie jakby był mi całkowicie obcy.

Speszona wsiadam do jeepa i uderzam głową o framugę auta.

– Nic mi nie jest – mamroczę i ukrywam zarumienioną twarz w ciemnym

wnętrzu samochodu.

Carrick prowadzi, ja siedzę za nim. Nasze spojrzenia często spotykają się w lusterku wstecznym. Lennox, też postawny facet, siada obok niego po stronie pasażera. Wyglądają jak dwaj żołnierze.

– Dokąd jedziemy? – pytam w końcu.

Oczy Carricka w lusterku odnajdują moje i czuję ucisk w żołądku.

– Do domu.



Do „domu” prowadzą ustronne drogi położone z dala od miast i autostrad. Na wszystkich latarniach i billboardach wiszą plakaty wyborcze. Widzę na nich Enyę Sleepwell z Partii Niezbędnych, polityczkę, która była obecna na moim procesie. Wtedy tego nie wiedziałam, ale przyszła, aby mnie wspierać. Nie wiedziałam nawet, kim jest, do momentu aż zaczęła mnie o nią wypytywać dziennikarka Pia Wang. Enya Sleepwell objęła ostatnio przywództwo w Partii Niezbędnych, której jednym z punktów wyborczych są prawa dla Naznaczonych. Dla polityka to ryzykowny temat, bo Trybunał i rząd mają w tej kwestii porozumienie. Chociaż Enya porusza trudne kwestie, jej popularność rośnie z tygodnia na tydzień.

Jej wizerunek: krótko ścięte włosy, uśmiech wzbudzający zaufanie – widnieją nad sloganem „Współczucie i logika”. To moje słowa z procesu, kiedy tłumaczyłam, dlaczego pomogłam starszemu naznaczonemu mężczyźnie w autobusie.

Dlaczego mu pomogłam? Wydawało się, że wszyscy podczas procesu w milczeniu zadają mi to pytanie. To nie do wiary, że ktoś chciałby pomóc Naznaczonemu, obywatelowi drugiej kategorii.

Pomogłam przez współczucie i logikę. Współczułam temu człowiekowi, więc udzielenie mu pomocy miało dla mnie sens. To były pierwsze słowa, jakie przyszły mi wtedy do głowy. Nie wymyśliłam ich wcześniej. Jediną zaplanowaną historyjką było kłamstwo, do którego próbował nakłonić mnie

Crevan. To takie dziwne zobaczyć teraz te słowa wypisane wielkimi literami na plakatach, tak jak gdyby zostały mi ukradzione i nagięte do celów kogoś innego.

Chcę zadać Carrickowi i Lennoxowi milion pytań, ale wiem, że lepiej nie pytać o nic. Atmosfera w samochodzie jest napięta, nawet pomiędzy Carrickiem a Lennoxem, kiedy decydują, którą drogę obrać.

Trybunał zwiększył liczbę demaskatorów w terenie. Sędzia Crevan desperacko próbuje mnie znaleźć. Najbardziej Naznaczonej osobie w historii Trybunału nie wolno tak po prostu zniknąć. Bezustannie przetrząsa miejsca publiczne i prywatne posesje w nadziei, że poparcie dla mnie zmaleje, kiedy obywatele wyjdą przed swoimi sąsiadami na pomocników Naznaczonych.

Crevan zaczął rewidować nawet autobusy kontrolne, które transportują naznaczoną część populacji do domu przed nastaniem godziny policyjnej. Z powodu Trybunału ludzie mają teraz problem, żeby zdążyć na czas, przez co zostają ukarani. To wszystko przeze mnie. Wiem, co robi Crevan. Uknuł sobie taki plan. Nie przestanie karać niewinnych, aż wyjdę ze swojej kryjówki. I wszyscy będą mnie wtedy nienawidzić.

W mieście zaczęły wybuchać zamieszki. Trybunał obwinia za nie Naznaczonych, ale dziadek jest przekonany, że nie tylko oni są wściekli z powodu działań Trybunału. Uważa, że zasady obowiązujące Naznaczonych powodują, że zwykli ludzie też czują się niekomfortowo i zaczynają głośno to wyrażać. Wiem teraz, że w tym, co kiedyś wydawało mi się jedynie paplaniną dziadka, jest sens. Jednak bez względu na to, jakie wymówki Trybunał podaje do publicznej wiadomości, prawdziwym powodem wzmożenia przez Crevana akcji demaskatorów jest polowanie na mnie.

Były takie chwile, kiedy ze względu na innych chciałam się poddać, ale dziadek zawsze mnie powstrzymywał. Mówił, że z czasem będę mogła zrobić więcej dla ludzi, a wtedy to docenią. Tylko że to wymaga cierpliwości.

Widzimy blokadę demaskatorów, więc ostro skręcamy w lewo na tył szeregu sklepów i jedziemy uliczką tak wąską, że musimy ostrożnie manewrować, mijając śmietniki. Carrick zatrzymuje samochód; obaj z Lennoxem nachylają się nad mapą, żeby poszukać nowej trasy. Zdarza się to kilka razy. Ulga, jaką poczułam na widok Carricka, teraz się rozprasza, bo zdaję sobie sprawę, że wciąż nie jestem bezpieczna. Marzę o tym, żeby nie

musieć bez przerwy oglądać się przez ramię.

Atmosfera w jeepie jest tak gęsta, że można by ją ciąć nożem, a na brwiach Carricka lśnią kropelki potu. Wykorzystuję to, że siedzę za nim, aby lepiej mu się przyjrzeć. Włosy ma zgolone na jeża, jego szyja, całe ciało są muskularne i silne. W zamku, zanim poznałam jego imię, nazwałam go żołnierzem. Wydatne kości policzkowe, kanciasta żuchwa. Oczy, których koloru nigdy nie potrafiłam ustalić, w lusterku wstecznym wciąż wydają się czarne. Są szybkie, zawsze analizują, szukają nowych opcji. Studiuję ich spojrzenie – surowe, przenikliwe. Pochwytuje mój wzrok, a ja, zawstydzona, odwracam głowę. W końcu spoglądam na niego z powrotem. Wciąż na mnie patrzy.

– Nie ma jak w domu – mówi Lennox i obaj wyraźnie się rozluźniają.

Kiedy jednak wyglądam przez okno na cel naszej podróży, nie czuję się uspokojona. Nie jest to „dom”, jakiego się spodziewałam. Ani na jaki miałam nadzieję.

Jedziemy w stronę zamkniętego terenu, otoczonego płotem wysokim na sześć metrów, ze zwojami drutu kolczastego. Wygląda jak więzienie. Carrick znów na mnie zerka; żeby zobaczyć moją reakcję, wlepia we mnie czarne oczy.

Złamałam najbardziej podstawową zasadę, jakiej nauczył mnie dziadek. Nikomu nie ufaj.

I po raz pierwszy w życiu wątpię w Carricka.

10



Niebo oświetlają halogenowe reflektory. Ledwie widzę, co jest za przednią szybą, takie są jasne. Do jeepa podchodzi rozgniewany mężczyzna z karabinem maszynowym.

– O-o... – Lennox rzuca mi koc, każe się położyć na podłodze i przykryć.

Robię, co mówi.

Carrick opuszcza szybę.

– Dobry wieczór, szefie.

– Dobry wieczór? – parska facet. – Jest północ. Co ty sobie, do cholery, myślisz? W mieście roi się od demaskatorów, a moi ludzie, chociaż są lojalni, zaczną zadawać pytania, jeśli będziemy mieli za dużo wyjść i wejść między zmianami. Zdajesz sobie sprawę, ile mogliście nam narobić kłopotów, przebywając na zewnątrz o tej porze?

– Mogliśmy, ale nie narobiliśmy – odpowiada Lennox.

– Przepraszam, Eddie. Wiesz, że nie kręcilibyśmy się na zewnątrz, gdyby to nie było bardzo ważne.

Mężczyzna przeklina pod nosem.

– Jesteście dobrymi pracownikami, ale nie aż tak. Znalazłbym kogoś na wasze miejsce w pięć minut.

– Jasne, my, Naznaczeni, powinniśmy być dozgonnie wdzięczni za każdą szansę – mruczy sarkastycznie Lennox.

– Len – ucisza go Carrick. – To się już więcej nie zdarzy – ucina. – I wiesz, że gdyby cokolwiek się stało, nikt w żaden sposób nie powiązałby nas z tym miejscem. Przysięgamy. Obaj.

– Słowo harcerza – dorzucą z przekąsem Lennox. – To co? Wpuścisz nas teraz? Nie wiem, czy słyszałeś, ale wszędzie węszą demaskatorzy, więc na zewnątrz jest trochę niebezpiecznie.

Następuje długa cisza, szef się zastanawia; znów czuję napięcie. Jeśli nas odprowi, we troje nie przetrwamy nawet jednej nocy w spokoju. Nie wolno podróżować ani przebywać razem więcej niż dwojgu Naznaczonych, a już jest po godzinie policyjnej i w dodatku jesteśmy zbiegami.

– Dobra. I nie myślcie sobie, że nie widzę ciała pod kocem. Mam tylko nadzieję, że ta osoba żyje. Nie wiem, co knujecie, ale ja tu nie prowadzę azylu dla uchodźców, liczę, że to będzie dobry pracownik.

– Najlepszy – zapewnia Carrick, a ja uśmiecham się pod nosem.

– Co to za miejsce? – pytam, kiedy już przejeżdżamy przez bramy i słyszę, że mogę ściągnąć koc. Patrę przez okno, wyciągam szyję, aby przyjrzeć się budynkom, które wyglądają jak elektrownia atomowa.

– To zakład CCU. Obok jest zakład CDU. To siostrzane firmy.

– Czym się zajmują? – dopytuję.

Lennox wyskakuje z jeepa, jeszcze zanim auto się zatrzyma, i znika w ciemności. Carrick parkuje.

– Wychwytywaniem i utylizacją dwutlenku węgla.

Patrę na niego ze zdezorientowaną miną.

– Myślałem, że jesteś mózgiem.

– Z matmy, a nie z tego, o czym mówisz.

– Chodź, oprowadzę cię.

Carrick przytrzymuje mi drzwi; te maniery przypominają mi, że wychowywał się w ośrodku dla Naznaczonych od Urodzenia. Został odebrany naznaczonym rodzicom, kiedy miał pięć lat, i wychowywał się w państwowych szkołach, szczycących się najlepszym poziomem nauczania i najwyższymi standardami. Trybunał i państwo wychowały go na silną

jednostkę, takiego jak oni, na ideał, tyle że Carrick po zakończeniu szkoły zwrócił się przeciwko nim – zrobił rzecz, jakiej robić nie było mu wolno: zaczął szukać swoich rodziców. Został naznaczony na piersi za nielojalność wobec społeczeństwa.

Carrick ma osiemnaście lat; ma potężną posturę, podobnie jak wielu wychowanków N.O.U., a jego jedynym przewinieniem jest to, że chciał odnaleźć własnych rodziców. Oprawdza mnie po terenie zakładu; używa karty magnetycznej do otwierania drzwi.

Obok siebie stoi kilkanaście metalowych silosów, wyglądają jak wahadłowce NASA gotowe do startu albo kadzie w browarze.

– Jak wiesz, Ziemia produkuje więcej dwutlenku węgla, niż może przyswoić. W ostatnich latach poziom dwutlenku węgla jest najwyższy od ośmiuset tysięcy lat. Jego większość pochodzi z paliw albo węgla, paliw kopalnych znajdujących się pod ziemią przez miliony lat. Odpady powodują zanieczyszczenie, więc ten zakład CCU przechwytuje dwutlenek węgla i robi z niego lepszy użytek, stosując go jako surowiec do tworzenia nowych produktów.

– W jaki sposób?

– Wychwytają z powietrza dwutlenek węgla, który wydostaje się z hut lub cementowni. Wyodrębniają węgiel, a z niego powstaje surowy materiał na nowe produkty, takie jak ekologiczne paliwa, metanol, plastik, środki farmaceutyczne, materiały budowlane.

– To zakład państwowy? – Zastanawiam się, dlaczego przywiózł nas właśnie tutaj. Jak możemy być bezpieczni w fabryce, którą kontroluje rząd, skoro to właśnie przed przedstawicielami władz chcemy uciec?

– Firma jest prywatna. To pilotażowe przedsięwzięcie, wszystkie procesy są w fazie badań i testów, nic jeszcze nie znalazło się na rynku. Ale rząd za to płaci. Nie mogą więc urządzić niezapowiedzianych poszukiwań Naznaczonych. A przynajmniej nie bez ostrzeżenia, które zwykle przychodzi z dobowym wyprzedzeniem.

– Dlatego wybrałeś to miejsce?

– Nie wybrałem. Poszedłem za innymi.

– Innymi?

– Przedstawię cię później. Najpierw cię oprowadzę. Są tu cztery działy, to sekcja regeneracji materiału pozyskanego. – Przeciąga kartą i czerwona lampka na panelu bezpieczeństwa zmienia kolor na zielony. Otwiera drzwi i puszcza mnie przodem.

W środku jest ogromna hala – wygląda jak hangar lotniska – w której znajdują się kolejne zbiorniki i rury; po ścianach i suficie prowadzą do nich drabinki. Carrick podaje mi kurtkę odblaskową i hełm.

– Tutaj pracuję. Nie robię niczego ważnego, tylko jeżdżę wózkiem widłowym, więc spokojnie wyjaśnię ci wszystko językiem laika.

– Nie zauważyłabym różnicy. – Rozglądam się wokół. Jestem pod całkowitym wrażeniem futurystycznego metalowego obiektu.

– W tym pojemniku gaz spalinowy podlega wstępnej obróbce. Zostaje schłodzony, po czym jest przesyłany do kolumny absorpcyjnej, aby wytrącić z niego dwutlenek węgla. Spaliny są wprowadzone na dół kolumny i płyną do góry. – Pokazuje mi różne sprzęty. – Gaz wchodzi w reakcję z rozpuszczalnikiem, wtedy dużo się dzieje.

Uśmiecham się.

– Gaz spalinowy zostaje przeprowadzony tutaj, do komina, aby ulotnić go do atmosfery. Dwutlenek węgla w postaci płynu zostaje odprowadzony z kolumny absorpcyjnej i przepompowany do sekcji regeneracyjnej, gdzie proces chemicznej absorpcji CO₂ zostaje odwrócony. Płynny CO₂ opuszcza dno kolumny absorpcyjnej i zostaje przetransportowany do wymiennika ciepła, gdzie temperatura wzrasta. Znowu sporo się dzieje. Mówić dalej?

– Nie, nie trzeba.

– Tak najogólniej, opary dwutlenku węgla zostają przesłane do specjalnego kompresora, który znajduje się tutaj. – Stajemy przy kompresorze. – No i tyle. Chcesz wiedzieć coś jeszcze?

– Tak. Co to za inni, z którymi tu przyjechałeś?

Wychodzimy z fabryki i idziemy na długi spacer po ogromnym terenie zakładu do jego mniej futurystycznej części. Ta nowa sekcja bardziej przypomina część mieszkalną, składa się z długich rzędów kontenerów,

ustawionych jeden na drugim, wysokich na pięć poziomów, szerokich na dziesięć, połączonych stalowymi balkonami i schodami. Wchodzimy do prostego jednopiętrowego betonowego budynku z recepcją i biurkiem, przy którym o tak późnej porze już nikt nie siedzi, oraz z kilkoma fotelami i gazetami technologiczno-naukowymi rozrzuconymi na stoliku kawowym. Na krześle w rogu drzemie napakowany ochroniarz.

– Mieszka tu stu pracowników – tłumaczy Carrick. – Zakład stoi w szczerym polu, najbliższa wioska albo miasteczko jest zbyt daleko, żeby codziennie tu dojeżdżać, właściciele postanowili więc, że najlepiej, jeśli zakwaterują ludzi na miejscu.

– A konkretnie czyje to jest?

– Prywatnej firmy. Nazywa się Vigor. – Wzrusza ramionami. – Jesteśmy tu dopiero od dwóch tygodni, jeszcze nie widziałem właściciela. Kimkolwiek jest, nie ma nic przeciwko Naznaczonym. Pozwolili tu mieszkać bandzie zbiegów. On jest jednym z nich. – Kiwa głową w stronę ochroniarza, który cicho pochrapuje.

Pokazuje na plakat za biurkiem w recepcji; widnieje na nim to samo logo w kształcie V, które jest wszędzie na terenie zakładu. Litera V w słowie „Vigor” ma postać znaku pierwiastka $\sqrt{\quad}$; gdzieś już taki znak wcześniej widziałam, nie tutaj, choć nie potrafię przypomnieć sobie gdzie.

$\sqrt{\text{vigor}}$. Problem staje się rozwiązaniem.

– Znajdują się tu cztery różne obszary rekreacyjne, przypisane zależnie od tego, w której części się pracuje. Naznaczeni pracują w tej samej jednostce. Tędy.

Otwiera drzwi i z powrotem wydostajemy się na nocne powietrze. Znowu przechodzimy do „osiedla” z kontenerów. Mimo późnej godziny słyszę głosy dochodzące z jednej z kabin i toczące się w niej życie, domyślam się więc, że nasz czas sam na sam na razie dobiega końca. Jest jednak jeszcze coś ważnego.

– Carrick, muszę wiedzieć... – Przełykam ślinę. – Powiedziałeś komuś o ...

– Nikomu.

Czuję ulgę, ale jest mi też niezręcznie, że poruszyłam temat szóstej skazy. Do tej pory atmosfera między nami była dość swobodna, ale wspomnienie

o Izbie Naznaczeń sprawiło, że znów się spinam.

– Poza strażnikami, Crevanem i panem Berrym wiemy tylko ty i ja – zapewnia. – Chciałem skontaktować się z panem Berrym, ale do tej pory jakoś nie miałem szczęścia – wyjaśnia. – Niełatwo coś zrobić, jak się chce być niewidzialnym.

– Wszyscy strażnicy zniknęli, Carrick – wypalam. – Pan Berry zniknął. Bałam się, że Crevan dobrał się też do ciebie. Jest tyle rzeczy, o których trzeba pogadać.

– Co? – Robi wielkie oczy.

Na końcu korytarza otwierają się drzwi; słyszę głosy i śmiech grupy ludzi. Nie jestem jeszcze gotowa, aby ich poznać, muszę najpierw porozmawiać z Carrikiem. Mówię szybko.

– Powiedziałam Pii Wang o mojej szóstej skazie.

Na jego twarzy pojawia się zaskoczenie; Carrick dziwi się, że podzieliłam się taką informacją z dziennikarką Telewizji Sądu Naznaczonych i mediów Crevana. Pia miała obowiązek opowiedzieć moją historię. Po procesie obrała sobie za cel zdyskredytować mnie, co robiła ze wszystkimi Naznaczonymi, którzy udzielili jej wywiadu. Przy mnie jednak coś się zmieniło. Uwierzyła mi. Od początku miała wątpliwości co do mojego procesu i nie potrafiła dłużej usprawiedliwić swojego jednostronnego dziennikarstwa. Wyczuła, że coś tu nie gra.

– Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale naprawdę możemy jej ufać. Robiła co w jej mocy, aby zebrać informacje do demaskującego artykułu o Crevanie. Nie miałam od niej wieści od dwóch tygodni. Nie tylko nasza komunikacja została zerwana. Sprawdzałam w internecie; od tamtej pory nie napisała żadnego artykułu ani jako Pia Wang, ani pod swoim pseudonimem Lisa Life. Mam nadzieję, że się nie odzywa, bo opracowuje rewelacje o Crevanie, które całkowicie go zmiążdżą, ale... to milczenie nie jest w jej stylu. Kiedy ostatnio się spotkałyśmy, mówiła, że zamierza porozmawiać z rodzinami strażników.

Carrick marszczy brew, nadal nic nie rozumie.

– Czy ich rodziny zgłosiły zaginięcie? Policja ich poszukuje?

– Chyba boją się to zrobić. Mąż pana Berry'ego powiedział, że on tak po prostu zapadł się pod ziemię. Martwiłam się o ciebie przez cały ten czas;

martwiłam się, że Crevan dopilnuje, żebyś ty też zniknął. On nie ma pojęcia, że byłeś w galerii, nie zauważył cię i nie powiedział o niczym Pii, więc wydaje mi się, że jesteś bezpieczny. Crevan nie wiedział też, że pan Berry nagrywał proces wypalania skaz, do czasu aż podsłuchał moją rozmowę z mężem pana Berry'ego. Dowiedziałam się od niego, że to ja mam nagranie – szepczę.

– To dlatego Crevan tak bardzo chce cię dorwać? Chce nagranie z Izby Naznaczeń?

Kiwam głową.

– Obawia się, że ujawnisz wideo.

– Chyba tak.

Spogląda na mnie wzrokiem pełnym szacunku.

– No to już po nim. Jakoś to przeczuwałem, ale nie wiedziałem skąd. On się ciebie boi, Celestine. Mamy go w szachu.



Jeszcze zdążycie się nagadać – woła nagle kobieta, a ja wzdrygam się ze strachu. Stoi w otwartych drzwiach kabiny, z której wylewa się hałas. – Dołącz do nas, Celestine. – Ma burzę brązowych kręconych włosów i ciepły uśmiech.

– Znasz mnie? – pytam. Od miesiący moją twarz codziennie widać w wiadomościach, ale nadal mnie zaskakuje to, że jestem rozpoznawana.

– Celestine North – mówi, kiedy do niej podchodzę. – To zaszczyt cię poznać. – Przytula mnie; z początku jestem sztywna, ale powoli zaczynam się rozluźniać. Kiedy po raz ostatni ktoś mnie przytulał? Myślę o mamie i tacie i walczę z napływającymi emocjami. – Jestem Kelly, wejdz, poznam cię z całą resztą.

Oglądam się na Carricka, szukając pomocy, ale Kelly bierze mnie za rękę i prowadzi za sobą. W środku grupa obcych ludzi wlepia we mnie oczy. Carrick wchodzi za nami i znika gdzieś w rogu.

– To mój mąż Adam – informuje Kelly.

Facet ściska mnie serdecznie.

– Witamy.

– Poznaj Rogana. – Kelly ciągnie mnie za sobą.

Z zacienionego kąta przygląda się nam młodszy nastolatek.

– Przywitaj się z Celestine, Roganie – nakłania go Kelly, tak jak rodzic

dużo młodszego dziecka.

Chłopak macha do mnie niemrawo, jak gdyby nie miał siły pokazać, że to go coś obchodzi. – No daj spokój. – Kelly cmoka i kręci głową.

Chłopak powoli wstaje, podchodzi, powłócząc stopami zbyt dużymi w stosunku do reszty ciała, w spodniach zbyt luźnych w pasie, i wyciąga do mnie dłoń na powitanie. Jest wiotka i wilgotna. Rogan nie spogląda mi w oczy i szybko wraca na swój worek do siedzenia. Gdyby to się zdarzyło na zewnątrz, powiedziałabym, że obrzydza go Naznaczona, ale tutaj, w tym towarzystwie, spisuję to na karb nieśmiałości. Kelly gada jak nakręcona, przedstawiając mnie reszcie grupy.

Poznaję Cordelię i jej córeczkę, sześciolletnią Evelyn. Dziewczynka pokazuje mi brak górnych zębów, które niedawno wypadły – wypycha język przez szparę. Z zaskoczeniem widzę Fergususa i Lorcan. Rozpoznaję ich z zamieszek w supermarkecie sprzed dwóch tygodni, stałam obok nich przy kasie, zanim rozegrał się cały dramat.

Ferguson ma szwy na czole, Lorcan jest cały w sińcach. Poznaję Monę, dziewczynę w moim wieku, z uśmiechem tak promiennym i tak tryskającą energią, że rozpogodziłaby najpochmurniejszy dzień. Jest też starszy mężczyzna Bahee, wyluzowany gość w okrągłych okularach zabarwionych na niebiesko i z długim kucykiem. Do kompletu brakuje mu tylko gitary i ogniska.

– Znasz już naszego najstarszego syna Carricka. – Kelly uśmiecha się łągodnie. – Tak się cieszę, że byłeś w zamku razem z nim. – Bierze mnie za rękę, oczy wypełniają jej się łzami. – Wiemy, jakie to straszne przeżycie. Dobrze, że byłeś tam z moim synem. – Wyciąga do niego rękę, ale Carrick lekko się cofa. Ma minę, jakby ta reakcja zaskoczyła nawet jego samego, ale już za późno, mleko się rozlało. Kelly cofa dłoń, stara się ukryć, że zachowanie syna ją zraniło.

– Odnalazłeś rodziców? – pytam zaskoczona.

Spoglądam to na Adama, to na Kelly, nagle dostrzegając podobieństwo pomiędzy Carrickiem a ojcem. Ani trochę nie przypomina jednak matki, jest mała i ma ptasią urodę. Carrick góruje nad nią, choć w zasadzie góruje nad większością ludzi. To Rogan, który ledwie uścisnął mi dłoń, bardziej przypomina Kelly. Spoglądam na chłopaka i uświadamiam sobie, że to brat Carricka.

– To znaczy, że wy dwaj jesteście...

Czekam, aż ktoś się odezwie, ale nikt nic nie mówi. Nawet na siebie nie patrzą. W tej rodzinie panuje strasznie niezręczna atmosfera, tyle napięcia. Ale oczywiście powrót do najbliższych po trzynastu latach rozłąki nie może być łatwy.

– Braćmi! – rzuca nagle Mona. – Hura! Wygrałam coś? – pyta z nutą sarkazmu i wyrzuca pięść w powietrze. – Jedna wielka szczęśliwa rodzinka, co nie?

– Mona – upomina ją Adam z irytacją, a Kelly się odwraca.

Dziewczyna zupełnie nic sobie z tego nie robi.

– Nie powiedziałaś jej, że nas znalazłeś? – pyta Kelly starszego syna zmieszana i zraniona.

Długa cisza, Carrick pociąga za płatek ucha w zażenowaniu, starając się znaleźć odpowiedź, która pomoże mu wybrnąć z tej sytuacji.

– Carrick pokazał ci już kabiny sypialne? – wtrąca się Mona w idealnym momencie.

Podczas gdy próbuję sobie poradzić z szokującą informacją o tym, że Carrick odnalazł rodziców, ale mi o tym nie powiedział, zostaję odciągnięta przez szczebioczącą laskę, która mówi tak szybko, że ledwo nadążam.

– Zresztą nieważne, pokażę ci teraz. Możesz spać ze mną.

Mieszkanie składa się z serii przenośnych kabin ustawionych jedna na drugiej, ale to nie są zwykłe kabiny z połowymi pryzkami w środku: są zmodernizowane i supernowoczesne. Zerkam do jednej z nich i widzę sprytnie rozplanowaną przestrzeń mieszkalną. Elementy wyposażenia, w kolorze błyszczącej bieli, składają się z piętrowego łóżka, pojedynczego nad podwójnym, wbudowanych półek i komód przy łóżkach. Są nawet toaleta i prysznic.

– Każda kabina ma osobną łazienkę i klimatyzację, telewizor z płaskim ekranem i sejf – wyjaśnia Mona; mówi zabawnie, jak gdyby oprowadzała mnie po hotelu. – We wszystkich pokojach znajduje się łóżko piętrowe: dwuosobowe na dole i jednoosobowe na górze.

Śmieję się.

– Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam.

– Pracownicy CCU dostają wszystko co najlepsze. – Ścisza głos, choć sekcja dla nie-Naznaczonych jest tak daleko, że i tak nikt by nas nie usłyszał. – Właściciel Vigoru jest dla Naznaczonych życzliwy. Nikt z nas nigdy go nie poznał, jego tożsamość pozostaje tajemnicą – oznajmia sarkastycznie, szeroko otwierając oczy i poruszając palcami, jakby opowiadała historię o duchach.

– Czy to Eddie?

Śmieje się.

– Nie. Eddie tylko prowadzi to miejsce. Mówię o wielkim szefie, właścicielu, twórcy, wynalazcy Vigoru i w ogóle. Bahee twierdzi, że go zna, ale szczerze wątpię. Bahee jest naukowcem. Czasem bywa trochę... – Pogwizduje. – Tak czy inaczej, Eddie o nas wie. Trzyma nas z dala od innych, organizuje zmiany tak, żeby przez większość czasu izolować nas od reszty. Nikt poza nim się nie orientuje, że jesteśmy Naznaczeni, i tak musi pozostać. Oczywiście wszyscy tutaj jesteśmy zbiegami. – Przewraca oczami na to słowo. – Dlatego nie nosimy opasek. Jeśli masz skazę na dłoni, dostaniesz pracę, która wymaga rękawiczek. Jeśli masz skazę na skroni, dadzą cię tam, gdzie trzeba nosić kask, albo wymyślisz jakąś fryzurę, żeby zakryć ją włosami. Makijaż odpada, bo robi się tu gorąco, więc spłynie ci z twarzy szybciej, niż myślisz. Jeśli masz skazę na języku, nie gadaj za dużo. Rozumiesz?

Zdecydowanie kiwam głową.

– Ekstra. – Przygląda mi się, jakby próbowała się upewnić, że mi wierzy. Ostatecznie wydaje się zadowolona z tego, co widzi. – Miałam tu dziewczynę, która zakochała się w naukowcu. Lizzie. Dzielili ze mną pokój. Cały czas mówiła o tym, że mu powie. Że musi mu wyznać prawdę, bo go kocha. – Przewraca oczami. – Serio, wysłuchiwałam tych farmazonów wieczór w wieczór. Jak widzisz, nie wyszło jej to na dobre. Powiedziała mu, kim jest, on się od razu odkochał, więc uciekła. Mogła nas władować w niezłe kłopoty – prycha zdenerwowana. Przekręca zamek w drzwiach kabiny i otwiera drzwi do środka.

Pomieszczenie jest identyczne jak to, do którego przed chwilą zajrzałam. Jednoosobowe łóżko na górze wyraźnie należy do Mony, bo wokół niego wiszą plakaty, a na materacu leży miś. Pod spodem podwójne łóżko. Goły materac, gdzie kiedyś spała Lizzie, gdy jeszcze uważała to miejsce za swój

dom, gdzie się zakochała w naukowcu, ale potem stąd zniknęła. Jak łatwo można nas wszystkich zastąpić.

Rozumiem, jak ta dziewczyna musiała się czuć po odrzuceniu przez swojego chłopaka, kiedy wyznała mu, że ma skazę. Przypominam sobie, jak patrzył na mnie Art w szkolnej bibliotece po tym, gdy mi wypalono znamiona, jak nie mógł się zdobyć na to, żeby mnie pocałować. Chyba temu właśnie służą znaczenia na języku. Wszyscy mówią, że są najgorsze ze wszystkich. Ja znam coś gorszego. Crevan własnoręcznie przyłożył gorące żelazo do mojego kręgosłupa, aby pokazać mi, że jestem skażona do szpiku kości. Nikt jednak się tutaj o tym nie dowie, wie tylko Carrick, który był tego świadkiem.

– Kiedy Lizzie wyjechała? – Patrzę na jej puste podwójne łóżko.

– Dwa tygodnie temu. Bez pożegnania – odpowiada Mona ze złością. – Zostawiła też większość swoich rzeczy. Spędzasz z kimś każdy dzień i myślisz, że to twoja przyjaciółka... zresztą... – Zmienia temat, udaje, że nic sobie z tej sprawy nie robi, choć jest jasne, że czuje się zraniona. – Podstawowe reguły. Śpisz tu, myjesz się tam. W zależności od stanowiska kładziesz się i wstajesz o różnych porach. Są zmiany dzienne i nocne. Możesz się częstować jedzeniem z kuchni w sali rekreacyjnej. Zakład ma lepszą kantinę z szerszym wyborem produktów i smaczniejszym jedzeniem, ale trudniej tam uniknąć kontaktu z innymi. Kelly i Adam pracują w kuchni, Bahee jest naukowcem, Cordelia zna się na komputerach, ja sprzątam. Możesz rozmawiać z innymi, ale się nie spoufalaj. Nikt nie wie, że jesteś Naznaczona, a niektórzy ludzie zadają zbyt wiele pytań, rozumiesz? Najlepiej się nie wychylać, ale też nie za bardzo, bo będziesz się wyróżniać. Tak czy siak, bez względu na wszystko trzymaj się z daleka od Fergususa i Lorcana. Im chodzi tylko o jedno. – Spogląda na mnie porozumiewawczo.

– Aaa, tak, o seks.

– Nie. – Wybuchają śmiechem. – Chciałabym. Nie. – Robi się poważna. – O rewolucję. To znaczy Carrickowi pewnie też, bo się z nimi kumpluje, ale to spokojny gość i nigdy nie wiadomo, co sobie myśli. – Milknie na moment, jednocześnie przygląda mi się z uśmiechem. – Widzę, że już przykułaś jego uwagę. – Unosi brew.

– Ze mną i Carrickiem to nie tak – mamrocę. Właściwie nie potrafię wytłumaczyć, jak jest.

Relacje między nami są głębsze, nie takie zwykłe. Przeżyliśmy razem coś, co na zawsze będzie nas już łączyć, coś, czego nie doznam z nikim innym. Choć nie wiem, czy to akurat dobrze spoglądać na niego i zawsze pamiętać, że był ze mną w Izbie Naznaczeń w najtrudniejszym momencie mojego życia. To sprawia, że wszystko ciągle do mnie wraca. Może rozłąka pomogłaby mi o tym zapomnieć.

Mona patrzy na mnie badawczo; czeka na soczyste szczegóły, ale czuję się niezręcznie, wolę uciąć ten temat. Gdybym zdradziła jej, co nas połączyło, musiałabym też wyznać, co zaszło, a nikt nie może o tym wiedzieć.

– Jak długo już tu mieszkasz? – pytam zniecierpliwiona, rozglądając się.

– Tak samo kiepsko unikasz odpowiedzi jak Carrick. Nieważne. Nie mów.
– Czarnym skórzanym buciorem staje na moim łóżku i wspina się na swoje. Siada na skraju, spuszcza nogi nad mój materac. – Jestem tu od roku.

– Naznaczona też jesteś od roku?

– Od dwóch lat. – Odwraca głowę, sięga do ściennej błyszczącej szafki bez uchwytu i popycha drzwiczki, które same się otwierają. Wyciąga świeżą pościel i zrzuca mi ją na łóżko. Potem znów staje na moim materacu swoimi topornymi skórzanymi buciorami, zeskakuje na podłogę i zabiera się do ścielenia. Próbuję pomóc, ale odgania mnie i zaczyna mówić. Łatwiej jej opowiedzieć swoją historię, gdy jest czymś zajęta. – Rodzina wyrzuciła mnie z domu, kiedy mnie naznaczono. Ojciec powiedział: „nie jesteś już moją córką”. – Obniża głos, naśladując ojca, i udaje, że robi sobie z tego żarty, ale to nie jest zabawne. – Pewnego dnia, jak wróciłam ze szkoły, czekał na mnie z walizkami. Odprowadził mnie do taksówki. Matka obserwowała nas z okna. Dał mi gotówkę na tydzień i tyle. – Ma nieobecne spojrzenie. – Przez rok mieszkałam na ulicy jak prawdziwa Naznaczona. Później usłyszałam o zbiegach, magikach, którzy potrafią żyć poza kontrolą demaskatorów, nie czując na plecach oddechu Trybunału. Zawsze sądziłam, że to mit, a zbiegowie są jak elfy, ale okazało się, że istnieją naprawdę. W końcu znalazłam się tutaj. To najlepsze, co mnie spotkało.

Robię wielkie oczy, a jednocześnie zdaję sobie sprawę, jakie to szczęście, że mam rodzinę, która ciągle mnie wspiera. Myślę też o tym, przez co przechodzi teraz mój biedny dziadek, aby mnie chronić.

– Co zrobiłaś? – pytam.

– Przez rok zajmowałam się różnymi rzeczami, przestrzegałam zasad, wykonywałam polecenia swojego demaskatora, ale potem się tym zmęczyłam, to nie dla mnie. Nie mogłam znaleźć pracy, więc nie miałam na czynsz. Przenosiłam się z jednego schroniska dla bezdomnych do drugiego. Kiepsko być Naznaczoną, nawet mając dach nad głową, ale wyobraź sobie, jak to jest bez żadnego schronienia. – Oczy zachodzą jej łzami. – Podjęłam więc decyzję i przeniosłam się tutaj. – Znow na mnie spogląda.

– Ale co zrobiłaś, że cię naznaczyli?

Łzy natychmiast znikają, oczy pochmurnieją. Poznają pierwszą zasadę Naznaczonych. Nigdy nie pytaj Naznaczonego, za co dostał skazę.



Ze snu jak zwykle wrywa mnie koszmar. Prześladowają mnie. Zawsze uciekam przed Crevanem. Pędzę ile sił, przeskakuję nad murami, ale nigdy nie jestem wystarczająco szybka, jakbym dreptała po bieżni elektrycznej – biegnę i biegnę, ale stoję w miejscu. To wyczerpujące i trwa całą noc, jakby sen był zapętlony, jedyna różnica w porównaniu z poprzednimi nocami jest taka, że to mój dziadek jest torturowany w Izbie Naznaczeń.

Nad ranem, spocona i zdyszana, myślę sobie, że muszę porozmawiać z Dahym, a co ważniejsze, zadzwonić do domu i dowiedzieć się, jaka jest sytuacja.

Poranne światło wlewa się przez okno kabiny; kiedy spoglądam w górę, widzę, że Mona już wstała. Pewnie poszła do pracy. Patrzą na zegarek – nie do wiary, już południe.

Rozlega się pukanie do drzwi.

Owijam się w pościel, zasłaniając skazę na piersi, otwieram.

– Cześć. – Carrick szybko mierzy mnie wzrokiem, a ja dostaję gęziej skórki. – Przyniosłem ci coś. – Podaje mi kubek parującej kawy i czekoladową muffinkę. – Mam właśnie przerwę na swojej zmianie.

– Nie wierzę, że tyle spałam.

– Potrzebowałam tego. – Świdruje mnie wzrokiem. – Za tobą ciężki dzień.

Otulam kubek dłońmi, czuję jego ciepło.

– Dziękuję.

– Przyszedłem ci przekazać, że pozostali czekają na ciebie w sali rekreacyjnej. Większość z nich ma teraz przerwę na lunch i chcą, żebyś coś zobaczyła. Nie rób takiej zmartwionej miny. – Uśmiecha się do mnie, co dotąd nie zdarzało się często.

– Okej. Zaraz przyjdę. Carrick... nie powiedziałeś mi, że znalazłeś rodziców.

– Mhm – mamrocze niezręcznie z zamyśloną miną – Nie wiedziałem jak... to dziwne. To coś nowego. Minęło dopiero kilka tygodni. Ledwie ich znam. A oni jakby mnie doskonale znali, zwłaszcza mama. Tak dużo o mnie wiedzą, a ja nie wiem o nich nic.

– Jasne. Byłam w zamku tylko kilka dni, a kiedy wróciłam do domu, wszystko wydawało się inne. – Z moją siostrą Juniper zawsze było dziwnie, w ogóle nie miałyśmy wspólnego języka. Dogadałyśmy się dosłownie na kilka chwil, zanim uciekłam z domu. Przyznała, że czuje się winna, że nie poparła mnie w autobusie i nie zeznawała w sądzie. Co ciekawe, mimo kary zazdrościła mi, bo postąpiłam słusznie, a ona nie. Odkryłam też, że pomagała Artowi się ukryć, kiedy ja rozpaczliwie pragnęłam się z nim zobaczyć. Wiele z tego, co się między nami wydarzyło w ciągu tych kilku tygodni, wynikało z braku komunikacji. Po chwili dodaję cicho: – Różne doświadczenia mogą cię... odsunąć od ludzi. Myślę o tym, jak to było wrócić do szkoły i nie mieć przyjaciół. O tym, jak nauczyciele nie chcieli mnie uczyć. O tym, jak zostałam zamknięta w szopie przez innych uczniów, o końcu mojego związku z Artem. Wszystko się zmieniło, i to nie na lepsze.

Kiwa głową i patrzy na mnie intensywnie, tyle że nie mnie widzi, po prostu coś sobie uświadomił.

– Ale to, co się nam przydarzyło, nie oddaliło nas od siebie, prawda? – pyta.

Nie muszę się nawet zastanawiać.

– Nie.

– Połączyło nas ze sobą – ciągnie.

– Tak. – Uśmiecham się nieśmiało.

Carrick kiwa głową.

– Do zobaczenia w sali rekreacyjnej. Tylko przyjdź trasą, którą pokazała ci Mona, bo lepiej, żeby nie zauważył cię tu ktoś obcy.

Zamykam drzwi. Moje ciało kipi energią już od samego tego, że stałam blisko Carricka, choć czuję się nieco zniechęcona ostatnim zdaniem. Biorę prysznic i szybko się ubieram, wiem, że wszyscy na mnie czekają. Kiedy otwieram drzwi, tuż przed swoim nosem widzę pięść. Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to że ktoś chce mnie walnąć, więc wydaję z siebie pisk i robię unik.

Ale nic się nie dzieje, nikt mnie nie kopnął ani nie uciekł, widzę tylko, jak cudze stopy przestępują z jednej na drugą. Przestaję osłaniać głowę dłońmi i powoli spoglądam w górę.

Patrzy na mnie złężniony chłopak. Jego pięść wciąż wisi w powietrzu.

– Chciałem zapukać do drzwi.

– Aha! Aha. Jasne. – Staję prosto.

– Przepraszam, że cię przestraszyłem – mówi z wyraźnym zażenowaniem, a jego policzki przybierają najbardziej czerwony kolor, jaki w życiu widziałam u człowieka. – Jestem Leonard. – Patrzy w podłogę, na ścianę, na drzwi, wszędzie, byle nie na mnie. – Pracuję tu. – Bawi się identyfikatorem na szyi i podaje go przez szparę w drzwiach. Leonard Ambrosio. Technik laboratoryjny. Wygląda jak chórzysta.

– Cześć, Leonardzie. – Trochę szerzej otwieram drzwi.

Boję się, że mnie rozpozna, ale czy to, że pracuje w tej jednostce, nie znaczy, że także jest Naznaczonym? Czy mogę mu choć trochę ufać? Czy jego oczy lekko się zwięzają, kiedy mi się przygląda? Moje nazwisko i moja twarz są wszędzie w prasie i telewizji. Czy już po mnie?

– Przepraszam, że przeszkadzam, wiem, że jesteś tu nowa. Moja dziewczyna mieszkała kiedyś w tym pokoju. – Rozgląda się, jakby bardziej ode mnie denerwował się swoją obecnością w tym miejscu. – Miała na imię Lizzie.

Cała się napinam ze strachu. To ten koleś, który nie lubi Naznaczonych.

Patrzy na mnie wyczekująco.

– Dopiero przyjechałam, nic o niej nie wiem – usprawiedliwiam się natychmiast. Myślę, że nawet jeśli ona była Naznaczona, to nie znaczy, że ja

też jestem.

– Aha. Okej. Hm, jeśli czegoś się dowiesz... Albo jeśli ją znajdziesz, albo coś sobie o niej przypomnisz, albo gdzieś ją spotkasz... – Znów na mnie patrzy wyczekująco, a nuż coś powiem. – Dobra. Tu jest mój telefon. – Podaje mi karteczkę ze swoim nazwiskiem i numerem. – Gdybyś czegoś się dowiedziała albo gdyby ktoś inny wspomniał coś o tym, gdzie mogła pojechać, proszę, zadzwoń do mnie. Bardzo chcę ją odnaleźć.

– Po co? – pytam lodowatym głosem.

Wydaje się zaskoczony moim tonem.

– Jak to?

– Dlaczego chcesz ją znaleźć? – Nie podam mu jej namiarów tylko po to, żeby nasłał na nią demaskatorów.

– Bo ją kocham. – Wbija we mnie błagalne spojrzenie. – Tak się o nią martwię. – Rozgląda się po korytarzu, potem jeszcze bardziej zniża głos. – Wiem, kim jest... kim się stała... rozumiesz? – Patrzy na mnie uporczywie. – Chyba bała mi się powiedzieć, ale nie przejąłbym się tym, zawsze o tym wiedziałem i nigdy mnie to nie obchodziło. To znaczy, oczywiście, że obchodziło, ale przecież przez to nie przestałem jej kochać. Jeśli już, to pokochałem ją bardziej. – Po tym wyznaniu znów czerwienieje z zażenowania. – Chcę, żebyś ty też wiedziała, że nie mam problemu z Naznaczonymi. Ale przede wszystkim zależy mi, żeby wiedziała o tym Lizzie. Jasne?

– Tak. – Marszczę czoło, bo słyszałam zupełnie coś innego, ale wolę nie wnikać w problemy obcych ludzi. Gdzieś w środku zastanawiam się tylko, czy to aby nie podstęp. Wykorzystać mnie, by ją znaleźć i ściągnąć na nią kłopoty. – Mówiłam już, nie znam Lizzie.

Za rogiem z hukiem zamykają się drzwi. Oboje nerwowo zerkamy w tamtą stronę.

– Proszę, nie mów Monie ani nikomu innemu, że tu byłam. Nie powinienem przebywać w tej sekcji. Lizzie dała mi kartę magnetyczną, żebyśmy mogli się spotykać. Niech to zostanie między nami.

Ma taką szczerą, zmartwioną, napiętą ze zdenerwowania minę, że prawie mi wierzę. Rozumiem też, że jeśli nie powiem nikomu o nim, on nie powie nikomu o mnie. Szybko zamykam drzwi. Zastanawiam się, czy powiedzieć

Monie, czy nie. Jego wersja kłóci się z jej historią, ale dopiero tu przyjechałam, więc lepiej się nie angażować w żadne spory, zwłaszcza jeśli to nie moja sprawa.

W końcu przychodzę do sali rekreacyjnej.

– Nie spieszyłaś się! – komentuje głośno Mona. – Nasza przerwa już prawie się kończy.

– Przepraszam, minęło sporo czasu, odkąd mogłam się wykąpać, nie martwiąc się o to, że nakryje mnie demaskator.

Śmieją się i wprowadzają mnie do pokoju. Jest tu teraz wielu Naznaczonych, których nie poznałam poprzedniego wieczoru. Chcą się przedstawić. Evelyn pokazuje mi, jak robi gwiazdę – obraca się po całym pomieszczeniu, a matka próbuje ją powstrzymać.

– Przepraszam. – Cordelia siada obok mnie. – Evelyn jest tu od drugiego roku życia. Zawsze staje się podekscytowana przy nowych ludziach. To się nie zdarza często.

– Nie szkodzi. Jest urocza. – Uśmiecham się, współczując dziewczynce.

– Witaj. – Bahee bierze mnie za rękę. Jego dłonie są ciepłe. – Mam nadzieję, że dobrze spałaś.

– Bardzo dobrze. – Posyłam mu uśmiech.

– Świetnie. Na pewno tego potrzebowałaś po wczorajszej podróży. Pamiętaj, że wszyscy byliśmy na twoim miejscu i rozumiemy, jak trudno przystosować się do nowej sytuacji. To wymaga czasu, ale my ci tu pomożemy.

– Dziękuję. Mogę nie chcieć stąd wyjechać. Czuję tu cudowny spokój.

– Zostaniesz tak długo, jak zechcesz. – Uśmiecha się ciepło.

– Wspaniale. Dzięki. – Odwzajemniam uśmiech od ucha do ucha.

Bahee nagle klaszcze w dłonie.

– Dobrze, przyjaciele. Dziękuję tym, którzy zebrali się tu podczas swojej przerwy, i tym, którzy zrobili sobie ją nadprogramowo. Eddie was zabije, ale nie miejcie do mnie pretensji. – RzUCA Monie ostrzegawcze spojrzenie, a ona, ubrana w uniform sprzątaczkę, zaczyna się głośno śmiać. – Pokażmy Celestine North, czym się tutaj zajmujemy.

Ludzie przysuwają kanapy tak, by tworzyły koło. Siadam obok Mony.

Carrick trzyma się z tyłu, poza kręgiem. Stoi oparty o ścianę, z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

Obok mnie siada Kelly.

– Musimy porozmawiać – oznajmia z przejęciem i puszcza do mnie oko. Bierze mnie za rękę, mocno ją ściska.

Rozumiem dyskomfort Carricka. Jego mama tak się pali, żeby znów być częścią życia odzyskanego syna, że chwyta się wszystkiego, co ma z nim związek. Adam siada koło niej i klepie ją po udzie. To chyba polecenie, żeby trochę odpuściła. Kelly przeprosza mnie i puszcza moją dłoń.

Rogan trzyma się w tym samym ciemnym rogu, w którym widziałam go wczoraj wieczorem, na wypychanym grochem pufie, w pobliżu gier komputerowych. Przysuwa się bliżej, żeby zobaczyć, co się dzieje, ale przez większość czasu gapi się na Carricka i obserwuje każdy jego ruch.

– Wiele osób dołączyło do naszego plemienia i je opuściło, ale wszystkich witaliśmy z otwartymi ramionami pełnymi miłości – zaczyna Bahee. – Zanim stałem się Naznaczony, w poprzednim życiu jako naukowiec wiele podróżowałem, odwiedzałem laboratoria i fabryki w wielu częściach świata – ciągnie przemowę, a ja odnoszę wrażenie, że jest kierowana bezpośrednio do mnie. – Za tym właśnie tęsknię najbardziej, za wychodzeniem z samolotu, zapachem nowego państwa albo żarem afrykańskiego słońca. – Na chwilę jakby pogrążył się we wspomnieniach; wszyscy cierpliwie czekają, być może sami wspominają te czasy, kiedy wydawało się, że nikt nam nie odbierze wolności. – Ale mam to szczęście, że mogę się dzielić opowieściami z moich podróży z tymi, którzy nigdzie nie wyjeżdżali. – Te słowa słowa kieruje do Evelyn. – Podczas moich podróży poznałem w Afryce plemię Babemba, które mogłoby nauczyć nasz naród tego i owego. Plemię to wierzy, że każdy człowiek rodzi się dobry, że pragnie jedynie bezpieczeństwa, miłości, spokoju i szczęścia. Ale czasem w pogoni za tymi wartościami ludzie popełniają błędy. Kiedy ktoś popełni błąd, staje na środku wioski. Wszyscy przerywają pracę i gromadzą się wokół niego. Dalej odbywa się piękna ceremonia, podczas której każdy mieszkaniec wioski dzieli się wszelkimi dobrymi rzeczami, jakich doświadczył od tego człowieka. Każda pozytywna historia, dobre uczynki i zalety zostają przypomniane. Na koniec, podczas specjalnego obrzędu, ten „winowajca” zostaje symbolicznie i dosłownie na nowo powitany

w plemienu.

– Piękne – pointuję w rozmarzeniu. – Gdyby tylko u nas tak było...

– To moje ulubione dni – stwierdza Mona.

– Niech więc wstanie Lennox, najmłodszy stażem członek naszego domu – podejmuje Bahee, a chłopcy Lorcan, Fergus i Carrick zaczynają wykrzykiwać słowa zachęty.

Lennox uśmiecha się szeroko i siada na krześle na środku pokoju. Zachowuje się niczym gwiazda rocka na scenie... Podnosi ręce, jak gdyby jego publiczność liczyła tysiące ludzi, nie tylko nas.

Evelyn skacze z podekscytowania jak piłka. Chce mówić pierwsza.

– Kiedy Lennox się tu pojawił, był dla mnie bardzo miły – zaczyna. – Nosił mnie wszędzie na plecach i udawał, że jest małym tatą, a ja dzidziusem – opowiada, a Lennox robi się zawstydzony. – I tylko on umie wybekać cały alfabet.

Wszyscy się śmieją.

Evelyn ciągnie dalej.

– Jest zawsze w dobrym humorze i bardzo to w nim lubię, bo sprawia, że inni też mają dobry humor. Ale jednego dnia był smutny. Płakał w swoim pokoju, więc zapytałam, co się stało. Oglądał zdjęcia, na których on i jego żona surfują. Powiedział, że tęskni na morzem. A ja na to, że przynajmniej widział morze. Ja nigdy, przenigdy nie widziałam morza. Jestem tu właściwie całe życie. Następnym razem wyrwał się gdzieś i przywiózł mi muszelkę. Kazał mi ją przyłożyć do ucha. Jak tylko będę chciała usłyszeć morze, mam tak właśnie zrobić. I zawsze, kiedy jest mi trochę smutno, biorę muszelkę, zamykam oczy i mimo że siedzę w kabinie z mamą, wyobrażam sobie, że jestem na plaży. Stopy zanurzam w piasku, fale biją o brzeg, mam na sobie kostium kąpielowy, buduję kolejne zamki z piasku, a Lennox surfuje ze swoją żoną. Więc dziękuję, Lennoxie, że dałeś mi morze.

Cordelia ociera łzy z oczu, bo jej córeczka nie doświadczyła tylu rzeczy, mieszkając w tym zakładzie.

Kelly zaczyna klaskać, inni dołączają.

Lennox odchrząkuje.

– Rany, to trudne.

Jasne, ale to też przepiękne: mnóstwo ludzi zasypuje pochwałami Lennox, a poprzez ich historie poznają jego charakter. To bez wątpienia żartowniś i mądrała, ale również życzliwa dusza. Dowiaduję się też dużo więcej. Lennox jest żonaty, a może był... Gdzie jest jego żona? Co się stało? Dlaczego został naznaczony? Wiem teraz po wczorajszej reakcji Mony, żeby nie zadawać takich osobistych pytań. Ale nie mogę się nie zastanawiać nad tym, co zrobili inni, że wypalono im skazy, zwłaszcza rodzice Carricka.

– To by było na tyle – odzywa się Bahee. – Celestine, jesteś tu nowa, nie spodziewamy się, że powiesz coś o Lennoxie, będziesz musiała na własną rękę odkryć jego zniewalającą osobowość.

Całe towarzystwo wybucha śmiechem.

– Carrick nigdy nic nie mówi – szepcze Mona, jak gdyby przebywał z nimi dłużej niż dwa tygodnie.

– Czekajcie – odzywa się Carrick i wszyscy milkną zaskoczeni. Opuszcza ramiona i odsuwa się od ściany. Widać, jak niezręcznie się czuje, przestępuje z nogi na nogę i strzela palcami.

– Nieźle – mamrocze Mona.

Carrick wlepia w nią wzrok i chowa ręce do kieszeni.

– Okej, Lennox – zaczyna niepewnie niskim, poważnym głosem. – Poznaliśmy się około dwóch tygodni temu; wtedy nie wiedziałem o tobie zbyt wiele. Nadal nie wiem zbyt wiele.

– Jakie to poruszające. – Lennox parska śmiechem.

– Ale potrzebowałem twojej pomocy. I ty mi jej udzieliłaś. Zadzwonił do mnie Dahy, musieliśmy szybko działać. Bo wizerunki tych dwóch kretynów są porozklejane po całym mieście. – Odnosi się do Fergususa i Lorcana. – Potrzebowałem cię, a ty stanęłaś na wysokości zadania. Nie zawiodłaś mnie. Prawie o nic nie pytałaś. Pomogłaś mi kogoś znaleźć. – Patrzy na mnie, a moje serce łomocze, w brzuchu mam motyle. – Kogoś, kto jest bardzo ważny dla...

Bum, bum, bum.

– ...sprawy Naznaczonych.

Mona cmoka.

– I nigdy ci się za to nie odwdzięczę.

Podczas gdy ja rozpływam się pod intensywnym spojrzeniem Carricka, Lennox kwituje:

– Możesz zapłacić gotówką.

Wybuchają kolejne salwy śmiechu.

– Tylko nie wdawajmy się w dyskusje na temat jakichkolwiek „spraw” – przerywa Bahee, śmiejąc się nerwowo. – Jediną sprawą, jaką powinniśmy omawiać, jest powód do świętowania z wczoraj, o którym dowiedzieliśmy się dziś.

Nagle robi się ciemno, wszyscy krzyczą „wszystkiego najlepszego”, a Kelly, która siedziała przy mnie, ale niepostrzeżenie zniknęła, teraz wychodzi z kuchni z wielgachnym tortem przyozdobionym osiemnastoma świeczkami. Evelyn podskakuje, śpiewa z przejęciem i oblizuje usta. Kiedy stawiają przede mną tort, dziewczynka siada mi na kolanach i pomaga zdmuchnąć świece. Powiedziałam, że już nigdy nie będę sobie niczego życzyć, ale proszę, robię to zaledwie dwadzieścia cztery godziny później.

– Bardzo wam dziękuję – wykrztuszam z szerokim uśmiechem.

Kroją mi kawałek, dużo większy, niż wolno zjeść Naznaczonemu przy obowiązujących nas zasadach żywieniowych.

– Smakuje ci? – dopytuje Evelyn. – Co najbardziej?

Ze śmiechem patrzę na biszkopt i krem wypływający spomiędzy jego warstw.

– Wanilia – z łatwością odpowiadam na pytanie i biorę kolejny kęs.

Mała marszczy brew.

– Ale to tort cytrynowy.

Czuję, jak moje policzki robią się różowe, więc pakuję do ust kolejny kawałek, żeby nie musieć już nic więcej mówić. Kątem oka widzę, że Carrick mnie obserwuje.

Kelly siada obok, obejmuje mnie ramieniem i szepcze mi do ucha:

– Smak niedługo ci wróci. Zaufaj mi.

Połykam kolejny kawałek tortu, zastanawiając się, jakie kłamstwo powiedziała matka Carricka.



Nocą, kiedy wszyscy w końcu albo poszli spać, albo pracować na swojej zmianie, w kabinie składa mi wizytę Carrick. Mona patrzy na mnie i znacząco unosi brew, a ja śmieję się i wychodzę. To nie to, co sobie myśli. Carrick i ja koniecznie musimy zamienić parę słów na osobności. Kelly bez przerwy stara się być blisko syna i cały czas zawraca mu głowę, nie mogliśmy więc swobodnie porozmawiać. Potem musiałam poczekać, aż skończy zmianę, a z kolei wtedy przyszła pora na wspólny obiad, podczas którego Kelly siedziała między nami. Myślała, że wszystkich do siebie zbliża, a tak naprawdę Carrick siedział sztywno, odpowiadał ledwie monosylabami, a ja byłam zbyt słaba, żeby podejmować dyskusje.

Ostatnie dwa tygodnie były wyczerpujące, miniona doba przerażająca, a teraz, kiedy wreszcie to się skończyło i adrenalina opadła, czuję się obolała i zdrętwiała, boli mnie głowa i cały czas mogłabym spać.

Carrick bierze mnie do kuchni, najodleglejszego pomieszczenia od kwater sypialnych, i zamyka drzwi. Siadamy przy stole.

– Miałeś jakieś wieści od Dahy’ego o moim dziadku?

Już dziesiąty raz o to pytam. Pytałam też Lennox, aż w pewnym momencie popatrzył na mnie agresywnie i powiedział: „North, lubię cię, ale w końcu oberwiesz”.

– Tak, kilka minut temu – odpowiada Carrick. – Twoi rodzice pojechali się z nim zobaczyć. Jest w areszcie. Dobrze go traktują. Posiedzi ze dwadzieścia

cztery godziny; przetrzymują go pod pozorem pomagania Naznaczonym. Próbuje udowodnić, że udziela przywilejów swoim pracownikom.

Czuję ulgę, ale tylko częściowo. Nie postawili mi zarzutów ani nie zrobili mi krzywdy. Jeszcze.

– Nie mają dowodów, bo inaczej już usłyszałby oskarżenie, nie puszczają go tylko po to, żeby cię wykurzyć.

Krzywię się.

– Przepraszam. Nie chciałem.

– Spoko. – Uśmiecham się.

– Ale... opracowywałem plan, żeby nas stąd wydostać.

– Chcesz opuścić Vigor? – pytam zaskoczona.

– Ty nie?

Czy to by głupio zabrzmiało, gdybym powiedziała, że mi się tu podoba? Że po raz pierwszy od wielu tygodni czuję się bezpieczna. Otoczona murem, stalowymi drutami, w masywnej twierdzy, gdzie są klucze magnetyczne i wzmożone straże, aby na teren nie dostał się nikt obcy. Nie czuję się zamknięta, czuję się chroniona. W końcu.

– Czuję się tu bezpieczna – przyznaję. – A ty znalazłeś rodziców. Brata. Wiedziałeś w ogóle, że masz brata? Dlaczego miałbyś rezygnować, nie być razem z nimi?

– Rozumiem, Celestine. Naprawdę. Ale to nie jest prawdziwe życie. To nie jest wolność. Biedna Evelyn ma sześć lat i od dnia, kiedy się tu znalazła, nie wyszła poza te ściany. Nie ma przyjaciół w swoim wieku, pewnie nigdy nie poznała żadnych innych dzieci. Bahee nie chce, żebyśmy walczyli o wolność. Jak tylko słyszy, że o tym rozmawiamy, ucisza nas, więc nic się nie zmieni.

– Ale wczoraj spałam dziesięć godzin – jęczę.

Śmieje się lekko.

– Przez jakiś jeden dzień pobytu tutaj czułem to samo. Zobaczysz.

– Może po prostu próbujesz uciec od rodziny? – pytam delikatnie. – Życie się z nimi na nowo zajmie trochę czasu. To normalne, że na razie jest... niezręcznie.

– O, zauważyłaś – mówi z sarkazmem. – Kiedy wyszedłem z ośrodka,

najgorsza rzecz, jaką mogłem zrobić Trybunałowi, to odnaleźć swoich rodziców. Nie sądziłem, że Trybunał naprawdę będzie miał na mnie oko. Ze wszystkich uczniów mnie najmniej mogli podejrzewać, sądziłem, że ich przechrzyłem. Że mi ufają. Przekonałem się tylko, że nigdy mi nie ufali, bez względu na to, jak dobre relacje z nimi stworzyłem. Do zamku przyjechał dyrektor placówki, żeby się ze mną zobaczyć.

– Pamiętam. – Przypominam sobie elegancko ubranego mężczyznę, który odwiedził go w celi. Wyglądał jak prawnik, ale Carrick postanowił sam siebie reprezentować.

– Powiedział, że w życiu nie czuł się przez nikogo taki zdradzony. On wziął mnie „pod opiekę”. – Kręci głową. – Patrzył, jak dorastam, przychodził na wszystkie moje mecze, świętował wyniki moich egzaminów. Ma swoje dzieci. A mimo to nadal nie potrafił zrozumieć, że chciałem znaleźć własnych rodziców. A potem dostaję skazę i już mi wolno. Nie ma teraz żadnych zasad, które by mi tego zabroniły. To takie pokręcone.

– Nie ma w tym logiki – przyznaję. – Jak znalazłeś rodzinę?

– Dostałem cynk, że tu są. Przeprowadzili się tutaj po moim procesie.

– Są tu dopiero od ośmiu tygodni? – pytam zaskoczona.

– Wydaje się, że dłużej, prawda? To dziwna rzecz w tym miejscu... – Rozgląda się po ścianach. – Jak gdyby czas nie istniał. Ludzie przyjeżdżają i nigdy nie wyjeżdżają. Jest jeszcze więcej Naznaczonych, których nie poznałaś; boję się nawet myśleć, od kiedy oni tu żyją.

– Z wyjątkiem Lizzie – zaznaczam.

Dużo o niej myślę. Jednym z powodów, dlaczego przyjaciele uważali mnie za idealną, zanim wypalono mi znamiona, było to, że dostawałam same szóstki. Dobrze mi szło zwłaszcza z matmy. Po prostu mam do tego głowę. Zawsze rozumiałam wszelkie twierdzenia. Doskonale radziłam sobie z różnymi równaniami. Jeśli coś okazywało się większym wyzwaniem, siedziałam nad tym, aż znalazłam rozwiązanie. Teraz czuję podobnie. Coś wydaje mi się nie w porządku. Istnieje jakiś problem. Kręci się gdzieś jak duch, który ma niedokończoną sprawę i czeka, aż ktoś się domyśli. Można by przypuszczać, że po tym, co się stało, zmienię się, ale nie potrafię. Kiedy naznacza cię Trybunał, ty sam się nie zmieniasz, zmienia się tylko to, jak postrzegają cię inni.

– Lizzie. – Carrick wydaje się zbity z tropu nagłą zmianą tematu.

– Co o niej wiesz?

– To Naznaczona, która tu pracowała. Wyjechała w zeszłym tygodniu. Mieszkała z Moną, były dość blisko. Nie zwracałem na nią zbyt wiele uwagi, jestem tu od niedawna. Podobno powiedziała swojemu chłopakowi, że jest Naznaczona, a on z nią zerwał, więc wyjechała. Zresztą nie interesują mnie plotki, to domena Mony. A co?

– Znasz jej chłopaka?

– Z widzenia. To jakiś spec od komputerów. Dlaczego pytasz?

– Można mu ufać?

– Celestine – mówi ostrzegawczym głosem. – Do czego zmierzasz?

– Tak się tylko zastanawiam. Martwię się o nią, mówiłeś, że ludzie nigdy stąd nie odchodzą. Ona odeszła. Zniknęła.

– Nie sądzę, żeby ten chłopak porąbał ją na kawałeczki... – droczy się. – Spokojnie, ludzie, którzy tu mieszkają, są zwykle dobrzy. Jestem pewien, że kilku zwykłych pracowników nas podejrzewa, może nawet widzieli parę skaz, ale nic nie mówią i nikogo się nie czepiają. – Milknie, ale jego mina zdradza, że chciałby powiedzieć coś jeszcze.

– Co? – dopytuję. – No, mów.

– Rozumiem, czemu chcesz zostać. Jest tu dużo dobra, ale jest też coś, nad czym musisz się zastanowić. Co właściwie zamierzasz tu robić? – pyta łagodnie. Miałam romantyczną wizję, jak piekę torty z Adamem i Kelly w kuchni. Jak jeżdżę na mokrych od mydlin szczotkorolkach, kiedy nocami sprzątam podłogi z Moną. I że wyglądam jak Pippi Pończoszanka. Wyobrażałam sobie, jak uczę Evelyn matematyki. Jak staję się asystentką Bahee i w białym kitlu przez grube okulary przyglądam się różnym rzeczom na szalkach Petriego. Jak w goglach termowizyjnych siedzę wieczorami z ochroną i rozglądam się po horyzoncie. Przynajmniej przez parę godzin ta fabryka była całym moim światem.

Carrick tłumaczy mi:

– Po tym jak Fergus i Lorcan uciekli z zamieszek w supermarkecie, pokazują ich w każdych wiadomościach. Są teraz na liście poszukiwanych przez Trybunał. Muszą pracować na nocnej zmianie, żeby nikt ich nie

rozpoznał i nie wydał. Nocne zmiany w większości przypadają Naznaczonym. Teraz twoja twarz jest najbardziej rozpoznawalna w kraju, może za jakiś czas to się uspokoi, może nie, i choć ludzie tutaj są dobrzy, to na pewno nie aż tak dobrzy. Nie zdecydują się żyć w zagrożeniu, bo jeśli Trybunał odkryje, że dzień w dzień z tobą pracowali, ale na ciebie nie donieśli, to znajdą się w niezłych tarapatkach. Nie podejmą takiego ryzyka. Przez jakiś czas będziesz musiała się ukrywać. – Mówi „jakiś czas” przeciągle, jakby to wcale nie miało być krótko. Wzrusza ramionami. – I dla jasności: to, że chcę odejść, nie ma nic wspólnego z tym, jak mi się układa z rodzicami. Chodzi o mnie. Nie godzę się na takie życie i ty też nie powinnaś. – Na chwilę milknie, daje mi czas się zastanowić.

Chcę się zobaczyć ze swoją rodziną, czuję ból w sercu, kiedy o nich myślę: o domu, który porzuciłam, o życiu, które mi ucieka, choć z tamtym życiem pożegnałam się osiem tygodni temu. Śnię o mamie, tacie, Juniper i Ewanie, którzy mnie tu odwiedzają, przewiezieni przez bramę w ciężarówce z żywnością. O wyjątkowych niedzielach, kiedy spędzamy razem czas w sali rekreacyjnej, gramy w piłkę albo robimy cokolwiek innego, na co Ewan miałby ochotę. Ale wiem, że to absurdalne marzenia. Bahee i inni nigdy by na to nie pozwolili. Carrick ma rację. To, o co powinnam chcieć walczyć, znajduje się poza tymi ścianami.

– Mnie też to życie nie wystarczy – przyznaję.

Uśmiecha się szeroko.

– I dobrze. Bo kiedy mówiłem, że warto by wydostać się z tego bałaganu, to nie miałem na myśli tylko fabryki. Ja chcę się wydostać z całego życia Naznaczonych. Mam plan.



Carrick nachyla się w moją stronę. Aż go nosi z podekscytowania.

– Myślałem o tym, co mi powiedziałaś wczoraj wieczorem. O Crevanie. I nagraniu z naznaczeń. Masz pojęcie, jaką władzę ci to daje?

Zastanawiam się nad tym. Poza faktem, że czuję się przez to wrogiem numer jeden i najbardziej poszukiwaną osobą we wszechświecie, nie jestem przekonana co do jakiejś tajemniczej mocy nagrania. Pan Berry i Pia Wang wiedzieli o nim i zaginęli. Jeśli już, fakt, że Crevan myśli, że nagranie jest w moich rękach, napełnia mnie strachem i stawia w trudnej sytuacji. Wątpię też, czy uwierzy, jak powiem mu, że nie mam żadnego dowodu z Izby Naznaczeń.

Carrick domyśla się, że nie widzę tego w ten sam sposób co on.

– Celestine, możesz użyć nagrania, aby unieważnić swój wyrok. I nie tylko. Jeśli opinia publiczna zobaczy, że Crevan raz się pomylił, to zacznie się zastanawiać, ile jeszcze błędów popełnił w przeszłości? To stawia cały system Trybunału pod znakiem zapytania.

Serce zaczyna mi szybciej bić. W tym, co mówi, coś jest. Pierwsze światełko w tunelu, jakie widzę w tej całej sprawie. To lepsze niż zemsta, to wyjście z sytuacji. Przekonał mnie, chyba naprawdę warto spróbować, ale...

– O co chodzi, Celestine? Powinnaś to wykorzystać. Powinnaś pokazać nagranie, komu tylko się da.

Nie mam nagrania. No, powiedz, Celestine. Powiedz, że go nie masz. Mów. Otwieram usta. Zastanawiam się, jak to ująć. To powinno być proste. „Nie mam nagrania, nie wiem, gdzie jest”. Ktoś jedynie przypuszcza, że je mam. Bo osoba, która najwyraźniej mi je dała, tak mu powiedziała.

Carrick czeka pełen nadziei. Znów zamykam usta. Nie potrafię stłumić jego entuzjazmu, trzyma się swojego planu, jakby to była jedyna szansa, aby to wszystko odkręcić. I kto wie, może jednak mam nagranie. Gdybym wróciła do domu, może bym je tam znalazła. W głowie mam gonitwę myśli. Czy zdołam się dostać do domu tak, by demaskatorzy mnie nie zauważyli? Albo skontaktuję się z rodziną i każę im szukać nagrania. Czy naprawdę jestem w stanie to zrobić?

– W porządku – mówi, jakby się wycofywał. – Rozumiem, że o zbyt wiele cię proszę. Dopiero przyjechałaś, jesteś zmęczona, nie powinnaś... Zresztą...
– Znów nabiera entuzjazmu. – Przyprowadziłem cię tu w innym celu. – Wstaje, otwiera lodówkę, włączając światło, i kładzie dwie poduszki na podłodze, przed otwartymi drzwiami. – Usiądź, proszę.

Patrzę na niego zmieszana. Chwila związana z nagraniem minęła, czuję ulgę, ale nie podoba mi się, że mam przed nim sekret.

– Naprawdę, Celestine, wszystko w porządku. Na razie po prostu się nad tym zastanów. A teraz tylko usiądź.

Sadowię się na poduszce na podłodze, jedynie światło z lodówki rozjaśnia pokój.

Carrick zajmuje miejsce naprzeciwko mnie.

– Będziemy mieć lekcję. Gotowa?

– Tak, mistrzu Vane.

Próbuje powstrzymać się od uśmiechu. Ciekawe, jak by wyglądał, gdyby ze sobą tak bardzo nie walczył, gdyby mięśnie jego twarzy przestały się napinać i pozwoliły wyłonić się prawdziwemu uśmiechowi. A nawet lepiej: jak jego twarz odmieniłby perlisty śmiech.

– Ze wszystkich naszych zmysłów węch jest najważniejszy. Zwierzęta potrzebują powonienia, aby przetrwać. Ślepy szczur jest w stanie przeżyć, ale szczur, który nie czuje zapachu, nie czuje też smaku, nie może więc się rozmnażać ani znaleźć jedzenia.

Zaczynam łapać, o co chodzi.

– Twoja mama powiedziała ci, że nie czułam smaku tortu?

– Coś tam wspomniała – mówi łagodnie, po czym wraca do rzeczy. – Może straciłaś zmysł smaku, ale nie straciłaś powonienia. Siedem procent z tego, co postrzegamy jako smak, pochodzi właśnie z węchu.

Ledwie byłam w stanie cokolwiek przełknąć po naznaczeniu języka, spuchł i pokryły go strupy po oparzeniu. Minęły dwa miesiące i nadal wszystko smakuje jak powietrze. Przypuszczam, że do końca życia już nie poczuję żadnego smaku. Ale co tam, trudno, to mi nie przeszkadza, bo dieta Naznaczonych nie pozwala na luksusy. Smak kaszy z fasolą zostanie mi oszczędzony.

Carrick kontynuuje swoją lekcję.

– Kiedy wkładasz jedzenie do ust, molekuły jego zapachu wędrują odcinkiem pomiędzy nosem a ustami do receptorów zapachowych na szczycie jamy nosowej, tuż pod mózgiem i za grzbietem nosowym.

Unoszę brew.

– A jak połknąłeś encyklopedię, to jaki miała smak?

– To efekt mojego solidnego wykształcenia – odpowiada z sarkazmem. – Nie możesz poczuć smaku, ale odbierasz zapach, teksturę i temperaturę jedzenia. Musisz w pełni wykorzystać te trzy rzeczy.

Posłusznie kiwam głową.

– W szkole musieliśmy się poddać testowi smaku. Mieliśmy pięć rzeczy: szyszkę sosnową, laskę cynamonu, cytrynę, zasypkę dla dzieci na ściereczce i kulkę na mole. Kazali nam wąchać każdą z nich tak długo, aż w naszych głowach pojawi się jakieś wspomnienie. Do ósmego roku życia nienawidziłem swoich rodziców. To ośrodek nauczył mnie nienawiści do nich. Biorąc pod uwagę, co mówiono nam o Naznaczonych, i to, że nigdy po mnie nie przyjechali, nie uratowali mnie, nie uwolnili stamtąd, trudno się dziwić, że ich nie cierpiałem. Ale potem zrobiliśmy ten test i to przypomniało mi pewne rzeczy. Wróciły dobre wspomnienia, szczęśliwe wspomnienia. Zacząłem się zastanawiać, jak bardzo źli byli tak naprawdę moi rodzice. Zacząłem notować te wspomnienia, a potem nie mogłem już przestać: spisałem jedno, a ono automatycznie poprowadziło mnie do następnego i następnego. Bałem się, że

jeśli ich nie napiszę, to o wszystkim zapomnę na zawsze, więc codziennie utrwalam w swoim tajnym dzienniku sytuacje z mamą i tatą. Nie opowiadałem o tym nikomu, skrzętnie chowałem dziennik w swoim pokoju. W ośrodku ludzie lubili wiedzieć, co myślisz.

Pamiętam, jak przyłapałam Mary May na czytaniu mojego pamiętnika; ona też chciała znać moje myśli.

– I ten test odmienił moje życie. Zorientowałem się, że to, co słyszę o swoich rodzicach, to kłamstwo.

Chcę wyciągnąć do niego rękę, przytulić go, powiedzieć, że przykro mi, że został zabrany z rodzinnego domu w tak młodym wieku, ale Carrick ma w sobie coś, co za każdym razem mnie powstrzymuje. Jest taki zamknięty, jakby miał wokół siebie pole siłowe; szkło, które oddzielało nas od siebie w celach w zamku, nadal stoi między nami. Carrick niby jest tuż obok, ale nie mogę go dotknąć.

Odchrząkuje i powraca do lekcji.

– Masz zakończenia nerwowe na powierzchni oczu, nosa, ust i gardła. Wyczuwają orzeźwiający chłód mięty, pieczenie papryczek chili. Wykorzystaj to. Nie ty jedyna tego doznałaś.

– Wiem, twoja mama doświadczyła czegoś podobnego po swoim naznaczeniu – zgaduję. Nadal bardzo mnie ciekawi, w czym skłamała.

– Nie tylko Naznaczeni tracą poczucie smaku. Brak tego zmysłu to ageuzja.

– Naprawdę istnieje coś takiego? – pytam zaskoczona.

– Naprawdę.

Czuję się szczęśliwa z tego powodu.

– Masz więc tutaj torebkę smakową. – Kładzie ją przede mną. – A tu torebkę zapachową.

Śmieję się.

– Użyjmy... – rozgląda się po półkach wielkiej lodówki – żelków Bahee.

– Żelki? W lodówce?

– To dziwny człowiek. W jeden dzień pochłania więcej cukru niż Evelyn przez cały tydzień i nigdy się z nikim nie dzieli... dlatego to jeszcze lepszy wybór. – Wyjmuje torbę żelków i każe mi odwrócić wzrok.

– Co robisz?

– Miażdżę żelki, żeby w torebce zapachowej rozniósł się ich aromat. A teraz... – Sięga do tylnej kieszeni spodni i wyciąga bandanę. – Zamknij oczy.

Staje za moimi plecami i delikatnie wiąże mi opaskę na oczach. W pewnej chwili muska palcami moją skórę. Natychmiast czuję mrowienie w tym miejscu, a włosy stają mi dęba. Ostatnio miałam zawiązane oczy przez szkolnych kolegów, którzy wykręcili mi okrutny numer. Rozebrali mnie i zaczęli się przyglądać moim bliznom, jakby mieli przed sobą jakieś dziwadło z cyrku. Byłam wtedy przerażona, załamana, straciłam całą wiarę w ludzi i swoje nowe życie. Ale teraz czuję się zupełnie rozluźniona, a nawet podekscytowana. Ufam Carrickowi.

– Okej. – Znów jest przede mną. – Spróbuj tego.

– Obyś nie dodał tam chili – śmieję się.

Otwieram usta, Carrick kładzie mi żelka na języku. Ostrożnie żuję. Nie rozpoznaję żadnego smaku. Niesamowite. Czuję za to teksturę, choć pewnie nie odgadłabym, że to żelek, gdyby Carrick mi nie powiedział.

– Napij się wody.

Ciągnę płyn przez rurkę.

– A teraz powąchaj. – Podtyka mi torebkę pod nos, a ja wdycham zapach zmiażdżonego żelka.

– Truskawkowy – stwierdzam bez problemu. Przynajmniej z moim zmysłem powonienia wszystko jest w porządku.

– A teraz spróbuj. – Znów kładzie mi żelka na języku.

Spodziewam się, że po raz kolejny truskawkowego, ale marszczę czoło.

– To nie truskawka – mówię zdezorientowana. – Wiem, że to nie truskawka, ale nie wiem co.

– Ha! – wykrzykuje radośnie. – Postęp.

– No, dalej – dopinguję samą siebie.

– Powąchaj.

Pociągam nosem.

– Pomarańcza.

– A teraz spróbuj.

Jego palce przemykają po moich wargach, kiedy otwieram usta. Jestem taka rozproszona. Ledwie mogę się na czymkolwiek skupić. Wszystkie moje zmysły szaleją. Próbuję się skoncentrować. Wącham podczas żucia. Czekam, aż moje receptory nerwowe wyczują, czy to smak gorzki, słony, słodki czy kwaśny. Rozpoznaję, że jest taki sam jak poprzedni. Gorzki.

– Pomarańcza.

– Tak – oznajmia radośnie. – Dobra, jeszcze raz.

Carrick jest niezmordowany. Raz za razem wykonujemy kolejne próby, aż zaczyna mi się wydawać, że wiem, jak pomagać sobie węchem. Opróżnił niemal całą lodówkę. Prawie wszystkie smaki rozpoznałam prawidłowo bez wcześniejszego wąchania torebki.

– Okej, ostatni. – Wkłada mi coś do ust, a ja się koncentruję bardzo mocno. Wyjaśnił, że w gardle też mam kubki smakowe, o czym nie wiedziałam. Wychwytyję zapach również wtedy, kiedy przeżuвам. Czuję się jak zwierzę, całkowicie skupiona na pożywieniu. Pociągam nosem, jedząc w ciemności, doszukuję się zapachów i wskazówek.

– Cheddar? – pytam niepewnie.

– Idealnie.

Uśmiecham się. Trochę minęło, odkąd słyszałam to słowo albo czułam coś, co byłoby mu bliskie.



Art i ja nie uprawialiśmy seksu. Chodziliśmy ze sobą przez pół roku i zmierzaliśmy w tym kierunku, ale ostatecznie do niczego nie doszło przed moim naznaczeniem, zanim nasze życie zupełnie się zmieniło. Na kilka dni przed moim zniknięciem, nieco ponad dwa tygodnie temu, powiedział mi, że był we mnie zakochany. Już zdążyłam się ucieszyć, ale potem załapałam różnicę. Bo to nie tak, że teraz mnie kocha, tylko wcześniej kochał. Mój euforyczny nastrój przysł.

Kiedy Art i ja byliśmy sami, odkrywaliśmy wzajemnie nasze ciała, nieśmiało, niezręcznie. Z Carrickiem jest inaczej. Roztrzaskał dzielące nas szkło, jak tylko zaczęliśmy test smaku. Czuję z nim ogromną więź, nasze ciała były tak mocno doświadczone – już samo to nas łączy. Łączy nas fizyczna więź. Nie tak to sobie zaplanował Crevan. Chciał nas okaleczyć, sprawić, abyśmy wyglądali na brzydkich, niebezpiecznych, odmiennych, takich, których lepiej nie dotykać. Sam to powiedział podczas ogłaszania wyroku. Znamię na języku jest po to, by każdy, kto mnie całuje, wiedział, że jestem kłamczuchą. Pamiętam, jaki Art był tym obrzydzony, nieważne czy sam to zauważył, czy nie. Więc właśnie, Crevan tego nie przewidział – że ludzie, którzy zostają ukarani, znajdują harmonię i radość w swoim towarzystwie.

Nie wiem, jak teraz miewa się Art. Nie wiem, czy wrócił do ojca, czy uciekł. Kiedyś pytałam o niego dziadka, ale szybko uciął temat. Nie chciał być okrutny, chyba po prostu wolał być realistą.

– Czemu pytasz o tego chłopca? – zagadnął wtedy.

– Dlatego, że... – wymamrotałam coś niezrozumiale, zażenowana, że rozmawiam z dziadkiem o swoich uczuciach. Na dodatek wiedziałam, że nigdy nie przepadał za rodziną Crevanów.

Przerwał swoją pracę i posłał mi stanowcze spojrzenie.

– Odwrócił się od ciebie, sugeruję więc, żebyś zrobiła to samo.

Więcej już nie pytałam.

Ściągam opaskę. Carrick patrzy na mnie intensywnym wzrokiem prosto w oczy. Światło z lodówki odbija się w jego ciemnych kocich źrenicach.

Jest zaskoczony, kiedy wyciągam rękę i rozpinam jego dzinsową koszulę. Wystarczyło rozpiąć trzy górne guziki, abym dostrzegła kontrast pomiędzy kolorem szyi a skórą ukrytą poniżej kołnierzyka. Widzę symbol © wypalony zaledwie osiem tygodni wcześniej, nadal świeży tak jak mój, który dopiero zaczyna się zablźniać, próbując się zadomowić, znaleźć swoje miejsce na ciele.

Carrick oddycha ciężko, pierś mu faluje. Niemal nerwowo przenosi wzrok od moich oczu do palców, które delikatnie unoszą się nad jego blizną. Dociskam je do skóry i palcem wskazującym śledzę kształt S i koła otaczającego literę. Czuję, jak serce bije pod moimi palcami. To znamię miało symbolizować brak lojalności wobec społeczeństwa i Trybunału za to, że Carrick szukał swoich rodziców po trzynastu latach spędzonych w instytucji, gdzie planowano wyrugować z niego wszelkie wady. Odwrócił się do nich plecami. Ale taka postawa jedynie udowadnia mi jego lojalność wobec tego co dobre i słuszne, właściwe i uczciwe.

Przysuwam się bliżej, przyciskam usta do blizny; słyszę, jak Carrick głośno wciąga powietrze. Podnoszę wzrok, żeby sprawdzić, czy nie zadałam mu bólu, ale oczy ma zamknięte, jego dłoń przesuwa się do moich włosów, mojej prawej skroni. Bada ją. Moje znamię.

„Za złe decyzje znamię na prawej skroni”, słyszę tubalny głos Crevana z sali sądowej, jak gdyby był tu z nami w kuchni.

Carrick unosi moją prawą dłoń, zatacza palcem krąg na mojej dłoni.

„Za kradzież wobec społeczeństwa będziesz miała zrobione piętno na prawej ręce. Przy każdym powitaniu porządni ludzie dowiedzą się o twojej

winie”.

Carrick delikatnie całuje wnętrze mojej dłoni.

Potem zamyka drzwi lodówki, a my pogrążamy się w ciemności.

– Carrick? – szepczę.

– Nie chciałem, żeby się rozmroziła.

Uśmiecham się lekko.

– Chodźmy do mojej kabiny – mruży cicho.



Agdzie jest Lennox? – pytam, kiedy wchodzimy do kabiny; czuję wyraźnie męski zapach pomieszczenia.

Carrick wpycha stertę brudnych ubrań pod łóżko, a ja udaję, że tego nie widzę.

– Nie tutaj.

Śmieję się.

Jego kabina jest taka sama jak moja i Mony, tylko bardziej zabałaganiona. Siada na podwójnym łóżku.

– Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś.

– Powinnam zgrywać trudniejszą do zdobycia? – drocę się.

– To znaczy... nie wierzę, że cię znalazłem. Obiecałem w zamku, że cię znajdę, ale to było trudniejsze, niż się spodziewałem. Dobrze cię strzeżono. Chciałem poznać swoich rodziców, oczywiście, że tak, ale teraz... skoro już cię mam, wynośmy się stąd. W końcu przyszła pora, żebyśmy się wszyscy ulotnili – mówi naładowany energią.

– Wszyscy? A konkretnie?

– Fergus, Lorcan, Lennox i ja. Może Mona. Nie rozmawiałem o tym z rodzicami. Bahee dostaje szału, jak ludzie nie są w stanie dogadać się w kwestii tego, co będą oglądać w telewizji, a co dopiero mówić o ruchu Naznaczonych.

– Czyli ty, ja, Fergus, Lorcan i Lennox zmienimy świat, tak?

– Nie świat. Kraj. A żeby zmienić kraj, wystarczy zmienić zdanie kilku osób.

Gapię się na niego oniemiała.

– Celestine. – Bierze mnie za rękę i przyciąga, żebym siadła na łóżku razem z nim. – Crevan dla wszystkich jest człowiekiem wszechmocnym. Ma kontrolę nad Trybunałem, Trybunałowi w jakiś sposób udaje się manipulować rządem... pewnie dlatego, że naznaczyli większość jego członków i teraz obawiają się potwora, którego sami stworzyli. Wielu obywateli popiera Crevana, ale nie wszyscy. Słuchają cię ludzie, którzy nie słuchali nigdy wcześniej. Zawsze wiedziałem, że jesteś wyjątkowa. A teraz jeszcze masz przeciwko niemu coś mocniejszego.

Szóste znamię. I zapis tego, jak je wypalono. Czuję ucisk w piersi na myśl, że nie powiedziałam jeszcze, że tak naprawdę nie mam tego nagrania.

– Nagranie zdemaskuje drania. Crevan straci wiarygodność, straci władzę. Zmusisz go, żeby odwołał oskarżenia wobec ciebie. Wiesz, że możesz to zrobić. Jeśli popełnił błąd z jedną Naznaczoną, to może popełnił błędy z innymi. To postawi pod znakiem zapytania wiarygodność całego Trybunału. A wtedy wszyscy będziemy wolni. Ale to ty masz klucz do tych drzwi.

– I tyle? – pytam przerażona tą perspektywą. – Wystarczy, że namówię Crevana, żeby zmienił zdanie?

– Możesz tego dokonać, Celestine – mówi łagodnie.

– Ale jestem wyczerpana, Carrick. – W końcu pękam. Siadam na łóżku obok niego. – Nie dam rady już dłużej tego robić. – I tylko tyle jestem w stanie powiedzieć, bo łzy odbierają mi mowę; ogarnia mnie przemożne zmęczenie.

Carrick bierze moje dłonie i przenosi je na swój pas tak, żebym go obejmowała. Przyciąga mnie do siebie. Opieram głowę na jego piersi; koszula nadal jest rozpięta, więc moje łzy płyną na jego bliznę. Pozwala mi przez chwilę płakać, trzyma mnie w idealnym bezruchu.

– Za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że nie mogę czegoś zrobić, wiesz, o czym myślę? – pyta.

– O małych kotkach i szczeniaczkach? – odpowiadam zapłakana.

Nie śmieje się. To nie ten typ.

– O tobie.

Nie rozumiem; odsuwam się od niego.

– To, co zrobiłaś w autobusie, na sali sądowej i w izbie – mówi cicho i oboje przypominamy sobie tę chwilę – było najmocniejszą, najodważniejszą rzeczą, jaką widziałem. Jesteś dla mnie inspiracją, Celestine. Gdy tylko zaczynam wątpić w to, że dam sobie radę, że znajdę wyjście, myślę o tobie. Nie ma drugiej takiej osoby jak ty. Odważnej i piekielnie upartej, a teraz masz jeszcze całą potrzebną władzę. Jesteś jak Superman przy Lexie Luthorze.

Mimo ogarniającego mnie strachu i smutku zaczynam się śmiać.

– Okropne porównanie.

Trochę zawstydzony odpowiada:

– Starąłem się mówić poważnie.

– Aha.

– Kiedy obserwowałem cię w izbie, widziałem zadziwiającą siłę. Jak sam znalazłem się w środku, byłem przerażony. Ale myślałem o tobie przez cały ten czas. Chciałem być odważny tak jak ty. I jak ty nie wydałem z siebie żadnego odgłosu. Powiedziałem Lorcanowi, Fergusowi i Lennoxowi, że masz w sobie coś wyjątkowego i niedługo sami zobaczą. Bo mimo że o tym nie wiesz, Celestine, wychodzi to z ciebie w odpowiednim czasie, kiedy najmniej się tego spodziewasz.

– Będą strasznie zawiedzeni, jeśli wyrobiłeś mi reputację Supermana.

– I tak już mi wierzą. Widzieli cię w akcji w supermarkecie, jak sprzeciwiałaś się policjantowi. Ale nie wiedzą o...

– Cii... – Przykładam palec do jego warg. Nie możemy wspominać o szóstym znamieniu.

Pod drzwiami widzę jakiś cień.



Carrick spogląda tam gdzie ja. Cień, jakby wyczuwał naszą uwagę, szybko się odsuwa. Carrick zrywa się na nogi i otwiera drzwi. Zbiega po balkonie, ciężkie buty łomoczą o metal.

Kładę się na jego łóżku.

– Nikogo nie zobaczyłem.

– To bez znaczenia. Nie powiedziałaś tego głośno. – Gapię się w sufit i czuję, jak całe pozytywne nastawienie do tego miejsca powoli się ulatnia. Oczywiście Carrick ma rację, nie mogę zostać tu na zawsze. Tęsknię za rodzicami, Juniper, Ewanem. Tęsknię za życiem. Ale nie chodzi tylko o to. To miejsce ma zakamarki, których nie widziałam ani wczoraj wieczorem po przyjeździe, ani dziś. Teraz nie wydaje mi się już tak bezpieczne i przyjazne.

Carrick kończy sprawdzać korytarz, zamyka drzwi.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Mój nowy, szczęśliwy, spokojny świat właśnie legł w gruzach. Więc nie.

Podchodzi do mnie, kładzie się obok, podpira na łokciu. Całuje mnie. To długi, powolny, piękny pocałunek. Mimo swojej siły.

– Teraz już dobrze? – pyta znów po chwili.

– Prawie – szepczę.

Uśmiecha się.

– To na czym skończyłem? – Unosi moją dłoń i delikatnie całuje jej wnętrze. – Jeden. – Całuje moją skroń. – Dwa. – Następne są moje usta. Całuje mnie w język. – Trzy. – Sięga po rąbek mojej koszulki i ściąga mi ją przez głowę, odsłaniając bliznę na piersi pomiędzy miseczkami stanika. Robi to samo co ja wcześniej, śledzi kształt palcem, zanim delikatnie pocałuje znamię. – Cztery. – Powoli przesuwając usta, całuje mój pępek, który nie ma blizny, ale nie narzekam; ściąga mi buty i skarpetki. Podeszwa mojej prawej stopy „za znowę z Naznaczonymi. Za to, że szłaś z nimi ramię w ramię i wystąpiłaś ze społeczeństwa”. Całuje moją stopę i czuję, jak szepcze „pięć”; w mojej głowie słyszę głosy, krzyki, zamieszanie, bicie młotka w sali sądowej. Od tego żywego wspomnienia robi mi się słabo.

Carrick podnosi się na kolanach i patrzy na mnie.

Jestem zdenerwowana. Serce mi łomocze. Przysięgam sobie, że nikt nigdy tego nie zobaczy.

– Obróć się – mówi.

Kręcę głową i przełykam ślinę przez ściśnięte gardło.

Swoimi ogromnymi dłońmi chwytając mnie za biodra i obraca. Nie stawiam oporu, teraz leżę na boku. On kładzie się za mną, trzymając mi dłoń na biodrze. Jeśli obrzydziło go to, co zobaczył, to nie okazuje tego. Szóste znamię nie było zaplanowane, zrobił je bez znieczulenia rozwścieczony i rozszalały Crevan. Odskokczyłam, kiedy to się stało, kiedy poczułam, jak wypala mi skórę. S jest ordynarne i niewyraźne, wygląda tak brutalnie, jak powstało.

Słyszę Crevana pośród chaosu w Izbie Naznaczeń. „Wypalić skazę na kręgosłupie! Nigdy nie widzieliście nikogo z tak poważną skazą na kręgosłupie moralnym...” Jego głos cichnie i więcej go nie słyszę. Zniknął z mojej głowy. Jest od niego wolna.

– Sześć. – Carrick i ja szepczemy razem.



W kabinie jest gorąco. Przez małe okno w bezwietrzną letnią noc nie wpada zbyt dużo rześkiego powietrza. Leżymy pod przykryciem, nogą oplatam Carricka, twarz mam przytuloną do jego piersi. Lewą rękę trzymam na jego torsie, jakbym strzegła znamienia. On lewą dłonią przykrywa moją dłoń, jego palec rysuje kółka na wierzchu mojej. Nie wiem, czy zauważył, że naturalnie przyjęliśmy taką pozę.

– Chyba wychodzi na to, że dwoje Naznaczonych tworzy ideał – mówi, a ja chichoczę. – Żarty nie wychodzą mi najlepiej – mamrocze z lekkim uśmiechem.

– Nie muszą. Wystarczy, że będziesz poważny, złośliwy i seksowny. – Całuję go w podbródek.

Art miał świetne poczucie humoru i to w nim uwielbiałam. Zawsze potrafił mnie rozśmieszyć, rozluźnić każdą napiętą sytuację dowcipnymi tekstami, wypowiedzianymi w odpowiednim momencie. Umiał też być stosownie niestosowny, co jest niezłym wyczynem. Zaczynam mieć wyrzuty sumienia; moje całe ciało się napina.

– Wszystko w porządku? – pyta Carrick.

– Mhm.

Ale jakby czytał mi w myślach.

– Tak się nad tym zastanawiałem, że możemy dopaść Crevana. Masz nad

nim więcej władzy, niż ci się wydaje. Podobno jest blisko ze swoim synem, zwłaszcza teraz. Zrobiłby dla niego wszystko.

Nieruchomieję. Posłuchać się Artem?

Jestem taka zniesmaczona tą sugestią, nietaktowną porą i sposobem podjęcia tematu, że odsuwam się od Carricka; niezręcznie próbuję wyplątać się z jego objęć, ale jest bardzo silny i to nie takie proste. W końcu wstaję z łóżka, ale tylko dlatego, że on ostatecznie mi na to pozwala. Pospiesznie zaczynam się ubierać.

– Daj spokój, Celestine. – Siada na łóżku, prześcieradło wisi nisko na jego biodrach; spod materiału wystaje tatuaż wiatrowskazu. Zrobił go sobie, jak miał szesnaście lat, na szkolnej wycieczce, ale nie chce powiedzieć, co to dla niego znaczy.

– Dlatego się ze mną przespałeś? – warczę. – Żeby nakłonić mnie do swojego planu? Żeby mnie wykorzystać, żeby dostać się do Arta i dorwać Crevana?

– Nie – odpowiada z poirytowaniem, ale spokojnie. Nie podnosi głosu, nie popada w histerię jak ja, jednostajnym tonem mówi jedynie: – Powinniśmy zrobić wszystko, co możemy, żeby odzyskać nasze życie.

– Ale nie raniąc ludzi, których kochamy.

Milczenie.

– Kochasz go?

– Nie! To znaczy... nie.

– Nadal nosisz na kostce bransoletkę, którą ci dał.

– Skąd wiesz, że mi ją dał?

– Izba.

Teraz pamiętam. Nie chciałam jej ściągnąć. Okazało się, że strażnik, który wypalał mi skazy, sam ją wcześniej wykonał. Poruszyło go, że ją na mnie zobaczył. Naznaczał dziewczynę, którą jeszcze kilka dni wcześniej miał za idealną, mimo że w ogóle mnie nie znał.

– Więc będziesz bronić Arta bez względu na to, co ci zrobił?

– A co on mi, twoim zdaniem, zrobił?

Art uciekł po tym, jak wykonano na mnie wyrok. Ukrył się i tylko Juniper

powiedział, gdzie jest, co bardzo mnie zraniło. Ale od tamtego czasu zdałam sobie sprawę, że nie chował się przede mną, nie próbował mnie zranić. Starał się trzymać z daleka od ojca, którego znienawidził za to, co mi zrobił, a zresztą Carrick nic na ten temat nie wie. Nie było go przy tym, a ja mu niczego nie opowiadałam.

– Carrick, o czym ty gadasz? Co, twoim zdaniem, Art mi zrobił? – powtarzam.

– Nic – ucina. Jego twarz jest pozbawiona wyrazu.

– Żadnych sekretów. Musisz mi wszystko powiedzieć. – Wiem, że to hipokryzja, sama się przed nim nie przyznałam, że tak naprawdę nie mam nagrania.

Znów lodowata twarz, która niczego nie zdradza. Nagle jednak Carrickowi puszczają nerwy.

– Na jego miejscu nie zostawiłbym cię w tym autobusie. Nie pozwoliłbym, żeby mi ciebie odebrano. Nie oddałbym cię bez walki. Kazałbym zabrać też siebie. Stałbym przy tobie w tym autobusie i w sądzie. Wywaliłbym mediom całą prawdę. Wszyscy chcieli usłyszeć, co ma do powiedzenia, ale on nabrał wody w usta.

– Próbował wypowiedzieć się w sądzie w mojej sprawie... – oponuję cicho.

– W chwilowym napadzie złości? Za późno. I to było słabe. Bardziej wyglądało jak bunt wobec tatusia niż cokolwiek innego. Ja bym po prostu na to nie pozwolił – oznajmia z pełnym przekonaniem.

Zaczynam rozumieć, co dokładnie dziadek miał na myśli, kiedy stwierdził, że Art się ode mnie odciął. Nigdy nie myślałam o tym tak, jak to ujął Carrick. Ciągle patrzyłam na sytuację z perspektywy Arta, ale może Carrick ma rację, może Art powinien się za mną wstawić.

– Codziennie byłeś ze mną w sądzie – przypominam sobie. Carrick pozostał wobec mnie lojalny, okazał mi wsparcie, którego nie otrzymałam od ówczesnego chłopaka. – Ale na samym początku nie mogłeś mnie znieść. – Uśmiecham się, znów siadając na łóżku.

– Nienawidziłem cię – przyznaje.

– Hej! – Żartobliwie uderzam go w ramię.

Chwyta mnie za rękę i przyciąga do siebie.

– Uścisnęłaś się z Crevanem – mówi. – Pamiętam, jak wszyscy siedzieliście przy stoliku: twoi rodzice, on, ty... Próbowaliście wymyślić, jak się z tego wydostać, a twoje ubrania były rozłożone po celi, jakby miały wszystko załatwić.

Wyobrażam sobie swoją historię z jego punktu widzenia i nie winię go za to, że czuł do mnie odrazę. To było żalosne.

– Kiedy przestałeś mnie nienawidzić?

Rzuca mi przenikliwe spojrzenie.

– Jakieś piętnaście minut temu.

Kręcę głową, staram się ukryć uśmiech.

– Masz rację, żarty ci nie wychodzą.

– Minęło mi, gdy po raz pierwszy zobaczyłem cię w sądzie.

– Sędzia Sanchez ogłosiła, że nie pozwolą mi wrócić do domu na czas procesu. Zdałeś sobie sprawę, że Trybunał nie jest po mojej stronie.

– Nie, jeszcze wcześniej. W chwili kiedy weszłaś na salę. Wyglądałaś na okropnie przerażoną, chyba nigdy w życiu nie widziałam, żeby ktoś tak się bał. Chciałem czuć zadowolenie, satysfakcję z tego, co ludzie wykrzykują do ciebie na dziedzińcu, chciałem czuć, że na to zasługujesz, ale kiedy tylko zobaczyłem cię w sądzie, dotarło do mnie, że ta rozprawa nie będzie dla ciebie łatwa, a ty o tym wiesz. Bałaś się od samego początku, a przez to twoja odwaga jest jeszcze większa.

Jego komplementy mnie onieśmielają.

– Przepraszam za ten wybuch – wzdycham.

– Rozumiem. Wybrałem sobie beznadziejny moment.

– Możemy cofnąć się o pięć minut?

– Cofnijmy się o więcej. – Uśmiecha się. – Pół godziny? Chcę znów wypróbować ten kod, o ile sobie przypomnę. Jak to szło? Jeden, dwa, trzy...? Powinienem sobie zapisać – mruczy i całuje naznaczoną skórę.

Jego głowa znika pod moją koszulką.

– Znalazłem jeden – informuje stłumionym głosem.

Nie mogę powstrzymać się od śmiechu.
I wtedy rozlega się alarm.

19



Carrick wyciąga głowę spod mojej koszulki i z prędkością światła wyskakuje z łóżka, żeby się ubrać. Na szczęście ja jestem już ubrana, więc szukam tylko swoich trampek.

– Co się dzieje?

– Alarm. Nigdy wcześniej go nie słyszałem.

Drzwi do kabiny nagle się otwierają. To Lennox – zupełnie nie zwraca uwagi na to, że siedzę u nich o tej porze, a Carrick jest w połowie nagi.

– Demaskatorzy są przed bramą.

– O kurczę. – Czuję, jak zaciska mi się żołądek. Moja bezpieczna przystań przestała istnieć.

We wschodnim skrzydle, w którym mieszkają Naznaczeni, panuje absolutna panika. Wszyscy są półprzytomni, biegają w popłochu, próbując ogarnąć sytuację. Naznaczeni, którzy akurat teraz pracowali, pędzą do kabin z przerażeniem w oczach. Widzę mnóstwo nieznanych mi Naznaczonych.

Pojawia się Eddie. Stres pełnie mu po szyi w stronę twarzy w formie czerwonej wysypki.

– Co się dzieje? – pyta go Carrick.

– Nie mam pojęcia, ale ustalmy jedno. Nic na wasz temat nie wiem, okej?

Mona krzywi się z obrzydzeniem.

– Nie martw się, Eddie, twój tyłek jest bezpieczny, a teraz pomóż nam ocalić nasze.

Cordelia mocno obejmuje Evelyn, przemożny strach wyraźnie maluje się na jej twarzy. Jeśli demaskatorzy nas znajdą, to nie tylko stąd wywiozą, ale odbiorą też Cordelii córkę, bo dziewczynka jest N.O.U.

– To co robimy? Jaka jest procedura w takich przypadkach? – pytam; głos mi się trzęsie.

Eddie nie chce spojrzeć mi w oczy, chodzi po pokoju w tę i we w tę.

– Na pewno macie jakiś plan awaryjny. – Rozglądam się po twarzach zebranych.

– Nigdy niczego takiego nie potrzebowaliśmy – odpowiada Bahee z niepokojem. – W ciągu tych wszystkich lat byli tu tylko parę razy i dostawaliśmy ostrzeżenie.

– Ale teraz dokładnie wiedzieli, kiedy przyjechać. Ktoś im powiedział – rzuca Carrick z wściekłością.

Patrzę na niego w panice, jest nieźle wkurzony.

– Które z was doniosło? – krzyczy.

– Carrick – łagodnie mówi Kelly. – Nikt z mieszkańców by tego nie zrobił. – Próbuje go objąć, ale on daje krok w tył; straszna obelga. To nie tylko odrzucenie matki, to niemal oskarżenie, przejaw braku zaufania.

– Gdzie Rogan?

Rozglądamy się w poszukiwaniu brata Carricka, ale nie ma go nawet w najciemniejszych kątach.

– Co za zbieg okoliczności – prycha ze złością. – Ktoś informuje demaskatorów i Rogan znika.

– Jak śmiesz. – Matka daje mu policzek w twarz, lecz szybko cofa dłoń w zaskoczeniu, tak jak gdyby ją bardziej zabolął ten cios.

Wydaję z siebie bezgłośny jęk, a między nimi staje Adam.

– Pohamuj się, Carrick. Wszyscy jesteśmy spięci. Chłopak na pewno chowa się w jakimś bezpiecznym miejscu. Wiem, że macie ze sobą na pieńku, ale Rogan by tego nie zrobił.

– Nie? – odzywa się Carrick wyzywająco. – To najwyraźniej nie znam go

tak dobrze jak wy.

Bahee, którego cała ta scena wprawiła w zakłopotanie, próbuje załagodzić sytuację.

– Mam przepustki do laboratorium. Demaskatorzy tam nie wejdą bez odpowiednich dokumentów. Będą musieli poczekać do rana, żeby je zdobyć, a biurokracja ich wykończy. Ze mną będziecie bezpieczni.

Carrick podejrzliwie mierzy go wzrokiem.

– Okej, wszyscy pójdą z Bahee. Lennox, Fergus, Lorcan i ja się wymkniemy. Celestine, zostaniesz ze mną.

Domyślam się, że Carrick ma plan, więc nie pytam o szczegóły. Ufam mu.

– Celestine, zostań z nami. – Bahee opiekuńczo obejmuje mnie ramieniem.
– Na zewnątrz jest zbyt ryzykownie. W laboratorium nic ci nie grozi. Daję słowo.

Carrick kręci głową.

– Dobra, znikamy stąd. Biegniemy prosto do jeepa, ale jeśli ktoś chce jechać z nami, to musimy wyruszyć natychmiast. – Bierze mnie za rękę i wyprowadza z kabiny.

– I pchniesz ją prosto na nich? – wtrąca się Bahee. – Demaskatorzy będą blokować każdą drogę wyjazdową. Zastanów się, chłopaku.

Carrick robi niepewną minę.

– Musisz nam zaufać – mówi Kelly na skraju łez.

Widzę malujące się na twarzy Carricka poczucie winy za to, jaką przykrość sprawił matce. Patrzy na mnie. Plan Bahee brzmi lepiej. Jeśli się ukryję, będę mieć większe szanse, niż gdybym wbiegła prosto w łapy demaskatorów.

– Może jednak lepiej zostać? – szepczę.

– Nie powinniśmy się wszyscy trzymać w jednym miejscu – odpowiada. – Zaryzykuję. Ukryj się z innymi. Przyszykuję jeepa, opracuję plan i wrócę po ciebie w odpowiednim momencie. Zaufaj mi.

– Już ci ufam.

Szybko mnie całuje.

Bahee klepie Carricka po plecach.

– Jest w bezpiecznych rękach. Wszyscy za mną – rozkazuje pospiesznie, trzymając mi dłoń na ramieniu.

Idziemy za Bahee. Wychodzimy ze wschodniego skrzydła po schodach i w ciemność nocy. Niedługo wzejdzie słońce, widzę łunę na horyzoncie. Zastanawiam się, gdzie będziemy, kiedy nastanie dzień. Biegniemy szybko, staramy się nie zwracać na siebie uwagi, unikamy głównych tras na terenie zakładu. Choć twierdził inaczej, mogę się założyć, że Bahee miał opracowaną trasę ucieczki i chodził nią co wieczór, tak na wszelki wypadek.

Nadal nigdzie nie widać Rogana; zastanawiam się nad oskarżeniami Carricka. Chłopak bez wątpienia ma mroczne myśli związane z pojawieniem się w ich życiu starszego brata, ale wątpię, aby zaaranżował to wszystko i zaryzykował, że sam zostanie odnaleziony i rodzina się rozpadnie. Ale może Carrick ma rację co do tego, że doniósł ktoś, kto tu mieszka. Boję się, że to Leonard i że nalot jest przeze mnie. Gdybym powiedziała o tym, że przyszedł do mnie do kabiny, to może mielibyśmy czas na wszelki wypadek zaplanować ucieczkę.

Kto podsłuchiwał mnie i Carricka pod drzwiami?

Bahee otwiera przed nami zabezpieczone drzwi i je przytrzymuje. Wszyscy pędem wpadają do środka i udają się w głąb korytarza. Trochę się rozluźniam, gdy patrzę na tę masywną stalową tarczę przeciwko demaskatorom w ścianie pełnej klawiszy i zamków. Bezpieczeństwo jest tuż za progiem.

Evelyn wbiega przede mną. Kiedy nadchodzi moja kolej, Bahee blokuje mi wejście.

Jego uśmiech zniknął, oczy za przyciemnionymi szklami okularów są zimne. Mocno zaciska dłoń na klamce.

– Bahee? – dyszę z nerwowym drzeniem w głosie.

– Pamiętaj, to ty do tego doprowadziłaś. Nigdy nie powinnaś tu przyjeżdżać. – Zatrzaszkuje mi drzwi przed nosem.



Zostaję sama na dachu w totalnym szoku, podczas gdy armia demaskatorów wpada na teren zakładu na dole. Ich czerwone mundury są jaskrawe i ostrzegają przed niebezpieczeństwem, jak gdyby na dziedzińcu połała się krew. Ubrani są w mundury bojowe, do tego czarne hełmy i tarcze. Czego niby się spodziewają? I wtedy zdaję sobie sprawę, że to ze względu na media. Żeby pokazać opinii publicznej, jak niebezpieczna jest Celestine North.

Już za późno, żeby się gdzieś schować. Bez problemu widać mnie na dachu, wystarczy jedynie spojrzeć w górę. Jestem osaczona. Nie ma szans, żebym zeszła z tego dachu, a przynajmniej nie żywa.

Demaskatorzy wbiegają po metalowych schodach przeciwpożarowych; ogarnia mnie pierwsza fala paniki. To koniec. Po wszystkim, co zaszło, to koniec. Ale wtedy wydarza się cud: w podłodze pode mną otwiera się właz, a z niego wystaje głowa. Odskakuję, ze strachu chowam się w kącie, myślę, że to demaskator.

– Właz! – syczy Leonard.

Mam sekundę, aby ocenić sytuację. Jestem na siebie wściekła, że nie poszłam z Carrickiem, kiedy miałam szansę. Tylko jemu ufam. Słyszę buty demaskatorów na metalowych schodach. Twarz Leonarda wygląda na szczerą. Carrick powiedział, że mogę mu ufać. Ufam Carrickowi. Dziadek powtarzał: nie ufaj nikomu. Tata mówił: ufaj dziadkowi. Ufam dziadkowi. Kręci mi się w głowie.

Postanawiam zaryzykować, wskakuję do wjazdu. Od pięt po kolana przeszywa mnie ból, kiedy ląduję na metalowej podłodze, która znajduje się przede mną bliżej, niż się spodziewałam. Leonard szybko i bezgłośnie zamyka wjazd nad nami. Jesteśmy w wąskim przesmyku, nie wiem, czy to część wentylacji czy ogrzewania, ale powietrze jest gęste, a miejsca mało. Siedzimy w kucki.

Leonard przykłada palec do ust, żebym była cicho, ale i bez tego chyba nie wydobyłabym z siebie głosu, bo jestem przerażona; po świcie krótkich oddechów w tej ciasnej przestrzeni poznaję, że on też. Słyszymy dudnienie butów demaskatorów nad nami, którzy próbują rozgryźć magiczną sztuczkę nagłego zniknięcia Celestine North.

Serce mi łomocze, skroń Leonarda lśni od potu, czuję emanujący od niego strach. Zdarzało się już, że bliscy zaskakiwali mnie tym, jaką potrafią wyrządzić mi krzywdę, a ci, po których najmniej się tego spodziewałam, przywracali mi wiarę w bliźnich. Nigdy nie przestaje mnie to rozczarowywać i zachwycać. Juniper pewnie udałoby się to przewidzieć, bo zawsze dużo lepiej niż ja rozumiała ludzi i różne okoliczności. Gdyby obserwowала mnie gdzieś z boku, powiedziałaaby: „Dopiero teraz załapujesz, Celestine!”. Umiała przewidzieć fabułę każdego serialu, a ja zawsze byłam daleko w tyle, zachwycona jej zdolnością odczytywania każdej sytuacji.

Ciężkie kroki krążą nad nami, straż biega w popłochu, bez ładu i składu, jak stado mrówek, które straciły trop. Nie wiedziałam, że jest tu jakiś wjazd, dopóki się nie otworzył, kształt luku odznacza się słabo widoczną linią i zlewa z podłogą. Mam nadzieję, że go nie zauważą, ale to demaskatorzy – zostali wyszkoleni, by wyłapywać wszystko, nic im nie umknie.

– Nie dadzą rady otworzyć go od góry – szepcze Leonard. Czuję na karku jego gorący oddech. – Nie wejdą tu od zewnątrz. – Pokazuje na panel w suficie, który otwiera się kartą magnetyczną. – Ale to jedynie kwestia czasu, zanim spróbują do nas dotrzeć z innej strony.

Tupanie na włączniku ustaje, ale w zamian dobiega nas łomotanie do stalowych drzwi. Myślę o rodzicach Carricka, Cordelii, małej Evelyn i Monie zamkniętych w środku, myślą, że są bezpieczni.

Sam do tego doprowadziłeś, ze złością kieruję do Bahee jego własne słowa. Bahee, pokojowego przywódcy. Jeśli to on zaaranżował przeszukanie,

aby się mnie pozbyć, to jego strach przed zmianą spowoduje większą rewolucję niż ta, do której ja mogłabym doprowadzić, i na pewno dotknie ludzi, których kocha najbardziej.

Czuję, że jestem coś winna Leonardowi.

– Pytałam Monę o Lizzie – szepczę; mimo tego, co dzieje się na górze, skupia na mnie całą uwagę. – Podobno Lizzie wyznała ci, że jest Naznaczona, a ty ją odrzuciłeś, złamałeś jej serce, więc uciekła.

– Nigdy w życiu – odpowiada zraniony i zły.

Mówi to za głośno. Zatykam mu dłonią usta. Robi wielkie oczy i szybko kiwa głową na znak, że rozumie i ściszy głos.

– Mówiłem ci, cały czas wiedziałem, że jest Naznaczona. A przynajmniej podejrzewałem. Miała skazę na piersi. Zawsze dziwnie się zachowywała, gdy chciałem dotknąć jej... – Robi się czerwony jak burak. – Nie przejąłbym się tym, Celestine, nie pozwoliłbym jej odejść. Dlaczego skłamała?

Marszczę czoło i nagle zaczynam wszystko rozumieć.

– Nie skłamała. To Bahee tak to przedstawił. Powiedział, że po waszej rozmowie Lizzie przyszła do niego po radę. Była bardzo zdenerwowana. Zwierzyła się, że nie może tu dłużej zostać, że musi odejść.

– Ten gość to świr – rzuca z wściekłością. – Lizzie nigdy go nie lubiła. Nigdy nie poszłaby do niego po radę.

– Nie wpuścił mnie do laboratorium. Wydaje mi się, że to on wezwał demaskatorów – tłumaczę. – Zastanawiam się, czy w obawie, że Lizzie powie ci o swojej skazie, nie postanowił czegoś na to poradzić.

– Pozbył się jej? – Patrzy na mnie z przerażoną miną. – Jak myślisz, co zrobił?

Kręcę głową.

– Nie wiem, ale się dowiemy – zapewniam z determinacją.

Kroki demaskatorów oddalają się po schodach przeciwpożarowych.

– Dzięki za pomoc, Leonardzie. Doceniam to, jakie podjąłeś dla mnie ryzyko.

– Ja tylko idę za twoim przykładem. Podczas procesu powiedziałaś, że pomogłaś starszemu mężczyźnie, bo to było słuszne. Współczucie i logika –

powtarza moje słowa. – Głosuję na Partię Niezbędnych.

Uśmiecham się.

– Lepiej stąd chodźmy, na wypadek gdyby próbowali znaleźć tu inną drogę. Tędy.

Ruszam za nim przez labirynt fabryki.

Leonard prowadzi mnie w bezpieczne miejsce; stamtąd widzimy, jak demaskatorzy zbierają się przy wejściu na dziedziniec. Otaczają rodziców Carricka, Cordelię i Evelyn, Bahee i Monę, wszystkich, którzy sądzili, że znajdą schronienie w laboratorium. Serce mi łomocze. Jeśli demaskatorzy przyjechali tu z mojego powodu, powinnam oddać się w ich ręce. Ja za resztę Naznaczonych. To byłoby słuszne.

Bum, bum, bum.

Robię krok do przodu.

– Co ty wyprawiasz? – syczy Leonard.

– Nie mogę pozwolić, żeby ich zabrano. Demaskatorzy przyszli tu po mnie.

– A skąd wiesz? Celestine! Wracaj!

Evelyn zaczyna krzyczeć, kiedy łapie ją demaskator – prostuję się i przyspieszam kroku. Jeśli ktoś podniesie teraz wzrok, to mnie zobaczy. Z ciemności wyłania się czyjaś dłoń, chwyta mnie i ciągnie do siebie. Zaczynam się szarpać, ale kiedy tylko nasze ciała się dotykają, wyczuwam, że to Carrick. Czuję jego zapach. Przyciskam się do niego, a on zamyka mnie w ramionach. Jestem wyczerpana ciągłym wątpieniem w siebie. Jak mogłam zwątpić też w Carricka?

– Nawet o tym nie myśl – ostrzega niskim głosem.

– Nie mogę pozwolić, żeby ich zabrali.

– Wtedy zabiorą i ciebie, i ich. Tak będzie lepiej? Zastanów się, Celestine.

Zawsze spokojny, nawet w takich okolicznościach. Wymawia zdania powoli, jak gdyby wszystko analizował w odpowiednim czasie, w przeciwieństwie do mnie. W mojej głowie szaleją obrazy i myśli, panika i strach.

– Jak udało ci się uciec? – pyta.

Szybko mówię jemu, Lennoxowi, Fergusowi i Lorcanowi, co zdarzyło się

na dachu. Mimo że nie przepadali za Bahee, wszyscy prócz Leonarda i Carricka są zaskoczeni, gdy słyszą coś takiego, a może nawet nie do końca wierzą. Bahee mógł zamknąć przede mną drzwi, żeby ocalić własną skórę, nie mamy pewności, czy to on zawiadomił demaskatorów. Raz jeszcze myślę o Roganie – tylko jego brakuje.

Przykucam i trzymam się blisko Carricka. Demaskator odciąga kopiając, rozwrzeszczaną Evelyn. Cordelia krzyczy, wyje z żalu, gdy zabierają jej dziecko.

– O matko – skamle, zasłaniam dłońmi twarz. Nie chcę patrzeć, ale muszę.

– Nie tak się umawialiśmy! – woła gniewnie Bahee.

I ci na ziemi, i ci w ukryciu wlepiają w niego wzrok z totalnym niedowierzaniem.

Rusza do niego demaskator, Bahee szybko się wycofuje, cała jego buta znika. Nie miałyby siły zmierzyć się z żadnym ze strażników. Kilkunastu demaskatorów rozstępuje się, aby przepuścić przywódcę, a ten przechodzi i zatrzymuje się przed Bahee. Demaskator ściąga hełm i ku swojemu całkowitemu zaskoczeniu widzę Mary May.

Wydaję z siebie jęk zdumienia, Carrick natychmiast zasłania mi usta.

– Umowa była taka, że pozwolimy wam tu zostać, a zabierzemy Celestine. Nie ma tu po niej śladu, a nikt nie wspomniał, że na terenie zakładu przebywają dzieci N.O.U. Musimy ją stąd natychmiast zabrać. Damy jej opiekę, jakiej potrzebuje, choć może być już za późno. – Patrzy na Evelyn z obrzydzeniem.

Czuję, jak Carrick napina wszystkie mięśnie. Wie, jak wyglądają te specjalne ośrodki.

– To twoja sprawa, Bahee? – krzyczy Mona.

– Coś ty narobił? – wrzeszczy Cordelia.

Bahee cofa się przed nią. Wygląda na tak słabego, że mógłby go zdmuchnąć lekki wiaterek.

– Zabrać ją – rozkazuje Mary May, odprawia dziewczynkę machnięciem dłoni.

Nigdy wcześniej nie widziałam Mary May w tym mundurze. Zwykle ma na

sobie strój w stylu Mary Poppins, ten, który zakłada na wizyty domowe, kiedy sprawdza, czy wróciłam o odpowiedniej porze, czy trzymałam się diety i czy przestrzegałam wszystkich ograniczeń dotyczących Naznaczonych. Nawet Mary May, która przyjeżdżała szukać mnie na farmie dziadka, nie była kobietą, którą widzę dziś. To znaczy, że weszła na nowy poziom. I zrobi wszystko, żeby mnie znaleźć. Jakie mam szanse?

Evelyn nie poddaje się bez walki. Kopie demaskatora między nogi, facet głośno przeklina i zgina się wpół. Z głowy spada mu hełm, a mnie staje serce. Czuję, jak uścisk Carricka robi się mocniejszy, a jego dłoń zasłania mi usta po raz drugi. On wie, co chcę wykrzyknąć.

Demaskatorem jest Art.



Jasne, nieokiełznane loki Arta opadają mu wokół twarzy. Mocno trzyma Evelyn za rękę, a jego mina wyraża ból i irytację jednocześnie.

Cordelia wyje za swoim dzieckiem.

Wydaje się, że inni demaskatorzy patrzą na Arta i Evelyn w rozbawieniu. Wszyscy są jednak ludźmi i mam nadzieję, że przynajmniej niektórym ten obraz wydaje się nie do zniesienia.

– A nie możemy zabrać ich razem? – pyta Art, a jego głos łamie mi serce. – Matki z dzieckiem?

– Tak! Tak! – Cordelia zrywa się z kolan chętna, by dać się aresztować, gotowa pójść na koniec świata, jeśli tylko będzie mogła zostać ze swoją córką.

Tak długo za nim tęskniłam i teraz się pojawia, w tych okolicznościach. Dziwnie wygląda w mundurze. Jak chłopiec przebrany za żołnierza. Nic dziwnego, że spadł mu hełm; nawet przy tej burzy włosów na niego nie pasuje. Jest w tym samym wieku co Carrick, ale żaden z niego żołnierz, ma dziecięcą buzię, nigdy do niczego nie podchodzi poważnie. Tak naprawdę koncentrował się jedynie, gdy grał na gitarze, ale nawet wtedy pisał absurdalne piosenki – jego ulubiona była o zebrze w kropki. O słoniu bez trąby, tygrysie, który zrobił sobie manikiur, żyrafie, która nie mogła znaleźć pasującego na nią golfu, brokule, który nie chciał jeść warzyw, i tym podobnych rzeczach.

Ta sytuacja nie pasuje do Arta, za bardzo przypomina mu prawdziwe życie.

Nie wykręci się od tego żadnymi niezręcznymi żartami. Wyrывa dziecko matce, a wie, jak to jest, bo stracił swoją mamę, więc ma opory. Nie zrobi tego.

– Zabierzcie mnie zamiast niej. – Nagle rozlega się głos po drugiej stronie bramy. Pojawia się Rogan. Był na zewnątrz, był wolny. Co on wyprawia?

Demaskatorzy odwracają się w jego stronę.

– Ja też jestem dzieckiem N.O.U. – oznajmia głosem łamiącym się od strachu, ale stara się udawać silnego.

– Rogan! Nie! – krzyczy Kelly.

– Co on, do cholery, wyprawia? – Carrick wstaje ze swojego miejsca.

Teraz moja kolej, aby go przytrzymać. Udaje mi się dopiero z pomocą Lennox.

– Zostawcie Evelyn. Zabierzcie mnie – powtarza Rogan błagalnie. – Mam czternaście lat. Moi rodzice są Naznaczeni. Spędziłem poza systemem całe swoje życie. Zabierzcie mnie.

Mary May ledwie na niego spogląda. Daje znak i demaskatorzy zaczynają się wycofywać, ignorując Rogana. Niektórzy potrącają go ramionami i szturchają po drodze do aut.

– Weźcie mnie! – krzyczy teraz piskliwym, zdesperowanym głosem; z rezygnacją rozkłada ręce.

Mijają go, wsiadają do furgonetek.

– Nie jestem dla was wystarczająco dobry? Mój brat był, ale ja już nie?

Patrzę na Carricka, który ze złością kręci głową, oczy ma czarne jak węgiel.

Kelly biegnie do swojego młodszego syna i obejmuje go mocno. Oboje tak się zanoszą płaczem, że ledwie są w stanie utrzymać się na nogach. Rogan jest wyczerpany od krzyku.

Evelyn zostaje zaciągnięta do furgonetki, jej płacz słysząc nadal po zamknięciu drzwi. Cordelia klęczy na ziemi w całkowitej hysterii. Wygląda jak moja sąsiadka Angelina, gdy została rozdzielona z rodziną. Dzieci krzyczące za rodzicami, udręka matczynego serca, które ktoś rozrywa na strzępy. Zatrzymanie Angeliny było moim pierwszym doświadczeniem

z demaskatorami. Dopilnuję, aby to było ostatnie.

Czerwona furgonetka odjeżdża, Evelyn znika.



Co ty, do cholery, zrobiłeś? – Carrick przyciska Bahee do ściany w pokoju rekreacyjnym.

Zebraliśmy się tu, nieufni i wściekli na siebie nawzajem, żeby spróbować jakoś to wszystko zrozumieć. Bahee skamle, kiedy jego drobne ciało zostaje z mocą przyparte do muru.

– Proszę, zostawcie mnie. – Podnosi ręce w obronie.

Lennox, Fergus, Lorcan i Mona zbierają się wokół niego niczym sępy mierzące wzrokiem swój obiad. Trzymam się z tyłu, zbyt otępiała, aby cokolwiek powiedzieć albo zrobić. Mam ogromne poczucie winy, że ściągnęłam na wszystkich coś takiego, nawet jeśli to Bahee ostatecznie pociągnął za spust. Nie zrobiłby tego, gdyby mnie tu nie było.

– Nie mogę oddychać... Nie mogę... – stęka.

– Carrick – odzywa się Adam ostrzegawczym tonem.

Carrick rozluźnia uścisk, Bahee próbuje odzyskać oddech.

– Nie wiedziałem, że to się tak potoczy, nie tak się umówiliśmy – tłumaczy nerwowo, a Cordelia znów zaczyna płakać, mocno przytulając do siebie różowego pluszowego króliczka Evelyn. – Wiecie, że uwielbiam Evelyn. Nigdy nie zgodziłbym się na to, żeby ją zabrali. Musicie uwierzyć, że postąpiłem tak ze słusznych powodów. – Robi surową minę. – Ona nie powinna tu być. – Pokazuje na mnie palcem i wszyscy odwracają się w moją

stronę. – Wiem, że uważacie tak samo. Nikt nie chce tego głośno powiedzieć, więc ja się odważę. Ona nie powinna tu być. Przez całe lata byliśmy bezpieczni, a ona to wszystko zepsuje.

– Nie, ty to wszystko zepsujesz – cedzi Carrick przez zaciśnięte zęby, po czym po raz ostatni pcha naukowca na ścianę, potem go puszcza i oddala się stanowczym krokiem.

– W końcu by ją znaleźli – przekonuje nerwowo Bahee. Próbuje przeciągnąć ludzi na swoją stronę, nabiera pewności, skoro zyskał szansę, żeby się bronić. – Oczywiście, że tak. Pracują tu setki ludzi. Celestine ma najbardziej rozpoznawalną twarz w kraju. Ktoś by ją zobaczył i doniósł Trybunałowi. Ja tylko zrobiłem to w sposób, dzięki któremu ta rodzina będzie chroniona na zawsze.

– Rodzina – cmoka Mona. – Masz nierówno pod sufitem.

– Powinieneś skonsultować z nami taką decyzję – mówi Adam, a ja dziwię się, że nie broni od razu mojej obecności. – I obawiam się, synu – zwraca się do Carricka – że ty z kolei powinieneś skonsultować się z nami, zanim przywiozłeś tu Celestine.

Carrick jest zaszokowany.

– Skonsultować się z wami? – Zaciska pięści i robi krok w przód.

– Synu – ostrzega go Adam, spoglądając na pięści.

– On nie jest twoim synem – wtrąca cicho Rogan, który teraz siedzi w ciemnym kącie.

Carrick odwraca się do niego.

– Powiedz tak jeszcze raz, a pożałujesz.

– Nie jesteś jego synem. – mówi Rogan wolniej i głośniej. Wstaje. – Ja jestem jego synem. Kiedy się tu pojawiłeś? Dwa tygodnie temu? Ja byłem z nimi cały czas. Wiesz, co poświęciłem? Całe życie. Ciągłe w ukryciu. Przeprowadzka co kilka tygodni, miesięcy, jeśli mieliśmy szczęście. Bez szkoły, bez przyjaciół. A ty żyłeś sobie jak król. Widziałem te ośrodki w telewizji: baseny, restauracje, wakacje, narty. Z czego ty musiałeś zrezygnować?! – krzyczy.

Kelly wydaje z siebie pełen bólu jęk i zakrywa uszy, żeby nie słyszeć, jak jej synowie się kłócą.

– Z czego zrezygnowałem? – pyta Carrick, jak gdyby Rogan był głupi. – Z rodziców – wrzeszczy tak głośno, że nawet Cordelia przestaje płakać i podnosi wzrok. – Z ludzi, którzy mnie kochają. Miałem pięć lat, byłem samotny i przestraszony. Myślisz, że to dla mnie była zabawa? Czekałem, aż rodzice po mnie przyjadą, ale nigdy się nie pojawili. Codziennie wmawiano mi, że są potworami. Sądzisz, że traktowano mnie jak króla? Nie miałem nikogo. Nikomu nie ufałem. Każdego dnia karmiono mnie tyłoma kłamstwami, że nie wiedziałem, w co wierzyć. Więc wybaczone, jeśli ci nie współczuję. Oddałem swoją wolność, żeby was znaleźć, a kiedy w końcu mi się to udało, okazuje się, że jest kolejny syn. Że przez cały ten czas, kiedy myślałem, że rodzice za mną tęsknią, oni żyli sobie nowym życiem. Oto, co ja poświęciłem. – Odwraca się do ojca. – I z tego powodu spodziewałem się choć odrobiny zaufania, że sprowadzam tu kogoś ważnego. – Żył na szyi Carricka pulsują, pięści są mocno zaciśnięte.

Wszyscy się od niego odsuwają. Jest jak bomba, która za chwilę wybuchnie.

– Rozumiem twoje uczucia względem Celestine. – Adam zwraca się wyłącznie do niego, cicho i cierpliwie, jak gdyby mnie w ogóle w tym pomieszczeniu nie było.

– Moje uczucia są nieważne. Tu nie chodzi o jakieś tam zauroczenie. Nie masz pojęcia, jaką władzę Celestine posiada nad Crevanem, jakie ma znaczenie dla ruchu Naznaczonych.

Kilka osób przewraca oczami na wspomnienie o ruchu.

– No tak, władza. – Bahee się śmieje. – Dużo mówisz o tej władzy, ale jakoś jej nie widzę. Ta dziewczyna nawet nie chce opuścić zakładu. Sama tak powiedziała.

Wszystkie spojrzenia skupiają się na mnie. Nerwowo przestępuję z nogi na nogę.

– Tak było wcześniej.

– Wcześniej, czyli kiedy? – szydzi Bahee. – Zanim Carrick zaczął ci dziś rano szeptać do ucha słodkie słówka? Celestine, nie daj się wypchnąć przed szereg w imię cudzych idei, żeby mogli się ukryć za twoimi plecami.

To on nas podsłuchiwał. Słyszał, jak się przyznaję, że nie chcę stąd

odchodzić; słyszał, jak Carrick próbuje mnie przekonać, żebym do niego dołączyła. Nie wiem, czego bardziej obawia się Bahee – że zostaną czy odejdę.

– To jakiś absurd – prychnął Carrick ze zniecierpliwieniem. – Rozmowa z wami to strata czasu. Musimy się zbierać. Mamy coś do zrobienia, bez względu na to, czy będziecie z nami, czy nie. Czy Celestine ma władzę, czy nie, ludzie ją popierają i jest ich coraz więcej. To nie są tylko Naznaczeni. Ona stała się symbolem dla wszystkich. Współczucie i logika, brzmi nowe hasło wyborcze Partii Niezbędnych. Partia polityczna cytuje Naznaczoną. Kiedy to się w ogóle wydarzyło?

– Daj spokój – odpowiada lekceważąco Bahee. – To ryzyko nie opłaci się Enyi Sleepwell. Oferuje Naznaczonym fałszywe nadzieje. Kiedy ktokolwiek zrobił coś, żeby nam pomóc? Pamiętacie Lizzie? Powiedziała swojemu chłopakowi, że jest Naznaczona, i ją porzucił! Tu, w naszej społeczności. A była taka zakochana. – Śmieje się złośliwie. – Oszukujecie się, jeśli sądzicie, że macie tam jakiegokolwiek wsparcie.

– To nieprawda – znów odzywa się Rogan.

Wszyscy odwracamy się w jego stronę.

– Co chcesz przez to powiedzieć, synu? – pyta Adam.

– To nie jest prawda, że Lizzie wyjechała z powodu Leonarda – ciągnie chłopak drżącym głosem. Nie chce podnieść wzroku, jakby się bał.

– Nie wierzyłbym niczemu, co wychodzi z jego ust – warczy Bahee.

– Zamknij się – odpala mu Carrick, po czym odzywa się do brata łagodniejszym tonem. – Rogan, powiedz nam, co wiesz.

Chłopak przelotnie spogląda na Bahee i znów odwraca wzrok, wlepia oczy w ziemię. Zamyka się w sobie.

Mona podchodzi i schyla się do linii jego wzroku.

– Nam możesz powiedzieć prawdę. Nie przejmuj się Bahee.

– Widziałem, jak z nią rozmawiał.

– Kto? Kogo widziałeś?

– Bahee. – Oczy napełniają mu się łzami. – Kazał Lizzie wsiąść do jeepa. Nie chciała. Płakała. Słyszałem, jak mówi, że nie pozwoli jej zrujnować

naszego życia w tym miejscu. Zamierzała przyznać się Leonardowi, że jest Naznaczona. Właśnie do niego szła. Bahee ją powstrzymał. Wywiózł gdzieś. Widziałem.

Przenosimy spojrzenie na Bahee.

– Zaledwie kilka chwil temu własny brat miał go za zdrajcę, więc nie zwracałbym szczególnej uwagi na słowa chłopaka. Jest młody. Nie wie, co gada. Nie opuściłem terenu zakładu od pięciu lat i wszyscy o tym wiedzą.

Carrick rzuca się na Bahee i wymierza mu cios.

Naukowiec wrzeszczy jak opętany.

– Złamałeś mi szczękę – stęka, wijąc się z bólu.

Nikt nie rusza mu z pomocą.

– Gdzie zabrałeś Lizzie? – Mona podchodzi do niego.

Bahee nadal się skręca, jęczy, że potrzebuje lekarza. Mona to zupełnie nie wzrusza.

– Gdzie Lizzie?

W końcu Bahee spogląda na nią chłodno.

– Niedaleko. W mieście. Kazałem jej wysiadać i znaleźć sobie jakieś inne miejsce do mieszkania. – Wypowiada te słowa zupełnie bez emocji; teraz w niczym nie przypomina mężczyzny, który zwołał spotkanie, aby powitać Lennox w plemienu. Jak gdyby miał dwie osobowości: jedną ciepłą, drugą bezwzględną. Zły i dobry człowiek w jednym, awers i rewers monety. – Ale postąpiłem tak, aby was chronić. Nie macie też żadnego pojęcia, co zrobiłem w przeszłości, aby zapewnić wam bezpieczeństwo. Wszyscy żyliśmy tu szczęśliwie, dopóki nie pojawiła się Celestine. Byliście zadowoleni, że jestem waszym przywódcą, ale jeśli chcecie, aby teraz ona wam przewodziła, to kopiecie sobie własny grób.

Zapada długa cisza.

– Poznałam Celestine dopiero wczoraj – odzywa się Mona. – Jeszcze nie zauważyłam jej przywódczej charyzmy ani tej „władzy”, o jakiej mówi Carrick. Ale czy tylko ja nie znam żadnego innego Naznaczonego, po którego do supertajnego rządowego laboratorium przyjechało dwunastu demaskatorów? Ona ma coś na Trybunał. – Przygląda mi się

z zaciekawieniem. – I cokolwiek to jest, idę w to.

– Ja też w to idę – włącza się Lorcan.

– I ja – dorzuca Fergus.

– Ja poszedłem w to pierwszy – oznajmia Lennox z szerokim uśmiechem.



Nagle drzwi otwierają się z impetem i wchodzi Eddie.

– Dobrze widzieć, że nadal żyjesz, szefie – żartuje Lennox, chce rozluźnić atmosferę.

– Nie jestem już waszym szefem – mówi. Twarz ma czerwoną i sprawia wrażenie, jakby lada moment miał paść na zawał.

– Zwolnili cię? – pyta Bahee, nadal wstrząśnięty.

– Nie – odpowiada ponuro. Wygląda nędznie. – To wy zostajecie zwolnieni. Właściciel firmy pozwolił wam tu pracować, pod warunkiem że utrzymacie to w tajemnicy. Zerwaliście umowę.

– Ale on nie może tego zrobić. – Bahee błędnie jeszcze bardziej. – W przeciwieństwie do pozostałych znam właściciela. Nie zdradziłem jego tożsamości, nie złamałem obietnicy. Zagwarantował mi bezpieczeństwo.

– Jeśli wy nie dotrzymujecie słowa, to on też nie dotrzymuje. Macie się wynieść do południa. Zakład budzi z waszego powodu zbyt wiele podejrzeń. Jak on to wszystko wyjaśni?

– Tylko dokąd my pójdziemy? – Bahee czuje, jak wali się całe jego życie.

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Im mniej wiem, tym lepiej. O dwunastej okaże się, że „uciekliście”. Chcę przez to powiedzieć, że pozwolimy wam stąd zniknąć. – Przy drzwiach rzuca nam ukradkowe spojrzenie. – Życzę wszystkim powodzenia.

Cordelia znów zaczyna zawodzić, a po chwili – jakby wystarczająco się już napłakała – wstaje z wściekłością i krzyczy.

– Wystarczyłoby, żebyś się poddała, Celestine.

Cała sztywnieję.

– Oddaliby nam Evelyn, gdybyś się ujawniła. A jednak tego nie zrobiłaś. Czekalam, aż to zrobisz. Nic z tego. Wiem, że jesteś młoda, ale Evelyn ma dopiero sześć lat. Co za przywódca poświęca innych dla własnej korzyści? Ty i on. – Spogląda ze złością raz na mnie, raz na Bahee. – Jesteście tacy sami.

To obelga, której nie mogę znieść, bo boję się, że Cordelia ma rację. Carrick próbuje mnie objąć, ale ja wybiegam z pokoju i zamykam się w swojej kabinie. Włączam do ładowania komórkę na kartę, którą dał mi dziadek, i wybieram jeden z zapisanych numerów. Nie sądziłam, że kiedykolwiek zadzwonię do tej osoby... trudno, to nagły wypadek.

Godzinę później dwudziestu naznaczonych zbiegów zbiera się przed główną bramą Vigoru. Carrick, Lennox, Fergus, Lorcan i ja stoimy w ukryciu. Nikt nie wie, czego się spodziewać, nawet Carrick, ale mam szansę pokazać, na co mnie stać, każdemu, kto we mnie nie wierzy.

W oddali pojawia się czarny samochód. Eddie patrzy na mnie niepewnie, ale kiwam do niego głową i jeszcze głębiej wycofuję się z Carrickiem w cień.

– Co się dzieje? – pyta Carrick.

Nie odpowiadam na jego pytanie; w milczeniu stoję ze skrzyżowanymi rękoma. Obserwuję, jak brama powoli się otwiera. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie zgodnie z planem. Limuzyna z ciemnymi szybami zatrzymuje się przed bramą, nie wjeżdża do środka. Pozostali nerwowo patrzą w moją stronę. Nie okazuję słabości. Tkwię jak wryta, z uniesioną brodą. Musi się udać. Drzwi się otwierają.

Z auta wysiada Evelyn. Zamyka za sobą drzwi i biegnie do matki, która pada na kolana we łzach. Cordelia woła tak, żebym ją słyszała.

– Odzyskałaś ją – krzyczy, a jednocześnie zanosi się płaczem. – Nie wiem, jak ci dziękować.

Limuzyna zawraca i odjeżdża tą samą drogą. Brama znów się zamyka. Nie

ma żadnego podstęp, wszyscy są bezpieczni.

– Jak to zrobiłaś? – pyta Lennox.

– Właśnie, jak to zrobiłaś? – powtarza Carrick.

Gapią się na mnie oniemiały, niepewni. Z podziwem. Podoba mi się to.



Wchodzę w to! – krzyczy nagle Rogan z dziedzińca.

– My też. – Adam posyła skinienie głowy Carrickowi, jakby na przeprosiny.

– No to w drogę. – Czuję napływ adrenaliny. – Pakujemy się i wynosimy stąd. Już czas.

Gdy w kabinie zbieram swoje rzeczy, trzęsą mi się ręce. Zrzucam plecak na jedno ramię i kładę dłoń na gałce w drzwiach. Zamiast ją przekręcić, zamykam drzwi i siadam w kucki w rogu pokoju. Kładę głowę na kolanach i płaczę, bo dociera do mnie cała groza ostatnich godzin.

Art jest demaskatorem. Mary May go szkoli. Przyjechał tu, żeby mnie pojmać. W głowie huczy mi od natłoku myśli. Nie mogło być większej zdrady. Carrick cały czas wiedział o tym, że Art jest demaskatorem. Dlatego zasugerował, żeby poprzez Arta dostać się do Crevana. Nie chciał mnie wykorzystać, jeśli już, to starał się nie ujawniać przede mną prawdy, żeby mnie nie ranić.

„Jak to zrobiłaś?”, pytał bez przerwy Carrick po uwolnieniu Evelyn. Wszyscy patrzyli na mnie niemal jak na boga. Nie powiedziałam mu, jak tego dokonałam. Przyjdzie odpowiedni moment, kiedy będziemy sami. Myślę, że taka tajemnica działa na razie na moją korzyść, zwłaszcza gdy w środku jestem w totalnej rozsypce.

Nadal dygoczę z nerwów na myśl o telefonie, dzięki któremu wypuszczono

Evelyn.

– Halo? – Chodzę w tę i z powrotem po małej kabinie. – Sędzia Sanchez?

Sanchez to jedna z trzech sędziów, która zasiada obok Crevana w Trybunale. Ona również była odpowiedzialna za skazujący mnie wyrok, mimo to próbowała podkopać autorytet Crevana. Ja znalazłam się między młotem a kowadłem. Sanchez przyłapała mnie podczas ucieczki i usiłowała się ze mną dogadać, żebyśmy razem obaliły Crevana. Nie ufałam jej, ale puściła mnie, żeby mi udowodnić, że mnie nie zdradzi. Powiedziałam o niej dziadkowi, kazał mi postępować ostrożnie. Nie wolno całkiem jej wierzyć, współpraca z nią może na mnie ściągnąć jeszcze więcej kłopotów.

– Sanchez przy telefonie.

– Tu Celestine North.

Chwila milczenia.

– Proszę, proszę. Wypłynęłaś na powierzchnię. Słyszałam, że znowu mu zwiłaś. Muszę przyznać, że mam sporo przyjemności z tej zabawy w kotka i myszkę. Crevan niestety wręcz odwrotnie.

– Dwa tygodnie temu obiecałaś, że mi pomożesz.

– Jak sobie przypominam, w zamian za coś innego.

Sanchez nie domyśla się, co dokładnie mam na Crevana, wie jedynie, że on panikuje z tego powodu i rozsyła demaskatorów, gdzie tylko się da. Doszła do własnych wniosków.

– Będę współpracować. Ale potrzebuję dowodu zaufania.

– Już ci go dałam. Puściłam cię wolno, pamiętasz?

– Sytuacja się zmieniła. Trzymacie w areszcie mojego dziadka. To mnie jakoś nie utwierdza w przekonaniu, że masz dobre zamiary.

– Hm, szybko się uczysz. Jak mogę ci pomóc?

– Niespełna godzinę temu z zakładu CCU zabrano dziewczynkę N.O.U. Trzeba ją tu przywieźć z powrotem.

– To niemożliwe.

– W takim razie... do widzenia.

– Zaczekaj. – Milknie na moment. – Daj mi godzinę.

Teraz, po tej magicznej sztuczce, wszyscy czekają na mój kolejny ruch. Wierzą we mnie, ufają mi. A ja nie mogę powiedzieć, że broń, którą według Carricka posiadam, czyli nagranie z tego, jak Crevan traci nad sobą panowanie i nielegalnie wypala mi szóstą skazę podczas psychotycznego napadu, nie jest w moim posiadaniu. Nikt nie może poznać prawdy. Przekonanie o istnieniu nagrania to jedyna władza, jaką mam. Jedyna rzecz, jaką mają wszyscy Naznaczeni. Bez tego nie mamy nic.

Na razie przy zdrowych zmysłach trzyma mnie tylko to, że ludzie we mnie wierzą. Tyle że ja ich okłamuję, ale czego innego się spodziewać po Naznaczonej.



Następny krok to znaleźć sobie anioła. Jasne.

Raphael Angelo.

Jedyny prawnik, któremu kiedykolwiek udało się wybronić kogoś przed Trybunałem.

Po raz pierwszy usłyszałam to nazwisko, kiedy dziadek wspomniał o nim podczas odwiedzin u mnie w Zamku Highlandzkim. Wtedy nie zwracałam większej uwagi na jego gadaninę, uznawałam wszystko za beznadziejne teorie spiskowe. Sądziłam, że to jedno wielkie nieporozumienie i Crevan wyciągnie mnie z tego bałaganu. Nie przypuszczałam, że teraz moja jedyna nadzieja będzie się opierać na rozmowie, która z tego wynikła.

Wciśnięta w kąt kabiny czuję się tak, jakby świat był dla mnie zbyt wielki, a wszystko zbyt duże, dominujące i przytłaczające. Zbieram myśli, ocieram łzy z oczu i układam plan. Ludzie na mnie czekają.

Raz jeszcze dzwonię do sędzi Sanchez.

– Dziękuję – mówię, kiedy tylko odbiera.

– Coś za coś, Celestine. Teraz musimy się spotkać.

– Jeszcze nie. Musisz mi dać pewien adres.

– Kolejna przysługa?

– Proszę, nie zapominaj, że to ja pomagam tobie. – Staram się opanować drżenie głosu. – Po raz kolejny spotkamy się na sali rozpraw i będziesz

dokładnie wiedzieć, co robić. Zamierzam wnieść apelację. Wszystko cofnąć i wrócić do swojego życia, szkoły, rodziny, żeby było jak kiedyś. – Głos mi się łamie.

– Oj, Celestine – wzdycha. – Spodziewałam się po tobie o wiele więcej. Wiesz, że sytuacja nie układa się na twoją korzyść. Jeszcze nigdy nie unieważniono wyroku w sprawie Naznaczonego.

– To nieprawda. A Jessica Taylor?

Sanchez milknie.

– Skąd o niej wiesz? Tej informacji nie podano do wiadomości publicznej.

– Wiem rzeczy, których byś się nie spodziewała. – Czuję przypływ pewności siebie, graniczącej prawie z bezczelnością – Wiem także rzeczy, o których ty nie wiesz. Jak sądzisz, dlaczego Crevan tak się martwi?

– Kto będzie cię reprezentował w sądzie?

– Na pewno nie pan Berry, biorąc pod uwagę, że zaginął. Podobnie jak pozostali strażnicy obecni w Izbie Naznaczeń i Pia Wang, bo zaczęła zadawać pytania.

Przez chwilę sędzia Sanchez milczy. Już te informacje do niej dotarły.

– To prawda. Co się stało w tej Izbie Naznaczeń, Celestine? Chętnie się dowiem.

– Może pojechali na wycieczkę integracyjną. Przykro ci, że nie zostałam zaproszona?

– Jest tylko jeden powód, dlaczego nie uwzględniono mnie w tej grupie. Crevan nigdy nie może się dowiedzieć, że rozmawiamy. To dla niego wyglądałoby tak, jak byśmy coś zaplanowały. Ja chronię ciebie, ale ty musisz chronić mnie.

– Niczego nie zaplanowałyśmy. Będiesz wiedzieć, kiedy to się wydarzy, i chcę cię mieć po swojej stronie.

– Czyjzego adresu potrzebujesz?

– Raphaela Angelo.

Chichocze.

– Teraz to się dopiero zrobiło ciekawie. Niestety jednak tutaj nic nie poradzę, Celestine. Bo to by było udzielenie pomocy Naznaczonemu, czyn

karygodny, zwłaszcza w przypadku sędziego Trybunału. Następny krok musisz wykonać sama. Zadzwoń, jak będziesz miała coś, co może mi się przydać.

Biorąc pod uwagę, że dopiero co pomogła mi wypuścić dziecko N.O.U., każde jej słowo ocieka hipokryzją.

Mam ochotę znów skulić się w kącie kabiny, za pierwszym razem tak dobrze mi to zrobiło, ale nie robię tego. Klnę, rzucam telefon na łóżko i chodzę w tę i z powrotem. Za drzwiami na mnie czekają, słyszę głosy na balkonie, są gotowi, ale na co?

Myśl, myśl, Celestine. Wykorzystaj to, co masz. Jest problem, więc znajdź rozwiązanie, sięgnij po swoje matematyczne zdolności. Co mam teraz po swojej stronie? Kogo mam po swojej stronie? Tak! Znów łapię za telefon i szukam w internecie strony Zamku Highlandzkiego. Nie muszę szperać zbyt głęboko, już na stronie głównej miga numer infolinii dla osób z informacjami o poszukiwanej uciekinierce Celestine North.

Dzwonię.

– Infolinia Zamku Highlandzkiego – zgłasza się jakaś kobieta.

Przewracam oczami na tę nazwę i zmieniam głos, bo zakładam, że rozmowy są nagrywane.

– Poproszę z demaskatorką Kate. Mam informacje wyłącznie do jej wiadomości.

– Łączę.

To nie może być takie proste.

Mija kilka sygnałów i włącza się demaskatorka – pewnie właśnie gdzieś mnie szuka.

– Mówi Kate.

Zakładam, że komórki demaskatorów też są kontrolowane.

– Tu dziewczyna z drzewa.

Cisza. Słyszę, jak kobieta odchodzi z miejsca, w którym stała. Zmieniają się odgłosy w tle.

– Przepraszam, nie słyszę cię najlepiej. Mam kiepskie połączenie, zadzwonię ze stacjonarnego. Podasz mi namiar do siebie?

Przez chwilę się nie odzywam.

– Nie.

– W porządku. Za dwie minuty zadzwoń pod ten numer.

Przegrzebuję szpargały Mony, szukam długopisu. Nie mogę znaleźć niczego prócz przyborów do makijażu. Czerwoną szminką zapisuję ciąg cyfr na ścianie.

Kate się rozłącza, a ja zaczynam chodzić w tę i we w tę. Dwie minuty.

Jestem zagubiona; nie wiem, dlaczego to robię, ale przykładam czerwoną szminkę do białej ściany i rysuję czerwone V z logo Vigoru, które wygląda jak znak pierwiastka.

Przyglądam mu się przez chwilę i po raz tysięczny zastanawiam się, gdzie je wcześniej widziałam.

Ktoś puka do drzwi.

– Chwileczkę. – Głos nadal mi drży, biorę głęboki wdech.

Drzwi i tak się otwierają. Wszyscy stoją na korytarzu z torbami w dłoniach, gotowi do drogi. Atmosfera jest gęsta i napięta. Nawet Carrick wygląda na zdenerwowanego; to na pewno dla niego niełatwe pozwolić, aby ktoś inny przejął kontrolę, i na kimś takim polegać.

– Druga połowa już poszła, znaleźli dla siebie jakieś miejsce. Musimy ruszać, Celestine – ponagla Mona. – Eddie lada moment nas wykopie. Mamy jedyną szansę, żeby stąd zwać, bo inaczej koniec.

Wszyscy patrzą na mnie wyczekująco, z taką nadzieją, z takim zaufaniem. Nie mogę tak funkcjonować. Nie potrafię dowodzić zespołem, nie wiedząc, jak w ogóle wykonam kolejny krok. Problemy i rozwiązania – powinnam być w tym dobra.

Odchrząkuję i przybieram możliwie najbardziej przywódczy ton.

– Musimy się rozdzielić. Fergus, Lorcan i ja nie możemy jechać razem. Każde z nas jest zbyt mocno rozpoznawalne.

Wszyscy od razu się zgadzają.

– Carrick i ja ruszymy dalej sami, a wy poczekacie w jakimś bezpiecznym miejscu na dalsze instrukcje – dodaję po chwili.

Zerkają na siebie niepewnie.

– Ale gdzie? – pyta Mona.

Powątpiewanie w moje przywódcze zdolności już zaczęło wzbierać. Myśl, myśl, Celestine. Rozwiązywanie problemów – w tym jesteś najlepsza.

– Coś ty, do cholery, zrobiła z moją ścianą? – Mona mruży oczy.

Odwracam się i widzę numer telefonu nabazgrany czerwoną szminką z logo Vigoru, i nagle coś mi świta tak jasno, że serce zaczyna mi łomotać.

Przypominam sobie rozmowę z profesorem Lambertem. Jego żona, moja nauczycielka matematyki, przyprowadziła mnie do ich domu na spotkanie grupy wsparcia, bardziej przypominało ono wiec poparcia ruchu Naznaczonych, który został rozpędzony przez demaskatorów. Ukrywając się, poznałam profesora Lamberta, też Naznaczonego. Był kiedyś ważnym naukowcem, jego zdjęcia z różnymi osobistościami wisiały w złoconych ramach na ścianach pokrytych boazerią. Miał nawet fotografię z Crevanem zrobioną przed laty. Kiedyś się przyjaźnili, aż Crevan kazał go naznaczyć. Wiedziałam, że Lambert jest inteligentny, ale tamtego wieczoru wypił o kilka szklaneczek whisky za dużo, nie myślałam więc zbyt wiele o radzie, której udzielił mi na odchodne.

– Znasz George’a Pólyę?

– Oczywiście – odpowiadam. To matematyk, mama kupiła mi kiedyś jego książkę na urodziny. Dla wielu dzieci to dziwny prezent, ale mnie bardzo się podobał.

– Lubiłem jego teorie. Pólya radzi: „Jeśli nie jesteś w stanie rozwiązać danego problemu, na pewno istnieje łatwiejszy, z którym sobie poradzisz: znajdź go”... Powtarzam, polegaj na tym, w czym jesteś dobra, i słuchaj rad mądrych ludzi. Jestem naukowcem.

Rada profesora Lamberta może mi pomóc na kilka sposobów. Nie przyszło mi do głowy zapytać go, jak sam stosuje tę mądrość, ale teraz znam odpowiedź. Bo logo Vigoru to ten sam znak, który widziałam w ukrytym gabinecie profesora Lamberta w jego domu, przybity na jego pracach, na odwrocie fotografii, na papeterii, plakietkach nagród. To profesor Lambert zarządza tym zakładem.

– Właściciel zakładu nam pomoże. On was przyjmie – oznajmiam triumfalnie; znów czuję napływ adrenaliny, gdy mój plan zaczyna nabierać

kształtów.

Bahee prycha.

– Przecież nawet go nie znasz. Nikt go nie zna z wyjątkiem mnie, a Eddie powiedział, że właściciel już nie jest zainteresowany tym, żeby nam pomagać.

– Znam go osobiście – stwierdzam z pewnością siebie. – To profesor Lambert.

Carrick patrzy na mnie zaskoczony.

– Nie wykluczam, że nie chce, żebyście tu dłużej przebywali, ale nie powiedział, że nie pomoże. On i jego żona Alpha pewnie już czekają w swoim domu na wasz przyjazd. Albo będą za kilka minut. Alpha zaangażuje się w pomoc z radością, zwłaszcza jeśli w grupie będzie dwoje dzieci N.O.U.

– Ale skąd wiesz o profesorze Lambercie? – parska ze złością Bahee. – On jest anonimowy... on... – Patrzy na mnie zaskoczony, zmieszany, zły, ale wyraźnie pod wrażeniem. Wszystkie te emocje przemykają po jego zapuchniętej twarzy, kiedy oniemiały patrzy to na mnie, to na Carricka. – Skąd ona to wie? – zwraca się do niego.

– Mówiłem ci, że dużo może – odpowiada Carrick, zadzierając nosa.

– A teraz wybaczcie na chwilę, mam ważny telefon do wykonania. – Zatrząskuję przed nimi drzwi.

Opieram się plecami o ścianę i robię głęboki wdech, zanim wybiorę numer.

Kate odbiera po pierwszym sygnale.

– To ja.

– Nasze rozmowy przez komórki są podsłuchiwane. Ta linia jest bezpieczna. Jak mogę ci pomóc?

Niemal chce mi się płakać z ulgi.

– Jesteś po mojej stronie?

– Powinnam zgłosić, że cię zobaczyłam. Z jakiego innego powodu zostawiłabym cię w lesie?

– Już sama nie wiem, co myśleć.

– Wymknęłaś się im, prawda? Byłam pewna, że sobie poradzisz. Twarda z ciebie sztuka.

Takie najwyraźniej robię wrażenie na ludziach, choć prawda jest zupełnie inna.

– Dwie rzeczy. Po naszej stronie jest jeszcze jeden demaskator. Marcus. To demaskator profesora Lamberta.

Marcus pomógł mojemu dziadkowi ukryć się w domu profesora Lamberta, dopilnował, żeby nikt nas nie zobaczył.

– Muszę się z nim skontaktować. Są tu ludzie, którzy potrzebują bezpiecznego schronienia.

Kate nie odpowiada.

– Halo?

– To mój mąż – odzywa się cicho.

Uśmiecham się zaskoczona i wznoszę pięść w powietrze, wdzięczna za cudowne zbiegi okoliczności w życiu.

– Czyli będzie mógł ich zabrać w bezpieczne miejsce?

– Tak. Zadzwonię do niego od razu.

– Jeszcze jedno. Szukam adresu pewnej osoby, Raphaela Angelo.

– Kontakt z Raphaelem to twój kolejny ruch?

– Tak.

– Spróbuję, ale Angelo zniknął lata temu. Crevan skutecznie go odstraszył.

– No to już mamy ze sobą coś wspólnego.



Raphael Angelo mieszka w górach, dwie godziny drogi od Vigoru, głęboko w lesie. Powiedzieć, że żyje na uboczu, to za mało – sama nie znalazłabym go za milion lat. Nawet z dokładnymi wskazówkami Kate odnalezienie drogi jest dość trudne.

Pozostali pojechali jeepem należącym do Vigoru, do Alphy i profesora Lamberta, my pożyczyliśmy samochód od Leonarda. Nigdy się mu nie wywdzięczę za to, co dla mnie zrobił, a przecież za pomoc Naznaczonej grozi kara więzienia. Będę spełniać jego każdą prośbę...

Pierwszy raz od poprzedniej nocy Carrick i ja jesteśmy sami. Ledwie miałam czas o tym wszystkim pomyśleć, ale ponieważ jesteśmy teraz z dala od miasta, w górach, niemal całkiem wolni od demaskatorów, oboje możemy się rozluźnić. Carrick opuszcza szyby, cicho włącza muzykę; nie nastawia stacji radiowych, które oznajmiają krajowi, jak raz jeszcze uciekłam demaskatorom.

W stacjach należących do Crevana funkcjonuję jako niebezpieczny zbieg. W innych toczy się dyskusja, dlaczego osiemnastolatka jest intensywnie poszukiwana i czy tak łatwo wymknąć się systemowi. Czy system sam w sobie jest niedoskonały? Czy istnieje jakikolwiek powód, by monitorować Naznaczonych, jeśli żyją spokojnie i nie sprawiają kłopotów? Słuszne pytania.

Jednak każdy element dyskusji zostaje storpedowany poprzez media Crevana, które obarczają mnie winą za wszelkie zamieszki w mieście.

– Nic ci nie jest? – Carrick sięga po moją dłoń, którą trzymam na kolanie.

– Nie.

– Chodziło mi o wczorajszą noc... nic ci nie jest?

To była moja inicjacja i przyznałam się do tego. Był łagodny i wyrozumiały, cały czas upewniał się, czy wszystko jest w porządku. I choć ani słowem nie wspominał o swoich doświadczeniach, wiem, że to nie był jego pierwszy raz. Chłopaki z ośrodków mają pewną reputację, a przynajmniej tak powiedziała mi Mona. I coś mi się wydaje, że sama przynajmniej po części tworzyła tę reputację. Choć nie z Carrickiem, jestem pewna, że między nimi nic się nigdy nie wydarzyło.

– Aaa, o to. Tak, jest okej, dzięki. – Rumienię się, a on się uśmiecha.

Uśmiech odmienia jego twarz. Jestem taka przyzwyczajona do jego napięcia, poważnego oblicza. Dzięki uśmiechowi wygląda młodziej.

– Skąd wiesz, że profesor Lambert jest właścicielem Vigoru? – Przygląda mi się z zaciekawieniem.

Śmieję się.

– Cały czas tłumaczysz ludziom, że mam magiczne moce, a kiedy coś mi wychodzi, to ciebie to zaskakuje?

– Mhm, właśnie.

– Skądś kojarzyłam logo firmy, ale nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie je widziałam. Dopiero potem mi zaświtało. Widziałam je w jego gabinecie. I to by pasowało do poczucia humoru profesora, żeby zainwestować w tego rodzaju firmę. – Śmieję się.

Marszczy czoło.

– To znaczy?

– Węgiel to, powiedzmy... pewne zanieczyszczenie. Więc Vigor znajduje sposób, aby użyć go jako surowca.

– No i? – Wciąż nie łapie.

– To tak jak z Naznaczonymi. Jesteśmy odpadem – chichoczę. – Nikt nas nie chce. Problem staje się rozwiązaniem. To klasyczny profesor Lambert. Udzielił mi kilku rad, których wtedy nie rozumiałam, ale teraz wszystko staje się dla mnie jasne. – Zmieniam ton głosu. – Profesor i Alpha mówili mi, że umieszczono cię u nich, kiedy opuściłeś ośrodek.

– Nazywa się to „domami sąsiedzkimi” – mówi z gniewem. – Dla mnie to bardziej kolejny ośrodek resocjalizacji, gdzie jest monitorowany każdy twój ruch. Z jednego więzienia do drugiego. Mają zadanie wprowadzić cię w społeczeństwo pod swoją opieką. Ale tak naprawdę chodzi o to, żeby nie spuszczać cię z oka, żebyś nadal był pod kontrolą.

– Uważasz, że Alpha i profesor Lambert donosili na ciebie do Trybunału? – pytam zaskoczona.

– Fakty są takie, że byłem pod ich opieką, kiedy szukałem rodziców, i nagle ni stąd, ni zowąd zaciągnięto mnie do Zamku Highlandzkiego. Alpha w zasadzie pracuje dla Trybunału i prowadzi swoją organizację charytatywną, żeby pomóc rodzinom Naznaczonych – tłumaczy ze złością.

– Tak to wygląda z zewnątrz, a w rzeczywistości posługuje się tą organizacją, aby zdobyć poparcie dla sprawy Naznaczonych. Dzięki niej zbiera wszystkich razem. Stara się położyć kres ośrodkom N.O.U. Próbowała przeciągnąć mnie na swoją stronę, a wraz ze mną zwabić do nich ciebie – wyjaśniam.

Carrick próbuje to przyswoić. Widzę, że przechodzi ten sam kryzys zaufania co ja. Dla Naznaczonego nic nie jest proste, stajesz się pionkiem w gierkach wielu osób. Choć bardzo mu współczuję, pociesza mnie to, że nie tylko ja borykam się z takimi problemami.

– Profesor Lambert powiedział mi, że gdybyś został z nimi dłużej, pomogliby ci znaleźć rodziców. Cały czas mieli taki zamiar, ale byłeś u nich mniej niż dwadzieścia cztery godziny. Nigdy nie dałeś im szansy, żeby zdołali cię do siebie przekonać. – Myślę na głos. – Po tym jak zabrano cię do Zamku Highlandzkiego, twoi rodzice znaleźli się w Vigorze. A gdy cię wypuszczono, dostałeś cynk o tym, gdzie mogą być. Jeśli się nad tym zastanowić, to jestem pewna, że właśnie Alpha i profesor doprowadzili do tego, że odnalazłeś rodziców. Bo jak w ogóle się dowiedziałeś o Vigorze?

Nie odpowiada, jest pogrążony we własnych myślach, próbuje jakoś to wszystko sobie uporządkować, poukładać elementy układanki. Carrick uciekł, aby szukać rodziców. Gdyby został u Alphy i profesora, może i tak by ich odnalazł, a Trybunał by go nie naznaczył. Całkiem możliwe, że poświęcił swoją wolność na próżno. Nie ciągnę tej rozmowy dalej, ale jest to temat,

którego nie mogę dłużej unikać.

– Wiedziałaś, że Art szkoli się na demaskatora, prawda?

Niezręcznie wierci się w fotelu kierowcy i cofa dłoń z mojej, koncentruje się na krętej drodze prowadzącej po stromym wzgórzu.

– Myślałem, że wiesz – tłumaczy. – Mówili w wiadomościach.

Dziadek pewnie o tym słyszał, ale zachował to dla siebie.

– Kiedy byliśmy w łóżku i o nim wspomniałem, sądziłem, że o tym wiesz, do chwili aż zaczęłaś go bronić. Wtedy do mnie dotarło.

A ja oskarżyłam Carricka o to, że przespał się ze mną, by dobrać się do Arta. Dlaczego nikt nie może nikomu ufać? Wzdycham.

– Przepraszam, jeśli sądzisz, że powinienem ci wtedy o tym powiedzieć – mówi łagodnym tonem. – Przede wszystkim zacząłem o nim mówić w fatalnym momencie. Nie chciałem jeszcze bardziej wszystkiego psuć.

– Już dobra, nie jestem zła. To znaczy w życiu chyba nie byłam bardziej zła, ale nie jestem zła na ciebie.

Teraz, kiedy w końcu się do tego przyznałam, nagle zaczyna we mnie pulsować gniew. Obraz Arta ubranego w mundur demaskatora sprawia, że robi mi się niedobrze. Art nigdy nie planował takiej przyszłości, chciał studiować nauki ścisłe. Posada w laboratoriach, które niedawno przeczesywał, byłaby dla niego spełnieniem marzeń. Chciał zostać ekscentrycznym naukowcem z rozwichrzoną czupryną, który próbowałby znaleźć lekarstwo na raka, bo ta choroba zabrała mu mamę. Mieliśmy plan. Bardzo konkretny, szeroko omawiany. Uniwersytet Highlandzki, on wydział nauk ścisłych, ja katedra matematyki. Mieliśmy być razem. Ale ja stałam się Naznaczoną, a on został demaskatorem. Zwierzyna i łowca.

Jego decyzja to dla mnie policzek, cios w brzuch, to komunikat, że popiera ojca, że zgadza się z decyzją Trybunału. Jakby mówił: wierzę, że masz skazę, Celestine. Że jesteś skażona do szpiku kości, tak jak twierdzi mój ojciec. Dobrze, że cierpiałaś, zasłużyłaś na wszystko, co ci się przytrafiło. A kiedy cię znajdę... Co wtedy? Co mi wtedy zrobi?

Carrick patrzy na mnie z niepokojem.

Ale choć czuję straszną złość, nie potrafię nagle nienawidzić osoby, na której mi kiedyś bardzo zależało. Nie potrafię tak szybko tego zmienić. Nie

jestem robotem, chcę spróbować zrozumieć to, co się stało. Co myśli Art? Dlaczego to robi? A może jednak próbuje mi pomóc?

– Może on udaje – wypalam. – Może został demaskatorem, żeby mi pomóc?

– Niby jak? – Głos Carrica jest pozbawiony emocji.

– Nie wiem. – Wytężam umysł. – Może chciał mnie w ten sposób odnaleźć? Może jest jak dobrzy demaskatorzy, Marcus i Kate?

Natychmiast zaczynam wierzyć w te słowa. Siadam prosto pełna nadziei. No jasne, to musi być to! Spoglądam na Carricka z radosnym wyczekiwaniem, ale powróciła jego żołnierska mina. Jest zły, zamknął się w sobie.

Juniper i ja dostałyśmy kiedyś od rodziców pierścionki, które zmieniały kolor w zależności od naszego nastroju. Działały pod wpływem temperatury. Jeśli robiło ci się gorąco, stawały się czerwone, jeśli zimno – fioletowe lub niebieskie. Kiedy nocą leżały na naszych szafkach przy łóżku, stawały się czarne. Oczy Carricka przypominają mi te pierścionki. Tak długo nie mogłam ustalić, jaki mają kolor, i teraz wiem dlaczego. Ich kolor najwyraźniej odzwierciedla to, w jakim jest nastroju, co tłumaczy, dlaczego były czarne, kiedy trzymano nas w areszcie w zamku, dlaczego były orzechowe z zielonymi plamkami wczoraj wieczorem w łóżku, a teraz... cóż, teraz nie chce nawet na mnie spojrzeć.

Zjeżdża na pobocze i zatrzymuje się na niebezpiecznym zakręcie, jakby tego nie zauważył albo jakby go to zupełnie nie obchodziło. Jeśli ktoś nadjedzie z naprzeciwka, walnie w nas jak nic. Carrick mnie przeraża. Rzuca mi wściekłe spojrzenie, jego oczy są ciemnobrązowe, bez zieleni, bez światełka.

– Jeśli sądzisz, że on udaje, to oszukujesz samą siebie. Widzieliśmy dziś, jak zabiera Evelyn matce. Twój dziadek nadal siedzi w celi w Zamku Highlandzkim. Nie sądzisz, że Art pewnie zna kogoś, kto mógłby szepnąć słówko komuś innemu? Był częścią ekipy, która z twojego powodu przeszukiwała opłacaną przez państwo fabrykę. Chcesz, żeby cię uratował, Celestine? O to chodzi?

– Nie! – odpowiadam gwałtownie.

– Bo ja jestem tu, przy tobie, i naprawdę narażam życie, żeby ci pomóc.

– Tak samo jak ja! – odkrzykuję.

Przez pozostałe czterdzieści pięć minut nie mówimy do siebie więcej ani

słowa. Aż zaczyna mnie boleć szyja od patrzenia przez okno, byle tylko nie odwracać się do Carricka.

Aż się we mnie gotuje. Mija sporo czasu, zanim gniew powoli przygasa, a wtedy moja wściekłość nie jest już skierowana na niego, tylko na mnie samą. Bo wiem, że on ma rację. Art wcale nie próbuje mi pomóc. Gdyby tak było, to już by coś zrobił.

Czas go sobie odpuścić.





Wejście do domu Raphaela Angelo znajduje się dobre pięć minut jazdy od bramy. Na drewnianej tabliczce przy wjeździe zobaczyłam napis „Cmentarz”, co trochę zgasiło moje nadzieje. Nagle zauważamy dom. To spora willa, a przed nią szklane panele, które odbijają las za nami. Jakby dom lewitował pośród drzew, chciał zakamuflować swoją obecność. Wsiadam z samochodu i rozprostowuję nogi; czuję niepokój. Nie wiem, co powiedzieć, potrzebuję pomocy, ale po kłótni nie mogę o nią prosić.

– To kto będzie mówić? – pytam cicho. – Musimy mieć jakiś plan.

– Trochę na to za późno – burczy, unikając mojego spojrzenia. Idzie prosto do drzwi i naciska dzwonek. Uparty jak nigdy. Próbuję go dogonić. Drzwi otwierają się, zanim do niego dobiegnę.

Mężczyzna, który nam otwiera, ma niewiele więcej niż metr dwadzieścia wzrostu. Zerka to na mnie, to na Carricka.

– Życie właśnie zrobiło się ciekawsze. Wejdźcie do środka.

Otwiera drzwi szerzej i wpuszcza nas za sobą do środka.

Idziemy przez duży korytarz, potem po schodkach na wyższy podest dwupoziomowej podłogi, na którym znajduje się otwarta kuchnia z oknami od góry do dołu, za którymi znajduje się bujny ogród i ciemny las. Całe wnętrze – podłogi i ściany – jest w drewnie różnego rodzaju, koloru i wykończenia. Dom jasny i przejrzysty, nowoczesny i z klasą. I trochę jak dom wariatów. Gdziekolwiek spojrzę, widzę dzieci. Od nastolatków po niemowlaki

w krzeselkach do karmienia, niektóre z karłowatością, inne normalnego wzrostu. Rozbiegają się, kiedy wchodzimy, i zbierają przy długim drewnianym stole. Są całe w farbie.

– Ash, mówiłem ci, że farb się nie je – mówi Raphael. – Aspen, pożycz pędzel Elmowi. Hazel, woda po pędzlach nie nadaje się do picia. Mała Myrtle pracuje nad dziełem sztuki. Dla niej wszystko jest brązowe – zwraca się do nas. – Moim zdaniem to fajne.

Spoglądam na ścianę, na którą pokazuje, podzieloną na malunki dzieci. Ash, Aspen, Elm, Hazel, Holly, Cedar, Myrtle i Ash[1]. Część Myrtle jest całkowicie brązowa.

– Wszystkie mają imiona od nazw drzew – zauważam.

– Bingo! – odpowiada Raphael.

Przechodzi koło nas roześmiana kobieta i sprząta na stole.

– To moja żona Susan, prawdziwy anioł – przedstawia gospodarz, a ona nachyla się po drodze i daje mu przeciągniętego całusa. – Geniuszka i powód mojego sukcesu. Susan, dzieci, to Celestine i Carrick. Przywitajcie się.

– Dzień... do... bry – skandują wszyscy chórem.

Zerkamy na siebie z Carrickiem – Raphael zna nasze imiona.

Susan uśmiecha się szeroko i macha na nas ręką, żebyśmy już sobie poszli.

Idziemy za Raphaelem. Oczy Carricka są teraz bardziej niebieskie niż brązowe, widać w nich jego niewinność, gdy z ciekawością rozgląda się wokół. Wchodzimy do pokoju, w którym stoi biurko, i oboje podziwiamy wnętrze. To nie jest zwykłe domowe biuro. Wszystko zostało dopasowane do wzrostu gospodarza, z wyjątkiem kanapy. Raphael siada na swoim krześle, my na kanapie naprzeciwko niego.

Na podłodze leży dywan zrobiony z pozszywanego razem stroju kowboja, spłaszczonej gumowej twarzy i kowbojskiego kapelusza. Przeszuję nad butami, próbując nie potknąć się o ostrogi. Nad kominkiem wisi ludzka głowa, mam nadzieję sztuczna, z przyprawionymi rogami. To siwowłosy facet, który szczerzy się w uśmiechu, odsłaniając złoty ząb. Nasza kanapa wygląda jak zrobiona z białej, piegowatej skóry.

– W tym domu nie ma ani jednego odzwierzęcego produktu – informuje, obserwując naszą reakcję. – Taka ironia. Śmiało, możecie się przyglądać.

Jestem weganinem. Nie popieram zabijania zwierząt na jedzenie, dla mody czy wystroju wnętrz. Wszystko tutaj jest sztuczne, włączając w to skórzane ochroniacze na dywanie, który ma na imię Wayne.

Tak, karzełek weganin. Tak, niełatwo mi jeść na mieście, ale moja siostra ma gorzej. Choruje na celiakię. To żart – mówi, ale się nie uśmiecha. – Nie mam siostry. – Wstaje, podchodzi do szafki i nalewa sobie whisky. –

Poczęstowałam was, ale jesteście Naznaczeni, więc zgodnie z przepisami nie wolno wam pić alkoholu. Proszę. – Rzuca nam po plastikowej butelce z lodówki.

Carrick podejrzliwie przygląda się wodzie.

– Nie martwcie się, to nie podstęp. Żadne zwierzę nie ucierpiało podczas pakowania tej wody. A teraz posłuchajcie. Uwielbiam filmy. – Otwiera szufladę pełną DVD. – Oglądam mniej więcej trzy filmy dziennie i wiem, jak to zwykle bywa. Główny bohater w średnim wieku ma iść na emeryturę, ale zostaje postrzelony, kiedy rozwiązuje ostatnią sprawę. Podstarzały złodziej wykonuje ostatni napad przed emeryturą. Popełnia błąd i zostaje przyłapany. To nieuniknione. Przyciągasz swoje obawy, sztuka naśladuje rzeczywistość, rzeczywistość naśladuje sztukę i tak dalej, i chociaż to będzie w ogromnej mierze dotyczyć mojej żony Susan...

– Jeśli to zrobisz, to cię zostawię – krzyczy kobieta z pokoju za ścianą.

– ...w ogromnej mierze dotyczyć mojej kochającej żony Susan, rozważę waszą prośbę. W moim przypadku nie zostanę postrzelony ani schwytany. Nigdy nie przegrałem sprawy, więc tutaj scenariusz filmu jest taki, że wracam z emerytury i przegrywam.

W końcu spoglądam na Carricka.

– Ale to najgorszy scenariusz. Nigdy nie przegrywam i nie zamierzam przegrać teraz. Zakładam, że nie macie pieniędzy, jesteście uciekinierami, przez co trudno wam utrzymać stałą pracę i mi zapłacić. To także stawia mnie w niekomfortowej sytuacji, a okoliczności stają się trudniejsze, niż gdybyście nie byli zbiegami, ale trudno. Przywykłem już do komplikacji. Proponuję, że będę was oboje reprezentował oddzielnie, bez urazy, Carrick. Hm, dziwisz się, że znam twoje imię, ale oglądam wiadomości, śledzę rozprawy sądowe i choć nie jesteś nawet w połowie tak dobrze znany jak twoja koleżanka, udało mi się przeczytać to i owo o twojej małej porażce. Szlachetnej, choć głupiej.

To Celestine jest tutaj gwiazdą. W każdej parze jest ktoś, komu powodzi się mniej, to zawsze powoduje problemy, ale pogódź się z tym, ludzie sobie z tym radzą. Przesadnie okazują sobie uczucia, wdają się w dzikie romanse, jedno dusi drugie, drugie przygląda się wszystkiemu z ukrycia. Oboje jesteście młodzi, oszczędzę wam pełniejszych szczegółów tego, co potrafią robić sobie ludzie, którzy się kochają.

Przypuszczam, że przyjechaliście tutaj, bo jestem jedynym prawnikiem w historii, któremu udało się wygrać sprawę przed Trybunałem. Nie wiem, jak się o tym dowiedzieliście, bo to ściśle tajne i nie ma po tym śladu w dokumentach, ale opowiecie mi o tym później. Cóż, ten wynik nie przysparzał chwały waszemu dobremu przyjacielowi, panu Crevanowi. Jak to zrobiłem?

Miałem rację. A jak ktoś ma rację, zawsze zwycięża. W połączeniu z ciężką pracą, wytrwałością, nedorzecznymi sumami pieniędzy, groźbami, podstępami i kimś, kto to wszystko prowadzi, kto ma czas przejąć się sprawą. A jak ja się przejmuję, to przejmuję się porządnie.

Co tydzień otrzymuję wiele próśb od Naznaczonych, żebym podjął się ich spraw, ale tego nie robię. Jestem ich fantazją, wymarzonym prawnikiem nie dlatego, że doprowadziłem do anulowania werdyktu, ale z powodu mojej reputacji na sali sądowej. W odniesieniu do procesów Naznaczonych jestem gigantem. Ironia, prawda?

Dlatego tu jestem: na emeryturze, choć wciąż młody, z dala od tego wszystkiego, bezpieczny. Nie wyobrażam sobie, jak mnie znaleźliście, ale... moje uznanie. I widzę po twojej twarzy, Celestine, że nie wierzysz, że tutaj jestem bezpieczny. Zmarszczyłaś czoło, jak to powiedziałem. Cóż, masz rację, chodzi o twojego przyjaciela Crevana. Postanowiłem, że najlepiej trzymać się na dystans. Delikatnie mówiąc: on nie umie przegrywać. Ale wie, gdzie jestem, gdyby mnie potrzebował. Upewnia się regularnie, żebym nie zapomniał. – Nachyla się i patrzy prosto na mnie po raz pierwszy od chwili, kiedy tu przyjechałam. – Tobie na razie udaje się wymykać Crevanowi. Co jest ciekawe z dwóch powodów: jak ci się to udaje i dlaczego cię szuka. Oczywiście chcę wiedzieć dlaczego, ale nie mogę pozwolić, żeby to był decydujący czynnik w tym, czy podejmę się sprawy, czy nie. Umieć sobie poradzić z niewiedzą. – Rozsiada się na krześle i klepie palcem po brodzie w zamyśleniu.

Wyczuwam, że Carrick zbiera się, żeby coś powiedzieć, więc go uprzedzam.

– Dowiesz się wszystkiego. O ile zgodzisz się mnie reprezentować. Na piśmie – dodaję.

Uśmiecha się.

– Problem polega na tym, że bez względu na to, co się dzieje między tobą a sędzią Crevanem, nie mam pewności, czy zdołam wygrać twoją sprawę. To od samego początku dość nietypowy przypadek. Zostałaś naznaczona nie za pomoc Naznaczonemu, co powinno skutkować jedynie karą więzienia, a za kłamstwo na ten temat. Sama przyznałaś to w sądzie. Cóż, kłamstwo kładzie się cieniem na twoim charakterze. Ale naprawdę chcę wiedzieć tylko, o co Crevan tak się martwi. I zastanawiam się, czy warto z tego powodu przegrać. –

Patrzy na mnie i myśli. – Obecnie skłaniam się w stronę „tak”. – Wstaje i zaczyna chodzić w tę i z powrotem po kowboju Wayne służącym za dywan. –

No jasne. – Przystaje i uśmiecha się, jak gdyby słuchał moich niemych kontrargumentów. – Teraz rozumiem. Chcesz, abym reprezentował całą sprawę Naznaczonych, bo to kwestia praw człowieka. W zwykłym przypadku zająłby się tym sąd najwyższy, co pogrzebałoby twoją sprawę, bo żaden prawnik bez względu na zdolności nie reprezentowałby Naznaczonego. Bałby się, że zostanie oskarżony o pomoc Naznaczonemu, nawet jeśli ta osoba regulowałaby rachunki. A wy nawet nie będziecie płacić, bo nie macie pieniędzy. Nie, w swoim narożniku potrzebujecie kogoś takiego jak Enya Sleepwell z Partii Niezbędnych. Ale twój chłopak pewnie wszystko o niej wie, skoro jest taki zaangażowany w jej kampanię.

Na początku wydaje mi się, że mówi o Arcie, ale zauważam, że patrzy na Carricka. Nie do końca rozumiem.

– Och, nie, to nie tak. Carrick nie ma nic wspólnego z Enyą Sleepwell – tłumaczę.

– O, naprawdę? Niesamowite. Ona nie wie o Enyi Sleepwell, co Carrick? Carrick przełyka ślinę.



Czego nie wiem? – Spoglądam to na Raphaela, to na Carricka.

– Twój chłopak miał misję: znaleźć cię i wykonać swój plan, aby Enya Sleepwell mogła cię wykorzystać w swojej kampanii. Celuje w głosy Naznaczonych, a żaden polityk jeszcze nigdy nie próbował ich zdobyć. Jak być może wiesz, Naznaczeni zwykle nie biorą udziału w wyborach, mimo że to jedno z nielicznych praw, jakie jeszcze im zostało. Bo po co Naznaczony ma głosować na polityka kontrolującego społeczeństwo, którego nie jest częścią, przynajmniej praktycznie?

Próba pozyskania głosów Naznaczonych to sprytny, ale ryzykowny ruch. Enya potrzebuje po swojej stronie kogoś więcej, nie tylko Naznaczonych. I musi sprawić, żeby ludzie w nich uwierzyli. A jak to zrobić? Dzięki bohaterskiej Celestine. To błędne koło. Jaki ciężar jej kampanii spoczywa wyłącznie na twoich barkach, dziewczyno? – Patrzy na Carricka. – Myślę, że spory.

– Skąd wiesz... To nie do końca tak... – mamrocze niewyraźnie Carrick.

– Hm. – Raphael znów na mnie spogląda. – Sama się zastanów, Celestine.

Jestem zaszokowana tym, co usłyszałam. Nie mogę przestać się gapić na Carricka. Nie chce spojrzeć mi w oczy, skrępowany patrzy w podłogę i bawi się poszarpanymi na kolanach džinsami, żeby zająć czymś ręce.

– Targanie za włosy, wyzwiska i wydrapywanie oczu zostawcie sobie na później. Teraz patrzcie na mnie, patrzcie na mnie. – Wraca do biurka, odsuwa

szufladę i wyciąga kartkę. Podpisuje ją i podaje mi. – To standardowe pełnomocnictwo, które łączy nas jako adwokata i klienta, ale na razie wystarczy.

Poświęcam chwilę, żeby je przeczytać. Tekst jest krótki i prosty: Raphael Angelo reprezentuje Celestine North. Żadnych widocznych podstępów.

– No, to powiedz. – Siada na podnóżku i nachyla się do mnie. – Co takiego wiesz, że przebiegły Crevan tak bardzo chce schwytać małą, biedną Celestine.

– Nie mów mu – odzywa się Carrick. – Nie wiemy, czy można mu ufać.

– Ufać? – cedzę przez zęby ze złością. – A co ty wiesz o zaufaniu?

– No i zaczęło się. – Raphael z westchnieniem krzyżuje ramiona na piersi.

Odwracam się plecami do Raphaela, podnoszę koszulkę i obniżam talię spodni.

Cisza.

Po chwili Raphael robi głośny wdech przez nos.

– Szósta skaza. Na kręgosłupie. – Podchodzi bliżej i przygląda się. – Nie ma jej w dokumentach Trybunału. Słyna ze skrupulatnej dokumentacji. Twoje słowo przeciwko ich słowu.

– Istnieje nagranie z tego, jak Crevan nakazuje wypalić mi dodatkowe znamię – wyjaśniam. – Tego właśnie szuka.

– Nagranie? To wiele zmienia.

– Strażnik nie chciał wypalić blizny – ciągnę. – Nie podano mi znieczulenia, to wbrew przepisom Trybunału, więc Crevan zrobił skazę sam.

Raphael wytrzeszcza oczy niemal do granic wytrzymałości. Wstaje i zaczyna chodzić po gabinecie. Widzę jego podekscytowanie, choć próbuje je ukryć. To tylko potwierdza, że mam jakąś szansę. Naprawdę mam szansę przeciwko Crevanowi.

Przestaje chodzić. Spogląda na mnie ze współczuciem, nagle bardzo zasmucony. Szczerze.

– Muszę cię przeprosić, Celestine. Obawiam się, że cię zawiodłem. Dałem się nabrać na najstarszą filmową sztuczkę. Zadziałąłem pochopnie, założyłem,

że słyszałem i widziałem w swoim życiu już wszystko. Nie przyszło mi na myśl, że może nastąpić nagła zmiana akcji. Niestety chyba jestem człowiekiem, który lubi podział na czarne i białe, na to co słuszne i niesłuszne. Tak jak nie podałem Naznaczonym alkoholu, nie pomógłbym w swoim domu Naznaczonej, która ucieka przed prawem. Mam sześcioro dzieci i zbyt dużo do stracenia.

Carrick obok mnie cały się napina.

– Wokół domu są doskonałe kamery. Crevan dał nam mnóstwo powodów, aby je zamontować. Widziałem, że tu jedziecie już jakiś czas temu. Kazałem swojej drogiej żonie zawiadomić demaskatorów.

Carrick klnie z wściekłością i zrywa się na nogi, zaciskając dłonie w pięści. Staje nad Raphaelem.

– Ale... – Raphael podnosi palec w stronę Carricka. – Mieszkamy tu nie bez powodu. Najbliższy demaskator jest przynajmniej godzinę drogi stąd, co daje nam godzinę, aby opracować plan. – Raphael zerka na Carricka z ciekawością i lekkim rozbawieniem. – To bierzmy się do roboty.



Chodź, Celestine, wynosimy się stąd – rzuca gniewnie Carrick; rezygnuje ze swojej bardzo rozumiałej chęci, żeby stłuc Raphaela na miazgę.

– Prawdziwy macho – prycha karzeł z rozbawieniem.

– Przestańcie, obaj – podnoszę głos. – Potrzebujemy jego pomocy, Carrick.

– Jego pomocy? – powtarza oburzony. – Ledwie przed chwilą wezwał demaskatorów, żeby nas zgarnęli.

– Tylko Celestine. Nie sądziłem, że to coś pomoże, jeśli wspomnę też o tobie.

Spoglądam to na Carricka, to na Raphaela; czuję się totalnie rozdarta. Przejechaliśmy taką długą drogę. To jedyny plan, jaki mam. A Raphael Angelo to jedyny prawnik, który kiedykolwiek wybronił Naznaczonego. Potrzebuję go.

– Dobra. Rób, jak uważasz – parska Carrick. – Ja stąd zwiewam. Nie ufam temu facetowi, a jeśli zostaniemy tu choć chwilę dłużej, znów wylądujemy w Zamku Highlandzkim.

– Carrick, zaczekaj. Możesz na chwilę wyjść? – pytam prawnika.

– Jasne. Tik tak, tik tak. – Raphael zerka na zegar nad kominkiem; dopiero teraz zauważam, że wskazówki są w kształcie dłoni w żółtych rękawicach.

Raphael wychodzi z pokoju.

Carrick staje ze mną twarzą w twarz, mocno zaciska zęby. Oczy ma czarne.

– Nie możemy mu ufać.

– Zaufanie... – Aż cała się trzęsę. – To o co chodziło z Enyą Sleepwell?

I mimo że stara się nie dać po sobie niczego poznać, język jego ciała się zmienia.

– Posłuchaj, Celestine. – Delikatnie bierze mnie za rękę. – To nie jest dobra pora, żeby o tym rozmawiać.

– To doskonała pora. Muszę znać prawdę.

Wzdycha poirytowany, że marnuję czas.

– Enya Sleepwell podeszła do mnie podczas twojego procesu, chciała się z tobą skontaktować. Chciała ci pomóc. Prowadzi kampanię, która opiera się na twoich wartościach. „Współczucie i logika” to twoje słowa, widziałas je na każdym plakacie w mieście. Obiecałem jej, że pomogę ci znaleźć. Twoją sprawą zajmowała się Pia Wang.

– Przyszedłeś mnie odnaleźć, bo poprosiła cię o to Enya Sleepwell? – Czuję drżenie w swoim głosie. Słyszę, jak wypowiada do mnie te słowa, kiedy szłam korytarzem do Izby Naznaczeń: „Znajdę cię”. Czekałam na niego całymi tygodniami, myśląc, że powód jest zupełnie inny, że to przez więź, jaka między nami powstała, ale nie. To była przysługa albo obowiązek wobec polityczki.

– Zaczekaj, Celestine – mówi ze zniecierpliwieniem. – To Enya była ze mną w zamku, kiedy mój proces dobiegł końca i mnie wypuszczono.

– Pomogła ci zbiec przed twoim demaskatorem?

Rozgląda się i ścisza głos.

– Nie mogę tego powiedzieć. Pokierowała mną. Dała mi kilka wskazówek. Komu ufać, a komu nie. Dostała cynk, że moi rodzice są w Vigorze. To była informacja od Alphy i profesora. Nie wiedziałem wtedy o tym, ale on pewnie finansuje jej kampanię. Ma dużo funduszy. To poprzez Enyę poznałem Fergusa, Lorcana i Lennox.

– Rekrutuje Naznaczonych do swojej małej armii – stwierdzam z goryczą. – Mamy za nią odwalać brudną robotę.

– Ona ma plany dla Naznaczonych, pomaga ludziom o podobnych poglądach zorganizować się w grupę. W liczbie siła. Jej kampania cię

potrzebuje. Jesteś kluczem do zwycięstwa. Enya chce się z tobą spotkać, ale nie może, biorąc pod uwagę, że jesteś poszukiwana. Celestine, ona próbuje nam pomóc.

– Wie o moim szóstym znamieniu?

– Nie – odpowiada stanowczo i w tym momencie mu wierzę.

– Była podczas zamieszek w supermarkecie. Pamiętam, że ją widziałam. Carrick zamiera.

– Lorcan i Fergus też tam byli. Ty tam byłeś. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam, ale dlaczego wszyscy się tam znaleźliście?

Nic nie odpowiada.

– Carrick. Mów.

– Powiedziano nam, że będziesz w domu Alphy.

Alpha zaprosiła mnie na to zebranie i mam wrażenie, że mnie zdradziła. Zostałam wywołana na scenę przed setki ludzi, postawiona przed mikrofonem, żebym coś opowiedziała. Jakaś porywającą historię. Inspirującą. Nie mogłam wydusić z siebie słowa. Zatkąło mnie. Nie miałam nic do powiedzenia ludziom, którzy tyle ode mnie oczekiwali. Jak na ironię, przybycie demaskatorów mnie wybawiło.

– Pojechaliśmy tam po ciebie – tłumaczy Carrick. – To miała być moja szansa, żeby się do ciebie dostać. Oczywiście, kiedy wpadli demaskatorzy, nie zdołaliśmy wejść do środka. Potem pojechaliśmy za tobą i twoim dziadkiem. Widzieliśmy, jak idziesz do supermarketu.

– Wrobiliście mnie – wypalam nagle i po jego minie poznaję, że właśnie tak było.

Duka i jąka się, próbując przedstawić swoją wersję zdarzeń, ale to bez znaczenia, jak bardzo próbuje nagiąć fakty.

– Wrobiliście mnie – powtarzam głośniej.

– Musiałem z tobą pogadać, Celestine.

– Mogłeś mnie postukać w ramię i powiedzieć „Cześć, Celestine, to ja, Carrick, pamiętasz mnie?” – szydzę rozedrganym głosem. – Nie trzeba było do tego zamieszek.

– Chciałem, żeby Enya i wszyscy pozostali zobaczyli, jaka jesteś dobra

i jaka odważna. W odpowiedniej sytuacji zmieniasz się w superbohatera, Celestine.

– Nie jestem superbohaterem! Jestem zwyczajną dziewczyną, która postąpiła jak trzeba! Nie ma nic heroicznego w tym, co zrobiłam!

– Tak bardzo pochłonał nas strach przed popełnieniem błędu, że nikt nie polega już na swoim instynkcie. Jesteś wyjątkowa. Celestine, uwierz mi, potrzebujemy Enyi, a ona potrzebuje ciebie. Musiała zobaczyć, że warto cię poprzeć, że ludzie mogą w ciebie wierzyć. Fergus i Lorcan uwierzyli w ciebie od razu po zdarzeniach w supermarkecie, od tamtej pory stoją za tobą murem. Zależało mi, żeby ludzie zobaczyli twoją siłę. To nie zmienia tego, co do ciebie czuję.

W głowie kłębią mi się różne myśli.

– Wrobiłeś mnie – ryczę, na co on milknie ze strachu. – Przez ciebie, przez to, co stało się w supermarkecie, opuściłam swoją rodzinę. – Głos mi się łamie. – Uciekłam od ludzi, których kocham. To ty mnie w to wpakowałeś.

– Nie, Celestine, nie. – Wyciąga do mnie ręce, jakby próbował poskromić dzikiego konia.

– Nie jesteś lepszy od Arta – syczę, w żyłach krążą mi złość i poczucie zdrady. Tyle przeszłam od tamtej chwili i to wszystko z powodu Carricka. Przestrzegałam reguł, ale Lorcan i Fergus stanęli obok mnie w kolejce. A razem nie może przebywać więcej niż dwóch naznaczonych. I znów moje życie zmieniło się na zawsze. – Skoro więc Enya Sleepwell mi pomoże, to czemu nie poczekamy, aż wybory dobiegną końca? Jak dojdzie do władzy, sama położy kres Trybunałowi, uwolni Naznaczonych czy co tam sobie zamierza.

– Jak wyjaśnił Raphael, ona potrzebuje ciebie, aby przekonać ludzi, że warto pozbawić Trybunał władzy. Jesteś jedyną Naznaczoną, której kiedykolwiek kibicowała opinia publiczna. Dzięki tobie dostrzegli w nas ludzi, słyszą nasze historie, a tylko poprzez dzielenie się tymi historiami możemy dokonać zmian. Im bardziej zawzięcie ściga cię Crevan, tym bardziej ludzie kwestionują jego motywę. Ale najważniejsze, że masz narzędzie, żeby go pokonać. Masz nagranie. Wszyscy powinni je zobaczyć.

Tylko że wcale go nie mam. Tajemnica, której mu nie wyjawiałam. Krew napływa mi do twarzy. Nazywam go kłamcą, choć jestem taka sama. Ale czy

jego kłamstwo nie jest gorsze?

– Enya Sleepwell to kolejna osoba, która potrzebuje mnie dla swoich celów. Nie mogę jej ufać. Próbuje pozyskać głosy Naznaczonych, aby mogła się wspierać po własny sukces. Jeśli zostanie wybrana na premiera, kto wie, co wtedy zrobi, może wykona zwrot o sto osiemdziesiąt stopni w kwestii każdej obietnicy, jaką kiedykolwiek złożyła? I co się wtedy ze mną stanie? Masz rację, Carrick. Muszę sobie radzić sama. Wszyscy mają w tym jakieś swoje cele, więc czas pomyśleć o sobie. Nikogo nie potrzebuję. Nawet ciebie.

Mruga zaskoczony i wyraźnie zraniony. Jego oczy robią się z czarnych brązowe, z brązowych piwne i wyłaniają się w nich zielone plamki.

I zanim zmienię zdanie, dorzucam:

– Proszę, idź. Dam sobie radę sama.

Wychodzę z pokoju, żeby znaleźć Raphaela, który bez wątpienia słucha całej mojej dyskusji z Carrickiem. Jest w kuchni i karmi najmłodsze dziecko bananową papką.

– Czterdzieści pięć minut do przyjazdu demaskatorów – oznajmia. – Czas leci. Zostajesz tu?

Kiwam głową.

– Sama?

Słyszemy trzask drzwi i ryk silnika. Teraz naprawdę jestem sama.



No to mamy odpowiedź – jowialnie oznajmia Raphael. Oddaje dziecku łyżkę, żeby samo skończyło jeść, ale chłopczyk zaczyna strzelać jedzeniem jak z katapulty, trafia tatę w twarz, potem papka ląduje na stole i ścianach. – Dobra robota, moje małe bonzai. – Raphael gratuluje synkowi manier. – Nie martw się, Celestine, nie utknęłaś tu na dobre. Mam samochód, który możesz wziąć. Ten, który ukradłaś po tym, jak zagroziłaś życiu mojego dziecka i zmusiłaś mnie, żebym oddał ci kluczyki. – Odwraca się do swoich pociech. – Prawda, Holly?

Dziewczynka kiwa głową, jej wielkie niebieskie oczy są poważne.

– Ona była taka straszna, tatusiu, bałam się, że umrę – mówi z dramatyзмом, niepokojąco wiarygodnie, a reszta zaczyna się śmiać.

– Całkiem nieźle – chwali Raphael. – A teraz do pracy.

Siadamy w ogrodzie na tyłach przy stole z drewnianymi ławkami. Towarzyszą nam tylko drzewa.

– Kto widział, jak sędzia wypala ci szóstą bliznę? – pyta karzeł.

– Strażnicy...

– Poproszę imiona. Wszystkich.

– Tina, June, Funar, Bark, Tony, Crevan. Jest jeszcze pan Berry. – Milknę. – I Carrick.

Patrzy na mnie, żeby się upewnić, czy mówię poważnie.

– Ech, gdybyś wcześniej mi powiedziała...

– O czym?

– Chodzi o to, że... wykorzystalibyśmy chłopaka. Jest ważny. Jest świadkiem, Celestine. Nigdy bym go nie puścił, gdybym o tym wiedział.

Zamykam oczy, wydaję z siebie jęk i kładę czoło na stole.

– Pan Berry wszystko nagrał – kontynuuje Raphael.

– Tak – mamroczę w stronę blatu. – Z galerii. – Znów siadam prosto. – A teraz przepadł jak kamień w wodę. Podobnie jak reszta strażników.

Raphael podnosi znad notatnika zaskoczony wzrok.

– Pia Wang wie o szóstym znamieniu, zaczęła zadawać pytania i też zaginęła.

Raphael ściąga okulary.

– Zaufałaś Pii Wang? – pyta tak, jakbym oszalała.

– Ona pisze pod pseudonimem Lisa Life.

Rozdziawia szeroko usta.

– Szukała strażników, aby ich przesłuchać. Zbierała materiały do artykułu przeciwko Crevanowi. Nie odezwała się od dwóch tygodni. Jeszcze rodzicom mówiłam o szóstym znamieniu, ale nie byli przy tym, jak Crevan mi je wypalał. Nie powiedziałam im. Nie jestem pewna, czy moja siostra wie. Nigdy o tym nie rozmawiałyśmy. Trybunał dał spokój mojej rodzinie. Tak jakby. Dwa dni temu zabrali na przesłuchanie mojego dziadka. On zna całą historię ze znamieniem. – W duchu dziwię się, że minęły dopiero dwa dni. –

Próbują mu zarzucić pomoc Naznaczonemu. Niektórzy uczniowie z mojej szkoły też wiedzą. Porwali mnie i zamknęli w szopie, rozebrali i zrobili mi zdjęcia. – Mówię to bez emocji; prawnik patrzy na mnie z zaszokowaną miną. – To Logan Trilby, Natasha Benson, Gavin Lee i Colleen Tinder.

Raphael odkłada okulary na stół i patrzy na mnie w osłupieniu.

– Wejdźmy do środka.

Idę za nim do kuchni, gdzie włącza Telewizję Sądu Naznaczonych – dzieci wydają z siebie zbiorowy jęk. Relację zdaje zastępczyni Pii. Piękna blondynka o lodowatoróżowych ustach i policzkach jak Dobra Czarownica z Krainy Oz, która uśmiecha się, wypowiadając każde wypełnione nienawiścią słowo.

Pojawiają się zdjęcia Logana, Colleen, Natashy i Gavina. Fotka Natashy to selfie po tym, jak powiększyła sobie usta. Wygląda jak ryba. Nie rozumiem, dlaczego oglądam ich zdjęcia, te ich głupawe, uśmiechnięte twarze. Niewiniątka. I wtedy do mnie dociera. Pod zdjęciami pojawia się jedno słowo.

Zaginęli.



Poszukiwano ich od dwóch dni. Religijni rodzice Logana wskazują na mnie palcem, obwiniając za zniknięcie syna. Udzielili Telewizji Sądu Naznaczonych ekskluzywnego wywiadu.

Raphael wyłącza telewizor.

– Wszystko świadczy na twoją niekorzyść. Jak właściwie mam, twoim zdaniem, postępować naprzód, skoro większość świadków zaginęła, a z jednym poróżniła cię sprzeczka kochanków? – Spogląda na swoje dzieci i po raz pierwszy widzę, że jest zdenerwowany.

Susan wyprowadza nas z powrotem na zewnątrz, mamrocząc:

– Nie chcę nic wiedzieć. Nie chcę nic wiedzieć.

Muszę go jakoś przekonać. Muszę dać mu coś więcej.

– Sędzia Sanchez jest po mojej stronie. Nie pytaj dlaczego, po prostu jest. Miałam plan, żeby znaleźć ciebie i na nowo otworzyć sprawę. W obliczu nagrania Crevan musiałby przyznać, że niesłusznie mi wypalił szóste znamię, a jeśli popełnił jeden błąd, na pewno popełnił ich więcej. To jego samego uczyniłoby Naznaczonym. Będzie musiał przeprosić, a cały system naznaceń zostanie podany w wątpliwość. Crevan będzie upokorzony, więc ustąpi ze stanowiska, czego chce Sanchez.

Raphael uśmiecha się i patrzy na mnie z miną, którą poczytuję za wyraz uznania.

– Chcesz oskarżyć Crevana o to, że ma skazę?

Nerwowo przygryzam wargę.

– Wiem, że to nie jest konwencjonalny...

– Nie jestem konwencjonalnym człowiekiem. Ale najpierw muszę zobaczyć nagranie.

No tak.

– Jest pewien problem. – Przełykam ślinę. – Pewien wielki problem. Nie mam nagrania.

Cisza.

– Mąż pana Berry’ego twierdzi, że je mam. Powiedział mi to przez telefon, a Crevan pewnie podsłuchiwał tę rozmowę. Nasze telefony raczej na pewno są na podsłuchu. Tyle że ja nie mam tego filmu. I zupełnie nie wiem, gdzie jest.

Raphael ma minę, jakby chciał mnie udusić, ale na szczęście tego nie robi. Kilka razy głęboko wciąga i długo wypuszcza powietrze.

– Czy pan Berry odwiedzał cię w domu po procesie? – pyta w końcu.

– Nie. – Pierwsze dni po tym, co zaszło, były trudne. Brałam tyle leków, że w ogóle ledwo kojarzyłam, ale wiem, że mnie nie odwiedzał. Na palcach jednej ręki mogłabym zliczyć ludzi, którzy do mnie przyszli. Lekarz. Angelina Tinder. – Zamyślałam się. – Tina mnie odwiedziła – przypominam sobie nagle. – Jedna ze strażniczek. Dość miła.

– W takim razie to ona musiała przekazać ci nagranie.

W głowie mam gonitwę myśli. Cofam się pamięcią o dwa miesiące. Mam wrażenie, że od tamtych dramatycznych wydarzeń minęła cała wieczność.

– Nie. Przyniosła mi babeczki. Jej córka je dla mnie upiekła. Pamiętam, jak myślałam, że to samolubne, bo nie mogłam ich zjeść. Kiedy ci wolno pozwolić sobie na jeden luksus tygodniowo, nawet babeczka to więcej kalorii, niż jest dopuszczalne.

– Coś musiało być w tych babeczkach – stwierdza.

– Nie. Dałam je do zjedzenia swojemu młodszemu bratu. – Wstaję i zaczynam chodzić w tę i z powrotem. – Chyba byśmy zauważyli, gdyby połknął... nie wiem nawet, czego szukamy. Teczki? Dysku? Chipa?

– Spodziewałbym się raczej pamięci USB – sugeruje. – Albo karty SD

z telefonu pana Berry'ego.

Zostało nam już tylko piętnaście minut.

– Musiała dać ci coś jeszcze.

– Nawet się z nią nie widziałam. – Wyteżam umysł. – Nie czułam się dobrze. Mama nie pozwoliła jej nawet mnie zobaczyć. Uznała, że to niestosowne.

– I słusznie, czyż nie? – mówi po chwili zastanowienia. – To była całkowicie niestosowna wizyta, a na dodatek dość dla niej ryzykowna. Ta Tina musiała mieć jakiś cel. W takim razie przekazała nagranie twojej mamie.

– Przyniosła jeszcze kulę śnieżną... – Coś mi zaczyna świtać. – Zamek Highlandzki w szklanej kuli. Kiedy się nią potrząsało, opadały w niej czerwone drobinki jak krople krwi. Myślałam wtedy, że to najstraszniejszy i najbardziej makabryczny prezent, jaki ktokolwiek mógłby mi zrobić po tym, czego tam doświadczyłam. Zastanawiałam się, dlaczego przyniosła akurat coś takiego.

– Tam musi być USB.– Raphael nagle wstaje. – W śnieżnej kuli. Gdzie ona jest?

Przyglądam mu się podejrzliwie: czy mogę mu ufać? Powiedziałam wszystko – zbyt dużo? Jeśli stracę nagranie, stracę całą władzę.

Udając rozczarowanie, kładę głowę na stole, bez trudu przywołuję łzy, i tak już się czaiły pod powierzchnią.

– Zniszczyłam ją. Cisnęłam nią o ścianę. Rozbiła się. Mama wyrzuciła ją do śmieci. To się stało dawno temu. Przepadła.

Raphael jest zły, ale chyba mi wierzy. Przez ten cały czas intensywnie główkuję, jak odzyskać śnieżną kulę. Zadzwoić do domu nie mogę, nasza rozmowa na pewno zostanie podsłuchana. To właśnie tak Crevan o wszystkim się dowiedział – przez moją rozmowę z mężem pana Berry'ego. Jaka ja wtedy byłam głupia!

Dziesięć minut i muszę wyjeżdżać.

Raphael staje się coraz bardziej niespokojny, powoli siada.

– Niekonwencjonalność to mój sposób myślenia i bycia. To moja mocna strona, Celestine. Z moim wyglądem trudno dożyć takiego wieku, jeśli

człowiek nie robi się twardy i nie zaczyna walczyć. Dla nastolatka to, że się mocno wyróżnia, zwykle jest najgorszą rzeczą na świecie. Im człowiek staje się starszy, tym bardziej zdaje sobie sprawę, że to jego broń, jego zbroja, jego siła. Jego dar. Ja myślę w sposób nieliniarny, czyli robię to, czego jak sądzisz, robić nie należy.

– Czyli?

– Co robiłaś przez ostatnie dwa tygodnie?

Marszczę brew, zastanawiając się nad jego pytaniem. Uciekałam, kryłam się, płakałam, użalałam nad sobą. Straciłam też cnotę, ale jestem pewna, że nie o to mu chodzi. Nagle na niego spoglądam, pełna obaw co do tego, co powie.

– Unikałam Crevana.

– Właśnie. Teraz musisz go spotkać.



Po ustaleniu planu Raphael idzie do domu, żeby przynieść mi kluczyki. Zostawia na stole swoją komórkę. Po tym jak dzwoniłam do sędzi Sanchez i demaskatorki Kate ze swojego sekretnego telefonu, nie chcę dzwonić z niego też do Juniper. To może nie być bezpieczne. Dowiedziałam się od dziadka, że moja siostra pracuje w kawiarni w mieście. Dziwne, jak życie innych ludzi toczy się dalej, jak musi toczyć się dalej, podczas gdy moje stoi w miejscu.

Kiedy ktoś zostanie oskarżony o posiadanie skazy, musi wynająć prawnika, który będzie go reprezentował. Jeśli taka osoba zostanie uniewinniona, Trybunał uiszcza opłaty sądowe; jeśli będzie uznana za winną, sama musi uregulować wszystkie opłaty. Pan Berry był najlepszym i najdroższym prawnikiem w Trybunale; opłacenie jego usług mocno nadszarpnęło oszczędności rodziców.

W tym samym czasie moja mama modelka straciła część kontraktów, a niektóre zerwała z własnej woli, bo już dłużej nie była zadowolona z tego, że musi dorównywać standardom perfekcji reklamowanych przez nią produktów. Wątpię, żeby cokolwiek teraz zarabiała. Tata pracuje jako redaktor w telewizyjnej stacji informacyjnej Info24, ale jestem przekonana, że nowa dyrektor, siostra Crevana, Candy Crevan, ma go w garści. Nie będzie chciała, żeby tata decydował o doborze wiadomości w serwisie, zwłaszcza gdy lwia część newsów dotyczy jego córki.

Więc Juniper pracuje. Są wakacje. Obie i tak musiałybyśmy znaleźć sobie

pracę na lato, zanim zaczną się zajęcia na uczelni, ale wiem, że w domu pewnie się nie przelewa. Juniper jest ode mnie starsza, ale dzieli nas niecały rok, więc ludzie zawsze biorą nas za bliźniaczki. Podczas pierwszych tygodni, kiedy pod naszym domem roiło się od reporterów, często dla odwrócenia uwagi wysyłaliśmy Juniper na zewnątrz, żeby otoczyli ją fotografowie, podczas gdy my szybko wychodziliśmy z innej strony. Może wyglądamy podobnie, ale pod względem osobowości różnimy się od siebie jak dzień i noc. Uwielbiałam szkołę, nauka szła mi świetnie, Juniper jej nie znosiła i zawsze musiała ciężiej pracować przez swoją dysleksję. Miałam mnóstwo przyjaciół, moja siostra tylko jedną przyjaciółkę. Ja byłam pewna siebie, ona bardziej nieśmiała. Ale choć to ja zbierałam lepsze stopnie, Juniper była ode mnie mądrzejsza. Jest bardziej domyślna i lepiej rozumie różne rzeczy, jak gdyby siedząc i obserwując, uczyła się dużo więcej niż ja – ciągle w biegu, ciągle aktywna.

Zawsze była bardziej wyszczekana, kiedy odwiedzał nas Crevan. Sądziłam, że wierzy w te same teorie spiskowe co dziadek. Tamtego dnia jakbyśmy zamieniły się rolami, to ona powinna pomóc temu starszemu, naznaczonemu mężczyźnie. Myślę, że w pewnym sensie czułaby się szczęśliwsza, gdyby została Naznaczona, bo i tak zwykle trzymała się gdzieś na marginesie naszej społeczności. Skaza byłaby dla Juniper prawie jak odznaczenie honorowe. Tyle powinnam się od niej nauczyć. Tak bardzo za nią tęsknię.

Dwa razy dzwoniłam do niej z domu dziadka. Odebrała tylko raz. Chciałam jedynie usłyszeć jej głos, nie odezwałam się, nie mogłam władować siostry w kłopoty, ale wiedziałam, że jeśli Trybunał sprawdza billingi dziadka, to nie będzie to nic dziwnego, że dzwoni do wnuczki do pracy.

– Kawiarnia – odzywa się męski głos.

– Poproszę Monicę. – Dowiedziałam się, że zmieniła imię. Nikt nie chce zatrudnić siostry kogoś, kto jest na liście pilnie poszukiwanych przez Trybunał. Monica i Veronica to fałszywe imiona, jakich używałyśmy, gdy się bawiłyśmy jako dzieci. Wpychałyśmy sobie poduszki pod bluzki i udawałyśmy, że jesteśmy dwiema otyłymi paniami, które mają cukiernię. Całymi godzinami lepiłyśmy ciastka z błota w ogródku, posypywałyśmy je płatkami kwiatów i trawą i podawałyśmy wymyślonym gościom, zwykle Ewanowi, który próbował je jeść, ku naszemu rozbawieniu i panice mamy.

– Nie uznajemy prywatnych rozmów w pracy – odpowiada.

– Zmarła jej babcia – mówię szybko, a chłopak już bez dalszej dyskusji przekazuje słuchawkę.

– Halo? – Ma zdenerwowany ton głosu.

– Monica? Mówi Veronica z cukierni.

Cisza.

– To naprawdę ty? – szepcze.

– Tak – odpowiadam. Mam ochotę płakać. Jest tyle rzeczy, które chcę jej powiedzieć, ale boję się, że zdradzę zbyt wiele. Kończy mi się czas, muszę już wyjeżdżać, zanim wróci Raphael i zanim przyjadą tu demaskatorzy.

– O rany, nic ci nie jest?

– Nie. Ale potrzebuję twojej pomocy. Możesz mi coś przynieść z domu?

– Spróbuję – ścisza głos. – Nie jest łatwo. Cały czas przychodzą do nas. Robią przeszukania. A ona zabrała wszystko z twojego pokoju. Przepraszam, nie mogliśmy jej powstrzymać.

Od razu wiem, o kim mówi. Mary May.

– Następnego dnia po tym jak uciekłaś, zdemolowała twój pokój, a po tym jak dziadek... zabrała wszystko. Wszystkie twoje rzeczy. Szukają czegoś i ciągle mi się wydaje, że wcale nie ciebie.

– Masz rację – odpowiadam prosto. – Gdzie to zabrała?

– Nie wiem, ale nie była w stroju służbowym i przyjechała własnym samochodem. Po prostu zapakowała rzeczy do toreb na śmieci i odjechała.

Zrobiła to, kiedy dziadek był w areszcie, kiedy nie mogli znaleźć mnie na farmie. Czyli dopiero dwa dni temu. Ale nadal mnie szukają, co oznacza, że wciąż nie znaleźli nagrania. Oby tylko nie wyrzuciła śnieżnej kuli. Znajac Mary May, nie zrobiła tego.

Słyszę, że Raphael wraca, więc szybko kończę.

– Bardzo mi pomogłaś – rzucam pospiesznie. – Kocham cię. – Kończę rozmowę i odkładam telefon z powrotem na stół.

– Zostawiłem wiadomość sekretarce Crevana, żeby zadzwonił do mnie od razu, jak wróci – mówi Raphael, stawiając przede mną na stole szklankę

wody. – Na pewno będzie wiedział, o co chodzi, dowie się o tym, że tu byłaś. A każdy telefon ode mnie uważa się za pilny.

Wydaje się podenerwowany tym, z czym postanowił się zmierzyć. A właściwie: z kim – sędzią Crevanem.

Nie zamierzam czekać na to, aż Crevan do mnie oddzwoni ani wystawić się na cel demaskatorom. Nie wiem już, jak poznać, komu ufać, ale zamiast myśleć o tym, czego nie mogę być pewna, muszę skupić się na faktach.

Wiem, komu ufać.

Doskonale wiem, jak dostać się do Crevana za pomocą jednej krótkiej rozmowy telefonicznej.



Art, to ja. – Trzymam telefon przy uchu, kiedy tłukę się w dół po wyboistych górskich drogach w minicooperze Raphaela. Serce wali mi w piersi, krew pulsuje w uszach, czuję buchającą we mnie wściekłość. Chcę na niego krzyknąć: wiem, kim się stałeś!

– Celestine? – pyta zaskoczony. – Poczekaj. – Odgłosy sugerują, że gdzieś się przemieszcza, nie wiem jednak, czy się oddala, czy przybliża do ciekawskich uszu. – Cześć – odzywa się w końcu.

Nie wiem, czy odgłosy w tle się zmieniły, czy to przez warkot silnika, ale nie obchodzi mnie to. Włączam zestaw głośnomówiący i kładę obie dłonie na kierownicy, żeby się skoncentrować.

– Gdzie jesteś? – Jego głos trzeszczy z głośnika.

– Musimy się spotkać – przechodzę od razu do rzeczy, w skupieniu patrząc na drogę. – Mam ci coś do pokazania.

– Co takiego?

– Nagranie. Jest na nim twój tata... i jestem ja.

– Co? O czym ty gadasz? Co to za nagranie?

– Spotkamy się za dwie godziny. W naszym miejscu.

Przez chwilę się zastanawia w milczeniu.

– Okej.

Kończę połączenie.

Carrick miał rację. Art to przynęta. I doskonale wpasowuje się w mój plan.



Ukrywam się na szczycie wzgórza pod osłoną nocy; czuję, jak mi niedobrze. Susan uparła się, że zanim od nich wyjadę, tak dla pokrzepienia nakarmi mnie czymś, czego smaku wciąż nie mogłam wychwycić, ale teraz posiłek wywraca mi się w żołądku. Ze szczytu rozciąga się widok na miasto. To moje dawne miejsce nocnych spotkań z Artem. Po raz pierwszy jestem tu przed nim, zawsze to on na mnie czekał – kolejny znak, że sytuacja się zmieniła.

Księżyc stoi wysoko na niebie, ma kształt rogala, nie jest w pełni tak jak ostatnim razem, kiedy byłam tu z Artem i dał mi bransoletkę na nogę, z trzema okręgami symbolizującymi geometryczną harmonię, ideał. Nasz ostatni wspólny wieczór, zanim moje życie zmieniło się na zawsze. Wspominam tamten dzień i widzę, jaka byłam naiwna, sądząc, że wszystko wiem, że jestem w stanie wszystko zaplanować, że można znaleźć rozwiązanie na każdy problem, że wszystko jest czarne albo białe. Sądząc, że mogę ufać ludziom.

Nadal noszę na kostce bransoletkę od Arta. Była tylko jedna chwila, kiedy miałam ochotę ją zerwać i wyrzucić – wtedy gdy zobaczyłam go w stroju demaskatora. Ale tak jak szósta blizna wypalona mi u nasady pleców, bransoletka daje mi siłę. Teraz wiem, że ofiarował mi ją demaskator, syn mężczyzny, który mnie naznaczył. Miała świadczyć o mojej perfekcji. Wszyscy są hipokrytami.

Słyszę chrzęst kroków na żwirowej ścieżce i cofam się w cień. Dżinsy, ciemna bluza, czupryna jasnych, swawolnych loków, delikatna twarz, łagodne

oczy, usta ułożone w takim kształcie, jakby każde wypływające z nich słowo było żartem. Art. Chcę zobaczyć, czy jest sam. Pozwalam mu poczekać minutę, dwie. Na razie w pobliżu nie ma nikogo innego.

Wynurzam się z cienia.

– Cześć – mówi, jakby się mnie bał. Mierzy mnie wzrokiem. A potem zaczyna się rozglądać, z obawą, że ktoś go przyłapie.

Zastanawiam się, czy Crevan wyskoczy z ukrycia i teraz mnie schwyta, czy poczeka, aż rozmowa dobiegnie końca. Jeśli Art miał wyciągnąć ze mnie informacje lub jeśli w ogóle wie, że jest wykorzystywany. Biedak, trochę mu współczuję, bo znalazł się między młotem a kowadłem. Ale współczucie znika, gdy przypominam sobie, że stanął po złej stronie.

– Cześć – odpowiadam dużo łagodniej, niż zamierzałam.

Słyszę kroki za Artem i szykuję się na to, co nastąpi. Ku własnemu zaskoczeniu jestem rozczarowana tym, że nie spędziłyśmy ani chwili sam na sam. Crevan nie przyprowadził ze sobą wielkiej ekipy ani brygady antyterrorystycznej demaskatorów w rynsztunku bojowym. Jest sam, tak jak się spodziewałam. Wiedziałam, że nie ściągnie ze sobą armii, która mogłaby usłyszeć, jak mówię o nagraniu. Ma na sobie dzinsy i bluzę z kapturem. Wygląda jak starsza wersja Arta.

– Tato! – Art odwraca się nagle. Cieszy mnie, że jest szczerze zaskoczony widokiem swojego ojca. – Co ty tu robisz? Śledziłeś mnie? – pyta ze złością.

– Otrzymałem twoją wiadomość. – Crevan ignoruje pytanie syna, dumny z siebie, jakby miał nade mną przewagę. Kładzie dłoń na ramieniu chłopaka. – Wracaj do domu, załatwię to sam.

– Co się dzieje? Jak to „otrzymałem twoją wiadomość”?

– Przykro mi, ale teraz, skoro jesteś demaskatorem, zamek podsłuchuje twoje rozmowy. Od razu mi zasygnalizowano, że dzwoniła Celestine. Porozmawiamy o tym później – mówi zdecydowanym tonem, po czym zwraca się do mnie. – Art musi się teraz wcześniej kłaść spać, nie to co kiedyś, nie przy swojej nowej pracy. – Uśmiecha się, a wokół oczu pogłębiają mu się zmarszczki.

Patrzę na Arta ze złością.

– Musisz być dumny ze swojego syna. Jest teraz taki jak ty.

Art spuszcza wzrok na ziemię. Cieszy się, że może ode mnie uciec, teraz kiedy wiem już, że jest demaskatorem. Zerka na nas oboje, po czym szybko znika.

– Jak na ironię, twoje występki wyświadczyły mi przysługę i połączyły mnie z synem. Jesteśmy sobie teraz bliżsi niż kiedykolwiek. – Crevan robi kilka kroków w przód.

Wiatr przynosi mi znajomy zapach mięty pieprzowej. Albo Amolu. Nie mam pewności. Może Crevan żuje gumę. Może to jego znajomy zapach z naszego poprzedniego życia, kiedy byliśmy przyjaciółmi, prawie rodziną.

– Nigdy nie poszedłby w rodzinny biznes, gdyby nie to, że go zdradziłaś, stałaś się uciekinierką i zaczęłaś się ukrywać – ciągnie.

Chcę się na niego rzucić i zacząć go okładać pięściami, kopać, chcę wrzeszczeć na niego, wyrzucić z siebie najbardziej obrzydliwe słowa, jakie tylko przyjdą mi do głowy, ale wiem, że to mi nic nie da. Nic do niego nie dotrze. Wszelkie pozytywne uczucia, jakie wobec mnie żywił, umarły dawno temu. Teraz siedzi pewnie godzinami i próbuje wymyślić sposoby, aby zniszczyć mnie i to, co łączy ze mną jego syna.

– Chciałaś coś pokazać Artowi. – Najwyraźniej podoba mu się to, jaką mam minę. – Podejrzewam, że chodzi o to tak zwane sekretne nagranie. Daj mi je. – Stara się zgrywać luzaka, ale widać, że jest zdenerwowany. Z powodu tej małej rzeczy przez ostatnie dwa tygodnie przeszukiwał kraj wzdłuż i wszerz.

Uśmiecham się.

– Naprawdę myślisz, że przyniosłabym je ze sobą?

Jego uśmiech blednie.

– Zadzwoiłam do Arta, bo zakładałam, że powie ci o naszym spotkaniu. Myślisz, że nie wiedziałam, że został demaskatorem? Oczywiście, że wiedziałam. Ale nie sądziłam, że naprawdę o niczym ci nie powie. Ta więź ojciec–syn chyba jednak nie jest tak silna, jak ci się zdaje – szydę, czerpię przyjemność z tego, że go ranię. – Bardzo się zmieniłam, odkąd wypaliłeś mi znamię. Zmądrzałam. Jak na ironię, ty też wyświadczyłeś mi przysługę.

Jego twarz pochmurnieje, gdy zdaje sobie sprawę, że dał się nabrać, wciągając w mój plan.

– Nie przyszłam tu pokazać Artowi nagrania. Przyszłam z tobą

porozmawiać. Przyszłam ci powiedzieć, że popełniłeś błąd. Chyba już zdajesz sobie z tego sprawę. Starasz się zatrzeć za sobą ślady, ale nic z tego. Strażnicy, uczniowie, dziennikarka, prawnik... nie sądzisz, że posuwasz się odrobinę za daleko? Wydaje ci się, że nikt tego nie zauważy? Że koniec końców ludzie nie skojarzą faktów? Nie możesz wszystkich naznaczyć skazą, Bosco.

– Sądzisz, że jakieś tam nagranie ma aż taką władzę? – Wybuchła śmiechem.

– Jestem o tym przekonana, bo wiem, co na nim jest. Byłam tam, pamiętasz? A na dodatek robisz, co się da, żeby mnie znaleźć, schwytać. Panikujesz. Wiesz, że się z tego nie wykręcisz. Kiedy ludzie zobaczą filmik, dowiedzą się, jakie z ciebie bydlę. Potwór, który nad sobą nie panuje i któremu nie można dłużej powierzać władzy.

Przełyka ślinę, udaje, że moje słowa nie robią na nim wrażenia, ale na pewno jest inaczej. W całym jego życiu nikt nigdy nie mówił do niego w taki sposób.

Robię głęboki wdech.

– Mogę to powstrzymać. Oddam ci nagranie, jeśli publicznie przyznasz, że nie mam Skazy. Że to, co zrobiłam w autobusie, nie jest złe. Okaż skruchę – powtarzam słowa, które wypowiedział do mnie w Izbie Naznaczeń.

Wygląda na zaskoczonego.

– Nigdy tego nie zrobię. Wtedy każdy Naznaczony zażądałby tego samego.

– Taki jest warunek. – Wzruszam ramionami.

Wzdycha. Garbi się, jedną dłoń wciska do kieszeni, a drugą pociera twarz – jakby trochę zrezygnowany, zmęczony.

– Dobrze. Zrobię to.

Jestem zaskoczona tym, jak szybko się zgodził. Rada Raphaela podziałała, ale muszę kuć żelazo, póki gorące.

– Jest pewna osoba, dla której musisz zrobić to samo. Carrick Vane. –

Może mnie okłamał co do swojego związku z Enyą Sleepwell, ale to nie zmienia tego, co stało się między mną a nim, co przeszliśmy razem w zamku i zeszłej nocy. Owszem, jest mi winien przeprosiny. Ale to on wierzył we mnie bardziej niż ktokolwiek, a to doprowadziło mnie do tego miejsca. Powinnam spłacić swój dług.

Crevan spogląda na mnie, przymruża oczy, a ja staram się zachować siłę. Część mnie panikuje, że zdradziłam nazwisko Carricka i wyjawiałam, że jest między nami jakiś związek.

– Oddasz mi nagranie. Wszystkie kopie, a zrobię, o co prosisz dla ciebie i twojego przyjaciela. Ale oto moje warunki. Oboje musicie wyjechać z kraju. Nie chcę kiedykolwiek więcej słyszeć o którymś z was. Jeśli tylko postawisz nogę w Humming, sytuacja wróci do obecnego stanu.

Jestem w szoku, że się udało. Wyjechać z kraju? Nie ma sprawy. Odzyskać wolność? Z miłą chęcią.

– Nasz układ pozostanie między nami. Nikt nie może się dowiedzieć, że skasowano wasze wyroki. Zaczniecie żyć jako wolni ludzie i tutejsze władze będą o tym wiedzieć, ale nie opinia publiczna. Zachowamy to w tajemnicy.

Dokładnie to samo przydarzyło się w sprawie Raphaela Angelo. Zgoda na to oznacza, że nikt inny nie wykorzysta mojej sprawy, żeby walczyć o swoją wolność. Nie będziemy mogli oskarżyć Crevana o to, że ma Skazę. Enya Sleepwell nie wykorzysta mnie w swojej kampanii, a Naznaczeni nie odzyskają pełni praw. Sanchez nie zdoła usunąć Crevana ze stanowiska.

Ale ja będę wolna.

Myślę o tym, co Cordelia powiedziała do mnie w Vigorze. „Co to za przywódca, który poświęca innych dla własnej korzyści”.

– Nie – odpowiadam niepewnym głosem. – Nie mogę się na to zgodzić.

Crevan cmoka niezadowolony.

– A byłaś tak blisko, Celestine.

Tracę czujność. Zbyt pochłonięta reperkusjami podjętej decyzji nie reaguję dość szybko. Sądziłam, że jestem bystra, ale okazuje się, że niewystarczająco. Crevan wyciąga rękę z kieszeni i wbija mi w udo jakąś igłę.

Padam na ziemię.



Budzę się na szpitalnym łóżku. Białe zasłony, białe ściany, biały sufit, biała pościel, jaskrawy blask świetlówek. Krzywię się oślepiąca światłem. Mam na sobie czerwoną szpitalną koszulę.

Próbuję usiąść, ale jestem unieruchomiona. Górna część ciała sztywna, ale niepozbawiona czucia. Ręce i tors mogą wykonywać polecenia, lecz od pasa w dół nie dzieje się absolutnie nic. Żadnego ruchu. Całkowity paraliż.

Czuję się w potrzasku, jęczę z wysiłkiem. Zrzucam przykrycie i próbuję podnieść nogi rękami. Są ciężkie, ale udaje mi się je przesunąć, choć niczego nie czuję. Uderzam w uda, klepię, staram się je obudzić, zmusić, by wykonywały to, co każę.

Kotara się odsuwa, podskakuję złąkniona. Wyłania się zza niej Tina.

Tina. Strażniczka, które była ze mną podczas wypalania znamion, strażniczka, która zniknęła. Strażniczka, która myślałam, że zniknęła z innymi. Ma na sobie mundur demaskatorki. Wszystko, co – jak mi się zdawało – wiem, traci sens. Zgrabna historyjka, że była po mojej stronie, że przemyciła mi nagranie, że Crevan gdzieś ją ukrył – wszystko się rozpada. Ona jest moim wrogiem.

Konspiracyjnie przykłada palec do ust.

– Dał ci jakiś zastrzyk paraliżujący – szepcze. – Planują przeszczep skóry, żeby usunąć twoje szóste znamię.

– Co? – syczę.

– Cii... Trybunał sprowadził doktor Greene, żeby przeprowadziła operację. Przykro mi, Celestine, to jakiś koszmar.

– Myślałam, że zaginęłaś. Nawet się o ciebie martwiłam.

Podchodzi bliżej i bierze mnie za rękę.

– Groził mnie i mojej córce. Widziałam, co zrobił pozostałym, nie mogłam... – Oczy napełniają jej się łzami. – Próbowałam ci pomóc, jak tylko mogłam. Znalazłaś nagranie, które ci przekazałam?

– Śnieżną kulę?

Jej twarz rozjaśnia się w poczuciu ulgi.

– Funar dodał sztuczną podstawkę. Obawiałam się, że się nie domyślisz, ale on nie miał wątpliwości. „To bystra dziewczyna”, powiedział. – Uśmiecha się smutno. – Zastanawiałam się, czy gdzieś tego nie zapisać, ale nie chciałam zostawiać śladów; bałam się, że notatki wpadną w nieodpowiednie ręce. Nie mogłam się z tobą skontaktować, więc nie byłam pewna, czy wszystko poszło zgodnie z planem.

– Zdałam sobie z tego sprawę dopiero po fakcie. Mary May zabrała wszystkie rzeczy z mojego pokoju. Nie sądzę, żeby wiedziała, że nagranie jest w śnieżnej kuli, bo inaczej by nas tu nie było. Gdzie schowała tę kulę?

– Nie wiem. – Myśli, w jej oczach widać panikę. Jeśli ktoś znajdzie nagranie, będzie miała ogromne kłopoty.

– Błagam, Tino, dowiedz się tego.

Otwierają się drzwi.

Kobieta wyciąga rękę i wydaje mi się, że chce mnie uderzyć, ale ona popycha mnie na poduszkę i kładzie mi dłoń na oczach, więc natychmiast je zamykam.

– Nadal śpi, pani doktor – informuje cicho.

– Nie widziałam jeszcze, żeby ktoś tyle spał.

– Ukrywała się już od dłuższego czasu. Pewnie jest wyczerpana – odpowiada Tina, a ja słyszę współczucie w jej głosie.

– Hm... – Doktor Greene nie wydaje się przekonana. – Jesteś pewna, że nie bierze żadnych leków?

– Nie wiem, pani doktor – odpowiada ostrożnie Tina. – Ja miałam tylko od czasu do czasu do niej zaglądać.

– Zwykle przygotowuję pacjenta kilka tygodni przed zabiegiem, żeby mieć pewność, że leki nie wpłyną na krzepliwość krwi. – Lekarka patrzy na Tinę, jak gdyby jej nie ufała i dawała szansę, żeby przyznała się do podania mi leków nasennych.

Następuje niezręczna cisza. Obie mi się przyglądają.

– Obawiam się, że trzeba porozmawiać na ten temat z sędzią Crevanem.

– Już rozmawiałam.

Wiedzą, że nie mogą tego zrobić po raz drugi.

Staram się oddychać miarowo. Przypomina mi się, jak leżałam w dole ziemnym. Przynajmniej teraz mogę swobodnie oddychać. To pewna poprawa. Choć z drugiej strony ten paraliż... tego jeszcze nie było.

– Widziałaś bliźnę? – pyta szeptem doktor Greene.

– Byłam przy tym obecna.

– Nie mogę uwierzyć, że dziewczyna zrobiła sobie coś takiego. Jak ona wyrwała strażnikowi pręt do naznaczania? Czy Naznaczeni nie są przypinani do foteli?

– Słucham? – pyta Tina zaskoczona.

– Sędzia Crevan powiedział mi, że nie byliście w stanie powstrzymać Celestine przed naznaczeniem samej siebie.

Cisza.

– To bardzo ważne, żebyśmy jak najszybciej to usunęli. Jej oskarżenia wobec sędziego mogą mieć poważne konsekwencje. Wiesz, że opowiada ludziom, że on jej to zrobił? Nic dziwnego, że tak rozpaczliwie starał się ją znaleźć.

Tina ani piśnie.

– Czy to się naprawdę wydarzyło? – Doktor Greene ma coraz większe wątpliwości.

– Obudziła się? – rozlega się głos Crevana; sędzia wpada do pomieszczenia.

– Jeszcze nie – odpowiada wystraszona lekarka.

– Proszę mnie wezwać natychmiast, kiedy się ocknie. Nie chcę, żeby z kimkolwiek rozmawiała i rozpowiadała dalej te swoje kłamstwa.

– Tak jest – szybko odpowiada Tina.

– Wszystko przygotowane? Sala operacyjna spełnia pani oczekiwania, pani doktor?

– Tak. Czy wolno zapytać, co to za ośrodek? Nie wiedziałam, że takie miejsce w ogóle istnieje.

– Och, jest nowe. Tajna jednostka rządowa. – Słyszę uśmiech w jego głosie i wyobrażam sobie twarz sędziego. Kiedyś wydawało mi się, że jest przystojny, zanim zobaczyłam jego prawdziwe oblicze.

– Chciałabym obejrzeć bliźnię, zanim rozpoczniemy operację – mówi stanowczo doktor Greene.

Tina i lekarka obracają mnie na bok. Mam nadzieję, że Crevan nie stoi przy mnie i nie obserwuje. Doktor Greene zasysa powietrze przez nos.

– Uhhh, to wygląda boleśnie. Jak znamię po torturach. Dlaczego taka młoda dziewczyna zrobiła sobie coś takiego? – znów zastanawia się na głos.

– Kto wie, co się roi w głowie Naznaczonej. Spotkamy się ponownie po operacji – odpowiada Crevan. – Muszę się przygotować do wywiadu, którego na prośbę premiera mam udzielić przed wyborami. Trzeba pokazać opinii publicznej, że nie jestem złym wilkiem, jakiego robi ze mnie Partia Niezbędnych – żartuje, starając się rozluźnić atmosferę.

Jeśli rząd kazał mu udzielić wywiadu, to Trybunał naprawdę ma spore kłopoty. Władza próbuje gasić pożar.

– Ach, rzeczywiście, wywiad z Ericą Edelman. Jest... – waha się. – Bardzo skuteczną dziennikarką. Życzę powodzenia.

– Przyda się – odpowiada. – Żadna krwi kobieta, ale dam sobie z nią radę.

Wychodzi z salki, a jego kroki w końcu milkną.

– Jak będzie wyglądać ta operacja? – pyta Tina stłumionym głosem.

– Kiedy Celestine się obudzi, podepniemy jej kroplówkę, żeby podać znieczulenie ogólne i płyny. Wstrzyknę jej lek do kroplówki, zaśnie i nie będzie czuła bólu. Wykonam przeszczep pośredniej grubości skóry. Pobiorę

kawałek z wewnętrznej strony uda, który niejako naszyję na znamię. Na miejsce pobrania założymy opatrunek. Zabierzemy ją na salę wybudzeń, gdzie dostanie środki przeciwbólowe i co tylko potrzeba, żeby nie cierpiała. Przez kilka dni będę ją obserwować, dla pewności, że wszystko się dobrze goi. Przez następne trzy do czterech tygodni będzie musiała unikać wysiłku, a miejsce pobrania skóry powinno wygoić się po dwóch, może trzech tygodniach.

– Już to przechodziła przy poprzednich ranach – komentuje cicho Tina.

– Sprawiasz wrażenie... wybac mi, proszę, że to powiem, ale sprawiasz wrażenie, jakbyś się o nią martwiła. Lubisz ją?

– Moja córka jest w tym samym wieku. Kiedy na nią patrzę, widzę swoje dziecko.

– Ciekawe... Mówisz tak samo jak ona.

– To znaczy?

– Oglądałam proces Celestine. Powiedziała, że pomogła temu starszemu mężczyźnie, bo przypominał jej dziadka.

– To się nazywa empatia – komentuje niemal szeptem Tina. – Jako społeczeństwo chyba o tym zapomnieliśmy.

– Nie wszyscy – odpowiada doktor Greene.

Jej kroki piszczą na linoleum; zostajemy tylko ja i Tina.

– Masz najwyżej godzinę, żeby się stąd wydostać – mówi mi Tina szybko do ucha. – Jeszcze trochę, a pani doktor zacznie zadawać Crevanowi pytania i włada się w straszne kłopoty. Zrobię sobie przerwę na kawę. Zostawiam swoje kluczyki do samochodu na krześle, tam w rogu. Samochód stoi na zewnątrz na parkingu. Odwróć uwagę innych. Ale to wszystko, co mogę dla ciebie zrobić, Celestine – mówi niemal przeproszającym tonem. Energicznie wychodzi, zanim poproszę ją o coś więcej. Co na pewno bym zrobiła.

Nie marnuję czasu. Siadam prosto, sięgam po zasłonę, żeby się na niej podciągnąć i w ten sposób pomóc sobie zejść na podłogę, ale jestem za ciężka i materiał zrywa się z kółek na drążku. Upadam ze stęknieniem, uderzam się w bok i obtłukuję sobie nogi, ale ich nie czuję. Obracam się na brzuch, staram się nie zwracać uwagi na ból, pełnę; wsparta na łokciach wlokę za sobą nogi.

Moje ciało wydaje się ciężkie i galaretowate, jakby było martwe, nie

wykonuje moich poleceń. Z wysiłku natychmiast oblewam się potem i ślizgam na wypolerowanej podłodze. Nie czuję niczego pod nogami. Jak gdyby moje ciało zostało przecięte na pół, od pasa w dół nie odbieram żadnych bodźców. Nie mam pojęcia, gdzie jestem, pod czerwoną koszulą mam bieliznę i ledwie jestem w stanie dobrać do drzwi swojej szpitalnej salki, a co dopiero uciec z budynku. Tak czy inaczej, wiem, że nie jestem w Zamku Highlandzkim.

Dosięgam krzesła, na którym leży skórzana torebka Tiny, i wyciągam rękę po kluczyki.

Oczywiście wyobraźni widzę, jak Crevan zastaje mnie w tej sytuacji: leżę na podłodze, u jego stóp. Jestem bezbronna i zdana na jego łaskę, właśnie tak jak chce. Ta myśl dodaje mi siły, podciągam się coraz szybciej.

Pomiędzy podwójnymi drzwiami jest szczelina, więc wkładam w nią rękę i ciągnę; cieszę się, że nie muszę próbować sięgnąć do klamki, bo to byłaby mordęga. Tina dała mi większą szansę, niż się spodziewałam. Wyglądam na korytarz. Pusto. Z dyżurki na końcu dochodzi śmiech.

– A tu po raz pierwszy zaczęła chodzić – opowiada Tina z rozrzewnieniem.
– Popatrzcie tylko na moją córkę. W ten weekend skończy osiemnaście lat, dacie wiarę?

Grupa kobiet wzdycha z zachwytem.

– Chodź tu, Jason, i spójrz na te zdjęcia – zachęca Tina i widzę, jak mężczyzna, który patrzy na ekrany z monitoringiem, opuszcza swoje stanowisko.

Nie ma to jak album rodzinny, żeby odwrócić uwagę grupy. Nikt nie ośmieliłby się obrazić dumnej matki.

Już mam wyczołgać się na korytarz i skręcić w prawo w stronę schodów na zewnątrz, kiedy słyszę Telewizję Sądu Naznaczonych – ryczy z sali po przeciwnej stronie. To debata przywódców wszystkich partii, o której wiele mówiono.

– Współczucie i logika to hasło kampanii Partii Niezbędnych, które oznacza, że trzeźwe myślenie i dobre serce to najlepsze połączenie – przemawia Enya Sleepwell ze swojego podium.

– Ale to słowa wyciągnięte z ust Naznaczonej, co dowodzi, że Enya Sleepwell jest z nimi w zмовie – kontruje premier Percy.

– Bardzo ciekawe, co pan mówi, bo to akurat słowa Nelsona Mandeli.
Jeden zero dla Enyi.

Czołgam się po korytarzu do pomieszczenia naprzeciwko, gdzie widzę fotele. Więcej osób, wszyscy w czerwonych koszulach szpitalnych. Więcej Naznaczonych. Oni mi pomogą.

– Przepraszam – szepczę, wczołgując się do pokoju. – Potrzebuję pomocy.

Wszyscy siedzą plecami do mnie, nie odwracają się. Może powinnam wyjść, ale jeśli przekonam choć jedną osobę, żeby mi pomogła, będę miała większe szanse się stąd wydostać. Poza tym nie sądzę, żebym dobrze poradziła sobie z prowadzeniem samochodu, skoro moje nogi są w takim stanie, choć oczywiście w razie potrzeby spróbuję. Przy odrobinie wsparcia byłabym jednak bezpieczniejsza i działałabym szybciej. Raz jeszcze do nich wołam, tym razem głośniej, ale albo mnie nie słyszą, albo ignorują i nie chcą pomóc.

– Przepraszam, potrzebuję... – natychmiast milknę.

Włosy jeżą mi się na całym ciele.

Na pierwszym krześle z brzegu siedzi pan Berry.



Panie Berry – próbuję zwrócić jego uwagę. Martwe oczy mojego obrońcy nie odrywają się od telewizora i to wcale nie dlatego, że tak go pochłoneła debata. Jest prawie nieprzytomny od leków uspokajających. Wygląda staro, choć jego twarz wydaje się młodsza niż reszta ciała, ale i tak prezentuje się nie najlepiej bez zwyczajowego różu i korektora. Szyja jakby ledwie utrzymywała głowę.

Na krześle obok siedzi Pia Wang. Piękna Pia Wang, która próbowała mi pomóc, patrzy tym samym nieobecny wzrokiem, jej związane z tyłu włosy wyglądają tak, jakby nie były myte od tygodni. Boję się dalej rozglądać, ale muszę. Czołgam się do kolejnego rzędu – widzę strażników. Funar, który wypalił mi skazę, Bark, June i ochroniarz Tony.

W pierwszym rzędzie siedzą znajomi ze szkoły: Natasha, Logan, Gavin i Colleen. Patrzę na nich ubranych w czerwone koszule szpitalne, zupełnie bezsilnych – co za kontrast względem naszego ostatniego spotkania, kiedy mnie związali i rozebrali, żeby przyjrzeć się bliznom. Zapach mięty w powietrzu sprawia, że robi mi się niedobrze. Ten sam zapach czułam od Crevana.

Wstyd mi za siebie, że czuję satysfakcję, gdy patrzę na dzieciaki, które kiedyś mnie prześladowały i robiły zdjęcia moich znamion. Postąpili strasznie, co przypieczętowało ich los. Na szczęście nie widzę tu dziadka, innych członków mojej rodziny ani Raphaela Angelo.

Żadne z nich nie może mi pomóc, nawet mnie nie widzą. Zostałam tu zbyt

długo. Słyszę z korytarza głosy strażników, którzy rozchodzą się po prezentacji Tiny. Skończył mi się czas.



Drzwi do tej dziwacznej sali telewizyjnej otwierają się i do środka wchodzi strażniczka. Wpatruję się nieruchomym wzrokiem w telewizor, próbuję się zachowywać tak jak inni. Serce mi łomocze po wysiłku, z jakim wdrapałam się na wolne krzesło, ze skroni ścieka mi pot, po kręgosłupie też toczą się krople. Nie jestem pewna, czy tak jest, czy tylko sobie wyobrażam, ale wydaje mi się, że skapują mi poniżej talii. Czyżby znieczulenie zaczynało puszczać? Nie mogę wstać i sprawdzić, ale zaczyna mnie mrowić w udach. Brakuje mi tchu z wysiłku; mam nadzieję, że nie widzą, jak moja pierś unosi się i opada pod czerwoną koszulą. Staram się zapanować nad oddechem i swoim dzikim spojrzeniem, żeby lepiej przypominać zombi, być tak jak cała reszta. Co jeszcze zrobił im Crevan? Jak długo tu są i co się z nimi stanie dalej?

Nagle strażniczka wydaje z siebie cichy jęk, pewnie na mój widok, i wybiega z pokoju.

– Stacey! – syczy na korytarzu; przytrzymuje drzwi swoim ciałem, więc nadal nie mogę się ruszyć.

Szybko ocieram pot ze skroni, choć ten jeden ruch to ogromne ryzyko. Kobieta wraca z drugą strażniczką. Szepczą, stojąc blisko siebie.

– To ona. Celestine North.

– Niemożliwe – odpowiada Stacey.

Podchodzą do mnie bliżej. Patrzą prosto przed siebie tak, jakby dla mnie nie istniały.

- Jest taka młoda.
- Na żywo wydaje się ładniejsza.
- Pewnie schudła podczas tej ucieczki.
- Dieta uciekinierki. Mnie też by się przydała.

Jedna z nich prycha, po czym wybuchają śmiechem, ale szybko uciszają się nawzajem.

– Wiedziałam, że Tina coś tu ukrywa. I jeszcze przyjechała ta lekarka, co zadziera nosa. Ciekawe, co knują.

- Zadawanie pytań nie należy do naszych obowiązków.
- Zrób mi z nią zdjęcie, dobrze?
- Stacey!
- No co? Tylko dla mnie. Nikt się nie dowie.

Obie chichoczą, podczas gdy Stacey poprawia włosy, przykuca obok mnie i obejmuje ramieniem, jak gdybyśmy były najlepszymi przyjaciółkami i siedziały w barze.

Wyciąga przed nas iPhone'a; czuję oddech strażniczki na swojej skórze i słodki zapach jej perfum. Staram się skupić na telewizorze, ale...

- Raz, dwa, trzy... O rany! – Strażniczka robi krok w tył.
- Co? – Stacey odskakuje ode mnie, jakbym była tykającą bombą.
- Spojrzała na mnie.

– Niemożliwe. Ci tutaj są tak nafaszerowani prochami, że starczyłoby im na tydzień. Patrz na tę paniusią z telewizji. – Pstryka palcami przed twarzą Pii. – Nie taka idealna, co? – rechocze.

Druga strażniczka nadal ma wątpliwości. Przestraszyłam ją i całkiem mi się podoba ta moja władza.

Na korytarzu rozlegają się głosy. Brzmią oficjalnie, dobiega mnie dudnienie ciężkich kroków. Kolejna banda demaskatorów. Gwałtownie otwierają drzwi. Pojawia się sześcioro. Wszyscy mają hełmy. Dwóch pilnuje drzwi, reszta wchodzi do środka.

To już koniec, zauważyli, że mnie nie ma.

Wkraczają, jeden ściąga hełm. To Kate.

– Przyszliśmy po Celestine North. Dostaliśmy rozkazy z Zamku Highlandzkiego, aby ją stąd zabrać. – Podaje im dokument i dwie strażniczki pochylają się, by go przeczytać.

– Jest wasza. – Posłusznie opuszczają pomieszczenie.

Drugi demaskator ściąga hełm. To Carrick. Czuję motyle w brzuchu. Wtedy twarz odsłania trzeci demaskator. Juniper.

Wydaję z siebie jęk zaskoczenia.

– Ekipa ratunkowa przybywa z odsieczą – oznajmia Juniper, biorąc się do działania. – Mamy minutę, zanim się połąpią co i jak. Szybko, załóż mój mundur. – Zaczyna się rozbierać. Carrick odwraca wzrok.

– Juniper! Co ty, do cholery, wyprawiasz? – bełkoczę zdezorientowana.

– Zajmuję twoje miejsce.

– Co? Ty...

– Nie ma czasu na rozmowy – poucza mnie nagłaco. – Ma być tak, jak mówię, bez dyskusji. Jeśli się nie zgodzisz, wszystkich nas władujesz w kłopoty. Trzymaj się planu. – Nie wierzę własnym uszom i oczom. Nie pozwolę, żeby siostra mnie zastąpiła. Nie mogę porzucić jej w tym miejscu, tym bardziej że wiem, co planują mi zrobić na sali operacyjnej.

– Zyskasz na czasie i zrealizujesz plan. Wstawaj. Ściągaj te szpitalne ciuchy – rozkazuje, teraz już z poirytowaniem.

– Nie mogę!

– Pewnie, że możesz! – Podnosi głos.

– Cii! – ucisza nas Kate.

– Nie, ja fizycznie nie mogę. Crevan mi coś wstrzyknął. Nie czuję nóg.

Wszyscy patrzą na mnie. Widzę strach w ich oczach. Trzeba zmienić plan. Bo jak zwać, skoro nie mogę chodzić?



Wyniesiemy cię stąd – decyduje Carrick. – Do roboty.

– Daj spokój, Carrick, będą zadawać pytania. To się nie uda – kłócę się.
Siostra ściąga mi koszulę przez głowę.

– Proszę, zostaw, Juniper.

– Przestań Celestine – ucina z irytacją. – To jedyne sposoby.

– Ale mama i tata nigdy mi nie wybaczą.

– To był pomysł mamy. Sama zamieniłaby się z tobą miejscami, gdyby mogła.

Juniper wyskakuje z munduru. Kurtkę zarzucam na siebie sama, bo panuję nad górną częścią ciała, ale z bojówkami idzie mi mniej sprawnie. Carrick podbiega, żeby mi pomóc. Myślę o minionej nocy, kiedy jego dłonie dotykały mojego ciała, i może on myśli o tym samym, bo nasze spojrzenia się spotykają. Jego oczy są zielone z drobinkami w orzechowym kolorze. Koniec końców wcale mnie nie porzucił. Juniper zerka to na mnie, to na niego, po czym uśmiecha się zadowolona – nie mam wątpliwości, że się domyśla. Wciągają mi na nogi czerwone bojówki i wkładają buty na stopy, bez skarpetek, szkoda czasu.

Czuję mrowienie aż do kolan.

Widzę  na skroni i wewnątrz ręki swojej siostry.

– Mama je namalowała – tłumaczy nerwowo. Po chwili spogląda na mnie

łagodnie. – Wszystkie sześć. – Ona wie, to pierwszy raz, kiedy poruszyliśmy temat szóstego znamienia.

Dzięki swoim makijażowym zdolnościom mama stworzyła bardzo realistyczne blizny. Jako słynna modelka współpracowała z najlepszymi makijażystami, brała udział w wielu awangardowych sesjach. Udało jej się sprawić, że blizny Juniper wyglądają autentycznie, jak wypukłe rany, które ledwie pokryły się strupami. Carrick mnie podciąga, a Juniper siada na moim miejscu, ale nie jestem w stanie ustać. Nic nie czuję od kolan w dół.

Juniper widzi Gavina, Logana, Natashę i Colleen w pierwszym rzędzie.

– A niech to. – Kręci głową, ale jej spojrzenie nabiera surowości.

– Dziękuję – szepczę i ją całuję.

– Byłam ci to winna, a teraz idź zbawiać świat, moja mała siostrzyczko – mówi z oczami pełnymi łez.

Kiedy wróciłam do domu po naznaczeniach, czekałam dzień w dzień, aż Art mnie odwiedzi albo się ze mną skontaktuje. Nie zrobił tego. Zauważyłam, że Juniper co noc wymyka się ze swojego pokoju i pewnego wieczoru nakryłam ich razem w naszym sekretnym miejscu na szczycie. Wysnułam pochopne wnioski. Teraz jestem pewna, że łączyło ich całkowicie platoniczne uczucie. Żadne z nich nie chciało przysporzyć mi kolejnych zmartwień, ale trochę mi zajęło, zanim zdałam sobie z tego sprawę. Sądziłam, że oboje mnie zdradzili. Juniper i ja już zdołałyśmy się pogodzić, ale moja siostra nadal czuje, że powinna mi tamto cierpienie wynagrodzić. Taki akt miłości przekracza moje wszelkie oczekiwania. To niebezpieczne.

Kate wkłada mi hełm na głowę, podczas gdy Carrick utrzymuje mnie w pionie.

Stacey i strażniczka wracają. Idzie za nimi Tina, rozgląda się nerwowo. Mam nadzieję, że Carrick i Juniper przygotowali dobry plan. Mam nadzieję, że Tina ochroni moją siostrę. Oddaję jej kluczyki, a ona szybko je chowa.

– Możemy wychodzić. – Kate przemieszcza się w stronę drzwi. Gdy mija Tinę, podaje jej jakąś karteczkę. Kobieta wpycha świstek do kieszeni.

Carrick podtrzymuje mnie ramieniem. Jedna ze strażniczek mierzy mnie podejrzliwym spojrzeniem.

– Kopnęła mnie, głupia szmata – warczę. Staram się zmienić głos, jak tylko

potrafię.

Natychmiast spoglądają na Juniper, która siedzi na krześle i beznamiętnie gapi się w telewizor. Na nas już nie zwracają uwagi.

– Kopnęła ją – powtarza Stacey. – Mówiłam ci, że na mnie spojrziała.

– Nie wydaje ci się, że trochę inaczej wygląda?

– Sławni ludzie na żywo zawsze wyglądają inaczej.

– Lepiej położę ją na łóżko przed operacją – wtrąca się Tina. – Pomóżcie mi posadzić ją na wózku. – Bierze Juniper pod ramiona i podnosi, dwie pozostałe przytrzymują wózek. Juniper dobrze się spisuje, udając szmacianą lalkę.

Mijając mnie, Tina podaje mi karteczkę, ale nie tę, którą wcześniej dała jej Kate.

– Wiadomość do Zamku Highlandzkiego – oznajmia stanowczo, po czym wychodzi z sali i kieruje się na drugą stronę korytarza, przez który z takim trudem się przeprawiałam.

Uciekam, ale w sercu czuję obezwładniający ból, że zostawiam Juniper samą. Carrick mnie trzyma, a ja próbuję poruszać nogami, żeby wyglądało, że idę. Wiem, że używa całej swojej siły, żebym nie runęła. Za drzwiami twarz owiewa mi świeże powietrze. Niemożliwe, że ta akcja nam się udaje, po prostu niemożliwe.

Dochodzimy do furgonetki demaskatorów; w kierowcy rozpoznaję Marcusa, demaskatora profesora Lamberta i męża Kate.

Wsiadam, w środku widzę szerokie uśmiechy Mony i Lennox, oboje siedzą w strojach demaskatorów.

– Dzięki. – Obejmuję ich, a Mona mocno odwzajemnia uścisk. – Wszyscy z Vigoru bezpiecznie dotarli do domu profesora Lamberta? – pytam; w tej samej chwili Kate zasuwa drzwi auta i odjeżdżamy.

– Wszyscy z wyjątkiem Bahee – wyjaśnia Lennox. – Postanowiliśmy zrobić sobie małą wycieczkę i wyrzuciliśmy go gdzieś na drodze w mieście.

– Dokładnie tak, jak on wyrzucił Lizzie – dodaje Mona z płomiennym spojrzeniem. Zemściła się za przyjaciółkę. – Naprawdę sądził, że zabierzemy go do profesora Lamberta. A tak przy okazji, uhhh, niezła chata. Dobry wybór,

Celestine.

– Daję Bahee jedną noc, zanim zgarną go demaskatorzy – podejmuje Lennox. – Gość nie ma pojęcia, jak się o siebie zatroszczyć.

– A jeśli wszystko wygada Trybunałowi? – pytam.

Carrick wzrusza ramionami skonsternowany.

– Wątpię, żeby komukolwiek powiedział o Alphonie i profesorze Lambercie, bo przez ten cały czas byli jego ostatnią deską ratunku. Zresztą nie ma pojęcia o naszych planach.

Przy bramie wyjazdowej nie stoją strażnicy, więc to nie jest budynek o zaostrzonym rygorze bezpieczeństwa. Pewnie po prostu stoi gdzieś na uboczu, gdzie Crevanowi łatwo ukryć osoby, które mogą mu zagrozić. Wszyscy zaczynają ściągać mundury, a gdy Marcus wciska gaz do dechy, nie ma czasu na dyskrecję. Carrick podaje mi torbę ubrań – są z mojego domu, nie widziałam ich od tygodni. Pewnie przyniosła je Juniper. Odzyskuję czucie w nogach, ale nie na tyle, żebym sama dała radę ściągnąć spodnie. Carrick nic nie mówi, zaczyna rozwiązywać mi buty. Sam ten prosty gest sprawia, że do oczu napływają mi łzy.

Nikt z nikim nie rozmawia, wszyscy wstrzymują oddech.

– Dziękuję wam – powtarzam po raz kolejny.

– Możemy cię wyciągać z takich małych tarapatów, o ile ty wyciągniesz nas z tych wielkich – mówi Lennox.

Rozumiem. W końcu rozumiem. Wszyscy potrzebujemy siebie nawzajem, nie wszystko spoczywa na moich barkach. Oni też podejmują ryzyko.

– Jak mnie tu znaleźliście?

– Carrick cię śledził – odpowiada Mona.

Patrzę na niego, ale oczy ma spuszczone i siłuje się z moimi butami.

– Jak się skontaktowałaś z Juniper?

– Ostatni numer wybrany z telefonu Raphaela Angelo... – Unosi brew i patrzy na mnie krytycznie.

Tak, teraz dobitnie zdaję sobie sprawę, że dzwonienie do siostry nie było z mojej strony najmądrzejszym posunięciem.

– Co się stanie z Juniper? Oni chcą zrobić przeszczep skóry.

– Przeszczep skóry? – dziwi się Mona. – Jaki znowu przeszczep? Po co?

Nie wie o szóstym znamieniu.

Patrzę na Carricka ze zmartwioną miną.

– Spokojnie. Jest plan. Twoja mama wparuje tam z prawnikiem i policjantem, jak tylko damy znak, i zamknie cały ośrodek za to, że przetrzymywali nie tę córkę co trzeba.

Rozdziawiam usta.

– Uważacie, że to się uda?

– Uda się – potwierdza z przekonaniem demaskatorka Kate.

Reszta ekipy planuje powrót do domu Alphy i profesora Lamberta, gdzie wszyscy się ukrywają. Wyobrażam sobie Evelyn w różowej sypialni, którą ma tylko dla siebie, jak rozczesuje włosy lalkom... I nawet jeśli to miałoby być złudzenie, chcę, żeby czuła się bezpiecznie. Wiem, że Alpha zapewni jej najlepsze warunki, jakie tylko może. Furgonetka zatrzymuje się nie wiadomo gdzie, w pobliżu szeregu sklepów. Jest późno, wszystkie są zamknięte z wyjątkiem chińczyka na wynos.

– Wsiadamy tylko ty i ja. – Carrick rozsuwa drzwi auta, rozgląda się w prawo i w lewo, zanim wyskoczy na zewnątrz.

Chętnie wróciłabym do domu Alphy, wzięła kąpiel, zjadła, poszła spać i udawała, że nic takiego się nie zdarzyło, ale sprawy zabrnęły za daleko, żebym mogła sobie teraz odpuścić. Juniper zajęła moje miejsce. Zegar tyka. Muszę zrobić ile w mojej mocy, zanim się zorientują, że to nie ja.

– Powodzenia – woła za nami Kate, potem zasuwa drzwi.

I w ten sposób znów zostaliśmy z Carrickiem sami. Szpital, czy gdzie tam przebywałam, znajdował się poza miastem. Marcus i Kate wywieźli nas na obrzeża. Carrick znów mnie podtrzymuje. Rozglądam się za jakimś miejscem, w którym moglibyśmy się ukryć, nie żeby to miało wielkie znaczenie, bo jesteśmy w dość cichej, ustronnej uliczce i już zaszło słońce. Pod osłoną nocy łatwiej się schować, ale trudniej, gdy wybije godzina policyjna i zaczną się wzmożone kontrole, a to już niedługo.

– Co teraz? – pytam.

Spogląda na wnętrza swoich dłoni, jak gdyby coś z nich czytał.

– Uratować Celestine North, najpiękniejszą kobietę na świecie. Zrobione.
Śmieję się zaskoczona, takiego żartu się po nim nie spodziewałam.

– Następnie: przeprosić. – Patrzy na mnie. Dumę chowa do kieszeni. –
Przepraszam. Przepraszam, że nie powiedziałem ci o Enyi Sleepwell, ale
musisz wiedzieć, że miałem dobre intencje. Wszystko, co zrobiłem, było dla
Naznaczonych, dla ciebie i dla mnie. Nigdy nie chciałem cię zranić. Nic
z tego, co zaszło, nie było żadnym podstępem. Ja tylko bardzo staram się
pomóc.

Ma dobre serce – wiem o tym i nie chcę z nim więcej walczyć. Ale nic się
nie stanie, jeśli jeszcze przez chwilę się pomęczy. Czekam, aż powie coś
więcej.

– Sądziłem, że ratując ci życie, pokażę, jak mi przykro... no wiesz,
żebyśmy nie musieli gadać. – Przygryza wargi, żeby ukryć zadziorny uśmiech.

– Prawdę mówiąc, nie uratowałeś mi życia. Zamierzali zrobić mi
przeszczep skóry, a nie zabić mnie. Ale tak czy inaczej, doceniam, że zostałam
uratowana.

– Nic nie jest dla ciebie wystarczająco dobre – kwituje z rozbawieniem.

Przykładam dłoń do jego piersi na wysokości znamienia.

– Ty jesteś wystarczająco dobry. Chciałam móc kogoś za to wszystko winić.
Kogoś innego niż siebie. Kocham swoją rodzinę. Rozstanie z nimi sprawiło mi
ból. Nie umiem być sama, łatwiej mi, kiedy wina spada na kogoś innego.

Myślę o tym, że Juniper została sama w szpitalu, i przebiega mnie dreszcz.
Czy już się zorientowali, że ona to nie ja? Oby plan się powiódł, a Tina znów
pomogła. Wiem, że nie wyluzuję, dopóki nie zyskam całkowitej pewności, że
zarówno moja mama, jak i Juniper są bezpieczne.

– A ja zawsze byłem sam – mówi Carrick. – Przepraszam – szepcze
i przysuwa się, żeby mnie objąć. – Za to, co się stało w supermarkecie; za to,
że porzuciłem cię w górach. Ale jeśli to jakieś pocieszenie, jechałem za tobą
całą drogę. I tak przy okazji, zjeżdżałaś zdecydowanie za szybko.

– Miałam coś do załatwienia.

– Widziałem cię z Artem. – Wpatruje się we mnie wnikliwie.

Milczę.

– Słyszałem twoją rozmowę z Crevanem.

Spuszczam wzrok, czuję zażenowanie.

– Crevan wie o tobie – odzywam się w końcu. – Pewnie się zorientował, że mi pomagasz. Przepraszam. Próbowałam się z nim targować o naszą wolność, którą był nawet skłonny nam dać, ale nie mogłam tak porzucić całej reszty. Nie mogłam...

Czekam, aż zacznie na mnie krzyczeć, że zrobiłam coś strasznie głupiego, ale on wcale na mnie nie naskakuje.

– No powiedz, że jestem idiotką.

– Jesteś odważna, że spróbowałaś.

– Głupia.

– Trochę głupia. – Słyszę jednak uśmiech w jego głosie. – Ale dobrze zrobiłaś, że nie poszłaś z nim na żaden układ. Choć bardzo chcę uciec do innego kraju i żyć zupełnie wolny, nie mógłbym tego zrobić, wiedząc, że wszyscy tu zostaną.

Czuję ulgę, że podjęłam właściwą decyzję.

– Ostatnia noc to była najlepsza noc w moim życiu – wyznaję.

Dotyka dłońmi mojej twarzy, unosi mi podbródek i czule mnie całuje.

Zamykam oczy, delektuję się tą chwilą. Kto wie, kiedy znów będziemy mieli czas na takie rzeczy.

– Czemu tu wysiedliśmy? – pytam, gdy już odsuwamy się od siebie.

– Chcę, żebyś kogoś poznała.

– Kogo?

– Enyę Sleepwell.



Kiedyś sprzedawali tu telefony komórkowe. Teraz sklep jest zamknięty, w oknie tkwi tabliczka „na sprzedaż”, a szyby zostały zamazane farbą, żeby nie dało się zajrzeć do środka.

– Ona tam jest? – pytam zmieszana. Spodziewałabym się, że przyszła przywódczyni kraju będzie rezydować w bardziej wyrafinowanym miejscu.

– Kiedy masz wśród Naznaczonych tylu zwolenników, tak jak ona, nie możesz spotykać się z nimi gdziekolwiek. Trzeba uważać.

Dzwoni do drzwi – otwierają się natychmiast. Carrick nadal musi mnie podtrzymywać przy chodzeniu, ale wracają mi siły i przynajmniej dotrzymuję mu kroku, choć kuśtykam.

Wygląd wnętrza sklepu jest dla mnie zaskoczeniem. Wszędzie biurka i krzesła, białe tablice ze statystykami i wynikami sondaży. Laptopy podpięte do każdego gniazdka w zasięgu wzroku. Właściwie nikt nie zauważa mnie ani Carricka, tacy są wpatrzeni w wielki plazmowy telewizor na ścianie.

Na ekranie trwa wywiad Eriki Edelman z Crevanem. Sędzia ma na sobie elegancki garnitur, niebieską koszulę i tego samego koloru krawat – jego błękitne oczy połyskują w świetle lamp. Wygląda jak ktoś, komu można zaufać. Erica wystroiła się w szykowną spódnicę, która odsłania zgrabne nogi, i modną bluzkę. Perfekcyjna fryzura. To jedna z naszych najsłynniejszych dziennikarek telewizyjnych, która ma własny program. Politycy się jej boją, bo na oczach całego kraju potrafi każdemu utrzyć nosa.

Rozglądam się za Enyą Sleepwell, ale nigdzie jej nie widzę. Nie wiem nawet, co jej powiem. Carrick i inni okazują Enyi niesamowitą lojalność, ale od Alphy i Raphaela wyczuwałam raczej, że jeszcze nie zasłużyła sobie na zaufanie. Zarzucają jej, że wykorzystuje sprawę Naznaczonych, aby zrobić karierę. W sumie nie ma w tym nic złego, o ile dotrzyma słowa, kiedy znajdzie się u steru.

Stoimy na tyłach tłumu i oglądamy wywiad. Opieram się o ścianę, żeby nie stracić równowagi.

Crevan i Erica Edelman przechadzają się po miejscu, w którym dorastał przewodniczący Trybunału, co nagrano wcześniej. Sędzia pokazuje dom rodzinny, swoje piłkarskie trofea, zdjęcia dziadków, rzeczy, dzięki którym myślimy, że pochodzi ze wspaniałej rodziny. Powrót do studia. To znaczy – do jego salonu. Rzadko z niego korzystał. Piękny kominek, półki z książkami, ściany pełne zdjęć Arta jako małego chłopca. Są przysunięte bliżej, żeby było je dobrze widać w kadrze, gdy kamera łapie Crevana. Zauważam, że moje zdjęcia zostały usunięte.

– Na początek może poznajmy pana bliżej, panie Crevan. Nawet pana imię jest nietuzinkowe. Skąd się wzięło? Dlaczego „Bosco”?

Podoba mi się, że Erica nazywa go „panem Crevanem”, a nie „sędzią”, bo to natychmiast odbiera mu oręż, sprawia, że znów staje się człowiekiem. Wiem, że za każdym razem, gdy dziennikarka zwraca się do niego w ten sposób, Crevan czuje się o kilka centymetrów niższy.

– To po mojej babce. Była Włoszką, nazywała się Maria Bosco. To porządne nazwisko, więc rodzice postanowili w taki sposób uhonorować tę wspaniałą kobietę.

– Maria Bosco, żona Mitcha Crevana, który zapoczątkował powstanie Trybunału.

– Zgadza się. On oraz wspaniały premier naszego kraju David Liptak powołali pierwszy Trybunał, który miał być tymczasowym organem. Jego zadanie polegało na tym, żeby przyjrzeć się nagannemu postępowaniu rządu.

– Ale to pana ojciec rozwinął tę instytucję.

– To mój ojciec wraz z innymi mężami stanu doprowadził do zinstytucjonalizowania Trybunału. Nadał mu obecny kształt.

Erica wnikliwie przygląda się Crevanowi, jej brązowe oczy próbują spenetrować jego duszę.

– Proszę nam opowiedzieć trochę o swoim dzieciństwie.

– Było bardzo szczęśliwie, dwóch braci, jedna siostra Candy... – I tak zaczyna kreślić sielski obraz rodziców i dziadków, którzy ciężko pracowali i zebrali z tego plon.

– Wprost wzorowa rodzina, panie Crevan – kwituje Erica. – Wróćmy do pana młodszych lat. Proszę powiedzieć o karach, jakie stosował wobec pana ojciec.

Crevan się śmieje.

– W pani ustach brzmi to tak... drakońsko. To były te same środki dyscyplinujące, które mój ojciec poznał od swojego ojca, a mój dziadek od swojego. To nie... – Wzrusza ramionami. – Proszę mi wierzyć, w tamtych czasach istniały gorsze metody wychowawcze... – Uśmiecha się, próbuje zakończyć ten temat.

– Proszę mówić dalej – nalega reporterka.

Crevan prostuje plecy i coś sobie usilnie przypomina.

– Ta metoda wychowawcza zasadzała się na siedmiu głównych wadach charakteru. Bez względu na to, jakie było nasze przewinienie, musieliśmy nosić na szyi tabliczkę z wypisaną nazwą wady.

– Nosił pan tę tabliczkę po domu?

– Nie, nie. – Uśmiecha się, jakby to wspomnienie go bawiło. – Musieliśmy ją nosić wszędzie. Na trening piłki nożnej, do szkoły, dokąd tylko się wybieraliśmy. Pamiętam, jak Candy poszła na pierwszą randkę ze znaczkiem „Chciwość” na szyi. – Śmieje się w głos. – A Damon miał na szyi „Upór” podczas finałowego meczu piłki nożnej. Ale szybko wyciągaliśmy wnioski. Chcę przez to powiedzieć, że we wczesnym wieku nauczyliśmy się rozpoznawać swoje zachowania. Dowiedzieliśmy się, jakie mamy dominujące cechy i jak je kontrolować.

– Nauczył się pan tego w wieku trzynastu lat.

– W wieku trzynastu lat poznałem metodę. Nauczenie się wszystkiego zabrało nam nieco więcej czasu. – Znow się śmieje.

– Proszę mi opowiedzieć o tych wadach, tych dominujących cechach, o których pan wspomniał. I jaki cel miała kara?

– W skrócie... każdy z nas ma dominującą cechę, która jest przymiotem negatywnym. Od czasu do czasu przejmuje ona kontrolę, co prowadzi do pewnego wypaczenia, do groteskowej skazy na charakterze.

– Proszę wymienić te siedem cech. Czy są takie same jak siedem grzechów głównych?

– Dyscyplina, jakiej uczono mnie w dzieciństwie, nie jest częścią działalności Trybunału. – Znów śmiech. – Sądziłem, że będziemy rozmawiać o Trybunale i dementować niektóre z kłamstw rozpowszechnianych przez Partię Niezbędnych, bo to akurat interesuje mnie o wiele bardziej.

– Wpajanie dyscypliny to element pana dzieciństwa. To korzenie Trybunału, jestem więc ciekawa – uzasadnia Erica.

Crevan powoli wciąga powietrze przez nos. Widzę, że jest zły, ale próbuje to ukryć.

– Istnieje siedem skaz na charakterze. Umniejszanie własnej osoby, czyli marginalizowanie i niedocenywanie siebie. Taki człowiek ma kompleks niższości. Autodestrukcja, czyli karanie i czynienie krzywdy. Taka osoba żyje w stanie stałego konfliktu, który sprawia, że chciałaby od siebie uciec. Męczeństwo to cecha kogoś, kto uchyla się od odpowiedzialności. Upór to opieranie się zmianie, nawet tej dobrej. Chciwość to samolubność, pobłażanie sobie, nadmierna konsumpcja. Arogancja to kompleks wyższości, potrzeba, by być postrzeganym jako ktoś lepszy niż inni, bo bycie kimś zwyczajnym jest nie do zniesienia. Niecierpliwość to nietolerancja przeszkód i opóźnień.

– Czy stosował pan te metody wobec swojego syna Arta?

Crevan jest wyraźnie spięty.

– Mój syn ma osiemnaście lat.

– A kiedy był dzieckiem?

– Nie – odpowiada ostro. Wierci się na krześle.

– Czy to spotkało się z aprobatą pana ojca i dziadka? Dyscyplina zdaje się pewnego rodzaju tradycją w rodzinie Crevanów.

Marszczy brew na pozornie niedorzeczne pytanie.

– Mój syn nie wymagał metod dyscypliny, co potwierdza moją teorię, że ludzie się zmieniają. To nowe pokolenie jest czystsze. Rok w rok liczba oskarżonych o posiadanie skazy spada.

– Można też stwierdzić, że w zamian zastosował pan rodzicielską dyscyplinę wobec całego kraju.

Crevan śmieje się, udaje, że ta analiza go bawi.

– Całkowicie nieprawdziwe stwierdzenie.

– Czy ludzie w tym kraju żyją w strachu? Tak stwierdziła Enya Sleepwell, otwierając wczorajszą debatę. Czy to, co określa pan jako zmianę w ludziach, to tak naprawdę nie paralizujący strach, obawa przed popełnieniem błędu, podjęciem decyzji, ryzyka, aby nie zostać ukaranym, wykluczonym ze społeczeństwa?

– Nie, nie zgadam się z Enyą. Znów. Teraz ludzie myślą, zanim coś zrobią.

– I jeśli robią tak ze strachu, to pana zdaniem jest to w porządku? Czy naruszyliśmy granicę demokracji?

– Litości – odpowiada poirytowany. – Żyjemy w demokratycznym kraju, za dwa dni nasi wspaniali rodacy będą mogli oddać swój głos i sprawić, że zostanie usłyszany.

– A co jeśli ludzie zagłosują na Partię Niezbędnych, której głównym celem jest obalenie Trybunału?

– Tak się nie stanie – odparowuje Crevan z przekonaniem. – Partia Niezbędnych jest niedoświadczona. Niewiele wiemy o tym, jakie Enya Sleepwell i jej zwolennicy mają stanowisko w innych sprawach poza tym, że nie zgadzają się z Trybunałem. Zastanawiam się przez to, co pani Sleepwell chce ukryć. Dlaczego Trybunał napawa ją takim przerażeniem?

– Może po prostu dlatego, że uważa go za niehumaniczny – sugeruje Erica.

W sklepie wybuchają radosne okrzyki.

Dziennikarka zmienia temat.

– Otrzymałam informację, że w pana sprawie rozpoczyna się dochodzenie.

– No proszę, rewizja Trybunału – mówię cicho, kręcąc głową.

– To prywatne rządowe dochodzenie, wszyscy czytaliśmy gazety – odzywa się czyjś głos tuż przy moim uchu.

Kiedy się odwracam, widzę koło siebie Enyę Sleepwell.



Crevan wygląda na rozkojarzonego, ale udaje mu się jakoś sobie poradzić z tym, co się zadziało na żywo w telewizji.

– Często prowadzono dochodzenia dotyczące Trybunału. Niektóre sprawy wymagały dalszych wyjaśnień albo szczegółów. Zawsze ktoś nas pilnuje, żeby wszystko odbywało się zgodnie z przepisami, i słusznie – tłumaczy.

– Tylko że to dochodzenie bezpośrednio odnosi się do pana. Można przypuszczać, że będzie dotyczyć jakichś bardziej kontrowersyjnych z pana spraw, zwłaszcza ostatniej sprawy niesławnej Celestine North. Niektórzy uważają, że została niesłusznie skazana i że kara sama w sobie jest naznaczona skazą.

Serce zaczyna mi łomotać na dźwięk własnego nazwiska.

Crevan przez moment nie zabiera głosu.

– Z przyjemnością podam śledczym wszelkie informacje odnoszące się do Celestine North, ale nic mi nie wiadomo na temat tego dochodzenia, więc nie zamierzam go z panią omawiać. Mogę zapewnić, że jak zwykle zrobię wszystko, żeby została wymierzona sprawiedliwość. – Crevan zaciska zęby, czeka na kolejny atak, próbując ukryć gniew.

– Ostatnie pytanie. Gdyby pana ojciec i dziadek żyli, jaką tabliczkę zawiesiliby panu na szyi dzisiaj? Jaka jest, cytując pana słowa, pańska „groteskowa skaza na charakterze”?

Zastanawia się nad tym, a na usta występuje mu cyniczny uśmieszek.

– Chciwość – odpowiada w końcu. – Chcę bardzo wiele, może nawet zbyt wiele dla swojego kraju i swoich rodaków. Chcę dla nas tego co najlepsze i odnoszę wrażenie, że ludzie mogą mnie przez to postrzegać tak, jak ja w dzieciństwie postrzegałem swojego ojca, i w pełni to rozumiem. Jeśli muszę odgrywać rolę złego policjanta, aby nasze społeczeństwo stało się lepsze, to niech będzie, ale ludzie podziękują mi za to tak, jak ja podziękowałem swojemu ojcu. Liczba skazywanych Naznaczonych maleje. Ludzie się zmieniają. Od razu potrafią rozpoznać, co jest właściwe, a co nie. Teraz obowiązują inne zasady moralne niż w czasach mojego dziadka, kiedy kraj był w finansowej ruinie i chylił się ku upadkowi.

– Można powiedzieć – wtrąca się Erica – że nasi obecni przywódcy wyciągnęli wnioski z doświadczeń poprzedników, z ich błędów. I za to możemy im podziękować.

Nie jest to konkluzja, która przysłała Crevanowi do głowy lub która mu się podoba, ale i tak się śmieje, a właściwie parska śmiechem.

– Przygotowując się do tego wywiadu, rozmawiałam z Markiem Houstonem... – Erica przegląda kartki, które ma na kolanach.

Crevan robi pogodniejszą minę.

– Mark. Mój szkolny przyjaciel. Nie widziałem go od lat. – Pochmurnieje, czekając na to, co nadciąga, podczas gdy Erica sprawdza notatki.

– Zapytałam Marka, czy pamięta wychowanie w dyscyplinie, jakie stosowała pana rodzina. Czy pamięta, jak przychodził pan do szkoły, na trening, do kina, gdziekolwiek się wybieraliście, z tabliczką na szyi. Pamiętał. Zapytałam, która z wad pojawiała się wypisana najczęściej. I wie pan, co powiedział?

– Nie, ale jeśli on pamięta takie najdrobniejsze szczegóły, to jego pamięć jest dużo lepsza od mojej. – Szeroki uśmiech.

– Powiedział, że bez trudu to zapamiętał, bo to zawsze była ta sama dominująca cecha. – Spogląda na kartkę. – Arogancja... która zgodnie z pana wcześniejszym wyjaśnieniem oznacza kompleks wyższości. Przeniesienie siebie, potrzeba bycia postrzeganym jak ktoś lepszy od innych, ponieważ bycie zwyczajnym jest nie do zniesienia.

Furia na twarzy Crevana wręcz eksploduje. Nie sposób jej przeoczyć.

– Dziękuję za dzisiejsze spotkanie, panie Crevan... bardzo pouczające. – Erica uśmiecha się do kamery.

W sztabie wybuchają oklaski i okrzyki, kiedy wywiad dobiega końca. Światła pozostają przytłumione. Jedni dyskutują ze sobą na temat wywiadu, inni siadają przed komputerami, żeby sprawdzić opinie w internecie. Tworzą sondaże, opracowują taktyki wyborcze.

– Nie wyglądasz na szczególnie zadowoloną – zwraca się do mnie Enya.

Kręcę głową.

– Będzie wściekły.

A wiem, jaki potrafi być Crevan, gdy jest wściekły.



Miło cię w końcu poznać. – Enya wyciąga do mnie rękę. Jej uścisk jest mocny, skóra ciepła.

– Ciebie też. – Słyszę niepewność w swoim głosie. – Obalisz Trybunał, gdy dojdiesz do władzy?

Uśmiecha się.

– Od razu przechodzisz do rzeczy, co? Tutaj nie używamy słowa „gdy”, tylko „jeśli”. – Unika odpowiedzi na moje pytanie. – Chodź, porozmawiajmy na osobności. – Prowadzi mnie za sobą.

Carrick z lekkim podenerwowaniem patrzy, jak odchodzę. Boi się pewnie, że osmielę się obrazić kobietę, którą tu wszyscy uważają za bohaterkę.

Enya kładzie mi dłoń na plecach i kieruje do małego gabinetu, oddalonego od sztabu wyborczego i panującego w nim zgiełku. W środku siedzi jakaś grupka; szybko nas zauważają i opuszczają miejscówkę.

Enya podpira się o stół i skupia na mnie swoją całą uwagę.

– Nie ufasz mi. Dlaczego?

– Nikomu nie ufam – odpowiadam zwyczajnie.

– To zrozumiałe.

– Wiem, że Carrick ci ufa. Wierzy w ciebie, tak samo jak ludzie tutaj – zataczam głową półkole – oraz tysiące w całym kraju, którzy cię popierają. Ja po prostu jeszcze nie zyskałam dobrego powodu. – Przełykam ślinę. – Mam

tylko nadzieję, że nie zrobisz zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni, jeśli dojdiesz do władzy.

– Nie, nie zmienię wtedy poglądów. Zrobię co w mojej mocy, aby dotrzymać obietnic.

– A jakie są twoje obietnice?

– Sprawiedliwe traktowanie Naznaczonych. Restrukturyzacja Trybunału – wymienia.

– Restrukturyzacja? Sprawiedliwe traktowanie? To za mało. Musimy się go pozbyć.

– Chcesz go całkowicie obalić? – pyta z zaniepokojeniem. – Nie możemy tego zrobić od razu, Celestine. Tu potrzebne są małe kroki.

– Małe kroki nic nie pomogą w kraju, który potrzebuje wielkich susów.

Zastanawia się nad tym.

– Możesz mi zaufać, że dotrzymam słowa danego Naznaczonym. A jeśli nadal będziesz godnie reprezentować Naznaczonych, pokazując całemu krajowi, że to ludzie, a nie potwory, to nie pomagasz tylko mnie. Pomagasz sobie. Jesteś inspirującą młodą kobietą, Celestine. Ten kraj już od jakiegoś czasu potrzebował kogoś takiego jak ty, kto rozpocząłby dialog o Naznaczonych. Zainspirowałaś mnie, co na pewno widzisz po sloganie kampanii.

Kiwam głową.

– To... To miłe.

– Co w takim razie ja mogę zrobić dla ciebie?

Patrzę na nią z niedowierzaniem.

– Chyba już pora, żeby ktoś ci pomógł, nie sądzisz?

– Pomagałabyś Naznaczonemu. I zbiegowi – podkreślam rzecz oczywistą.

– Rozejrzyj się, Celestine.

Patrzę przez szybę na ludzi w głównym pomieszczeniu, zauważam opaski z literą © na większości rękawów i kilka odsłoniętych blizn.

– Ja tu nikomu nie pomagam – tłumaczy. – Z mojej perspektywy to oni pomagają mnie.

Uśmiecham się.

– Dobra strategia obrony. – Moje nogi nadal są słabe i nagle czuję, że muszę usiąść.

– Nic ci nie jest?

– Crevan mnie schwytał, wstrzyknął jakiś środek paralizujący i zawiózł do ukrytego ośrodka Trybunału. Udało mi się uciec.

Patrzy na mnie zaszokowana, mija chwila, zanim słowa naprawdę do niej docierają.

– Co się z nim stało, Celestine? Dlaczego ma taką obsesję na twoim punkcie?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Ale to coś istotnego.

Kiwam głową.

– Grubego.

Robi wielkie oczy.

Podejmuję decyzję.

– Pracuję nad tym, żeby prawda o Crevanie wyszła na jaw. Wchodzisz w to?

– Zrobię, co w mojej mocy.

Opuszczamy biuro, Enya prowadzi mnie do mężczyzny, który siedzi zgarbiony przy komputerze, z dala od zgiełku, w cichym rogu. Przed nosem ma największy monitor, jaki w życiu widziałam, otoczony trzema laptopami i mnóstwem kabli. Facet ma na głowie słuchawki i jest wyraźnie skupiony na nagraniu lejącym na monitorze – Enya Sleepwell podczas kampanii.

– Pete montuje audycję wyborczą – tłumaczy Enya. – Ma być nadana jutro wieczorem. – Kładzie mężczyźnie dłoń na ramieniu, a on ściąga słuchawki. –

Pete, ta dziewczyna potrzebuje twojej pomocy. Daj jej wszystko, czego zechce.

Nabuzowana emocjami biorę od Pete'a, co tylko mogę: wciskam do plecaka laptopa, telefon i ładowarki. Wyczuwam za sobą obecność Carricka.

– Właśnie rozmawiałem z Tiną. Ponieważ nadal śpisz, doktor Green

postanowiła przenieść zabieg na jutro rano. Bo teraz już za późno na operację. Więc jest trochę czasu. Twoja mama wkroczy tam z samego rana.

Czuję, jak robi mi się niedobrze na myśl, że Juniper będzie musiała spędzić całą noc w tym okropnym miejscu. A biorąc pod uwagę, że Crevan jest wściekły po katastrofalnym wywiadzie z Ericą Edelman, wszystko może się zdarzyć. Boję się też tego, jak mama sobie poradzi. Czy to naprawdę zadziała? Czy rzeczywiście tak po prostu przeproszą i pozwolą im obu zwyczajnie sobie pójść? Zaczynam się pakować z jeszcze większą zaciętością.

– Możesz wziąć te wszystkie rzeczy? – pyta półszepem.

– Enya powiedziała, żebym brała, czego tylko mi potrzeba.

Carrick unosi brew.

– Miła jest – przyznaję w końcu.

– Co zamierzasz? – Obserwuje mnie bacznie.

– Złożymy komuś wizytę.

– Komu?

Myślę o radzie, której udzielił mi Raphael Angelo. Zamiast przed czymś cały czas uciekać, najlepiej zmierzyć się z tym oko w oko.

Kartka, którą podała mi Tina podczas ucieczki, zawierała adres, ale nic więcej – żadnego nazwiska, żadnych wyjaśnień. Nie były mi jednak potrzebne. Dokładnie wiedziałam, kto tam mieszka.

– Jedziemy odwiedzić Mary May.



Za każdym razem, kiedy czuję się zagubiona, myślę o rzeczach, które wiem na pewno. Kto jest przeciwko mnie, a kto po mojej stronie. Komu mogę ufać, komu nie i jak wykorzystać jednych i drugich. W dużym uogólnieniu: kto jest przeciwko mnie? Ludzie bez skaz. Kto jest ze mną? Naznaczeni.


Nie możemy ryzykować i wrócić do samochodu Leonarda ani minicoopera Raphaela o tak późnej porze, a zabranie jednego z samochodów Enyi nie wchodzi w grę. Oskarżenie jej o udzielenie mi pomocy zepsuje wszystko, czego dokonała, by zyskać zaufanie ludzi. Musimy znaleźć się wśród naszych, a jedyny transport, z którego możemy skorzystać, aby w miarę spokojnie dostać się do domu Mary May, to autobus kontrolny.

Mary May mieszka za miastem, za przedmieściami, niedaleko jeziora. Wyobrażałam ją sobie w domu z gospodarstwem, gdzie hoduje się na przykład konie, ale może zwierzęta też za nią nie przepadają. Mają dodatkowy zmysł, którym wyczuwają takich jak ona. Jezioro mnie zadziwia. Jest piękne, magiczne, otoczone falistymi pagórkami, udekorowane cieniami chmur i górską mgłą. Rodzina mojej przyjaciółki Marleny ma tu drugi dom. Przyjeżdżała w te okolice w prawie każdy weekend, czasem mnie zapraszali. Mama brała nas też na przejażdżki wokół jeziora, lubiła oglądać wschody słońca w tym plenerze. W końcu zaczęłyśmy jęczeć z Juniper, że to nuda, więc od pewnego czasu jeździła sama. Mam teraz wyrzuty sumienia z tego powodu.

Carrick i ja nie wiemy na pewno, czy nagranie jest w rękach Mary May, ale

to nasz jedyny trop. Juniper powiedziała mi, że Mary May ogołociła mój pokój, załadowała worki do swojego prywatnego samochodu i nie była wtedy ubrana w służbowy uniform. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co to mogły być za ciuchy, ani uwierzyć, że ma cokolwiek, co nie wchodzi w skład munduru demaskatorki. Wiem za to, że Crevan musi wywierać na nią ogromną presję, żeby znalazła mnie i nagranie. Była za mnie odpowiedzialna i wypuściła mnie z rąk. Jeśli zabrała gdzieś cały mój bałagan, to na pewno do swojego domu, gdzie może wszystko przeczesywać po pracy. To tylko rzeczy, ale dziwnie mi myśleć, że są w jej domu. O misiach, które coś dla mnie znaczą, zdjęciach, książkach, ubraniach, pamiątkach... jedynych przedmiotach, które mi zostały i które sobie przywłaszczyła.

Juniper przyniosła mi czapkę z daszkiem, którą nasuwam nisko na czoło; rozpuszczam włosy, żeby zasłonić znamię na skroni. Założyliśmy opaski – dostaliśmy je w gabinecie Enyi – to dla pewności, że nie będziemy się wyróżniać. Osoba bez opaski w autobusie dla Naznaczonych wywołałaby alarm, zaraz włączyłyby się syreny. Minęły tygodnie, odkąd ostatnio nosiłam opaskę, więc teraz, nasuwając ją na ramię, mam wrażenie, jakby ktoś przygniótł mnie wielkim ciężarem. Myślę, że Carrick czuje to samo, jego zachowanie całkowicie się zmienia, gdy wsuwa na rękaw opaskę. Ale podejrzewam, że o to właśnie chodzi – mamy się czuć gorsi, upokorzeni i wyizolowani ze społeczeństwa.

Carrick przynajmniej nie musi codziennie pokazywać swojego znamienia. Kiedy pojawiły się opinie, że wypalenia są bardziej krzywdzące dla tych, którzy mają je w widocznych miejscach, wprowadzono opaski z , aby wyrównać tę „niesprawiedliwość”.

Stajemy na zatłoczonym przystanku pełnym Naznaczonych, ludzi takich jak my. Carrick też zsuwa nisko czapkę z daszkiem i trzyma się tuż przy mnie, wzrok wlepia w ziemię. Ustawiam się do pozostałych plecami.

Kiedy podjeżdża autobus, każdy Naznaczony przykładą swój identyfikator przy wejściu i siada w środku.

– Nie mamy identyfikatorów – szepcze Carrick.

– Mamy. – Sięgam do plecaka i podaję mu dwie karty, które pożyczyłam od zespołu Enyi. Jeśli tak się o nich troszczy, to pomoże im załatwić nowe.

Carrick zerka na mnie zaskoczony i śmieje się – podziwia moją zaradność.

To co, że jestem Harlanem Murphym, trzydziestoletnim analitykiem komputerowym, a on Triną Overbye, czterdziestokilkuletnią bibliotekarką.

W autobusie spuszcza wzrok i siadamy w tylnym rzędzie. Nie wiem, czy ktoś na mnie patrzy, bo ja nawet nie zerkam na nikogo.

W autobusie Naznaczonych powinnam się czuć bezpiecznie, a jednak się boję. Na monitorze na przodzie pojawia się komunikat. Sponsorowany przez Trybunał, tak jak wszystkie w środkach transportu dla Naznaczonych. Pokazują zdjęcie Carricka. Serce zaczyna mi łomotać; mocno szturcham Carricka łokciem, żeby zwrócić jego uwagę.

Fotografię zrobiono w Zamku Highlandzkim, gdzie został przyprowadzony przez demaskatorów. Rozpoznaję tło, jak ze zdjęcia z policyjnej kartoteki. Carrick patrzy prosto w obiektyw z czystą nienawiścią i jadem. Wygląda jak stuprocentowy zbir: kark szeroki, mięśnie ramion nabrzmiące. Pod zdjęciem mruga napis ZBIEG.

Rozlega się głos spikerki, energicznej zastępczyni Pii Wang.

„Carrick Vane ukrywa się wraz z Celestine North. Jest jej współnikiem. Jeśli ich widziałeś, zadzwoń pod wskazany numer, a dostaniesz nagrodę”.

Zaproponować Naznaczonemu nagrodę to jak puścić dziecko samopas w sklepie z cukierkami.

– Juniper – mamroczę do Carricka. – Wiedzą, że ona to nie ja. Nasz czas się skończył.

– Nie, o tobie nic nie mówią – odpowiada. – Patrz.

Ma rację. Komunikat dotyczy wyłącznie Carricka. Crevan nadal musi być przekonany, że trzyma mnie w szpitalu, więc teraz musi uciszyć Carricka. Rano moja mama i jej ekipa zrobią nalot na szpital, wtedy sędzia się połapie, że znów mu zwiałam. Zażąda mojej głowy na talerzu.

Kobieta na miejscu przed nami odwraca się i wlepia w nas wzrok. Podnoszę oczy – w naszą stronę odwraca się jeszcze kilka osób.

– Jest okej. – Carrick dalej gapi się w podłogę.

Nie, nie jest; w pewnym momencie wszyscy pasażerowie odwracają się, żeby na nas popatrzeć. Niektórzy stukają w telefony.

Nagle autobus zatrzymuje się na poboczu, a serce zaczyna mi mocno walić.

Trzymamy się z Carrickiem za ręce – ja siedzę przy oknie, on przy przejściu. Gładzi kciukiem moje znamię po wewnętrznej stronie dłoni. Nie wiem nawet, czy zauważa, że to robi. Jak gdyby strzegł moich ran i otaczał opieką wszystko to, co świat uważa za ohydne.

Kierowca wstaje i zwraca się pasażerów:

– Wysiadać. Idźcie do kawiarni, napijcie się kawy, odlejcie się, co tam chcecie.

Rozlegają się jęki, narzekania, kilka osób robi zmartwione miny.

– Co się dzieje? – szepczę.

Carrick wzrusza ramionami.

– Nie, nie, nie. Nie mam najmniejszego zamiaru – krzyczy mężczyzna w średnim wieku, zrywa się na równe nogi. – Już trzeci raz w tym tygodniu mój autobus jest opóźniony. Nie ma mowy. Wysiadamy, a potem nagle okazuje się, że nie możemy wsiąść z powrotem. Problemy z silnikiem, problemy z oponami. I co jeszcze? Znowu wracam do domu po godzinie policyjnej i dostaję karę. Nigdzie się stąd nie ruszę. – Krzyżuje ramiona na piersi.

Niektórzy zaczynają bić mu brawo.

– Ktoś nas tu wrabia – krzyczy inny pasażer, a owacje się wzmagają.

Większość nie chce robić zamieszania i bez słowa opuszcza autobus. Zostaje około sześciu osób.

– Słuchajcie – zaczyna kierowca z westchnieniem. – Dostałem polecenie. Przed chwilą tak mi przekazano przez radio. Mam się zatrzymać na poboczu i czekać na mechanika. Ja po prostu robię, co mi każą.

Pasażerowie wyzywają się na nim, lekceważąco machają rękami. Nikt więcej nie wstaje.

– Powinniśmy wsiąść – mówi Carrick i już się unosi, ale ja przytrzymuję go na miejscu.

– Zaczekaj.

Problem Trybunału z autobusami dla Naznaczonych jest taki, że wszyscy, którzy nimi jeżdżą, mają skazę. Nie wolno nam zbierać się w grupy większe niż dwie osoby i w autobusach kontrolnych nie jest inaczej. Na początku w każdym autobusie był demaskator, ale okazało się to zbyt kosztowne, więc

demaskatorzy zaczęli je prowadzić. Ale wtedy, tuż przed wyborami, kierowcy autobusów zastrajkowali, twierdząc, że odbiera się im chleb. Rząd chciał stworzyć nowe miejsca pracy, więc oddał stanowiska kierowców cywilom. Wprowadzono za to kamery dla pewności, że nikt nie planuje rebelii.

Starsza kobieta odwraca się do nas.

– Nie możecie czegoś z tym zrobić?

Cała gromadka skupia na nas uwagę, w tym kierowca.

– Cholera – szepcze Carrick.

– Co wy kombinujecie? – Kierowca natychmiast nas rozpoznaje.

– Jakby zamierzali ci powiedzieć – odburkuje mu starsza kobieta. – Młodzi są, całe życie przed nimi, robią dokładnie to, co my wszyscy powinniśmy robić od samego początku.

Uśmiecham się do niej z wdzięcznością.

– Słuchajcie. – Kierowca podnosi dłonie. – Mam naznaczonego wnuka. Dopóki mu się to nie przydarzyło, nie mogłem na was nawet patrzeć. Można powiedzieć, że po tym otworzyły mi się oczy.

Cisza.

– Nie chcę siedzieć z tą dwójką w jednym autobusie – krzyczy inna kobieta. – Będziemy mieć kłopoty już przez samo to, że was widzieliśmy. Wystarczająco się przez was nacierpieliśmy. Powinnaś siedzieć cicho i być posłuszna, Celestine North. Przestań ściągać na nas kłopoty.

Staję na niepewne nogi i mówię:

– Jestem po waszej stronie, pamiętacie? Próbuję udowodnić, że nie mamy żadnej skazy. A nawet jeśli mamy, to nic w tym złego. Popełniliśmy kilka błędów i wyciągnęliśmy z nich wnioski. Potrzeba mi tylko trochę czasu, żeby zrealizować swój plan.

– Ona jedyna nas broni – odzywa się inna pasażerka. – A przynajmniej ona jedyna nie stosuje przemocy. Ci chuligani, co wywołują zamieszki, mają gdzieś naszą sprawę... Celestine działa przynajmniej pokojowo.

– Racja, ludzie ją lubią. Dobrze o niej mówią, sama słyszałam. Nie do końca wszystko rozumieją, ale trzymają jej stronę. Zastanawiają się, czy aby na pewno miała uczciwy proces. Ktoś da wiarę, że w ten sposób dyskutuje się

o Naznaczonej?

– I co z tego? – warczy jakiś mężczyzna. – Cała sprawa przycichnie, tak jak każde inne zamieszanie.

– Jakie zamieszanie? – odburkuje mu z oburzeniem starsza kobieta. – Naznaczeni nigdy nie zdobyli takiego poparcia. Musimy je wspierać, żeby rosło.

– Poparcie dla nas nie przycichnie – mówię do mężczyzny zdecydowanym głosem. – Nie pozwolę na to.

Kierowca wygląda tak, jakby próbował się odnaleźć w tej całej sytuacji, ostrożnie rozważał argumenty, jakby w swoim autobusie był i sędzią, i ławą przysięgłych.

– Czy dzięki tobie mój wnuk znów stanie się wolnym człowiekiem? – pyta.

– Zrobię co w mojej mocy.

Kiwa głową. Spogląda na Carricka.

– Pomagasz jej?

– Ona pomaga nam wszystkim.

– Dokąd jedziecie?

Podaję mu kartkę z adresem.

– Rozumiem, że to coś ważnego.

Przytakuję.

– Zawiozę ich tam, gdzie potrzebują. Czy ktoś ma z tym jakiś problem?

Ci, którzy wcześniej wyrażali wątpliwości, teraz siedzą cicho.

– Piśnecie komuś choć słowo, a powiem, że jesteście bandą kłamców, słyszycie? – grozi kierowca.

Kobiety przed nami podają nam ręce i życzą powodzenia.

– Wsiadam z tego autobusu wyłącznie z ich powodu – oznajmia facet, który wywołał cały sprzeciw. Spogląda na mnie. – Zrób to dla nas, Celestine. Dasz radę. – Mijając kierowcę, grozi mu palcem. – Masz ich zabrać tam, gdzie chcą.

Oczy wypełniają mi się łzami, taka jestem wdzięczna za ten gest. Muszę to zrobić dla nich, dla wszystkich.

Kierowca siada za kółkiem i zamyka drzwi. Odpala silnik, odjeżdżamy. Reszta pasażerów zostaje na poboczu. To w autobusie straciłam wiarę w ludzi. I w autobusie ją odzyskałam.



Kiedy wysiadamy z autobusu, jest już noc. Kierowca wysadza nas w okolicy, ale nie podjeżdża zbyt blisko domu Mary May, bo widok autobusu kontrolnego na niespodziewanej trasie mógłby zwrócić zbyt dużą uwagę.

Domek Mary May kryty strzechą stoi samotnie przy przystani rybackiej. Na podjazd prowadzi ostry skręt w prawo tuż przed końcem przystani, a ogród bezpośrednio graniczy z jeziorem. Przy brzegu dryfują rybackie sprzęty. W domu nie pali się światło. Modłę się w duchu, żeby nie było jej w środku, co znacznie ułatwiłoby sprawę, ale na razie nic nie toczy się gładko.

Idziemy po molo i przesadzamy murek okalający ogród, gdzie na zadbanym zielonym trawniku rosną bujne egzotyczne kwiaty, jest też mostek nad strumykiem. Malownicze lokum jak na takiego potwora.

Skradam się za Carrickiem, przykucam za krzakiem jeżyn, żeby dobrze przyjrzeć się domowi. Od jeziora znajduje się tylne podwórko, a tam zwykle toczy się życie. Plan był taki prosty: wejść do domu Mary May i zabrać nagranie, ale teraz, kiedy już się tu znaleźliśmy, widzę słabe strony mojego pomysłu. Kwestia: jak dostaniemy się do środka, to największa z luk.

– Jak to zrobimy? – szepczę.

– Dzwonimy do drzwi, wiążemy ją, przywalimy jej, czy będzie potrzeba, czy nie. Bierzesz kulę i znikamy.

Spoglądam na niego przekonana, że to najdurniejszy pomysł, jaki w życiu słyszałam.

– Jeśli zrobimy jej krzywdę, ściągniemy na siebie jeszcze więcej kłopotów. Będzie nas wtedy szukać także policja. Mary May to chluba demaskatorów.

– No to jej nie przywalimy. Tylko ją zwiążemy. Bardzo mocno.

– Carrick – fukam. – Musimy wymyślić coś lepszego niż przemoc.

Patrzy na mnie, mruga, jak gdyby nie rozumiał.

Klnę w żywy kamień – z planowaniem zostałam na lodzie. Rozumiem, że się denerwuję już na samą myśl o tym, co ryzykujemy, będąc tutaj. Przyglądam się domowi, próbuję wykombinować, jak by się tam włamać. Przy drzwiach na tyłach domu pojawia się jakaś postać. Wychodzi na zewnątrz, a my kulimy się za krzakami jeszcze bardziej.

– Cholera, to ona. – Musiała nas zobaczyć, bo kto o tej porze wychodzi sobie na spacer...

Starsza kobieta w koszuli nocnej przechadza się boso po trawie. Ma długie siwe włosy, splecione na boku w warkocz; w tym uczesaniu i stroju w ciemności wygląda jak duch.

Zostawiła uchylone tylne drzwi. Widzę, jak Carrick mierzy je wzrokiem. Wiem, o czym myśli, ale przecucie mi podpowiada, że popełnimy błąd, jeśli do nich pobiegniemy.

Kobieta wygląda jak starsza Mary May, więc od razu wiem, że to jej matka – jedyny prócz samej Mary May członek tej rodziny, który nie został naznaczony. Może demaskatorce przynajmniej trochę na niej zależało. Staruszka podnosi konewkę stojącą przy tylnych drzwiach i zaczyna podlewać podwieszony kosz z kwiatami. Nie ma wody.

Cmoka i wzdycha.

– Pusta – stwierdza z żalem. Spogląda w stronę jeziora i idzie przez ogród do brzegu.

– Okej. Ja biegnę do domu, ty zostajesz na czatach – szepcze Carrick.

– Czekał. – Chwytam go za ramię. Muszę to zrobić obiema rękami, żeby go przytrzymać. – Nie możemy jej tak zostawić. Jest bardzo blisko wody. A nuż wpadnie?

– Co ty masz z tym pomaganiem starszym ludziom? – Głos ma delikatny, a jego uścisk na mojej dłoni jest ciepły.

Kobieta kładzie się na trawie, wychyla ponad brzeg i próbuje dosięgnąć konewką tafli wody. Podchodzę do niej, wyjmuję jej konewkę z rąk i napełniam ją bez słowa.

Staruszka przygląda mi się z rezerwą, nie z chłodem, z ciekawością, jak gdyby próbowała ustalić, kim mogę być.

– Czy on dziś po mnie przyjdzie? – pyta słodkim głosem, prawie jak u dziecka.

Nie wiem, o co jej chodzi, więc nie odpowiadam.

– Nasz Pan. Przysłał cię po mnie. Dobrze. – Prostuje się. – Jestem gotowa. Znów zobaczę mojego Bobby'ego. – Spogląda na dom. – Powinam się z nią pogodzić. Oby Bóg był dla niej łaskawy. – Patrzy na mnie z nadzieją. – Dopuszcza się różnych rzeczy, sądząc, że postępuje słusznie. Jestem jej matką, pójdę przed Boga i wstawię się za nią. Ale inni... nigdy jej nie wybaczą. Może wybaczą choć mnie. To dlatego, że są Naznaczeni. Znów wyciąga się jak struna. – Cóż, nie pamiętam wiele, ale to akurat tak. Ona czegoś szuka. Wiesz czego?

Kiwam głową.

– Co wieczór idzie do garażu. Czy On wie, gdzie to jest? Jeśli tak, to wtedy chyba znalazłaby spokój. To doprowadza ją do...

W domu zapalają się światła, obie podnosimy wzrok.

– Idzie tu – szepcze staruszka. – Ile mam czasu, zanim pójdę do Pana?

Serce zaczyna mi łomotać na widok Mary May, która wychodzi na zewnątrz i puszcza się biegiem przez trawnik.

– Mamo! – krzyczy ze złością w głosie.

Przykładam palec do ust z nadzieją, że Carrick, który zawzięcie macha rękami, nie zwróci uwagi staruszki. Matka Mary May kiwa głową.

– Wrócisz po mnie?

Potakuję.

Uspokojona tą odpowiedzią, bierze konewkę, a ja szybko chowam się w ciemności za krzakiem. Carrick rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie, ale oboje się nie ruszamy, teraz nie mamy dokąd uciec, z wyjątkiem jeziora. Jeśli będzie trzeba, skoczmy. Obejmuje mnie w talii mocno, opiekuńczo.

Matka Mary May spogląda na jezioro, jakby się z nim żegnała, napawa się nim z poczuciem ostateczności, nie smutku. Jest zadowolona, pogodzona. Mam poczucie winy z powodu tego nieporozumienia, ale ona wydaje się szczęśliwa.

– Mamo! – Głos robi się teraz ostry, warkliwy. Mary May też jest w koszuli nocnej i niechętnie wlecze się po trawie ku matce.

– Chciałam nabrać wody do kwiatów – tłumaczy staruszka rozkojarzonym tonem. – Od wielu dni nie padał deszcz.

– Ile razy ci mówiłam, żebyś się nie wychylała nad brzegiem? To niebezpieczne! Mogłaś wpaść. Ale jak... skąd w tej konewce znalazła się woda?

– To anioł, litościwy anioł. On po mnie przyjdzie.

– Anioł? – szepcze Carrick, chowając twarz w dłoniach.

Nie chcę niczego wyjaśniać, boję się, że usłyszy mnie Mary May. Przy jej supersonicznym zmyśle demaskatorki i tak dziwne, że jeszcze mnie nie namierzyła. Bierze konewkę z rąk matki.

– Dość tych bzdur o aniele, jest noc, powinnaś być w łóżku. Jeszcze trochę, a będę musiała zamontować alarm.

Carrick i ja wymieniamy spojrzenia. Nie ma alarmu.

– Bobby zawsze mi mówił, że trzeba dbać o kwiaty.

– Tata nie żyje, mamo.

– Alice lubi zbierać płatki i używać ich w swoich pracach.

Mary May głośno wciąga powietrze przez nos.

– Nie waż się wypowiadać przy mnie jej imienia – syczy. Wylewa wodę z powrotem do jeziora, bierze matkę pod łokieć i prowadzi do domu.

– Gdzie oni są? – pyta staruszka rozpaczliwym, dziecięcym tonem. – Czemu nie chcesz mi powiedzieć? Chcę zobaczyć swoje dzieci. Chcę wiedzieć, czy są bezpieczne. Chcę się pożegnać.

– Nie musisz się z nimi żegnać, jesteś tu ze mną, nic ci nie grozi. Tylko ty i ja, nie potrzebujemy innych.

Patrzemy z Carrickiem, jak wchodzą do domu.

– Jest jeszcze bardziej nienormalna, niż sobie wyobrażałem – mówi

półgłosem.

Mary May szkoli przyszłych demaskatorów. Myślę o Arcie i o tym, jak ta kobieta zatruwa jadem jego umysł. Kto wie, co mu o mnie naopowiadała. Mogła mu wmówić każde kłamstwo, a on pewnie w nie uwierzył. Czy ja znowu próbuję tłumaczyć Arta? Kręcę głową, żeby się go pozbyć ze swoich myśli.

W jednym z pokoi zapala się światło.

– Sypialnia matki – domyśla się na głos Carrick. – Gdzie, do cholery, szukać tej kuli? Może być wszędzie.

– W garażu. – Patrzę na dobudówkę.

– Skąd wiesz?

– Jej matka powiedziała, że Mary May szuka czegoś w garażu. To musi tam być.

Widzimy, jak demaskatorka mija tylne drzwi i zapala światło w kuchni. Idzie dalej do przyłączonego garażu. Przez dwa wysoko umiejscowione lufciki widać światło lampy. Do środka można wejść tylko przez dom albo wjechać z zewnątrz.

Słyszemy hałas przewracanych rzeczy, odgłosy przenoszonych pudeł, huk i trzask rozbijanych przedmiotów, a potem krzyk, pisk szaleńca. Odgłos jest niepokojący, jakby ktoś palił wiedźmę na stosie – to umęczony wrzask frustratki. Sądząc po odgłosach, można by pomyśleć, że Mary May demoluje pomieszczenie, aż się boję, że rozwali kulę i znajdzie schowane w środku nagranie albo je uszkodzi. Na zewnątrz jest chłodno, znad jeziora wieje lekka bryza. Trzęsę się, ubrana tylko w T-shirt. Carrick obejmuje mnie, całuje w szyję, a mnie od razu jest lepiej od ciepła jego ciała.

Mary May krząta się przez dwadzieścia minut, potem zapada cisza. Demaskatorka jest wyczerpana po napadzie szału. W garażu gaśnie światło, a ona pojawia się w kuchni, w zupełnym nieładzie: włosy wydostały się z zazwyczaj starannego koka i teraz sterczą jej w różne strony. Podchodzi do zlewu, pije wodę, patrzy przez okno, prawie jakby nas widziała. Znów zaczynam drżeć, a Carrick mocniej mnie obejmuje. Światło gaśnie, postać znika. Sypialnia Mary May znajduje się od frontu, a matki na tyłach, od naszej strony.

– Proponuję dać jej czterdzieści pięć minut, a potem wchodzimy – odzywa się Carrick. – Będzie potrzebowała chwili, żeby się uspokoić po tym ataku wściekłości.

Wzdycham ze zniecierpliwieniem.

– Nie możemy tak długo czekać. Jeśli Crevan się dowie, że jestem wolna, jak myślisz, do kogo pierwszego zadzwoni? Do niej.

– Mówiłem ci, że mamy czas. – Spogląda na zegarek. – Przesunęli operację na rano. Twoja mama nie pojawi się w ośrodku przez przynajmniej siedem kolejnych godzin. Tina pilnuje Juniper. Crevana tam nie ma. Wszystko jest w porządku. Jeśli się pojawi, Tina da mi znać.

– Siedem godzin to za długo. – Kręcę głową, myśląc o wszystkich rzeczach, które mogą w tym czasie pójść nie tak. Postanawiam skupić się na obserwowaniu domu, choć żołądek aż mnie ściska.

Dziadek siedzi zamknięty w Zamku Highlandzkim, a demaskatorzy zbierają dowody jego winy. Juniper jest w jakimś tajnym szpitalu, gdzieś na obrzeżach, a mama niedługo wparuje tam i rzuci oskarżenia o niesprawiedliwość i popełnienie przestępstwa. Carrick widnieje na liście poszukiwanych. Teraz wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie. Nie mogę pociągnąć ich za sobą na dno. Ten plan musi się udać.



Obszerwujemy dom Mary May jak dwa sokoły. Czterdzieści minut później, kiedy w domu robi się całkowicie cicho, przechodzimy do działania. Carrick sprintem biegnie przez ogród do garażu, żeby sprawdzić, czy zdoła dostać się do środka bez wchodzenia do domu. Nie ma tam żadnych drzwi ani zamka, przy którym można by pomajstrować; nie ma szkła, które dałoby się rozbić, dwa lufciki pod dachem są zbyt wąskie, żeby się przez nie wślizgnąć. Trudno, trzeba wejść przez dom.

Podchodzę do okna sypialni matki. Serce wali mi jak szalone. Delikatnie stukam w szybę, modląc się, żeby Mary May nie było w środku.

W oknie pojawia się staruszka, a ja prawie wyskakuję ze skóry. Jaskrawobiała koszula nocna, blada skóra i siwe włosy wyglądają bardziej upiornie niż anielsko. Przykładam palec do ust. Pokazuję na frontowe drzwi, a ona idzie do nich bezszelestnie. Drzwi się otwierają. Wchodzę do środka, zostawiając je uchylone dla Carricka, a sama drepczę za staruszką do jej pokoju. W domu panuje cisza jak makiem zasiał, więc skradam się na palcach. Krok Carricka w wojskowych butach jest jednak cięższy i trudniej mu zwinnie się poruszać. Prawie dostaję zawału za każdym razem, kiedy coś potrąci albo zaskrzypi podłoga. Dom pachnie ciastem wymieszanym z czymś spleśniałym i zatęchłym.

Po drugiej stronie korytarza znajduje się sypialnia Mary May, drzwi są rozwarte na oścież, żeby mieć oko na matkę i jej nocne eskapady. Wchodzę do

poкою staruszki i bezszelestnie zamykam drzwi. Siadam na krześle obok niej, ona w łóżku, opierając się na poduszkach.

– Znam cię – szepcze. – Nie jesteś aniołem, jesteś tą poszukiwaną Naznaczoną.

Zamieram i chcę natychmiast wybiec, ale ona wyciąga do mnie rękę.

– Siadaj, siadaj – mówi. – Teraz wszystko ma sens. Wszystko się zgadza. Przyszłaś po to, czego szuka Mary May?

Kiwam głową.

– A czy dzięki temu znów będzie jak trzeba?

– Bardzo się staram.

– Uda ci się. Mam co do ciebie dobre przeczucia. Jest tylko jedna dziewczyna, w której widziałam równie dużo determinacji.

Obie wiemy, o kim mówi.

– Miłość to piękna rzecz. Ojciec cały czas mi to powtarzał. Chyba był romantykiem. – Spogląda na mnie. – Ale widzę, że tyle złego może się zdarzyć z miłości. Wojna. I to.

– Co się stało?

– Mary May tak bardzo kochała Henry'ego, ale to nigdy nie było piękne uczucie, ono było... dziwne. Miała na jego punkcie obsesję. Kiedy Henry ją zostawił i zakochał się w Alice, jej siostrze, nie mogła się z tym pogodzić. Zwróciła się przeciwko Alice, zwróciła się przeciwko tym osobom w rodzinie, które wiedziały o ich romansie, a trzymały to przed nią w sekrecie. Ukrywali to tylko dlatego, że zdawali sobie sprawę, jak zareaguje. Ale żadne z nas nie przewidziało, że zrobi nam coś takiego. Rozdzieliła naszą rodzinę.

– Doniosła na nich do Trybunału?

– Doniosła na rodzinną firmę. Wszyscy pracowali na farmie w Yellow Meadows. Mieliśmy tam spółdzielnię, ludzie dzierżawili ziemię pod uprawę. Mleko było czyste, zwierząt nie faszcerowało się lekami, ekologiczna żywność. Tommy lubił pracować na roli w starym stylu. Ministerstwo Zasobów Naturalnych miało na nich oko. Mary May o tym wiedziała. Obserwowała ich cały czas i czekała, aż się potkną.

Trybunał uznał ich za winnych, stwierdził, że żywność z farmy jest

niebezpieczna, kazał nam wszystko zniszczyć. Mleko zostało wylane, jajka zbite. A przecież nic złego się z nimi nie działo. Uczciwe rolnictwo traktuje się jak przestępstwo, wielkie korporacje nie chcą konkurencji. Alice nie miała z tym nic wspólnego. Była weterynarzem, dbała o zwierzęta, ale została ukarana razem z całą resztą. Samowystarczalność, życie na uboczu. Powiedzieli, że hańbi tym społeczeństwo. Skazy na sercach, właśnie tego pragnęła Mary May.

Oczy wypełniają jej się łzami. Mimo że upłynęło tyle lat, rana wciąż się nie zagoiła. Dociera do mnie, skąd dziadek tyle wiedział o Mary May i jej wiejskich korzeniach. W tej społeczności wszyscy się znają.

– Bardzo mi przykro – mówię łagodnym tonem, podając jej chusteczkę. – I przepraszam, jeśli wcześniej panią wystraszyłam.

Uśmiecha się do mnie.

– Nie bałam się, a to dość ciekawe. To chyba znaczy, że jestem gotowa. – Wygląda na pogodzoną z losem.

Ktoś stuka w okno, obie aż podskakujemy ze strachu. Jestem przekonana, że to koniec. Mary May wezwała posiłki. Jej matka rozsuwa zasłony. To Carrick. Trzyma w ręku śnieżną kulę.

– Tego szukała Mary May? – pyta staruszka.

– Tak.

– Czyli teraz będzie dobrze? – W jej głosie brzmią nuty nadziei. – Chcę odzyskać swoją rodzinę.

Biorę ją za rękę i serdecznie je ściskam.

– Zrobię co w mojej mocy.



Siedzimy z Raphaelem Angelo w domu sędzi Sanchez. Penthouse na najwyższym budynku w mieście, urządzone w szkłe i marmurze, ostro kontrastuje z górską chatą Raphaela. Bycie sędzią Trybunału musi się nieźle opłacać – można naznaczać i mierzyć wzrokiem obywateli zarówno z ławy sędziowskiej, jak i z luksusowego mieszkania w centrum miasta. Ludzie w parku wyglądają z tej wysokości jak okruszki, niemal jakby nie istnieli. Decyzje podejmuje się bez kontaktu z rzeczywistością.

Ale teraz w domu Sanchez zawitała rzeczywistość. Pani sędzia ledwie się obudziła, oczy wciąż ma zaspane po tym, jak o świcie wparowaliśmy do jej domu.

Bez swojej charakterystycznej czerwonej szminki i okularów w czerwonych oprawkach jest prawie nie do poznania. Zero makijażu, włosy spięte spinką. Otula się swetrem z czarnego kaszmiru, jak gdyby marzła, choć wcale nie jest tu zimno.

Stoimy w otwartej kuchni połączonej z salonem i jadalnią. Ogromne pomieszczenie, z oknami od podłogi do sufitu i szklanym dachem. Zauważa, że się mu przyglądam.

– Mój syn lubi patrzeć na gwiazdy – wyjaśnia. – Dlatego kupiliśmy to mieszkanie.

– Taka osoba nazywa się „astronom”, mamó – wtrąca się chłopak, który wchodzi do kuchni, zaciskając pas szlafroka. Ma zaspane oczy i potargane

włosy.

Wygląda, że jest w podobnym wieku co ja; przystojny, wysoki, z nutką arogancji.

– Tak, byłbyś astronomem, gdyby ktoś ci za to płacił – odpowiada Sanchez, skupiając się na laptopie, który stawia przed nią Raphael.

Jej syn obrzuca mnie wzrokiem, rozpoznaje, po czym w zaskoczeniu patrzy na swoją matkę. W jego domu jest Celestine North.

– Kawy, mamó? – pyta.

Trudno mi w to uwierzyć, że sędzia Sanchez może być czyjąkolwiek mamą. Że ma tyle serca, żeby kogoś kochać i się o niego troszczyć. Chyba chce mi pomóc, nawet jeśli z własnych pobudek.

Kręci głową na propozycję kawy.

– Z przyjemnością – woła z kolei Raphael.

– Moja mama lubi patrzeć w dół, ja lubię patrzeć w górę. – Chłopak stawia przy Raphaelu filiżankę. – Chcesz pójść na górę i zerknąć? – zwraca się do mnie. – Mam teleskop w atrium.

Nie chcę oglądać tego, co za chwilę zobaczą Raphael i sędzia Sanchez, ale wiem, że powinnam tu być. To ważne.

– Może innym razem – odpowiadam grzecznie.

Nastolatek mierzy mnie wzrokiem. Na jego szlafroku zauważam herb najbardziej prestiżowej szkoły z internatem w kraju.

– Nie powinni naznaczać cię skazą – oznajmia głośno, jak gdyby celowo starał się wkurzyć matkę. – Mówiłem jej, że to niedorzeczny werdykt. Wręcz śmieszny.

Podaje mi kubek kawy, mimo że o nią nie prosiłam.

– Dziękuję. – Biorę ją od niego, poruszona tym prostym aktem życzliwości. Wącham kawę. Upijam łyk. Nic.

Pamięć USB znajdowała się tam, gdzie wskazała Tina – w podstawie kuli śnieżnej, która leżała na uboczu, oddzielona w garażu od moich pozostałych rzeczy, więc Carrick nie potrzebował dużo czasu, żeby ją znaleźć. Jakby lojalność Mary May wobec Trybunału powstrzymała ją od choćby rozważenia, że dowód, który może zniszczyć jej przywódcę, znajduje się w czymś

banalnym. Dorobioną podstawę łatwo dawało się rozkręcić. Gdy znaleźliśmy USB, zadzwoniliśmy do Raphaela, a on przyjechał nad jezioro.

Nie chciałam patrzeć na nagranie. Wysiadłam z samochodu, podczas gdy Raphael i Carrick je oglądali. Po ich twarzach rozpoznawałam, że widać na nim wszystko, co trzeba. Raphael nie potrafił na mnie spojrzeć, a Carrick z kolei ciągle się gapił.

Uznałam, że najlepiej, jeśli nie przyprowadzę tu z nami Carricka. Ktoś taki jak Sanchez wykorzystuje to, czego jej potrzeba, i pozbywa się reszty. Carrick nie przedstawia dla niej żadnej wartości, więc bez trudu mógłby zostać już od progu zesłany prosto do Zamku Highlandzkiego. Poza tym moja mama właśnie robi awanturę w szpitalnym ośrodku rządowym i Crevan wkrótce się dowie, że pozostaje na wolności. Carrick jest bezpieczniejszy z dala ode mnie, zresztą musi pomóc mojej mamie i Juniper.

Sprawdzam, czy nie przysłał mi na komórkę wiadomości. Nic.

Zerkam na telewizor ciekawa, czy nie pojawią się o tym jakieś doniesienia. Nie jestem zaskoczona, że Sanchez ogląda Info24, kanał Crevana. Nie ma jednak żadnych newsów z ostatniej chwili na temat mojej mamy i Juniper. Choć z drugiej strony nie pojawiłyby się na tym kanale. Info24 zakopałoby temat.

– Tobiasz, marsz do siebie – rozkazuje Sanchez.

Nastolatek bez dyskusji znika – broda uniesiona, ramiona ściągnięte, w dłoni gazeta zwinięta w rulon – żeby gdzieś sobie poczytać...

Staję za Sanchez, żeby lepiej widzieć monitor. Teraz, skoro z nią jestem, muszę wiedzieć to co ona i jak ona.

– Kto jeszcze ma kopię? – pyta.

– To oryginał – oznajmia Raphael. – Nikomu tego nie pokazywaliśmy.

– Jeśli film nagrał swoją komórką pan Berry, to pewnie przerzucił go na komputer, żeby dalej zapisać na USB – myśli na głos.

– Podejrzewamy, że sędzia Crevan znalazł tego laptopa i kartę pamięci z telefonu, kiedy dorwał pana Berry'ego. To jedyne istniejące nagranie. I wciąż go szuka – wyjaśnia Raphael.

– I mam uwierzyć, że nie zrobiliście jeszcze jednej kopii, zanim tu przyjechaliście? – Sanchez unosi brwi.

Raphael spogląda na mnie.

– Oddaj jej swoją.

Rozdziawiam usta z zaskoczenia.

– Raphael!

– Absolutna szczerłość – mówi. – To jedyny sposób, aby to wszystko się udało.

Poirytowana wyciągam kopię z kieszeni i kładę ją na stole przed sędzią, która natychmiast to chowa.

Naciskają „play”. Raphael wygodnie rozsiada się w fotelu, Sanchez nachyla się do przodu.

Kręcę się im za plecami i przygryzam paznokcie.

Rozpoczyna się film. Obraz drży. Widzę podłogę, potem obraz skacze, jest rozmazany. Tubalne głosy, zamieszanie. Przelotny najazd na buty mojej mamy, które się oddalają, krzyki taty, zamieszanie, podczas którego rodzice zostają usunięci z galerii. Sanchez patrzy na Raphaela z irytacją, jakby to była dla niej strata czasu.

Kamera jedzie w górę i widzimy Izbę Naznaczeń, plecy Crevana, jego krwistoczerwoną pelerynę. Zasłania mnie siedzącą na fotelu.

Telefon znów się obniża, więcej krzyków, więcej zamieszania, zamazany obraz.

– Litości. – Sanchez nie wytrzymuje. – Crevan był w izbie podczas wypalania. To niczego nie dowodzi.

– Proszę oglądać dalej – odpowiada spokojnie Raphael.

Pan Berry przemieszcza się, żeby mieć lepszy widok. Stoi za drzwiami – to dlatego go nie zauważyłam. Crevan się przesuwają, ja wchodzę w kadr. Jestem przypięta do fotela i sam fakt, że widzę się w tej pozycji, jest już dla mnie wystarczająco nieznośny. Usta mam rozwarłe klamrą. Robi mi się niedobrze na wspomnienie tej okropnej chwili.

Wygląda na to, że pan Berry został odepchnięty – w tym momencie kamera znów się obniża. Widzimy jego buty. Potem buty demaskatorów i trzecią parę butów. Trampki Carricka.

– Nagrywaj dalej – mówi Carrick. Polecenie słycać doskonale.

Sędzia Sanchez gwałtownie odwraca się do mnie.

– Czyj to głos?

Oboje ją ignorujemy. Telefon znów wędruje do góry, w samą porę, żeby uchwycić, jak zostaje mi wypalone znamię na języku. I wtedy Crevan zaczyna wywrzaskiwać:

– Okaż skruchę, Celestine.

Chodzi w tę i we w tę przed moim fotelem. Obraz jest bardzo wyraźny.

– Okaż skruchę!

Strażnicy odpinają mnie z pasów. Wszyscy wydają się wstrząśnięci, w tym Funar, który wypalał mi znamiona, i Bark, który mnie nienawidził. Pomagają mi usiąść na wózku.

– Naznaczyć jej kręgosłup – odzywa się nagle Crevan, głośno i wyraźnie.

Czuję ulgę, że mamy to na filmie.

Odsuwam się od komputera nie dlatego, że nie mogę patrzeć, ale dlatego, że chcę zobaczyć twarz sędzi Sanchez. Muszę zobaczyć, jak ogląda to, co mi się stało pod jej rządami.

Jej twarz pozostaje niewzruszona, bez wyrazu, opanowana. Ani śladu jakichkolwiek emocji, żadnego żalu, współczucia, nic. Jej oczy śledzą obraz, przyswajają go, jak gdyby była robotem.

Crevan wrzeszczy, strażnicy nie poddają się bez walki, Crevan chwytą pręt z pieczęcią, a potem wydają z głębi siebie przeraźliwe okrzyki, ale ona nie mrugnie nawet okiem. Raphael drapie się po głowie, po nosie, wierci na fotelu; czuje się niezręcznie, podczas gdy mój kręgosłup zostaje naznaczony bez środków znieczulających, a ja wyję z udreki tak głośno, że syn Sanchez wraca do salonu, żeby zobaczyć, co się dzieje, ale ona nadal nic.

Nagranie się kończy.

Królowa lodu podnosi na mnie wzrok. Ale ten chłód jest zbyt chłodny, zbyt spokojny, to aż nazbyt oczywiste, że to jedynie maska, pod którą skrywa to, co naprawdę czuje.

– Będzie twierdził, że to inscenizacja.

– Bzdura – prycha Raphael.

- Wystarczy wejść na YouTube, a znajdziesz takich setki.
 - Przecież widać, że to autentyczne nagranie – polemizuje mój obrońca.
 - Jej skażony charakter, jego zdolność przekonywania... Pewnie mu się uda.
 - Jest jeszcze to. – Odwracam się i pokazuję jej znamię na swoim ciele.
Zero reakcji.
 - Nie ma takiego samego kształtu jak pozostałe znamiona.
 - Celestine nie była przypięta pasami i nie dostała znieczulenia, sędzia zrobił je sam, a dziewczyna wrzeszczała jak opętana. Sama pani widziała. Jej znamię jest idealne w kontekście zdarzeń, jakie właśnie widzieliśmy. – Raphael patrzy na nią z niedowierzaniem, starając się zachować spokój, choć jego złości trudno nie zauważyć. – Co się tu dzieje? Sądziłem, że chce pani wyrzucić Crevana z Trybunału. Strach panią obleciał?
 - Nie, nie obleciał mnie strach i nadal zamierzam usunąć Crevana ze stanowiska przewodniczącego.
 - Powiedziałaś mi, żebyś przyniosła dowód, który wystarczy do obalenia Crevana, to go przyniosłam – mówię. Wzbiera we mnie złość, bo widzę, że sędzia się wycofuje.
- Spogląda na mnie i po raz pierwszy jej mina się zmienia.
- Przyniosłaś mi za wiele, Celestine. To, co tu masz, to dowód, który pozwoli obalić cały Trybunał. Teraz wiem, dlaczego Crevan tak cię szuka.



Patrzę niepewnie na Raphaela. On też ma nietęgą minę. Właśnie straciliśmy przewagę i wylądowaliśmy na przegranej pozycji. Nasza sytuacja jest ryzykowna. Sanchez chciała pozbyć się Crevana, a nie zlikwidować Trybunał. A więc znów trzeba się bawić w kotka i myszkę.

Raphael odchrząkuje.

– W takim razie musimy pójść na układ.

Sanchez w mgnieniu oka odwraca głowę w jego stronę.

– Grozi mi pan?

– A czy pani grozi mojej klientce? – odpowiada chłodno.

Na jej czole, mimo botoksu, pojawiają zmarszczki.

– Zasady gry się nie zmieniły. Przynieśliśmy to, co pani chciała, nie musimy też niczego upubliczniać. Może pani tego użyć, aby zdyskredytować Crevana. Nadal ma pani kontrolę. Jedyne, co dla nas istotne, to to, że czyny Crevana uzna się za niezgodne z zasadami Trybunału i sędzia poleci ze stanowiska. A w konsekwencji wyrok mojej klientki zostanie unieważniony.

Sanchez się zastanawia.

– Ale Crevan się zorientuje, że nie będę chciała, żeby ktokolwiek to zobaczył. Nic na niego nie mam. Znajdowałam się w składzie sędziowskim, który do tego wszystkiego dopuścił. Czy wiedziałam o tym, czy nie, ja także jestem odpowiedzialna. Oberwie się za to całej trójce sędziów Trybunału; ja,

Jackson i Crevan zostaniemy obarczeni odpowiedzialnością.

– Nie, jeśli to pani ujawni materiał. Może pani wykonać pierwszy ruch – nakłania ją Raphael.

– Przecież go mamy – mówię drżącym głosem.

– Jedyne, co mam, Celestine... – Sanchez spogląda na mnie – to ty. A Crevan cię szuka.

– Wykorzystasz mnie, żeby dostać to, czego chcesz – odpowiadam.

– To jakiś absurd. – Raphael zrywa się z miejsca. – To nieetyczne, niemoralne, pozbawione skrupułów i wbrew wszelkim prawom praktykowanym przez Trybunał. Będę z panią walczył do samego końca – krzyczy. – W sprawie Crevana już i tak toczy się dochodzenie. To początek końca Trybunału. Musi pani wybrać, po której jest stronie. Z ocalałymi czy na tonącym statku.

– Ma pan rację. Ja zawsze przetrwam.

Na twarzy Raphaela maluje się ulga.

– Wielka szkoda, że widzę, jak wy ten statek topicie. Trudno będzie ci ze mną walczyć Raphaelu, kiedy będziesz siedział w areszcie Trybunału za pomoc Naznaczonej.

– To przecież mój adwokat. Podpisaliśmy pełnomocnictwo.

– Reprezentuje pan zbiega.

Raphael kręci głową, a na jego usta występuje promienny uśmiech, jak gdyby cała ta okropna sytuacja wydała mu się niezwykle zabawna.

– Chodź, Celestine, zabierajmy się stąd. – Kiwa do mnie głową.

– Obawiam się, że nie mogę pozwolić wam wyjść. – Bierze swój telefon. – Anno, to ja. Połącz mnie z Crevanem. Natychmiast.

Rzucam się na USB, nadal wpięte do laptopa, ale ona chwyta je pierwsza i odpycha mnie od siebie. Jest silniejsza, niż sądziłam. Lecę na stolik kawowy, który rozpada się na kawałeczki, kiedy moje łokcie uderzają o szkło. Raphael rzuca mi się z pomocą.

– Nic ci nie jest?

– Tobias! – woła Sanchez.

Syn pojawia się ubrany w dres z logo szkoły: ja leżę w odłamkach szkła na podłodze, jego matka rozmawia przez telefon.

– O co tu chodzi? – zwraca się do matki.

– Nie pozwól im wyjść. – Biegnie do swojej sypialni z komórką przy uchu.
– Do diabła, Anno, cały czas do niego dzwoń. Tobiasz, zamknij drzwi. Natychmiast! – wrzeszczy.

Chłopak pędzi do drzwi i zamyka je, po czym wbija kod do panelu kontrolnego. Głos robota oświadcza, że mieszkanie jest zablokowane od wewnątrz. To bez wątplenia najwyższy poziom zabezpieczeń, wymagany, jeśli ktoś jest na takim stanowisku jak Sanchez. Tobiasz zerka na nas niepewnie.

Raphael jest silny, ale nie dałby mu rady.

– Wypuść nas – prosi. – Nie możesz nas tu trzymać wbrew naszej woli.

– Co zrobiliście mojej mamie? – pyta zdezorientowany.

Raphael kręci głową i z obrzydzeniem odwraca od niego wzrok.

– Problem z ludźmi, którzy cały czas patrzą w gwiazdy, jest taki, że często umyka im to, co dzieje się wokół nich. Wyglądasz na miłego chłopca. A twoja matka nie wygląda na miłą kobietę, mówiąc bez ogródek.

Tobiasz przerzuca zmartwiony wzrok to na mnie, to na Raphaela, który próbuje mnie podnieść z dywanu pełnego rozbitego szkła. Na szczęście żaden z odłamków mnie nie skaleczył.

– Wiesz, że istnieje pięć miliardów galaktyk? – pytam Tobiasza, który wpatruje się we mnie tak, jakby panikował bardziej niż ja i Raphael. Otrzeputuję się z odłamków. – We wszechświecie, w samej naszej galaktyce jest siedemnaście miliardów planet wielkością podobnych do Ziemi. Może jedna z nich to świat równoległy, w którym nie masz dupy zamiast głowy.

Raphael parska śmiechem.

– Niezłe.

– Nie mogę tego zrobić – mamrocze Tobiasz, na górnej wardze wyskakują mu kropelki potu. – Mamo! – krzyczy ile sił w płucach, na co ona wybiega z sypialni w połówce ubrana. – Radź sobie sama.

Wbija kod alarmowy, przekręca klucz i zwiewa. Drzwi nie zamyka.



W zaskoczeniu wlepiamy wzrok w drzwi otwarte na oścież.

Po chwili Raphael zrywa się do biegu.

Sędzia Sanchez przez moment stoi oniemiała, że syn zostawił ją samą, ale po chwili się z tego otrząsa i dopada do drzwi. Zatrząskuje je Raphaelowi tuż przed nosem i znów wbija kod. Po raz drugi zostajemy zamknięci od wewnątrz. Sanchez ma na nodze jeden but na obcasie, na drugiej tylko pończochę. Włożyła burgundową spódnicę ołówkową i czerwoną jedwabną bluzkę. Czerwień – na ustach i okularach – powróciła.

Z sypialni dobiega nas dzwonek telefonu; sędzia powoli zaczyna się wycofywać w jego stronę, niezdecydowana: odebrać połączenie, od – jak zapewne ma nadzieję – Crevana, czy jednak zostać z nami. Ostatecznie biegnie do swojego pokoju. Telefon milknie, gdy Sanchez jest w połowie drogi, a my słyszymy wymykające się z jej ust przekleństwo.

Zerkam na swoją komórkę i sprawdzam wiadomości od Carricka.

„Juniper wolna. Wszyscy bezpieczni. Ty?”

Zalewa mnie fala ulgi. Dobre wiadomości dodają mi werwy; do głowy wpada mi pewien pomysł. Dobrze, że Crevan wie, że nie trzyma mnie już w garści. Juniper jest bezpieczna, mama jest bezpieczna, Carrick jest bezpieczny.

– Co robisz? – pyta Raphael, kiedy biorę telefon z biurka sędzi Sanchez.

– Proszę mnie połączyć z Zamkiem Highlandzkim – mówię szybko.

– Co ty wyprawiasz? – Raphael zrywa się w moją stronę.

Blokuję widełki, bojąc się, że zakończy rozmowę.

– Zaufaj mi – wymawiam bezgłośnie.

Nieco się wycofuje.

– Dzień dobry, nazywam się Celestine North i chcę się oddać w ręce władz.

Raphael z przerażenia miota się po salonie. Skacze, próbuje wyrwać mi telefon. Staję na krześle i podnoszę ze sobą aparat. Karzeł nie ma szans mnie dosięgnąć. Próbuje znaleźć kabel.

– Jestem w mieszkaniu sędzi Sanchez w Grimes Tower i chciałabym zostać stąd natychmiast odprowadzona. Dziękuję. – Odwieszam słuchawkę, serce łomocze mi z całej siły.

Raphael na czworakach szuka kabla telefonicznego. Wyrывa go z kontaktu, za późno. Patrzę na jego zadek sterczący w górze.

– Czemu to zrobiłaś?

– Sędzia Sanchez dzwoni do Crevana. Chce się z nim dogadać. Sądzisz, że któreś z nich pozwoli, żebyśmy oficjalnie trafili do aresztu, skoro wiemy o nich to, co wiemy? Będziemy bezpieczniejsi, jak odprowadzą nas demaskatorzy.

Raphael nagle się odwraca i siada prosto.

– Nie pomyślałem o tym. Hm, to może być jak dotąd twój najbardziej błyskotliwy pomysł. Moja inteligencja jest zaraźliwa.

– Musimy mieć tylko nadzieję, że demaskatorzy będą szybsi.

Podczas gdy sędzia Sanchez rozmawia przez telefon w drugim pokoju i próbuje połączyć się z Crevanem, my siedzimy w salonie i czekamy na dalszy rozwój zdarzeń. Mija zaledwie kilka minut, kiedy słyszymy walenie do drzwi. Wyglądam przez wizjer. Nigdy nie byłam taka szczęśliwa na widok czerwonych hełmów.

– Demaskatorzy – informuję.

Przybijamy sobie piątkę.



Demaskatorzy! – krzyczą. – Otwierać!

– Niestety, to niewykonalne – odpowiada przez drzwi Raphael opanowany, jakby nie działa się nic wielkiego. – Jesteśmy zamknięci od środka i nie możemy otworzyć. Chyba będziecie musieli wyważyć drzwi.

Mimo że demaskatorzy szykują się do szturm na mieszkanie po to, żeby mnie aresztować, bardzo łatwo dać się zarazić beznamiętnym podejściem Raphaela. Przyjmuję więc podobną obojętność, choć wiem, że to tylko pozory. Mężczyzna, który jest weganinem, dekoruje cały swój gabinet ludzkimi trofeami, żeby coś udowodnić, i poświęca życie walce o sprawiedliwość dla innych, nie jest ani trochę pozbawiony emocji. Być może dlatego się uśmiecham, bo wiem, że pod wszystkimi żartami jest śmiertelnie poważny.

– Odsunąć się, wyważymy drzwi – słyszemy komendę z drugiej strony, więc odchodzimy na bok.

– Taran – stwierdza Raphael, opierając się o ścianę ze skrzyżowanymi na piersi rękoma. – Przyszli przygotowani.

Kolejne łomotanie.

– Co się dzieje? – Sanchez z niepokojem wypada z sypialni.

Zastanawiam się, czy zdążyła wynegocjować coś z Crevanem. Czy przehandlowała moje życie dla władzy?

– Przyszli demaskatorzy – wyjaśniam spokojnie.

– Co? – Patrzy z przerażeniem to na mnie, to na Raphaela. Nasz spokój bez wątpienia jeszcze bardziej wyprowadza ją z równowagi. – Nie. Niemożliwe.

Bach.

– Możliwe. – Raphael potwierdza moje słowa i częstuje się miętówką. – Choć pewnie na tej wysokości nie słyhać już syren.

Cała się krzywi. Jest tak wstrząśnięta, że to aż zabawne. Bach.

– Co oni robią?

– Wyważają drzwi – wyjaśnia Raphael.

– Ale... dlaczego? Halo? Halo! Przestańcie!

– Bo jesteśmy zamknięci od środka – tłumaczę.

Sanchez próbuje przyjąć autorytatywny ton głosu, ale nie słyhać jej po drugiej stronie, gdzie demaskatorzy ciężko pracują nad tym, żeby sforsować wejście.

W końcu drzwi puszczają.

Sędzia Sanchez odskakuje w tej samej chwili, kiedy trociny i drewno eksplodują do środka, wprost na miękki dywan. Za drzwiami stoi kilkunastu demaskatorów.

– Pani sędzio – odzywa się młody mężczyzna, który wchodzi do środka. – Otrzymaliśmy informację, że przebywa tu Celestine North. Nic pani nie jest?

Sanchez patrzy na niego z obrzydzeniem, a potem na swój dywan, jedwabną bluzkę pokrytą drzazgami i wiórami.

– Zniszczyliście mi drzwi.

Chłopak nagle zaczyna się denerwować.

– Powiedziano nam, że nie da się ich otworzyć.

– Nie dało się, bo sama je zamknęłam.

Robi się czerwony na twarzy.

Kolega za jego plecami przygryza wargę, żeby zdusić chichot.

– Natychmiast zajmujemy się wstawieniem nowych.

– Oczywiście, że się zajmiecie – warczy na niego Sanchez, po czym przyciska palcami brzeg nosa. – A teraz proszę mi powiedzieć, dlaczego... jak... co wy tu robicie? To prywatna sprawa sędziego Crevana. Czekałam, aż

się ze mną skontaktuje.

Demaskatorzy spoglądają jeden na drugiego wyraźnie zagubieni.

– Ktoś zadzwonił do nas z tego adresu, a jak mi się zdaje, sędzia Crevan jest obecnie zajęty przygotowaniem do parady.

– Parady? – wtrąca się Raphael. – Jakiej parady?

– Naznaczeni mają się natychmiast zgłosić do swoich demaskatorów, a ci przewiozą ich do głównej lokalizacji. Poinformowano nas, że mamy zabrać w to miejsce wszystkich Naznaczonych, bez wyjątków.

– Ale nie możecie zabrać Celestine, najpierw muszę porozmawiać z sędzią Crevanem.

– Wypełniamy polecenia sędziego – odzywa się inny demaskator, zbliżając się do mnie. – Sędzia Crevan zostanie poinformowany o schwytaniu Celestine. Pójdiesz z nami.

Zanim weźmie mnie za łokieć, unosi czerwony gwizdek, który zwisa ze złotego łańcucha na jego szyi.

– Zatkaj uszy – rzucam przez ramię do Raphaela.

I już po chwili cała dwunastka demaskatorów dmie w gwizdki, by obwieścić aresztowanie kolejnej Naznaczonej. Znowu.



**CZĘŚĆ
TRZECIA**



Sędzia Sanchez każe im aresztować także Raphaela.

Zostajemy przewiezieni do magazynu w dokach, gdzie stoją całe rzędy autobusów kontrolnych.

– Co się dzieje? – pytam Raphaela, ale nie odpowiada. Jest zbyt pochłonięty: wygląda przez okno i obserwuje sytuację.

– Poinformowano cię, że masz się dziś zgłosić do swojego demaskatora? – pyta mnie w końcu.

– Skąd mam wiedzieć. Jestem zbiegiem. Przebywałam z ludźmi, którzy nigdy nie zgłaszają się demaskatorom.

– Czy ktoś może mi wyjaśnić, co się dzieje? – Raphael wychyla się do przodu, do demaskatorów.

– Wszyscy Naznaczeni mają się zebrać w tym miejscu równo o dziewiątej.

– Dlaczego?

– Rozkazy Trybunału.

– A co zamierzacie zrobić ze mną? Nie jestem Naznaczonym.

– Zabieramy cię do zamku.

– Sędzia Crevan będzie przemawiał do Naznaczonych – dodaje inny demaskator.

– Osobiście? – Raphael marszczy brew. – Do wszystkich Naznaczonych

w Humming?

– Ile to osób? – pytam go.

– Przy populacji siedmiu milionów, to... niech się zastanowię. – Robi poważną minę. – Siedem milionów mieszkańców. Ale oficjalnie tylko trzydzieści tysięcy.

– Zbierze się tu trzydzieści tysięcy osób? – Nachyliam się do demaskatorów.

– Nie naraz. Każdy ma swój wyznaczony rejon. Nic o tym nie słyszałaś? – Demaskator wierci się na swoim miejscu i patrzy na mnie, jakbym się wzięła z kosmosu.

– To uciekiniarka. – Pokazuje na mnie Raphael. – Z takich informacji nie ma pożytku, jak się człowiek ukrywa. Choć dobrze byłoby wiedzieć.

– Przepraszam za to wszystko, Raphaelu.

– Nie przepraszaj. Wiedziałem, jak to się skończy, pamiętasz? O dziwo, czuję się wyzwolony. Może mój dom w górach był więzieniem, na które sam siebie skazałem? To takie rzeczy powinienem robić. Nic ci nie jest?

Najpierw kiwam głową, potem nią kręcę, a na koniec wzruszam ramionami.

– Wezmę to za „tak”, bo nie jestem najlepszy w pocieszaniu.

Samochód zatrzymuje się w korku, a ja patrzę na magazyny w dokach. W wąskiej alejce pomiędzy dwoma budynkami widzę dwie kobiety – robią sobie przerwę na papierosa. Mają na sobie białe kombinezony pokryte czerwonymi plamami, które są też na ich rękach i sięgają aż po łokcie.

– Raphaelu... – mamrocze niepewnie.

– Rybie wnętrzości – odpowiada szybko. – W tych magazynach patroszy się ryby.

– Chciałabym, żeby właśnie to się teraz tam działo, ale jakoś w to nie wierzę.

Drzwi od strony Raphaela otwierają się, a demaskator każe mu wysiąść. Nie mamy czasu się pożegnać.

– Powodzenia, dziewczyno – zdoła jedynie krzyknąć, zanim drzwi znów zostaną zatrzaśnięte.

Potem moja kolej. Wsiadam. Po obu stronach prowadzą mnie demaskatorzy. Raphael zostaje odprowadzony w inną stronę, do innego auta,

zawiozą go do zamku.

Rozsuwają się drzwi do magazynu. Wejście jest zaopatrzone w bramkę bezpieczeństwa, przez którą przechodzę bez problemu, oraz maszynę do identyfikacji – ta od razu mnie rozpoznaje. Mężczyźni idą na prawo, kobiety na lewo. Od smrodu ryb chce mi się wymiotować. Gdy wchodzę do sekcji dla kobiet, pojawiają się dwie kolejne pracownice, całe pokryte czerwienią, jakby właśnie kogoś zamordowały. Spotykam się wzrokiem z jedną z nich, jej spojrzenie łagodnieje.

– Przykro mi – mówi ze współczuciem i biegnie do koleżanki, jakby były na coś spóźnione.

Wchodzę do sekcji kobiet i staję w obliczu piekła.



Setki Naznaczonych odwracają się, żeby na mnie spojrzeć. Niektóre zrywają się do owacji, inne podchodzą, żeby podać mi rękę, poklepać tam, gdzie mogą dosięgnąć. Jedna z kobieta płacze, bo jest przekonana, że mogę ją uratować, inna dlatego, że dla niej moje pojmanie oznacza, że nie ma już żadnej nadziei.

Rozglądam się po hali. Rzeczywiście, służy do oprawiania ryb znoszonych tutaj prosto z kutrów. Stąd są rozwożone na miejscowy targ i po lokalnych biznesach. Przestrzeń wypełniają długie rzędy kwadratowych umywalek, żeby pracownicy mogli działać w wygodnej pozycji stojącej. Podłoga jest zrobiona z jasnej terakoty, żeby łatwo było ją czyścić, ułożonej pod kątem, tak aby krew bez trudu trafiała do otworów odpływowych. Dlaczego tu jesteśmy? Moja wyobraźnia tworzy czarne scenariusze, a cała sceneria sprawia, że zaczynam się trząść.

W tłumie widzę znajomą twarz. Blondynkę. Znam ją ze zdjęcia, które niedawno pokazał mi jej chłopak Leonard.

– Lizzie?

Podnosi na mnie zmieszany wzrok.

– Celestine North? Kto ci powiedział, jak mam na imię?

– Twój chłopak Leonard. Od zawsze wiedział, że masz skazę. Kocha cię. Pomógł mi. Obiecałam mu, że spróbuję cię odnaleźć.

Lizzie wstaje, ma zdezorientowaną minę.

– Ale Bahee twierdził, że Leonard nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Kazał mi się wynosić. Mówił, że ściągam zagrożenie na pozostałych. Nie chciałam odchodzić, ale on mnie zmusił.

Kręcę głową.

– Cały czas kłamał, i to nie tylko tobie. Leonard cię kocha i szuka cię, odkąd zniknęłaś.

– Tak? – Dziewczyna otwiera oczy z zaskoczenia. Uśmiecha się. – Dziękuję.

– Uratował mnie przed demaskatorami, to dobry człowiek.

Rozlega się gwizdek, wszystkie milkniemy.

Na ścianie magazynu włącza się projektor.

Telewizja Sądu Naznaczonych.

– Na żywo na naszym kanale przemówi sędzia Crevan i powie, co się dziś dzieje – obwieszcza radośnie zastępczyni Pii Wang, tak jakby to był kanał plotkarski.

Na ekranie pojawia się Crevan w czerwonej pelerynie: siedzi w fotelu z brązowej skóry w gabinecie w Trybunale.

– Obchodzimy czterdziestą rocznicę ustanowienia Trybunału, którego założycielem był mój dziadek. Od tamtej pory przebyliśmy długą drogę. Powróćmy myślami do stanu państwa z tamtych czasów, zarówno w kwestii politycznej, jak też ekonomicznej, oraz do pandemium, jakie wynikło z lekkomyślnych, bezwzględnych decyzji naszych przywódców. A potem spójrzmy na to, gdzie znajdujemy się dziś.

Jesteśmy na dobrej drodze do tego, żeby niemal całkowicie oczyścić nasze społeczeństwo z Naznaczonych, którzy dopuszczają się irracjonalnych, niemoralnych, nieetycznych i zwyczajnie nieodpowiedzialnych czynów. Nasze firmy prowadzimy przy odpowiednich kompetencjach, cieszymy się uznaniem na świecie jako kraj, który jest godnym zaufania partnerem w interesach.

Ostatnimi czasy mieliśmy do czynienia z serią zamieszek w stolicy i w mniejszych miastach, przez co tracimy kierunek i koncentrację. Dziś przyszedł dzień, by odzyskać równowagę. Dziś pokażemy, przed kim tak naprawdę chronimy nasze społeczeństwo. Zaprezentujemy jadowitą grupę osób, które nie myślą i nie zachowują się tak jak my. Oczywiście kochamy

członków swoich rodzin, naznaczenia nie powodują, że nasza miłość osłabła, ale to nam pomaga, wysyła sygnał do reszty świata, że jesteśmy zorganizowanym, przyzwoitym społeczeństwem.

Patrzy prosto w obiektyw kamery, jego niebieskie oczy przeszywają odbiorców.

– To, co dziś zobaczycie, jest przyczyną działań Trybunału. Ludzie, których wam pokazemy, są społecznym marginesem. A jeśli nie będziecie chcieli żyć w zorganizowanym, przyzwoitym społeczeństwie, z pewnością do nich dołączycie. Zapraszam naszych obywateli, proszę was, abyście wyszli z domów, stanęli wzdłuż ulic i okazali nam swoje poparcie.

Obraz znika; kobiety w magazynie natychmiast zaczynają rozmawiać. Niektóre zachowują spokój, ale mimo to atmosfera paniki narasta.

Rozlega się gwizdek i potrzeba aż czterech sygnałów, aby harmider ucichł.

Dowódczyni demaskatorów staje przed tłumem i krzyczy:

– Naznaczone! Ściągnąć ubrania i przebrać się w rzeczy znajdujące się z przodu magazynu. Żadnych pytań. Wykonać natychmiast!

Staję na palcach, żeby zobaczyć, co tam z przodu jest. Widzę czerwone ubrania, niektóre wyglądają jak barwione ręcznie, ledwie ochlapane czerwoną farbą do tkanin, i nagle rozumiem, dlaczego kobiety, które widziałam na zewnątrz, miały czerwone plamy na fartuchach. Farbowały stroje dla Naznaczonych.

Na początku ruchy są powolne. Zgromadzone rozmawiają między sobą, zanim ocieężałym krokiem zaczną iść po pochyłej podłodze w stronę sterty ubrań. Wtedy jednak zdają sobie sprawę, że liczba rozmiarów jest ograniczona, więc rzucają się na ubrania, odpychają inne Naznaczone na bok, w walce o czerwone łachy.

S, M, L, XL. Starsza kobieta obok mnie łka. Idę do stolika po rozmiar S dla siebie i XL dla niej, tak oceniłam na oko... Małe rozmiary się skończyły. Jakaś pani po mojej lewej podaje mi swój strój i sięga na kupkę z rozmiarem M.

– Dziękuję – mówię zmieszana.

Ku mojemu zaskoczeniu nikt mnie nie popycha. Starsza kobieta przyjmuje strój cała zalana łzami.

Kiedy rozprostowuję tę nową odzież, jestem oburzona, podobnie jak

wszystkie pozostałe, biorąc pod uwagę ich jęki, piski i krzyki. To kusa czerwona halka na cienkich ramiączkach, która nie pozostawia pola dla wyobraźni.

– Ja tego nie założę – sprzeciwia się głośno jakaś Naznaczona. – Ja tego nie założę – podkreśla.

Wkrótce wszystkie powtarzają to zdanie, jedne z przekonaniem, inne nieśmiało, a czerwone halki lądują na podłodze magazynu.

Grupa demaskatorek podchodzi do kobiety, która rozpoczęła protest.

– Z rozkazu Trybunału masz się przebrać.

Wszystkie milkną i obserwują.

Buntowniczką podnosi halkę, po czym rzuca ją do stóp demaskatorki.

Przez chwilę nic się nie dzieje i nagle w ruch idzie pałka, a kobieta, uderzona w tył nóg, pada na ziemię. Uderza twarzą o podłogę, gwałtownie rozdziawia usta i wyje z bólu. To powoduje dwie rzeczy. Niektóre Naznaczone miękną i natychmiast się przebierają, pozostałe atakują. Ja czaję się na uboczu, na tyłach kręgu, oniemiała i przerażona. Stoimy tu ściśnięte jak zwierzęta.

Nagle rozlegają się gwizdki demaskatorek. Rozglądamy się po sobie zdezorientowane. One nie gwizdzą, żeby nas uciszyć. Gwizdzą, jak gdyby kogoś złapały. Ale tu wszyscy są Naznaczeni, rozglądamy się więc zdezorientowane, bo czy Naznaczonego można złapać dwa razy? To byłby chyba precedens.

Większość demaskatorek opuszcza swoje stanowiska, jak gdyby zdążyły to wcześniej przeciwżyć, dmie w gwizdki i przepycha się przez tłum. Zamiast otoczyć jedną z nas, stają przy demaskatorce, która patrzy na nie z przerażeniem, teraz już szczelnie zamknięta w zwartym pierścieniu. Dźwięk gwizdków jest tak głośny w odbijającym echo magazynie, że wszystkie musimy zatkać uszy. Po chwili demaskatorki zaczynają szturchać pałkami swoją ofiarę. Nie żartują sobie.

– Ściągaj ubrania, Karen.

– To zniewaga, żeby ktoś taki jak ty nosił nasz mundur, ściągaj go natychmiast.

Tak ją dręczą, popychają, dźgają, aż w końcu zaczyna prosić, żeby przestały. Wzywa pomocy, ale żadna z nas jej nie pomaga. Jeszcze przed

chwilą próbowała nas zmusić, żebyśmy ściągnęły ciuchy.

Demaskatorki powalają kobietę na podłogę i zaczynają zdzierać z niej mundur, mimo jej szamotania się i krzyków. Naciągają jej halkę na głowę. Kobieta próbuje ją ściągnąć, ale to i tak na nic, nie ma już munduru, nie może wyjść z magazynu. Demaskatorki nie wypuszczą swojej ofiary, magazyn jest zamknięty, a ona została w nim uwięziona razem z nami. Jest zupełnie bezsilna, tak jak my. Odsuwa się od nas i biegnie w kąt, gdzie pogrąża się w płaczu.

To na jakiś czas wstrzymuje kolejne bójkę, aż zaczyna się jakaś awantura między dwiema kobietami po przeciwnej stronie pomieszczenia. W całej zawziętości niemal rzucają się sobie do oczu.

– Zabrała mi halkę! – piszczy jedna.

– Nieprawda – warczy druga. – Pierwsza ją miałam, odłożyłam tylko na chwilę i od razu mi ją ukradłaś!

Demaskatorki stoją obok, nie chcą się w to mieszać. Nagle widzę, jak ich przywódczyni się śmieje. Rozbawienie na jej twarzy jest oczywiste. Tracę nad sobą kontrolę. Ruszam przez tłum, przepycham się wśród kobiet, które otoczyły bójkę wianuszkami, i staję między dwiema szamoczącymi się przeciwniczkami. Natychmiast odciągam jedną od drugiej. Są ode mnie większe, starsze, silniejsze i bardziej zawzięte. Patrzą na mnie z zaskoczeniem.

– One się z nas śmieją. – Chciałam szepnąć, tak aby demaskatorki nas nie dosłyszały, ale w zamian wydają z siebie wściekły, lodowaty syk.

Jedna z kobiet nie słucha, nadal kłóci się o strój, ale przykułam uwagę tej drugiej. Patrzy na demaskatorki, zauważa, jak rechoczą z bójkę o kawałek czerwonej szmaty. Zaciska pięści.

– Chcesz, żeby się z nas śmiały? – cedzę przez zaciśnięte zęby.

Kręci głową.

– Dajesz im dokładnie to, czego oczekują. – Czuję, jak wzbiera we mnie gniew.

– Jesteś Celestine North – odzywa się kobieta.

To zwraca uwagę jej przeciwniczki, która w końcu na mnie spogląda.

– Ale to – warczy większa z nich, zaciskając ręce na halce – na mnie nie pasuje.

– Moja jest za ciasna, widać w niej, co jadłam na śniadanie.

– Mnie nawet nie przejdzie przez głowę. A tamta jest ze dwa rozmiary na ciebie za duża. Bądź rozsądna!

– Ja to pierwsza znalazłam!

Demaskatorki znów zrywają boki ze śmiechu – z awantury o zwykłe szmaty, które ledwie zasłaniają nasze ciała. Kłócące się wlepiają w nie oczy, awantura gaśnie. W obu kipi jeszcze większa wściekłość. Teraz są po tej samej stronie.

– Pomagajcie sobie – mówię cicho.

– Żadnych szeptów, North! – krzyczy przywódczyni demaskatorek i podchodzi bliżej.

– Od chwili kiedy znalazłyśmy się tu razem, stałyśmy się przyjaciółkami. Tu wszystkie stoimy po jednej stronie. Jesteśmy przeciwko nim, a nie przeciwko sobie nawzajem.

Biorę halkę z rąk większej kobiety.

– Patrz, trzeba rozciągnąć materiał, o tak. – Wkładam ręce w otwór i rozpycham go na boki. Potem podciągam kolano i zaczynam dodatkowo naprężyć nim tkaninę. Czerwony kolor nabiera coraz bardziej różowego odcienia. Podaję halkę szczuplejszej babce. – Masz i daj jej większy rozmiar.

Naznaczona zastanawia się nad tym, po chwili wzdycha i oddaje większą halkę. Patrzą na siebie z halkami w dłoniach jak dwoje nadąsanych dzieci.

– A teraz się uśmiechnijcie – proszę pogodniejszym tonem.

– Co? – Łypią na mnie, jakbym mówiła w obcym języku.

– Uśmiech – mamrocze przez zaciśnięte zęby.

Obie się na niego silą.

– Głowy wysoko, przetrwajmy to z choć odrobiną godności.

Podnoszą podbródki i wiele innych w tłumie postanawia zrobić to samo. Nasz pokaz solidarności sprawia, że z ust demaskatorek znikają uśmiechy.

Strażniczki Trybunału dmą w gwizdki co sił w płucach. Zostajemy niczym byłdo zagnane do mniejszych sekcji hangaru, podzielonych długimi blatami do patroszenia ryb. Stoję za Lizzie. Nawet demaskatorka Karen musi się ustawić, a fakt, że wie, co nas czeka, sprawia, że robi się blada jak śmierć.

Starsza kobieta w rzędzie obok mnie nadal płacze. Stoi w obcisłej czerwonej halce, odarta z całej swojej skromności i dumy, jej starcze ciało jest obwisłe, żyłki widoczne. Z halek wylewa się nadmiar ciał, obfite piersi, pupy i biodra nadwyręzają tkaninę. Niektóre kobiety są zbyt drobne, muszą podciągać ramiączka i wiązać na nich supełki, żeby góra nie opadała zbyt nisko. Wszystkie nasze kształty są na widoku. Dziewczyna, która wygląda na mniej niż szesnaście lat – choć ze względu na zasady Trybunału nie może być młodsza – próbuje jakoś rękoma zakryć swoje zmieniające się ciało; jest cała czerwona na twarzy. My, kobiety, świadomie lub nieświadomie, ubieramy się po to, aby sprawić sobie przyjemność, ukryć swoje niedoskonałości, podkreślić najlepsze cechy. Nasze ubrania są wyrazem tego, kim jesteśmy, odbiciem naszych myśli i uczuć. Teraz nas z tego odarto, zostałyśmy praktycznie nagie, wszystkie nasze mankamenty, których się wstydzimy i nie zamierzamy nikomu pokazywać, są teraz wystawione na widok publiczny. I nawet jeśli ktoś nie krępuje się swojego ciała, noszenie tego nędznego skrawka materiału jest zwyczajnie poniżające. Zostałyśmy pozbawione naszej indywidualności, naszej wyjątkowości. To komunikat, że między nami nie istnieje żadna różnica, że się nie liczymy, nie mamy znaczenia. Jesteśmy tylko liczbami, marną armią niedoskonałości.

I wszystkie zastanawiamy się nad tym samym. Czemu to służy? Co stanie się dalej?

Dostajemy po parze japoniek o podeszwach tak cienkich, że czuję pod nimi chłód terakoty. Dowodząca demaskatorka patroluje linie szeregu, mierzy nas wzrokiem. Przystaje przy mnie i patrzy z miną taką, jakby wachała otwarte szambo.

– Ty. Celestine North. Lubisz się bawić w przywódczynię, co?

Nie odpowiadam.

– No to teraz masz okazję zabłysnąć – prychna wrednym tonem. – Na przód szeregu.

Idę, czując na sobie spojrzenia wszystkich zebranych.

– Śmiało, Celestine – dodaje mi odwagi jedna z kobiet.

Inna zaczyna klaskać, jakby do czegoś mnie zagrzewały, jak gdybym miała właśnie wyjść na ring bokserki. Czuję, jak klepią mnie po ramionach, po

plecach, posyłają mi pełne otuchy mrugnięcia i nerwowe uśmiechy. Cała hala zaczyna mnie wspierać; do oczu napływają mi łzy wdzięczności i dumy.

Demaskatorki dmuchają w gwizdki, aby powstrzymać tę akcję wsparcia. Głównodowodząca demaskatorka nie przewidziała takiej reakcji tłumu. Zajmuję miejsce na początku swojej kolumny. Nasz rząd ruszy pierwszy, a ja będę na froncie, choć nie wiem, dokąd idziemy. Drzwi magazynu się rozsuwają, halę wypełnia światło. Rozlega się komenda: marsz!



Dokładnie w tej samej chwili z hangaru obok wyłaniają się mężczyźni. Mają na sobie czerwone podkoszulki i bokserki. Po kilku rozkwaszonych nosach i podbitych oczach widzę, że ich bunt także został stłumiony. Niektóre kobiety zaczynają płakać na ich widok. Część mężczyzn z szacunku odwraca od nas wzrok.

Ten, który prowadzi kolumnę Naznaczonych, spogląda na mnie i przeklina, widząc, co musiałyśmy założyć. Główny demaskator grupy mężczyzn natychmiast go ucisza, waląc po głowie. Spotykamy się w pół drogi, musimy iść obok siebie. Zastanawiam się, co zrobił, że zasłużył sobie na tę pozycję lidera. Jestem raczej pewna, że faceci nie walczyli ze sobą o bokserki. Rozglądam się po nich, szukam kogoś znajomego, ale wtedy demaskator gwizdże mi prosto w twarz na znak, że mam trzymać głowę prosto.

– Jesteś Celestine North? – pyta mężczyzna obok mnie, prawie nie poruszając wargami.

– Tak.

– Co tu się dzieje?

Dyskretnie zerkam na boki.

– Nie wiem.

– Masz jakiś plan, co? – cedzi przez zęby.

Wychodzimy do portu. Na ulicach stoją mieszkańcy miasta, którzy wylegli

z domów i z biur, aby zobaczyć paradę Naznaczonych. Paradę wstydu. Paradę win. W równych odstępach wzdłuż chodników są rozstawieni demaskatorzy w rynsztunku bojowym, z tarczami w ręku.

Jesteśmy w starej części miasta. Po drugiej stronie rzeki znajduje się nowoczesne, tętniące życiem centrum, które góruje nad niegdyś zdezelowaną dzielnicą portową. Tutaj zachowano stare brukowane ulice, gdzie kiedyś znajdowały się siedziby hurtowników i drobnych sprzedawców, oferujących owoce, warzywa, mięso i ryby – kwitnący, pulsujący, kolorowy świat pełen ludzi i życia. I właśnie tu rozpoczynamy naszą podróż: od magazynów. Po drodze mijamy straganiarzy na placu targowym. Mam wrażenie, że to jakoś pasuje. Czujemy się jak bydło prowadzone na targ: do obejrzenia, wyceny, sprzedaży.

Wkrótce uliczki się poszerzają; pojawiają się kawiarnie, restauracje, budynki mieszkalne – ludzie na balkonach stoją z kubkami parujących napojów w dłoniach. W takich nędznych japonkach trudno się idzie po wertepiastych ulicach, parę razy obijam sobie palec o ostrą krawędź wystającego bruku. Zresztą nie ja jedna. Kilka osób pada na ziemię, rani sobie kolana, ale inni Naznaczeni pomagają im wstać i iść dalej.

Z miejskich głośników rozlega się głos Crevana, nagranie ze skróconą wersją tego, co powiedział wcześniej, zmontowane urywki, które teraz są odtwarzane na okrągło.

– Dziś dziękujemy Naznaczonym za to, że pomogli nam oczyścić nasze społeczeństwo z niedoskonałości i pozwolili, byśmy mieli zorganizowane, przyzwoite społeczeństwo. – To stwierdzenie jest wyjątkowo popularne i powtarza się jak zdarta płyta.

Wielcy, mali, chudzi, grubi, czarni, biali, starzy i młodzi – wszyscy Naznaczeni maszerują w paradzie po wąskich brukowanych ulicach na oczach licznie zebranych obywateli. Grupki dzieciennych nastolatków gwizdzą na nasz widok, ale większość ludzi patrzy na tę paradę z przerażeniem i zażenowaniem, że coś takiego w ogóle się dzieje. Wiedzieć, że Naznaczeni mają skazy i muszą żyć jako obywatele drugiej kategorii, to jedno, ale co innego patrzeć, jak prezentują blizny wypalone za karę. Co z oczu, to z serca. Ludziom łatwo żyć, jeśli nie muszą mierzyć się z rzeczywistością w tak brutalny sposób.

Ta parada z założenia miała być okrutna, zamierzano zaszczepić ludziom strach w sercach, bo społeczeństwo musi się bać. To komunikat wysyłany całemu krajowi. Jeśli nie będziesz wierzyć w wartości głoszone przez państwo, właśnie to się z tobą stanie. Ale nikt nie może na to nic poradzić. Odezwanie się słowem zostałyby uznane za pomoc Naznaczonym i kolejni nieszczęśnicy dołączyliby do nas, więc wszyscy milczą, strach przed zasileniem szeregów Naznaczonych jest zbyt wielki.

Choć tyle spojrzeń spoczywa na moim niemal nagim ciele, czuję się niewidzialna. Nikt tak naprawdę mnie nie dostrzega. Mam wrażenie, że im bardziej jesteśmy zbici w grupę, tym mniej ludzcy się stajemy, przestajemy być indywidualnymi jednostkami. Idę, z oczu płyną mi łzy i skapują po policzkach. Z głową uniesioną, skoncentrowana na drodze przed sobą. Nasze łzy są bezcelowe i nic nie znaczą, niczego nie działają. Tylko my sami możemy je otrzeć.

Spotykam się wzrokiem z innymi naznaczonymi kobietami i mężczyznami. Co zrobić? Czy przestaliśmy widzieć nawet siebie nawzajem? Wszyscy wyglądają na równie bezsilnych, jak gdyby się poddali. Niektórzy idą z tak nisko zwieszonymi głowami, że potykają się, kiedy osoba przed nimi zwolni, inni z głowami tak wysoko, że aż prowokująco. Jeszcze inni płaczą. Kolejni nie robią nic, trudno odczytać ich miny. Próbują po prostu przetrwać. Dobnąć do końca.

Mijam naszego ogrodnika Tommy'ego, a on opuszcza głowę, jakbyśmy byli orszakiem żałobnym. Widzę sprzedawcę ze staromodnego sklepu ze słodyczami, z którego ukradłam cukierka, kiedy miałam pięć lat, i musiałam tam wrócić, żeby przeprosić. Moja dentystka, jej dzieci, grupka matek, które pamiętam ze szkoły. Dyrektor, wielu obcych ludzi. Szukam wzrokiem Carricka, ale chyba by mu odbiło, gdyby się tu zjawił. Zastanawiam się, czy ogląda to w telewizji i na tę myśl się uśmiecham. Mam taką nadzieję. Wyobrażam go sobie na kanapie w bezpiecznej kryjówce, wolnego.

– Leonard! – krzyczy nagle Lizzie.

Chłopak stoi przy chodniku wśród zebranych.

Obejmuje ją i przez chwilę stoją przytuleni, zanim najbliższy demaskator spróbuje ich od siebie odciągnąć.

Idę, podczas gdy ona nadal trzyma się Leonarda, aż trzeba ich rozłączyć

siłą.

– Pozwólcie mu ją przytulić! – słyszę, jak woła jakaś kobieta, i tłum w tej części zaczyna ubliżać demaskatorowi.

– Skażone kanalie! – ryczy do nas ktoś inny.

Maszeruję dalej.

Odwracam się, żeby zobaczyć, jak długi jest nasz orszak, i daleko z tyłu zauważam Monę. Wydaje z siebie stłumiony jęk. Za nią drepcze Cordelia. Nie widać Evelyn – mam nadzieję, że jest z Alphą i profesorem Lambertem, a nie w ośrodku N.O.U., choć obawiam się najgorszego. Nagle widzę Kelly, a po drugiej stronie profesora Lamberta. Serce mi pęka. Wszyscy zostali schwytani. Boję się o Juniper, mamę i Carricka. Robi mi się słabo.

Wyłaniamy się z kamiennych uliczek i wchodzimy na płytę rynku. Ilu okropieństw były świadkami te budynki. A teraz jeszcze to.

– Pewnie prowadzą nas do zamku – szepczę do mężczyzny obok mnie, czując, jak łomocze mi serce.

Z zamkiem wiążą się dla mnie same przerażające wspomnienia, ale teraz myślę dodatkowo o dziadku. Przynajmniej jakaś część mnie pragnie tam teraz iść, bo może się spotkamy. Ale już po chwili zaczynam się zastanawiać, czy dziadek nie idzie z naznaczonymi mężczyznami, więc zerkam przez ramię i znów zaczynam wypatrywać. Za często się odwracam do tyłu, w końcu upadam na bruk i rozcinam sobie kolano.

Nieznajomy obok mnie przystaje, żeby mi pomóc, ale demaskator gwizdże na niego, żeby znów ruszył. Przeprasza i idzie dalej. Jakaś pani stojąca na chodniku wydaje z siebie jęk, wyciąga do mnie rękę na pomoc. Demaskator wlepia w nią wzrok, więc kobieta się wycofuje.

– Przykro mi, biedulko – mówi. Trzęsie jej się dolna warga. – Tak strasznie mi was żal.

Wszyscy kroczą dalej, ja zostaję na bruku z zakrwawionym kolanem. Udaję, że cierpię bardziej niż w rzeczywistości. Muszę trafić w odpowiedni moment.

– Wracaj do szeregu – rozkazuje mi demaskator.

Powoli podnoszę się z ziemi, aż widzę Monę. Wtedy wstaję i wskakuję do szeregu tuż przed nią. Na mój widok rozwesela jej się buzia.

– Cześć, kumpelo, co tu robisz?

Patrzę na mężczyzn obok nas: to Lennox, Fergus i Lorcan.

– Fajna kiecka, Celestine – rzuca Lennox.

Uśmiecham się, czuję przypływ energii wywołany tym, że znów jestem wśród swojego plemienia.

– Nie znoszę, jak idę na imprezę i wszyscy mają na sobie to co ja – stwierdza z udawanym oburzeniem Lorcan.

Wybuchamy śmiechem.

– Jak tam twój plan, Celestine? – pyta Lennox.

Znów się śmiejemy.

– Przestańcie gadać – nakazuje demaskator, którego mijamy.

– Gdzie Carrick? Czy Juniper i moja mama są bezpieczne?

– Wydostaliśmy Juniper z ośrodka, jest w domu. Twoja mama też – melduje Lennox. – Byłabyś z niej dumna. Zrobiła niezłą chryję w bazie demaskatorów. Przyszła z prawnikiem i gliną. Dokładnie obejrzelі sobie całe towarzystwo, które się tam znajdowało: strażników, Pię Wang i te zaginione dzieciaki. Gliniarz zaczął niezłe we wszystkim grzebać, zwłaszcza że dzieciaki od kilku dni były poszukiwane przez policję. Crevan ma w tej kwestii sporo do wyjaśnienia. Myślę, że w końcu zrobi się z tego niezła afera.

Uśmiecham się z ulgą i dumą, ale czeka nas jeszcze długa droga, a potem też nie wiadomo, jak będzie.

– A co z Carrickiem? Gdzie on jest?

Lorcan patrzy z niepokojem na Lennox.

– Powiedz mi – proszę.

– Nie wiemy – odpowiada. – Taka prawda.

Przełykam ciężko ślinę i próbuję zdusić łzy, które znów zaczynają napływać. Mam jedynie nadzieję, że nie wpadł w ręce Crevana.

– Uciekłam z moim nauczycielem od angielskiego – mówi nagle Mona ni stąd, ni zowąd.

– Co? – Odwracam się.

– Głowa prosto – nakazuje kolejny demaskator.

Znów patrzę w tył.

– Kiedy się poznałyśmy, zapytałaś mnie, co zrobiłam, że dali mi skazę. Nie powiedziałam ci tego. Jako piętnastolatka uciekłam ze swoim nauczycielem od angielskiego. On miał dwadzieścia dziewięć lat. I był żonaty. To ja wpadłam na ten pomysł. Myślałam, że jakoś to będzie. Ale plan nie wypalił. Aż o tym huczało w mediach. Jak gdybym zaginęła. Złapali nas. Jego posłali do więzienia. Ja nie miałam osiemnastu lat, więc... naznaczyli mnie.

– Nie mogłam przestać palić, jak zaszłam w ciążę – wyznaje nagle Cordelia głośno, żeby inni też usłyszeli. – Mamusie z przedmieść we Flushing Meadows były tym obrzydzone. Urządziły mi własny sąd Naznaczonych i dały mi ostrzeżenie. Ale ja nie potrafiłam rzucić fajek. Przyłapały mnie w ósmym miesiącu ciąży, jak paliłam z głową wystawioną za okno łazienki podczas dobrotycznego kiermaszu ciast, i postanowiły na mnie donieść. Błagałam, żeby poczekały, aż urodzę, żeby nie odebrano mi dziecka i nie oddano go do ośrodka N.O.U. Wszystkie się zgodziły z wyjątkiem jednej.

– Ja ubierałam się w sukienki babci – oświadcza Lennox poważnym tonem, po czym wybucha śmiechem. – Żartuję. Założyłam stronę matrymonialną, która pomagała ludziom zdradzać małżonków. – Wszyscy patrzymy na niego z oburzeniem.

– To ty? – Mona wykrzywia twarz w grymasie.

– Milion klientów. Wszystko legalne. Miałem ferrari i takie tam.

– Trybunał je przejął? – pyta zaszokowany Fergus.

– Nie. Żona, gdy dostała rozwód.

Śmiejemy się.

– No to zasługujesz na swoje znamię – stwierdza Mona, ale wiemy, że wcale tak nie myśli.

Teraz odzywa się Fergus, i przynajmniej raz nie żartuje.

– Byłem policjantem. Wysyłałem sobie „intymne zdjęcia” z dziewczyną przez służbowy telefon. Zostałem zawieszony na piętnaście miesięcy. To nie było nic zakazanego i nie stwierdzono, żebym dopuścił się czegoś szczególnie szkodliwego, ale gliniarze na mnie donieśli i uznano, że mam skazę.

Patrzę na nich zaskoczona. Z każdym wyznaniem kolejna osoba zyskuje poczucie wsparcia, by również móc opowiedzieć swoją historię, wyznać

sekrety, które wychodzą z nas podczas tego pochodu.

Odzywa się matka Carricka.

– Dostałam skazę na języku za wypowiedzenie się przeciwko społeczeństwu. Adam i ja nie zawsze pracowaliśmy w kuchni w fabryce – mówi niemal z sarkazmem. – Byliśmy lekarzami. Mieliśmy własny gabinet. Napisaliśmy kilka artykułów naukowych na temat niebezpieczeństw wynikających ze szczepień. Środowisku lekarskiemu i rządowi nie spodobały się nasze zawodowe opinie.

– Ja niczego nie zrobiłem – odzywa się starszy mężczyzna, którego nie znam. – Zostałem wrobiony. Trybunał orzekł, że kłamię, i dostałem skazę.

Po tym wyznaniu milkniemy.

Gdy zbliżamy się do mostu łączącego miasto z zamkiem, zaczynam się zastanawiać nad kwestią przestrzeni. Jest pewna przestrzeń, którą ludzie mają dla siebie gdzieś w sobie, w środku. Każdy człowiek ma miejsce dla tych, których spotyka. Czasem jest ono duże, czasem małe. Wzdłuż ulic stoją obywatele i demaskatorzy, wszystko z naszego powodu. Przestrzeń, jaką mają dla nas, jest ogromna, w każdym z nich.

Ludzie, którzy są kochani, mogą być kiedyś nienawidzeni z tą samą siłą. Jak Art musiał mnie kochać, zanim zostałam złapana, i jaki musi być na mnie zły, że wstąpił do demaskatorów. Jak bardzo winna musi się czuć Juniper, że nie powiedziała mi o Arcie, skoro zamieniła się ze mną miejscami w szpitalu, ryzykując własną wolność. Jeśli istnieje dla nas przestrzeń, to jedyne, co musimy zrobić, to zmienić uczucia. Kiedy spoglądam na twarze tych, którzy nas obserwują, gdy przemierzamy ulice, pokazując nasze blizny, nasze słabości, nasze upadki, czuję nadzieję. Czuję, że coś może się zmienić. Jeśli tak bardzo nas nienawidzą, mogą nas równie mocno kochać.

Skręcamy za rogiem i zaczynamy iść po kocich łbach stromej ulicy prowadzącej do Zamku Highlandzkiego. I tak jak gdyby ktoś czytał w moich myślach, nagle słyszę wiwaty. Gromkie, chóralne, radosne okrzyki. Rozglądam się i przed sobą, po prawej stronie, widzę mamę, Juniper i Ewana – podskakują na poboczu, oklaskują uczestników parady i skandują z pięściami w górze.

– Łuuuhuuu! – wywrzaskuje entuzjastycznie mama ze łzami w oczach. – To moja córka, moja dziewczynka!

– Mamo! – krzyczę. – Mamo! – Nie mogę w to uwierzyć i sama zaczynam podskakiwać. – To moja mama! – wyjaśniam pozostałym, którzy zaczynają jej machać, im jesteśmy bliżej.

Kiedy wszyscy zwracają na nich uwagę, Juniper, mama, a nawet mój mały brat rozpinają bluzki, ściągają przez głowę swetry i odsłaniają koszulki z czerwonym napisem „Obalić Trybunał”.

Naznaczeni uśmiechają się szeroko, klaszczą i gratulują im odwagi, z jaką okazują swoje wsparcie, a ja jestem taka dumna ze swojej rodziny. Wszyscy, którzy ich mijają, uśmiechają się i ocierają łzy z policzków, podczas gdy moi bliscy oraz ludzie skrzyknięci przez mamę biją nam brawo. Zauważam, że najbliżej Zamku Highlandzkiego zebrali się krewni Naznaczonych. Kiedy przechodzę tuż koło mamy, ona wyciąga do mnie rękę, a ja ją chwytam. Demaskator próbuje nas ze sobą rozdzielić, ale trzymamy się mocno i przez łzy głęboko patrzymy sobie w oczy.

– Kocham cię, córeńko. Jestem z ciebie taka dumna – mówi mama o krok od zupełnej rozsypki. – Głowa wysoko, Celestine – dodaje głośniejszym głosem. – Wszyscy podnieście głowy wysoko. Jesteśmy tu, by was wspierać.

Unoszę głowę i zamierzam już jej nie opuścić. Wtedy zwalnimy uścisk.

W życiu każdego z nas są wyjątkowi ludzie, którzy mają w sobie nieskończone pokłady miłości i tolerancji dla wszystkich naszych wad.



Pojedyncze rzędy mężczyzn i kobiet łączą się w jeden, kiedy wchodzimy na dziedziniec Zamku Highlandzkiego. Znajomy teren. To w tym miejscu każdego z nas oderwano od normalnego życia i przeniesiono do obecnego stanu. Stoimy ściśnięci, są nas tysiące. Ciężko nam oddychać. Pod wieżą zegarową, główną siedzibą Trybunału, ustawiono przenośną scenę.

Wychodzi na nią Crevan, a jego czerwona peleryna powiewa na letnim wietrze. Za nim idzie Art i staje lekko na uboczu. Jego widok w tym miejscu nie wywiera już na mnie takiego piorunującego wrażenia. Miałam dużo czasu, żeby się z tym oswoić. Teraz patrzę na niego z ciekawością i zastanawiam się, o czym w tej chwili myśli. Gdy Crevan mija syna, czule kładzie mu na ramieniu dłoń i uśmiecha się szeroko, dumny, że ma przy boku swojego potomka. Słyszę, jak ktoś przy mnie cmoka. Art jest zawstydzony tym publicznym okazywaniem uczuć, spuszcza zaczerwienioną twarz.

Crevan staje na podwyższeniu i się rozgląda. Na początku wydaje mi się, że tylko ot, tak patrzy po tłumie zebranych, ale po chwili zdaję sobie sprawę, że on kogoś szuka. Mnie. Wie, że tu jestem.

Stoję zbyt daleko od sceny. Muszę podejść bliżej.

– Co ty wyprawiasz, Celestine? – syczy Mona.

– Idę pod scenę.

Przepycham się między ludźmi, przepuszczają mnie z radością, nikt nie ma ochoty stać z przodu. Nikt nie przyszedł tu z własnej woli.

Crevan widzi, że przebijam się przez zgromadzonych i najwyraźniej zapomina, co mówić.

Na moment wydaje się rozkojarzony, ale po chwili już się ogarnia. Art też mnie dostrzega, mierzy wzrokiem moje ciało w czerwonej halce, identycznej jak u innych. Nie wiem, co widzi, kiedy na mnie patrzy, nie mam czasu się domyślać, moje spojrzenie wraca na Crevana.

– Panie i panowie, zwołałem was tu dzisiaj, aby podziękować wam za udział w paradzie. Dziękuję za czas, który poświęciliście. W całym kraju odbywają się podobne pochody, a Naznaczeni pokazują swoim społecznościom, w jaki sposób są oczyszczani. Zebraliśmy was tu dzisiaj, aby podzielić się pewnymi wiadomościami.

To jego spojrzenie, to drgnienie warg... Na ten widok ogarnia mnie lekkie przerażenie.

– Spotkałem się wczoraj z naszym premierem, aby omówić nową strategię o nazwie: Redukcja Naznaczonych.

Szemranie.

– Trybunał uznał, że to nasz obowiązek pozwolić Naznaczonym żyć wśród społeczeństwa, aby mu pokazać, co może się zdarzyć, jeśli ktoś ulegnie swojej słabości, swojej niedoskonałości. Jednak w ostatnich tygodniach z powodu wzrastającej przemocy i poczucia zagrożenia... – spogląda na mnie – ...jasne staje się, że takie dwojaki społeczeństwo jest niebezpieczne. W interesie wszystkich leży, aby naszą strategię wprowadzić w życie.

Redukcja Naznaczonych to inicjatywa mająca na celu zakwaterowanie osób ze skazą odrębnie, w ich społeczności, aby dać im możliwość swobodnego życia pod rządami Trybunału.

Ludzie są wzburzeni i zaczynają to głośno okazywać. Nie ma znaczenia, jak Crevan to ujmie, jak będzie próbował odkręcić kota ogonem, twierdząc, że daje Naznaczonym wolność – to nie brzmi dobrze. Zaczynam się trząść.

– To więzienie! – krzyczy ktoś.

– Getta!

– Obozy!

– To nie będzie ani więzienie, ani getto, ani obóz – spokojnie zapewnia Crevan. – Ale to oczywiste, że Naznaczeni nie mogą mieszkać tuż obok reszty

społeczeństwa. Sporządziliśmy projekt i zostanie on wdrożony przez nowy rząd. – Teraz patrzy do kamery z tym samym spokojnym, dodającym otuchy uśmiechem, który znam z innego życia, „wszystko będzie dobrze, Celestine”. Zanim po raz pierwszy stanęłam na nartach wodnych, zanim Art po raz pierwszy prowadził. Zanim spróbowałam ostryg. Po pogrzebie mamy Arta, kiedy Crevan przyłapał go na tym, jak płacze w moich objęciach, i przyglądał się nam z progu. Jego spojrzenie zawsze mówiło „wszystko będzie dobrze, Celestine”.

Łzy spływają mi po policzkach, podczas gdy tłum wokół mnie wybucha złością. Crevan schodzi ze sceny, zamiatając swoją peleryną, a zaskoczony Art zostaje pociągnięty za nim. Na dziedziniec wkraczają demaskatorzy z tarczami bojowymi i przygotowanymi pałkami. Spodziewają się wybuchu zamieszek.

Ale to nie w porządku, nic z tego nie jest w porządku.

Widzę tęgą starszą kobietę z magazynu, wciąż zasłania się rękami w upokorzeniu i szłocha pośród trwającego wokół chaosu. Podchodzi do niej jakaś współtowarzyszka niedoli i biorą się za ręce. Obok stoi nastolatek, tyczkowaty, skóra i kości, żaden awanturnik. Kobieta chwyta jego dłoń i cała trójka łączy się jakby w modlitwie. Niektóre grupki osób starają się racjonalnie rozmawiać z demaskatorami, ale czuję, że zaczyna narastać prawdziwa wściekłość i przemoc wisi w powietrzu.

Biegnę do Mony, która kłóci się z demaskatorką i mówi, co o niej myśli, we właściwy dla siebie, bezpośredni sposób. Łapię ją za ramię i odciągam na bok.

– Mona, przestań!

– Co? Ty przestań, Celestine! – Próbuje mi się wyrwać, ale wbijam jej paznokcie w skórę.

– Au! Co ty...?!

– Przestań – powtarzam przez zaciśnięte zęby. – Dajesz Crevanowi dokładnie to, czego chce. Spójrz tylko.

W końcu przestaje się szarpać i rozgląda wokół siebie.

– Patrzy teraz na nas cały świat, więc Crevanowi to na rękę, że będziemy zachowywali się jak zwierzęta. Kazał nam przeparadować ulicami, po czym wygłosił mowę o Redukcji Naznaczonych, nagrywaną przez kamery pod

każdym kątem. Trzeba nas zamknąć, bo jesteśmy niebezpieczni. On nas wrabia.

Każdy, kto ogląda nas w domu, zapragnie, żebyśmy zostali odseparowani, przestraszą się nas i zgodzą z jego planem. Mona w końcu widzi to co ja. Trąca Fergusa. Kiedy ten nie reaguje, kopie go bez żadnego skrępowania.

– Co? – reaguje Fergus z irytacją.

Przekazuje mu moje słowa, a ja stoję ze spokojną grupką, trzymającą się za ręce w morzu chaosu. Biorę dłoń starszej kobiety. Mocno ją ściskam. Staruszka drży.

– Co ona, do cholery, wyprawia? – słyszę głos Lennox.

– Carrick chciałby, żebyśmy jej słuchali. Enya też.

Podchodzą do nas. Mona bierze mnie za rękę, obok niej staje Lorcan, który obejmuje się za barki z Lennoxem i Fergusiem, niczym towarzysze broni. Dołączają do nas kolejni ludzie. Nie zajmuje to wiele czasu – wkrótce wszyscy stoimy na dziedzińcu w szeregach, dłoń w dłoń, ramię w ramię, zjednoczeni.

Milczymy. A mimo to wzbiera we mnie moc, której nie czułam nigdy wcześniej, ogromne poczucie przynależności. Jeszcze mocniej ściskam dłoń staruszki i Mony. Widzę łzy połyskujące w oczach wszystkich i to, jak Fergus zaciska szczękę, żeby tylko się nie rozkleić.

Kamery telewizyjne wszystko nagrywają, demaskatorzy patrzą na siebie zdezorientowani, czekają, aż coś się wydarzy. Przygotowywali się na rozróbę. Nie daliśmy im tego, czego chcieli. Przyglądam się armii. Chcę im odebrać władzę. Czuję się taka silna, silniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. Nie wiem, skąd przychodzi mi to do głowy, ale zaczynam gwizdać. Wydaję z siebie długi, wysoki świst, tak bliski dźwiękowi demaskatorskich gwizdków, jaki tylko jestem w stanie osiągnąć. Mona natychmiast to podłapuje, podobnie jak następni. Gwizd się rozprzestrzenia. Przyłączają się do niego trzy tysiące osób. Trzy tysiące głosów, trzy tysiące gwizdów. Demaskatorzy patrzą na siebie bezsilnie, bo jak mają to powstrzymać, skoro to nie jest akt przemocy. Stoimy spokojnie, imitując ich dźwięk, ale tak, że stał się nasz.

Jeden z demaskatorów odkłada tarczę, ściąga hełm i upuszcza na ziemię.

– Nie mogę – mówi, wyraźnie skołowany. Wygląda, jakby zaraz miał zemdleć.

– Riley – woła za nim inny. – Wracaj do szeregu.

– Nie, nie mogę. Nie mogę – powtarza.

– To działa – mówi staruszka radosnym głosem. Mam wrażenie, że stoi bardziej wyprostowana. – Mieli rację co do ciebie.

Gwizd się wzmacnia, gdy wycofuje się kolejny demaskator. Kobieta. Kate. Rzuca tarczę, ściąga hełm, występuje z bojowego szyku i dołącza do nas. Bierze mnie za rękę, staje pomiędzy mną a staruszką. Dmie w gwizdek od naszej strony, na co wybuchamy owacjami.

Widzę, jak z okna przy wieży zegarowej obserwuje mnie Art.



Powiedz coś – mówi do mnie Kate. Dłoń ma wilgotną i czuję zapach jej potu. Poznają, że jest przerażona tym, co przed chwilą zrobiła, ale stało się, decyzja podjęta.

– Co?

– Powinnaś powiedzieć coś do zebranych.

– Zrób to – nakłania też Mona, puszcza moją dłoń. Delikatnie wypycha mnie z szeregu.

Stoję sama, jak zerwane ogniwo łańcucha.

– Nie – sprzeciwiam się. Już na samą myśl o wystąpieniu ściska mnie w gardle. Próbuję z powrotem stanąć z innymi, ale wypychają mnie na przód.

– Nie wiem, co powiedzieć.

Przypominam sobie, jak kilka tygodni temu Alpha zaprosiła mnie na scenę podczas wiecu w swoim domu. Tyle tych twarzy spragnionych moich słów; ludzie patrzą wyczekująco, liczą, że po ich gorących oklaskach z moich ust wypłynie coś wspaniałego. Miałam ich całkowitą uwagę, byli po mojej stronie, a jednak nie potrafiłam wymyślić choć jednej rzeczy, którą mogłabym im przekazać. Demaskatorzy, o ironio, ocalili mnie tamtego dnia, przerywając spotkanie.

– No idź. – Mona znów popycha mnie do przodu.

Próbuję wrócić do szeregu, ale Kate i Mona trzymają się za ręce. Czuję na

nas obiektywy kamer, więc nie chcę urządzać scen. Wszystko wygląda tak, jakbym została wykluczona z grupy.

Ktoś woła:

– To Celestine.

Mam imię, które łatwo usłyszeć, kiedy inni je wymawiają, nawet za moimi plecami. Wychwytyję te syczące dźwięki, jakby szły po tłumie falą, aż w końcu gwizd przechodzi w syk i zalega cisza.

Robię kilka kolejnych kroków, odwracam się twarzą do Naznaczonych.

– Na imię mam Celestine – zaczynam cichutko.

– Nie słychać cię. Wyjdź na scenę – domaga się donośnie Lennox.

Rzucam mu wściekłe spojrzenie, ale niestety ma poparcie tłumu. Spodziewam się, że demaskatorzy będą próbowali mnie powstrzymać, najwyraźniej jednak nie są pewni, co na tym etapie robić. Nie panują nad sytuacją, biorąc pod uwagę, że ludzie z ich szeregów właśnie do nas dołączyli. Patrzą więc jedynie, jak wchodzę na podium. Odchrząkuję.

Mam wrażenie, że to jakiś koszmar: stoję przed tysiącami ludzi, ubrana wyłącznie w obcisłą halkę. Moje ciało, moje skazy są odsłonięte. To powinno być upokarzające, ale nie jest. Co się radzi ludziom, którzy boją się publicznych występów? Wyobraź sobie, że wszyscy są nadzy albo w bieliźnie. Oni naprawdę są w bieliźnie. Żadne z nich nie może ukryć swoich blizn. Nikt przede mną nie jest idealny. Nie czuję niczyjej krytyki. Jeśli już, czuję siłę, patrząc na ludzi świadomych swoich wad, i panika natychmiast się ulatnia.

– Nazywam się Celestine North – mówię donośnie, a mój głos niesie się wśród tłumu.

Po tych słowach roznoszą się oklaski, czego się nie spodziewałam. To zaskakuje też demaskatorów, którzy prostują plecy i szykują się na to, co może nastąpić.

– Oglądałam wczorajszy wywiad z panem Crevanem i wszyscy słyszeliśmy, co sędzia miał do powiedzenia, teraz mam nadzieję, że on słyszy mnie. Teraz moja kolej.

Rusza do mnie demaskator.

– Nie odebrano mi prawa do swobody wypowiedzi – mówię.

Demaskator patrzy na swojego przełożonego, ten daje krótki znak skinieniem głowy, więc podwładny się wycofuje.

Nie wiem, skąd się to bierze, ale wczorajsze emocje, towarzyszące mi podczas oglądania Crevana w telewizji, zaczynają wydobywać się na powierzchnię.

– Arogancja, zachłanność, niecierpliwość, upór, męczennictwo, umniejszanie własnej wartości, autodestrukcja. Oto siedem skaz na charakterze, jakimi obarczył nas sędzia Crevan. Ale, panie sędzio, zawsze istnieją dwie strony medalu. Kiedy mówisz mi, że jestem zachłanna, ja nazywam to pragnieniem. Pragnieniem, by żyć w sprawiedliwym społeczeństwie, w którym wszyscy mają takie same prawa. Gdy nazywasz mnie arogancką, ja widzę dumę, bo moje przekonania każą mi stanąć ponad despotami.

Mówisz, że jestem niecierpliwa, a ja mówię, że mam odwagę kwestionować twoje osądy, które nie stanowią prawa, a jedynie wyznacznik moralny. Mówisz, że jestem uparta, a ja nazywam to determinacją. Mówisz, że chcę zrobić z siebie męczennicę, ja mówię, że to bezinteresowność. Umniejszanie własnej wartości? Pokora? Autodestrukcja? To, co zrobiłam dla Clayтона Byrne'a w autobusie, nie było celowym czynem, by zniszczyć sobie życie, ale podjęłam decyzję w oparciu o przekonanie, że to, co się dzieje, jest niehumanitarne. To, co widzisz jako wady, panie sędzio, ja postrzegam jako zalety.

Nie ma nic złego w popełnianiu błędów. One uczą nas brać odpowiedzialność. Pokazują, co się udaje, a co nie. Przekonujemy się, że następnym razem postąpilibyśmy inaczej, jak będziemy inni, lepsi i mądrzejsi w przyszłości. Nie jesteśmy jedynie chodzącymi pomyłkami. – Głos mi się łamie, a tłum wybucha ogromną burzą radosnych oklasków. – Błądzić to rzecz ludzka. Człowiek uczy się na swoich błędach – mówię do uciszonego tłumu. –

Reszta świata posługuje się takimi powiedzeniami. Jeśli to prawda i sędzia Crevan oraz nasi obecni przywódcy nigdy nie popełnili błędu, to my musimy nauczyć ich kilku rzeczy. Stoję przed wami, najbardziej naznaczona ze wszystkich, najbardziej naznaczona na świecie. Dziś wychodzimy z cienia Trybunału, moralnego sądu, i wyłaniamy się jako liderzy przyszłości.

Mona ciska pięścią w powietrze i wydaje z siebie ryk. Reszta

zgrupowanych szybko idzie w jej ślady. Widzę profesora Lamberta – z dumą klaszcze, a Lorcan i Fergus przybijają sobie piątki.

Było warto. Naprawdę. Mimo tego, co dzieje się dalej.



Nie czuję strachu, kiedy odprowadzają mnie demaskatorzy. Jestem jak odurzona swoją przemową. Nie wiem, skąd się wzięły te słowa. Po prostu się ze mnie wydobyły, kiedy ich potrzebowałam. Mam jedynie nadzieję, że słyszeli je moja rodzina i Carrick, gdziekolwiek jest.

Demaskatorzy nie są wobec mnie delikatni. Kiedy tylko znajdujemy się poza zasięgiem kamer, mocniej ściskają mnie za ramiona i ciągną za sobą, przyspieszając kroku. To już nie Tina. Nie czuję się jak tamta pannica, która parę miesięcy temu szła tymi korytarzami, przerażona, trzymająca się kurczowo swoich relacji z Crevanem, aby tylko się stąd wydostać. Każdy odgłos i każdy strażnik napawał mnie lękiem, bez przerwy się rozglądałam, zawsze się bałam.

Teraz już się nie boję. Tym razem wiem, że mam rację, a oni się mylą.

Zostaję przeprowadzona przez zamek i zwieziona windą do podziemi. Przechodzę przez rejestrację, a ktokolwiek mnie widzi po drodze, daje mi znać, co sądzi na mój temat. Kiedy wchodzimy do aresztu, pierwszego dostrzegam Raphaela Angelo. Siedzi w osobnej celi, plecami do mnie, ze stopami w górze, noga na nogę, i ogląda Telewizję Sądu Naznaczonych.

Uśmiecham się, widząc jego luz. W telewizji pokazują dziedziniec wypełniony tłumem. Naznaczeni siedli na kocich łbach i gwizdzą. Strajk okupacyjny. U bram widać mieszkańców miasta – oni też gwizdzą. Demaskatorzy, ubrani w mundury bojowe, otaczają Naznaczonych, ale ci nie

sprawiają im żadnych kłopotów.

Raphael Angelo odwraca się do nas, zapewne dostrzegł nasze odbicie w szklanej klatce. Uśmiecha się na mój widok, podnosi oba kciuki. Chcę odwzajemnić jego gest, ale demaskatorzy zachowują się tak, jakbym miała zamiar rzucić granatem, chwytają mnie za ręce i wykręcają mi je za plecy. Krzyczę z bólu i nachylam się, podczas gdy oni wyginają moje ciało w zupełnie nienaturalną pozycję.

– Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej – kpi jeden ze strażników, kiedy zatrzymujemy się przed moją dawną celą.

W ogóle się nie zmieniła, odkąd tu byłam po raz ostatni. Z wyjątkiem jednego. Wchodzę do środka i widzę dziadka.

– Dziadku! – wołam, biegnąc w jego rozpostarte ramiona. Przytulam go mocno. – Nic ci nie jest? – Odskakuję szybko i mierzę go wzrokiem. Dotykam dłońmi jego twarzy i obracam głowę na obie strony, żeby dobrze się przyjrzeć i upewnić, że nie zrobiłam mu krzywdy.

– Jestem cały i zdrowy – odpowiada i znów mnie do siebie przyciąga ze łzami w oczach. – Myślałem, że spaliłem cię żywcem – mówi ostrożnym szeptem. – Do końca życia nie wybaczę sobie tego, co zrobiłem.

– Ale przecież mnie nie spaliłeś. – Mocno go przytulam. – Jestem tutaj.

– Ale nie miałem pewności... Cały czas widzę, jak rzucam tę podpałkę prosto na ciebie. Nocami, kiedy tu śpię, słyszę twoje krzyki. – Ściska mnie niemal z całej siły.

– Jestem tu z tobą, dziadku. – Ściszam ton głosu, żeby nie słyszeli nas strażnicy. – Ocaliłeś mnie. Pamiętaj. Nie uciekłabym, gdyby nie ty.

Całuje mnie w czoło i czuję, jak cały się trzęsie.

– Opowiedz, co się dotąd wydarzyło – proszę. Próbuję sprawić, żeby się skupił.

– Wystarczy – ostro wcina się strażnik. – Czas minął.

Dziadek natychmiast słucha rozkazu. Za długo tu już jest i wie, że opór to gra niewarta świeczki.

– Chcę więcej czasu z dziadkiem – oznajmiam stanowczo, ale jestem ignorowana.

Strażnicy chwytają dziadka mocno i prowadzą do celi obok Raphaela, po przekątnej ode mnie. Mimo że jest taki zrezygnowany, czego jeszcze u niego nie widziałam, wygląda nieźle, gładko ogolony, zdrowy. Ma dobre warunki, nie zaniedbywano go, tylko przebywa w zamknięciu dłużej niż to konieczne. Zbyt dużo czasu spędził z własnymi myślami i serce mi pęka na widok tego, jak się wykończył psychicznie.

Patrząc do celi sąsiadującej z moją i czuję nagle ogromną tęsknotę za chłopakiem, w którym się zakochałam. Wiem, że to bez sensu pragnąć, żeby Carrick był tu, w niewoli razem ze mną, bo przecież jest gdzieś w prawdziwym świecie, cieszy się względną wolnością. Tylko że tu się właśnie poznaliśmy. Nigdy nie byłam w areszcie bez niego.

Mrugam, sądząc, że wzrok mnie zwodzi. Widzi to, co chcę, zamiast rzeczywistości. Ale obraz się nie zmienia.

Carrick stoi przy szklanej ścianie i patrzy na mnie.

Ma opuchnięte prawe oko. Zamieram; nie mogę w to uwierzyć. Czy to moja wyobraźnia, czy on naprawdę tu jest?

– Przepraszam – wypowiada bezgłośnie ze zrezygnowaną miną.

– Aresztowaliśmy twojego chłopaka dzisiaj rano. Jak za dawnych czasów, co? – Strażnicy się śmieją. Wychodzą z mojej celi i zamykają za sobą drzwi.

Podbiegam do szyby i przykładam do niej dłoń.

Wróciliśmy do punktu wyjścia, tylko że teraz to za mało. Wiem, jakie wrażenie daje jego dotyk, jak brzmi jego głos, wiem, jak pachnie jego skóra. Przecież on miał być bezpieczny. Tego nie było w planie.

Kopię szybę i krzyczę.



Nie spędzam w samotności zbyt wiele czasu. Do mojej celi wchodzi sędziowie Trybunału: Crevan, Sanchez i Jackson, oraz mężczyzna w wygniecionym białym garniturze, z siwą kozią bródką i kiepską opalenizną. Sędziowie, w czerwonych pelerynach z herbami Trybunału podpisanymi „Strażnicy perfekcyjności”, zaszczyli mnie swoją obecnością w pełnym składzie.

Idą w moją stronę gęsiego, jak mała armia na misji, z teczkami akt pod pachami. Sędzia Sanchez wygląda tak, jakby zaraz miała zwymiotować, i patrzy na mnie wielkimi, spanikowanymi oczami.

Interesujące.

Carrick, dziadek i Raphael natychmiast wstają, żeby się przyglądać. Są moją ostoją, nawet jeśli za taflą szkła, ale ich obecność daje mi wsparcie. Strażniczka otwiera przed dostojnikami drzwi i staje w rogu. Sędziowie wchodzi do środka.

– Możesz wyjść – instruuje ją Crevan.

Kobieta w mundurze wydaje się lekko zniechęcona, nie dlatego, że wydano jej rozkaz, ale pewnie boi się, że zaatakuję jej wspaniałych sędziów. Nie jest Tiną.

– Siadaj, Celestine – mówi Crevan. Wygląda na zmęczonego. Starszego. Postarzał się przeze mnie, i fajnie.

– Dzięki, postoję.

– Rany, Celestine. – Uderza dłonią o stół, przez co mężczyzna z kiepską opalenizną aż podskakuje.

Uśmiecham się.

– Jestem uparta. Opieram się zmianom – cytuję go.

Widać po nim, że ledwie nad sobą panuje. Podoba mi się to. Sędzia Sanchez jest zdenerwowana, z jakimś lękiem patrzy to na niego, to na mnie. Udaje spokojną, ale zdradza ją wyraz rozbieganych oczu. Zastanawia się pewnie, czy ją wydam.

– Słyszałam, co zrobiłeś mojej siostrze. – Spoglądam mu prosto w oczy, choć oboje wiemy, że to mnie schwytał tamtej nocy na szczycie wzgórza. – Czy inni sędziowie też zdają sobie z tego sprawę?

Jackson jest najwyraźniej świadomy sytuacji; wpatruje się w Crevana z irytacją.

– To było niefortunne nieporozumienie, choć rozumiem, że nie pierwszy raz ktoś myli cię z twoją siostrą.

Zostałam ukarana za zakrywanie znamienia na skroni, kiedy w mediach Crevana pojawiło się moje zdjęcie z rozpuszczonymi włosami. Okazało się, że na zdjęciach jest Juniper, ale potrzebowałam aż Pii Wang, żeby to udowodnić.

– A Logan, Colleen, Gavin i Natasha? Z kim ich pomyliłeś?

Jackson znów przenosi wzrok na swojego kolegę, może sam chętnie usłyszałby odpowiedź na to pytanie.

Crevan nie traci zimnej krwi.

– Oni i strażnicy pomagali mnie oraz specjalnemu zespołowi demaskatorów ustalić twoje miejsce pobytu. Zbiegów traktuje się w Trybunale bardzo poważnie.

Jest niesamowicie opanowany; zaczynam się obawiać, że wykręci się od wszystkiego, mimo że mama przyłapała go w obecności policjanta i prawnika, mimo odnalezienia zaginionych nastolatków, mojej niewinnej siostry i naszprycowanych lekami nasennymi strażników. Znowu może mu ująć na sucho.

– Chciałabym porozmawiać z Celestine na osobności – wtrąca się nagle

Sanchez.

– Dlaczego? – pyta Jackson.

– Jak kobieta z kobietą. Sędziego Crevana i Celestine łączy wspólna przeszłość i przez to może być im trudno ze sobą rozmawiać.

– Tak czy inaczej, wolałbym przy tym być – stwierdza Jackson. – Sędzia Crevan zapewne też. Ewentualnie my będziemy mówić, a przewodniczący tylko obserwować.

To wystarczy, żeby Crevan siadł wyprostowany jak struna.

Sędzia Sanchez spogląda na mnie.

– Są pewne rzeczy, o których miałam wcześniej okazję porozmawiać z Celestine, niedługo po jej назначeniu, a które, jak mam nadzieję, nadal są aktualne.

Milknę na chwilę, by rozszyfrować ten kod. Czy znów mamy układ? Ja i ona kontra Crevan? Tylko że Sanchez już raz mnie zdradziła. Mogę jej zaufać? I czy chcę zaryzykować?

Dziadek, Carrick i Raphael stoją z nosami przy szybach, próbując dociec, co się dzieje. Carrick jest tak blisko nas, jak gdyby był w celi razem ze mną, ale nie słyszy ani słowa z rozmowy. Raphael macha do mnie. Chce wejść do mojej celi.

W głowie mi pulsuje. Uwielbiam matematykę, ponieważ tam problem zawsze ma rozwiązanie. Podążaj za twierdzeniem, a znajdziesz odpowiedź. Ostatnio jestem zdezorientowana, nie ma twierdzeń, tylko ludzie, którzy prowadzą ze sobą różne gierki i zmieniają zasady w trakcie gry. Ale to, że zasady się zmieniają, nie znaczy, że muszę się do nich dostosowywać.

– Kim pan jest? – pytam opalonego mężczyznę w lnianym garniturze.

– To Richard Willingham – odpowiada Crevan, chociaż nie jego pytałam. – Zgodnie z prawem Naznaczonych musisz mieć obrońcę.

– Już mam obrońcę.

Crevan odkłada długopis.

– Pan Willingham przyleciał tutaj z zagranicy w ostatniej chwili.

– Przykro mi, że odrywam pana od gry w golfa – zwracam się do niego. – Niestety mój poprzedni prawnik, pan Berry, znajduje się pod wpływem

silnych narkotyków. Ale już załatwiłam sobie kogoś innego. Nie musimy wysyłać po niego prywatnego samolotu. Jest tutaj. Nie będę z nikim dłużej rozmawiać, dopóki go nie przyprowadzicie.

Wszyscy spoglądają na Raphaela. Karzeł macha do nas.

– On? – wykrztusza z siebie Willingham.

– Uważam, że ludzie, którzy musieli o coś w życiu ciężko walczyć, są najsilniejsi. O co musiał pan w życiu walczyć? Jeśli chce pan prowadzić moją sprawę, to musi mnie pan do siebie przekonać.

– Nie – odpowiada krótko Crevan. – Ja przydzieliłem ci pana Willinghama jako obrońcę z urzędu.

Sanchez i Jackson wiedzą, że to wbrew przepisom. Powinna mieć wybrać, kogo chce.

– Sądzę, że panna North zachowała prawo wyboru pełnomocnika. – Sędzia Jackson oddala postanowienie przewodniczącego.

Podczas gdy Jackson, Crevan i Willingham rozmawiają na temat zmian, Sanchez zawzięcie pisze coś w telefonie. Zastanawiam się, co knuje.

– Bardzo dziękuję za dzisiejsze przybycie, panie Willingham. Dopilnuję, aby prywatny samolot Trybunału był do pana dyspozycji – ostatecznie mówi Crevan.

Pan Willingham wydaje się bardzo niezadowolony i obwieszcza to wszystkim poprzez serię prychnięć, westchnień i surowych spojrzeń, nic jednak nie wskóra, sprawujący władzę już podjęli decyzję. Mija mojego obrońcę w drzwiach i z obrzydzeniem mierzy go wzrokiem.

Raphael zostaje wprowadzony do celi, siada, krzyżuje nogi.

– No to na czym stanęliśmy?

– Zebraliśmy się tu, aby wyznaczyć karę dla Celestine – zaczyna Jackson. – Publicznie okazała brak posłuszeństwa wobec Trybunału i jego zasad, za co wymierzimy sprawiedliwość. Choć uciekanie Trybunałowi nie jest niczym nowym i istnieją na to odpowiednie przepisy, jej przypadek należy uznać za bezprecedensowy. Doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie spotkać się i przedyskutować to poza salą sądową.

Crevan i Sanchez siedzą cicho. Oboje mają inne plany. Sprawiedliwość

własnego pomysłu.

– Doceniamy inicjatywę, aby załatwić to w ten sposób. – Raphael nie marnuje czasu. – Tak będzie najlepiej dla wszystkich zainteresowanych. Zaczynamy więc. Trybunał wydaje wyroki w kwestii moralności. Jakich niemoralnych czynów dopuściła się ostatnio Celestine? Przemówiła na wiecu, który sami zorganizowaliście? To było zresztą bardzo inspirujące, Celestine. A jak mi się zdaje, Trybunał nie zakazał jeszcze wolności słowa. Jedyne co Celestine zrobiła niewłaściwego, to zbiegła przed swoim demaskatorem i nie zgłosiła się na kilka kontroli. Jeśli więc ma zostać ukarana, to sprawa jest jak najbardziej precedensowa. Kiedy Angelina Tinder nie zgłosiła się na kontrolę, na tydzień odebrano jej dzieci; w przypadku Victorii Shannon zakazaliście pracodawcy przez tydzień wypłacać jej wynagrodzenie, Daniel Schmidt płacy nie otrzymywał przez miesiąc, a Michael Taylor przez pół roku, aż spóźnił się z ratami za dom, który prawie by mu odebrano, gdyby nie zwyciężył zdrowy rozsądek Sądu Najwyższego.

Z podziwem słucham, jak z pamięci wymienia ciurkiem listę przypadków.

– Ale Celestine nie ma pracy, nie ma dzieci i z pewnością nie ma domu – ciągnie. – Jeśli ukarzenie jej rodzinę, to zaprowadzi was do sądu praw człowieka. Rodziny Naznaczonych nie mogą być karane za ich czyny. Może wcześniej nie stawialiście za to przed sądem, bo ludzie się was bali, ale ja znam prawa Celestine i z radością przypomnę je w sądzie.

Nie zapominajmy jednak, że Trybunał niesłusznie zaaresztował siostrę Celestine, która nie zrobiła niczego złego, jak również jej dziadka, który przetrzymywany jest bez podstaw. To tylko działania podjęte po to, aby Celestine się ujawniła. Trybunał nie zrobił nic poza wzbudzaniem wrogości u mojej klientki i napełnianiem jej strachem, aby zniechęcić ją do powrotu do społeczeństwa.

Nasze spotkanie przerywa strażniczka.

– Ważny telefon do sędziego Jacksona w jego gabinecie.

– Czy to nie może poczekać? – pyta zmieszany Jackson.

– Pilna sprawa, panie sędzio.

Spoglądam na Sanchez, która wydaje się strasznie potulna, i dociera do mnie, że do kogokolwiek pisała na telefonie, ta osoba upewniła się, że Jackson

opuści celę.

Kiedy sędzia wychodzi, Raphael kontynuuje.

– Jak macie zamiar dalej karać moją klientkę? Naznaczyliście ją już we wszystkich pięciu możliwych miejscach.

– Zawsze możemy znaleźć więcej – zwraca się Crevan do mnie półzartem, z błyskiem w oku.

On naprawdę myśli, że nikt nie wie. Sanchez spogląda wtedy na niego inaczej. Jego arogancja ją wścieka.

– Może na kręgosłupie – podsuwa Raphael.

Serce łomocze mi jak oszalałe. To ta chwila. Raphael teraz nie odpuści.

Sanchez też to wyczuwa i siada wyprostowana.

Crevan chłodno spogląda na karła.

Zapada długie milczenie.

– Bądźmy ze sobą szczerzy – odzywa się mój niezłomny obrońca. – Istnieje pewne nagranie, panie sędzio, na którym wypala pan skazę na kręgosłupie tej młodej damy, własnoręcznie i bez środków znieczulających.

Crevanowi drga powieka.

– To jedynie domniemania, że takie nagranie istnieje, bo najwyraźniej nikt nie potrafi go znaleźć. Osobiście uważam, że to po prostu nic nieznacząca groźba. Nagrania najzwyczajniej w świecie nie ma.

– Jest – odparowuję.

– Zapewniam sędzię Sanchez, że nie ma takiego nagrania, a nawet gdyby jakieś było, to na pewno podrabiany montaż, mnóstwo robią takich w internecie – zwraca się do Sanchez.

Stara się wymyślić sposób, w jaki Trybunał mógłby wmówić światu, że to nieprawda. Próbuje przeciągnąć ją na swoją stronę. Ale ona siedzi cicho i nie odsłania kart. Nie mam pewności, za kim ostatecznie stanie.

– Wiem, że Celestine była dziś rano w twoim domu – podejmuje znów Crevan podejrzliwym tonem.

– Zgadza się, dzwoniłam do ciebie, ale demaskatorzy przyjechali pierwsi.

– Sama ich wezwałam – przerywam im tę zabawę w kotka i myszkę, która

zaczyna mi trochę przeszkadzać. Żadnych gierek. Sama szczerść. – Sędzia Sanchez zamierzała mnie tobie przekazać. W zamian za coś. Zamierzała dokonać małej transakcji.

Sanchez patrzy na mnie zaskoczona, ale skoro zaczęłam, musi kontynuować.

– Popełniłeś zbyt wiele błędów, Bosco – mówi. – W sprawie twoich poczynañ jest prowadzone dochodzenie i zostałam poproszona o współpracę. Będę musiała im uczciwie powiedzieć, co wiem.

– Czego ty ode mnie chcesz? – wypala Crevan nagle, tak jakby mnie i Raphaela nie było w celi.

– Żebyś odszedł. Chcę zostać przewodniczącą Trybunału.



Creван śmieje się nerwowo.

– Mam złożyć rezygnację?

– Chcę mieć kontrolę. Pełną kontrolę.

Creван pręży się, po chwili wstaje.

– I niby w zamian za co zamierzasz zabrać mi stanowisko? Za nią? – Pokazuje na mnie palcem. – Przecież już ją mam.

Czuję się urażona, że nawet nie wymawia mojego imienia. Raphael też przygląda się temu wszystkiemu z obrzydzeniem.

– To ja mam nagranie – oznajmia Sanchez, a z twarzy Crevana odpływają wszelkie kolory. – Widziałam, jak trzymasz w dłoni pręt i wypalasz skórę siedemnastoletniej dziewczynie. To było godne ubolewania. Ohydne. Nie po założono Trybunał. Nie to mieliśmy robić.

Creван jest wstrząśnięty, szybko jednak odzyskuje głos.

– Jak już mówiłem, nagranie jest fałszywe.

– Sądzę, że społeczeństwu będzie bardzo trudno w to uwierzyć, tobie też, jak je obejrzysz.

Creван przełyka ślinę.

– To szkaluje cały Trybunał, Bosco, i jeśli będę musiała, upublicznę nagranie, bo to są twoje czyny. To przez ciebie Trybunał ma złą reputację. Jeśli

zostaniesz na stanowisku, doprowadzisz do jego upadku. To już się dzieje. Atakują ciebie, nie Trybunał. Jeśli się odsuniesz, to będzie wielka korzyść dla Trybunału. Zdołam nawiązać nowe relacje z nowym rządem. Zaczniemy od początku i będziemy kontynuować to, do czego zostaliśmy powołani.

Crevan nie jest zadowolony z takiego obrotu spraw. Trybunał to jego twór. Być może Erica Edelman słusznie uważa, że Crevan traktuje kraj jak swoje dziecko. Kiedy jego żona umarła, zupełnie się posypał, zaczął wszystkich obwiniać za to, że ją stracił. Najpierw naznaczył lekarza, który nie wykrył nowotworu i postawił błędną diagnozę. Poczł smak zemsty i to był początek końca – zaczął przeradzać się w potwora.

– Nie możesz tego zrobić – syczy do Sanchez. – Trybunał założyła moja rodzina, zawsze prowadzili go Crevanowie.

– Oczywiście, że mogę to zrobić. I zrobię – odpowiada Sanchez, wstając.

Raphael i ja spoglądamy na siebie. To nie wygląda dobrze. Zaraz pójdą na ugodę, a ja nic na tym nie zyskam.

– To słuszny krok i najlepsze wyjście – podsumowuje Sanchez. – Odejdiesz na swoich warunkach wraz z nastaniem nowego rządu, nową erą, nowym początkiem dla Trybunału. Odejdiesz po cichu bez dyskusji, bez występów w telewizji.

– A co ze mną? – Przerywam ich długie spojrzenie.

– Oddam ci wolność – odpowiada Sanchez.

– Unieważnisz mój wyrok? – Crevan unosi głos.

– To jedyny sposób.

– Nieprawda – krzyczy.

– Tak będzie najlepiej.

Carrick i dziadek stoją przy szybach. Usiłują zrozumieć, co się dzieje, tak samo jak ja i Raphael, choć jesteśmy w środku.

Crevan podchodzi do drzwi celi i próbuje je otworzyć.

– Są zamknięte – przypominam.

– Do jasnej cholery, otwierać – drze się ile sił w płucach.

– Nie usłyszają cię stąd – oznajmiam spokojnie. – Ściany są dźwiękoszczelne.

Odwraca się do nas, twarz ma czerwoną, mięśnie mu drgają, w środku cały gotuje się z gniewu, zaraz wybuchnie. Strażniczka przychodzi w samą porę, aby go wypuścić, a on wystrzeliwuje na zewnątrz, prawie ją przewracając.

Sanchez robi długi, niepewny wydech.

– Czyli oddasz mi wolność. Nie będę już dłużej naznaczona.

– Tak.

– Wypuścisz też mojego dziadka?

– Tak.

– Pozwolisz spokojnie odejść Raphaelowi Angelo?

– Tak.

– Moi rodzice musieli opłacić koszty procesu po obu stronach.

– Trybunał zwróci im pieniądze.

– Marlena Ponta świadczyła o moim charakterze podczas procesu. Ogłosicie, że nie wprowadziła Trybunału w błąd. Oficjalnie.

– Tak.

– Blizny Celestine – dodaje Raphael. – Trybunał zapłaci za ich usunięcie.

Sanchez wszystko sobie przemyślała.

– Tak.

– Unieważnienie werdyktu zostanie ogłoszone publicznie? – pyta Raphael.

– Tak.

Serce mi wali. To wszystko, czego chciałam. Pragnęłam, żeby świat się dowiedział, że Crevan popełnił błąd, żeby to rzuciło światło na inne prowadzone przez niego sprawy. Jeśli przewodniczący ma skazę, to podobnie jest z całym Trybunałem. Wtedy Naznaczeni może przestaną być represjonowani. I tyle. Choć chyba nie do końca.

Sanchez zbiera swoje papiery i jakby czytała mi w myślach, mówi:

– To wszystko?

Spoglądam na Carricka.

– Jeszcze Carrick Vane. Jego wyrok również musi zostać unieważniony.

Patrzy na mnie i wydaje mi się, że widzę uśmiezek w kąciку jej ust.

– Nie.



Musicie zagwarantować wolność Carrickowi – wypalam wzburzonym głosem.

– Carrick Vane nie ma związku z twoją sprawą – odpowiada Sanchez. – Ta dyskusja w ogóle go nie dotyczy.

– Ale zostanie ukarany za to, że się ze mną ukrywał.

– Zostanie ukarany za to, że zbiegł swojemu demaskatorowi. Nie wymierzmy mu kary za to, że był z tobą w zмовie, jeśli o to się martwisz.

– Ale musicie go wypuścić. – Głos coraz bardziej mi się trzęsie.

– Nie – powtarza znów zdecydowanym tonem. Spogląda na Raphaela. – Skończyliśmy już? Przygotuję dokumenty.

– Potrzebuję czasu, aby skonsultować się z prawnikiem – mówię ku ich całkowitemu zaskoczeniu. – Muszę się zastanowić.

Raphael przymyka oczy z przerażeniem.

– Ile? – rzuca cierpko Sanchez.

Spoglądam na zegar.

– Nie wiem, do jutra?

– Masz czas do końca dnia.

– Ale przecież oni na wszystko się zgodzili, Celestine – oburza się Raphael. – Odzyskasz swoje życie. Idź na układ.

– Posłuchaj swojego obrońcy, dziewczyno – radzi Sanchez, zbierając dokumenty. – Moja oferta jest aktualna do osiemnastej. – Idzie do drzwi, a strażniczka natychmiast je otwiera.

– O co chodzi? – pyta Raphael, kiedy tylko Sanchez znika z pola widzenia. – Powinnaś pójść na ugodę. Dają dokładnie to, czego chciałaś. Twoja sprawa unieważniona publicznie wywoła pytania co do innych wyroków, a to z kolei pomoże wszystkim Naznaczonym.

– A realnie ile to zajmie? Mnie zależy, żeby Carrick był wolny już teraz.

– Na początku chciałaś jedynie, żeby uznano, że Crevan ma skazę. To krok w tę stronę. Celestine, musisz trzymać się planu. Nie bądź głupia. Przyniesiesz więcej korzyści Carrickowi i innym Naznaczonym, jak odzyskasz wolność. Nie pozwól, żeby Carrick wpłynął na twoje zdanie.

Serce łomocze mi na myśl o tym, jaka to ciężka decyzja.

– Posłuchaj, jesteś młoda, rozumiem to. Kiedy miałem osiemnaście lat, szalałem za pewną Marie. Cholera, gdybyś mi kazała skoczyć w przepaść dla Marie, tobym skoczył. Niewiele brakowało, a nie poszedłbym na studia, pragnąłem jedynie podróżować po świecie, żyć jak hipis z Marie. Była dla mnie wszystkim. Marie, Marie, Marie. – Przewraca oczami.

– I co się stało?

– Pokłóciliśmy się. Zwykła kłótnia i po wszystkim. Więc to jednak nie była miłość, tak mi się tylko zdawało. W pełni uświadomiłem to sobie, kiedy poznałem Susan. Kiedy miałem dwadzieścia siedem lat i życie zdążyło mnie już sporo nauczyć. Celestine, nie oddawaj komuś swojej wolności, jak masz osiemnaście lat. Jeszcze tyle doświadczeń i nauki przed tobą. Musisz myśleć o sobie. Pójdź na ugodę.

W końcu przenoszę wzrok na Carricka, który stoi przy samej szybie. Wygląda tak, jakby zamierzał przebić ją pięścią na wylot, jeśli nie powiem mu natychmiast, co się dzieje.

Wzdycham, biorę kartkę i długopis.

Zgodzili się na wszystko oprócz ciebie.

Przez chwilę wpatruje się we mnie, przyswajając informację, po czym kiwa głową na ten swój carrickowy sposób. Krzyżuje ramiona i przeszywa mnie spojrzeniem. Zaczynam się wiercić pod presją jego wzroku.

Wtedy on bierze kartkę i pisze. Przykłada ją płasko do szyby.

Powiedz, że poszłaś na układ.

Kręcę głową.

Macha rękami ze złością i wściekle coś gryzmoli.

Nie bądź głupia. Chcę, żebyś była wolna.

Odpisuję:

Nigdy nie będę wolna, jeśli ty nie będziesz.

To go załamuje. Traci nad sobą kontrolę. Po ruchu warg rozpoznaję, że wykrzykuje moje imię, ale nie słyszę ani słowa w swojej dźwiękoszczelnej puszcze. Ciągłe kręcę głową i odwracam wzrok. Nie chcę widzieć dalszych protestów. Kłótnia nie ma sensu, kiedy jestem odwrócona do niego plecami. To na pewno doprowadza go do szewskiej pasji. Nie możemy się teraz sprzeczać, nie w ten sposób. Podjęłam decyzję, a mimo wszystko to, co powiedział Raphael, dźwięczy mi w głowie. Czy robię głupio?

– Czasem trzeba być egoistą dla większego dobra – dodaje karzeł.

– Bez względu na to, jaką decyzję podejmę, tobie i dziadkowi nic się nie stanie. Nie zrobiłabym wam tego.

– Doceniam to – mówi smutno ze względu na mnie.

Nie zdaje sobie jednak sprawy, że jestem samolubna. Pokochałam swój naznaczony świat. Kocham przyjaciół, których tu poznałam, kocham Carricka. Wiem, kim jestem. Czuję się jedną z nich. Gdyby ktoś mi to odebrał, to jakbym przechodziła przez wszystko od nowa – zostałabym wydartą ze swojego świata i spośród znanych mi ludzi. Jest mi dobrze jako Naznaczonej, może nawet czuję się bardziej swobodnie niż wcześniej, lepiej mi w poznaczonej bliznami skórze. Nie chcę, żeby usuwano mi skazy. Nie chcę wracać do tego, kim byłam, i do życia, jakie wiodłam. Nigdy nie czułabym się dobrze, będąc idealna. Ideał nie istnieje, to kłamstwa. Ale nie mówię żadnej z tych rzeczy.

– Zastanów się nad tym – prosi Raphael.

Spoglądam na zegar.

– Czemu sprawdzasz godzinę? – Raphael robi się podejrzliwy.

Moją uwagę rozprasza poważniejsza rzecz, która wkrótce ma się wydarzyć.



Ty coś knujesz, prawda? – Karzeł przygląda mi się badawczo. – Dlatego nie chcesz przyjąć tej oferty, co?

Patrzę na strażniczkę, która wciąż siedzi w celi.

– Wcale nie.

Raphael orientuje się, dlaczego nie chcę nic powiedzieć, i przestaje naciskać.

Carrick pisze coś zawzięcie w notesie i przytrzymuje go przy szybie, żeby dziadek mógł przeczytać. Nie widzę, co tam naskrobał, bo notes jest odwrócony okładką do mnie, ale się domyślam, co to za informacja.

Dziadek czyta, nie reaguje, żeby nie dać po sobie znać, że o czymś wie. Przygląda mi się tylko przymrużonymi oczami, jak gdyby próbował mnie rozgryźć. Zbyt dobrze mnie zna, on też coś podejrzewa. A może już wie.

Carrick jest teraz na mnie taki zły, że prawie wychodzi ze skóry. Bierze krzesło i rzuca nim o przeciwległą ścianę. Krzesło się odbija, nic więcej. Widzę czerwoną twarz Carricka, pulsujące na karku żyły, ślepe furie.

– O-o – mówi Raphael.

Strażniczka w mojej celi zrywa się z miejsca.

– Zostaw go, przejdzie mu – powstrzymuje ją Raphael.

– Wracaj do swojej celi. – Strażniczka otwiera mu drzwi.

– Nie skończyłem rozmawiać z klientką – sprzeciwia się.

Nie może jednak powiedzieć wiele więcej, ponieważ siłą zostaje wyciągnięty przez dwóch strażników, którzy przybiegają z odsieczą. Carrick musi się uspokoić, nie może teraz stracić kontroli. Stoi do mnie plecami, specjalnie, i to tylko świadczy o tym, jaki jest zły. Jego plecy z każdym oddechem falują, podczas gdy próbuje się uspokoić. Piszę szybko i uderzam kartką o szybę między naszymi celami.

Wszystko zepsuje, jeśli się nie dowie, co się wydarzy.

Odwróć się, Carrick, odwróć się.

Walę w szybę, ale oczywiście mnie nie słyszy.

Strażnicy otwierają jego drzwi, a ja modłę się, żeby ich nie zaatakował. W końcu zerka na mnie, ale już opuściłam kartkę. Nie mogę ryzykować, że przeczytają ją strażnicy. Drę papier na strzępy i wyrzucam do kosza. Mężczyźni zachodzą Carricka z obu stron. Wyciągają przed siebie ręce, jakby próbowali uspokoić dzikiego konia. Carrick ich ignoruje, odwraca się, żeby na mnie spojrzeć, oczy ma czerwone, jakby płakał. Myśli, że rujnuje mi życie, nie ma pojęcia, na ile sposobów mnie ocalił. Teraz o niczym nie ma pojęcia. Gdyby tylko przeczytał moją wiadomość, wszystko by zrozumiał.

Strażnicy stoją tak z nim przez chwilę, zasłaniając mi widok. Kiedy wychodzą, on wciąż tkwi w tym samym miejscu, a ja przy szkle, próbując go skłonić, żeby na mnie spojrzął, ale tego nie robi.

W zamian to on zaczyna coś pisać i uderza kartką o szybę.

Zaaranżowałem zamieszki w supermarkecie. To był mój pomysł. Powiedziałem Lorcanowi i Fergusowi, żeby stanęli obok ciebie i władowali cię w kłopoty. To ja jestem wszystkiemu winien. Okłamałem cię.

Uśmiecham się i kręcę głową. To się nie uda. Nie sprawi, żebym zwróciła się przeciwko niemu.



Strażnicy wracają z obiadem dla nas i każdemu podają tacę. Przy okazji zabierają z naszych cel kartki i długopisy.

Raphael bierze widelec, z obrzydzoną miną zaczyna grzebać nim w jedzeniu. Dziadek z kolei doskakuje do tacy i ładuje w usta kopiaście porcje. Carrick wciąż stoi do mnie plecami – ma gdzieś: strażników, jedzenie, wszystko i wszystkich. Chce, żebym go znenawidziła, ale to nie działa.

Burczy mi w brzuchu w odpowiedzi na moje rozważania, czy przełknę choć jeden kęs, czy nie. Dali nam zupę w beżowym kolorze, która może zawierać właściwie cokolwiek, od warzyw po kurczaka. Na danie główne mięso i dwa kawałki warzyw. Próbuję ćwiczenia z wachaniem i smakowaniem, jakiego uczył mnie Carrick, podczas gdy usiłuję się domyślić, co tak naprawdę będę jeść. Czuję wyraźny zapach mięty. Albo Amolu. Może mięta pochodzi od mięsa, jeśli to jagnięcina, ale kiedy pociągam nosem bliżej, zdaje się, że zapach nie dolatuje od głównego dania, które wygląda bardziej jak wysuszona wołowina niż jagnięcina. Podnoszę do nosa miseczkę z zupą, zamykam oczy, wdycham powietrze. Delikatna miętowa nuta. Co to może być? Gram w grę z samą sobą, aby zabić czas, bo nie ma nic lepszego do roboty, ale też dlatego, że nie dam im się pokonać. Z przyjemności zjem posiłek, nie wiedząc, z czego się składa, wszędzie, ale nie tutaj. To by było dla nich pewnego rodzaju zwycięstwo. Crevan miał rację co do jednej rzeczy: moją główną wadą zdecydowanie jest upór.

Bardzo chcę znów być w kuchni z Carrickiem i siedzieć przed otwartą lodówką, z zawiązanymi oczami, czując koniuszki jego palców na swoich ustach, gdy mnie karmi.

Może to zupa z groszku z miętą, myślę sobie, choć wtedy byłaby zielona, nie beżowa.

Pomyśleć tylko, że to kiepskie stołówkowe jedzenie było ostatnią rzeczą, jaką jadłam, zanim stałam się Naznaczoną. Może to dobrze, że teraz nie czuję smaku, choć akurat dziadek z apetytem zjadł wszystko do końca i położył się nawet na drzemkę.

Carrick podchodzi do stolika, jego głód także bierze górę. Siada i zabiera się do zupy. W przeciwieństwie do mnie czuje jej smak od razu.

Burczy mi w brzuchu. Wzdycham. Niech będzie. Miejmy to za sobą.

Ale kiedy wkładam łyżkę do ust i opieram ją o dolną wargę, zatrzymuję się. Mięta przypomina mi zapach Crevana na szczycie, tę woń środka dezynfekującego, który pomyliłam z gumą do żucia. Przypomina mi szpital, w którym obudziłam się po tym, jak sędzia wbił mi strzykawkę w nogę. Przypomina mi to, jak połowicznie sparaliżowana wlokłam się po podłodze.

Otwieram oczy.

Dodali nam czegoś do jedzenia.

Dziadek leży na łóżku z zamkniętymi oczami.

Raphael siedzi zgarbiony na krześle, z głową przy piersi. Oczy ma zamknięte.

Carrick, częściowo odwrócony do mnie plecami, macza czerstwy chleb w zupie. Zrywam się z miejsca i zaczynam walić w szybę, krzycząc.

Oczywiście mnie nie słyszy, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy, więc robię to dalej, płacząc na widok tego, że coraz mniej mu zostaje. Głos mam zachrypnięty, gardło mnie piecze, pięści pulsują od uderzania w szkło.

Rozglądam się za długopisem i kartką, nie ma, przecież zabrali je strażnicy, gdy przynieśli jedzenie.

Wpadam na pewien pomysł. Muszę wywołać zamieszanie. Urządzić scenę. Podnoszę krzesło i ciskam nim. Ściągam pościel z łóżka, rzucam na podłogę, przewracam stolik z jedzeniem. Miotam wszystkim, co tylko zdołam podnieść.

Demoluję celę. Carrick pewnie czuje w końcu wibracje albo widzi odbicie w szkłe, bo nagle się odwraca i szczeka mu opada. Strażnicy otwierają drzwi do aresztu i łapią klucze.

Biegnę do szyby i wyraźnie wymawiam: „jedzenie”. Kręcę głową. Nie jedz jedzenia. Chwytam się za szyję, udając, że się duszę.

Robi wielkie oczy, spogląda na swoją tacę, a potem znów na mnie – już rozumie. Wstaje, żeby do mnie podejść, ale nie może ująć prosto, chwieje się. Spogląda na dziadka, Raphaela, stawia kilka niepewnych kroków. Patrzy na mnie. Oczy mu się szklą.

Jego twarz wyraża cierpienie, kiedy strażnicy otwierają drzwi i wchodzi po mnie. To ostatnia rzecz, jaką widzi, spróbuje jeszcze podeprzeć się na krześle, zanim padnie na podłogę.

– Carrick! – wrzeszczę.

Drzwi mojej celi otwierają się, a ja rzucam w strażników, czym się tylko da, dopóki starczy sił.

– Brać ją – brzmi rozkaz; chwyta mnie dwóch strażników z pałkami.

– Zostawcie ją! Przestać! – krzyczy ktoś.

To Art.



Art ubrany jest w mundur demaskatora.

– Nie dotykać jej – rozkazuje.

– Brzydzę się tobą. – Kopię krzesło w jego stronę.

– Hej, Celestine, przestań! – Jego głos jest jak grom.

– Dosypałeś im czegoś!

Rozgląda się po celach i widzi pozostałych.

Podnoszę swoją miskę z zupą i ciskam mu pod nogi.

– Nie byłam głodna.

Wszyscy rzucają się na mnie, ale to Art dobiega pierwszy. Chwyta mnie i choć żaden z niego Carrick, to i tak jest większy i silniejszy ode mnie. Zaciska ramiona, żebym nie była w stanie unieść rąk. To nie jego siła tak naprawdę mnie obezwładnia, a zapach i znajoma bliskość jego ciała, objąć. Walka z nim wydaje się czymś niewłaściwym. Nienaturalnym. To Art. Mój Art. Zanim stał się potworem.

Znów zaczynam się szarpać.

– Celestine – szepcze mi do ucha. – Oni sobie nie pójda, jeśli nie przestaniesz.

Zamieram. Jedno małe słówko – oni. Wskazówka, że my jesteśmy przeciwko nim. Może mam tak tylko myśleć? Czy on chce, żebym tak myślała?

A może ja sama tego chcę?

– Już w porządku – mówi Art zdecydowanym tonem. – Dalej dam sobie radę.

Strażnicy niechętnie zamykają za sobą drzwi.

– Cholera, oni mi nie ufają, ty mi nie ufasz... Kiedy w końcu ktoś mi odpuści? – Nie zwalnia uścisku.

Nie ufają mu? Nie dziwię się.

– Nie będę już niczym rzucać – warczę. – Puszczaj.

Patrzy mi głęboko w oczy. Muszę odwrócić wzrok, już sama obecność Arta mąci mi w głowie. Rozluźnia ramiona, odrywam się od niego. Odsuwam się na drugi koniec celi, najdalej jak mogę.

– Co im zrobiłeś?

– Ja nic. – Rozgląda się po celach.

Carrick leży na podłodze nieprzytomny.

– Powiedz prawdę – żądam.

– Mówię. Rozwalał meble, to pewnie musieli go jakoś uspokoić.

– Nie musieli, był już spokojny – odpowiadam. – A dziadek nic nie robił, tak samo jak Raphael. Tylko ja nie zjadłam tej przeklętej zupy.

Art spogląda na Carricka z nienawiścią, ale kiedy przenosi wzrok na dziadka, widzę, że jego determinacja słabnie. Artowi podobało się, że dziadek nigdy się nie cenzurował w jego towarzystwie, a właściwie nawet opowiadał jeszcze więcej spiskowych teorii. To go bawiło, zawsze czuł do dziadka sympatię. Emerytowane wcielenie szatana, mówił o nim Art, co z dziwnych powodów doprowadzało go do śmiechu. Dziadek był chyba dla niego ciekawym urozmaiceniem, biorąc pod uwagę, że wszyscy przymilali się do Arta tylko ze względu na ojca.

– Skąd wiedziałeś, że Carrick rozwalał meble? Obserwowałeś nas?

– Celestine, tu wszędzie są kamery.

Zastanawiam się, czy widział moje spotkanie z sędziami. Wątpię.

– Szpiegujesz dla tatusia?

– Zamknij się. Próbuję dojść, co tu się, do cholery, dzieje.

– Wiesz, co się...

– Z nim – krzyczy, pokazując na Carricka. – Czy to się zaczęło tutaj? Kiedy ja prawie oszalałem ze zmartwienia, ty przymilałaś się do współlokatora? Czy to się wtedy stało?

– Przymilałam? – Wybucham śmiechem. – Jasne, bo przecież w areszcie jest niezwykle miłutko i tak łatwo mieć tu kontakt z drugim człowiekiem – odpowiadam sarkastycznie. – Jak myślisz, co konkretnie mogło się zdarzyć między mną a nim, kiedy przerażona siedziałam w celi na rozkaz twojego ojca?

Chodzi w tę i we w tę.

Biorę głęboki wdech. Próbuję się uspokoić.

– To stało się później – mówię cicho. – Jak już wyszłam. Nie było cię przy mnie. Musiałam uciec. Tylko on chciał mi pomóc, tylko on rozumiał...

– Ja też bym zrozumiał. Chodziliśmy ze sobą...

– Uciekłeś. Nie miałam nikogo.

– Musiałem wszystko przemyśleć.

– Pewnie. A skoro masz na sobie ten mundur, to najwyraźniej zdecydowałaś, kto ma rację.

– Wróciłem, a ciebie nie było – tłumaczy się.

– Musiałam uciekać.

– Do niego.

– Przestań, Art. Tu nie chodzi tylko o Carricka. Musiałam uciekać przed twoim ojcem. On mnie ścigał.

– Nie robiłby tego, gdybyś nie została zbiegiem. Dlaczego ciągle wszystko pogarszasz? I ta dzisiejsza przemowa! Dlaczego po prostu nie odpuścisz? Rób to, co ci każą. Za każdym razem tylko utrudniasz nam...

– Co?

– Nic.

– Powiedz.

– Utrudniasz nam powrót do siebie.

Aż mnie zatyka. Przez chwilę stoję zupełnie oniemiała. Widzę, że jest

bardzo zawstydzony, może nawet bliski łez.

– Nadal chcesz, żebyśmy byli razem?

Nie odpowiada.

– Ty jesteś demaskatorem, ja Naznaczoną, a nadal mnie chcesz?

Bez odpowiedzi.

– Wiesz, że bez względu na naznaczenie wciąż jestem tą samą osobą. Nieważne, co robię, nieważne co mówię, to ciągle ja.

– Nieprawda. – Kręci głową.

– A kiedy ty zakładasz ten mundur? Całkowicie się zmieniasz?

Momentalnie podrywa głowę.

– Nie.

Nie muszę tego komentować. Rozumie.

– Potrzebuję powietrza. – Chowam twarz w dłoniach, jest mi słabo, nie potrafię poradzić sobie z tą wiadomością. Artowi ciągle na mnie zależy?

– Dobry pomysł – mówi. – Porozmawiamy swobodniej na dziedzińcu.

Otwiera celę za pomocą karty magnetycznej i ruszamy korytarzem. Tą samą trasą poprowadził mnie Funar, kiedy udawał, że wypuści mnie z Carrickiem na świeże powietrze, ale zamiast tego zmusił nas, żebyśmy usiedli na ławce i przysłuchiwali się krzykom naznaczonego człowieka.

Za drugim razem, kiedy przeszłam tę drogę, Carrick siedział na ławce i wspierał mnie, kiedy wypalano mi znamiona. „Znajdę cię”. Jego słowa tak długo po powrocie do domu były dla mnie pocieszeniem.

Teraz ławka jest pusta. W głowie mam gonitwę myśli przez to wszystko, co się stało i co powiedział Art.

Nagle odrywam się od niego. Próbuje mnie złapać, ale mu się nie udaje. Wpadam do Izby Naznaczeń i zamykam drzwi. Art wchodzi do galerii, jest wściekły. Nie słyszę tego, co mówi, ale on słyszy mnie. Będzie musiał mnie teraz wysłuchać do końca, nie ma wyboru.

– Wiesz, co zrobił mi twój ojciec, kiedy ostatnio tutaj byłam?

Zakrywa twarz dłońmi.

– Posadzili mnie w tym fotelu. Przypięli pasami. Pięć skaz za pomoc

starszemu człowiekowi. Ale koniec końców nie dostałam tych znamion za swoją postawę wobec starca, tylko za okłamanie sądu, za przysporzenie wstydu twojemu ojcu, za zrobienie z niego głupca. Okej, nosisz ten mundur, ale nie wierzę, żebyś uważał, że dobrze robisz.

Otwieram szufladę z narzędziami. Tyle [Ⓢ] różnych rozmiarów na różne części ciała i dla ludzi różnej postury. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, sądziłam, że dla wszystkich jest tylko jeden rozmiar. – Cały czas miałam na kostce bransoletkę. Dopiero co mi ją dałeś i chciałam wierzyć, że nadal ze mną jesteś, nadal uważasz mnie za ideał. Bark pozwolił mi ją zatrzymać. Powiedziałeś, że zrobił ją ktoś z zamku. To był on, prawda? – Przypominam sobie, jak w oczach Barka coś zabłyśło, kiedy zobaczył bransoletkę u osoby, której miał właśnie wypalić skazę, i zmagał się z hipokryzją, ironią, kruchością życia.

Art przytakuje, a na to wspomnienie w oczach wzbierają mu łzy.

– Wtedy cieszyłam się, że nie ma cię tu ze mną, ale teraz wolałabym, żebyś był. – Przejeżdżam palcem po prętach do wypalania znamion. – Strażnicy się o mnie martwili. Pięć wypaleń naraz to dużo. Chcieli przestać, ale potrzebowali pozwolenia. Ktoś wezwał twojego ojca. Przyszedł tutaj. Zamiast wszystko zatrzymać, wziął żeliwną pieczęć i naznaczył mnie po raz szósty. Na kręgosłupie, bez znieczulenia.

Art kręci głową. Nie, nie, nie. Nie chce w to uwierzyć.

– Pewnie ci powie, że to zmyśliłam. Że rozpowiadam o nim kłamstwa. To nie są kłamstwa, Art. Kazał mi okazać skruchę, a ja się sprzeciwiłam, więc mi to zrobił. – Odwracam się i podnoszę koszulkę, pokazując dolną część pleców. – Lekarce powiedział, że sama tak się urządziłam, tylko jak?

Słyszę w swojej głowie głos doktor Greene. „Jak taka młoda dziewczyna mogła sobie zrobić coś takiego?”

Artowi po policzkach spływają łzy.

Raz jeszcze przejeżdżam dłonią po pręcie – próbuję znaleźć odpowiedni, zastanawiam się, czy zdołałabym osiągnąć pleców, czy naprawdę mogłabym zrobić to sama, czy to właśnie będą usiłowali udowodnić? Czy każą mi stanąć w sądzie i pokazać, że mogłam wykonać coś takiego? Moja ręka zatrzymuje się nad kształtem, który odróżnia się od pozostałych. Trzy złączone koła

geometrycznej harmonii – bransoletka, dzieło Barka, leży pośród symboli ©. Podnoszę ją i zatykam na pręt.

– Kto naznacza samą siebie? – parafrazuję słowa lekarki. Odpalam płomień palnika.

Art wali dłońmi w szybę.

Umieszczam pieczęć nad płomieniem.

– Jeśli wszyscy cię za kogoś uważają, to czemu nie stać się tą osobą? Czy nie to właśnie zrobiłeś, Art? Zostałeś demaskatorem, bo każdy myślał, że jesteś jak ojciec? Nie chciałeś więcej walczyć, postanowiłeś zobaczyć, jak to jest. Nie miałeś nic więcej do stracenia.

Płacze i wali pięściami w szybę, żeby mnie powstrzymać.

– Sędzia Sanchez chce się ze mną dogadać. Wiedziałeś o tym?

Zaprzecza zagubiony.

– Twój tata odpada, Sanchez wchodzi do gry. Trybunał stwierdzi, że popełnili błąd. Mówią, że usuną mi blizny.

To jasne, że Art nie miał pojęcia o żadnej z tych rzeczy.

– Tylko że ja nie chcę, żeby usuwali mi blizny. One dały mi siłę i nie mogę udawać, że nic się nie wydarzyło. Ale musi być jakaś równowaga. Noszę tę bransoletkę dla równowagi – mówię i dopiero teraz sama zdaję sobie z tego sprawę... – Ofiarowałeś mi największy dar. Powiedziałeś mi, że jestem idealna, i od tamtej pory nosiłam tę bransoletkę dzień w dzień, jakby miała jakąś szczególną moc, która pokonuje znamiona. Ale to nie była zasługa bransoletki, tylko tego, że mi tak powiedziałeś, bo we mnie wierzyłeś.

Uśmiecha się do mnie ze smutkiem.

– Nikt nigdy nie zdoła odebrać mi tego, co mi dałeś, rozumiesz to, prawda?

Kiwa głową.

Podwijam koszulkę, odsłaniając brzuch.

– Mięsień poprzeczny... – Wskazuję. – Pamiętasz, jak się o tym uczyliśmy?

Kładzie dłonie płasko na szybie, czołem dotyka tafli szkła, poddając się – już mnie nie powstrzyma.

– Znajduje się pod mięśniem skośnym poprzecznym, to najgłębiej położony

z mięśni brzucha, okala kręgosłup, dając mu ochronę i stabilność. To nasz środek masy.

Trzymam pręt w płomieniu, serce mi łomocze. Nie szukam ideałów, nie szukam sprawiedliwości, szukam równowagi.

Dociskam pieczęć do brzucha. Naznaczona Ideałem na zawsze.

Ideał i skaza na tym samym ciele.

Teraz osiągnęłam równowagę.



Ból jest nie do zniesienia. Upuszczam pręt i niemal w agonii podpieram się o krzesło, kręci mi się w głowie, widzę przed oczami czarne plamki. Próbuję złapać oddech. Jest mi niedobrze, głęboko wciągam powietrze. Rozlega się walenie do drzwi, więc je otwieram. Art wpada do środka, wyciąga ręce, a ja upadam w jego ramionach.

Oboje osuwamy się na podłogę.

– Coś ty zrobiła? – pyta spanikowany przez łzy. – Coś ty, do cholery, zrobiła? Musimy cię zawieźć do ambulatorium.

– Nie – sprzeciwiam się i łapię go bardziej kurczowo.

– Och, Celestine – rozpacza, jest jednak delikatny i troskliwy. Czuję jego ciepły oddech na szyi, kiedy wtula w nią twarz.

– Teraz już na zawsze będzie ze mną część ciebie, bez względu na to, co o mnie myślisz.

Unosi mój podbródek; patrzymy na siebie, dzielą nas zaledwie centymetry.

– Myślę, że jesteś najsilniejszą, najodważniejszą, najśmielszą i najgłupszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

Uśmiecham się.

– Naprawdę?

– Byłem zazdrosny – przyznaje, lekko rozluźnia uścisk, jak gdyby przypomniał sobie, że nie jesteśmy już razem. – O ciebie i o niego.

Powiniem zrobić to co ty i on. Zamiast sam uciekać, zabrać ciebie i uciec razem.

Obdarza mnie dobrze znanym mi spojrzeniem, od którego kiedyś zaczynały mi fruwać motyle w brzuchu. Czekam, aż coś się we mnie poruszy... nic się nie dzieje. Czuję sympatię i czułość, ale to wszystko. Nie mogę przestać myśleć o Carricku, o tym, jak mnie tuli, jak na mnie patrzy, jak pachnie i smakuje. O Carricku, który leży na podłodze w celi.

– Więc nawet jeśli wasza ucieczka rozjuszyła mnie bardziej, niż sobie wyobrażasz, cieszę się, że on cię wspierał, tak jak ja powiniem.

– Dziękuję – szepczę. – I rozumiem. Właśnie tak się czułam, kiedy zobaczyłam cię z Juniper...

– My tylko próbowaliśmy cię chronić.

– Teraz to dla mnie jasne.

Odwraca wzrok, już wie, że mnie stracił.

– Myślałem, że w ten sposób ojciec i ja staniemy się sobie bliżsi. – Spuszcza wzrok na swój mundur. – To się nie sprawdza. Wcześniej nie znałem go od tej strony, od jakiej widzą go inni, jako sędziego. To znaczy, nabijaliśmy się z niego, z tej jego brawury, nadętej postawy, jaką przyjął. Potrafiłem to od siebie oddzielić. Ale teraz... jest inny.

Nic nie mówię.

– Naprawdę on ci to zrobił? – pyta szeptem, a kiedy kiwam głową, mocniej przytula mnie do siebie. – Z kim ja mieszkam?

– On cię kocha – mówię. To jedyna pozytywna rzecz, jaka przychodzi mi na myśl.

Delikatnie odsuwa mnie, żeby wstać. Krzywię się z bólu. Art przeszukuje szafki na ścianach i wraca do mnie z bandażami.

Unosi moją koszulkę – jego twarz wykrzywia grymas na widok rany, jaką sobie wypaliłam. Znak jest bardzo wyraźny, nie tak jak rozbabrane znamię na plecach. Ta blizna nie powstała za karę, zrobiono ją z dumy. Zaciskam zęby, gdy Art oczyszcza ranę, przykłada gazę i opasuje mnie w talii bandażem.

– Jeśli mnie kocha, tak jak twierdzisz, to mi wybaczy – kwituje. – Wydostanę cię stąd.

– Nie, nie musisz tego robić.

– Muszę.

– Ale... – Spoglądam w stronę cel. – Mój dziadek, Raphael Angelo. – Przełykam ślinę. – I Carrick.

Zasłania opatrunek koszulką.

– Wszystkich was wydostanę – obiecuje cicho. – Potrzebuję tylko czasu, żeby wymyślić jak.

– Dziękuję.

Podaje mi rękę i pomaga wstać.

– Chociaż tyle mogę zrobić. Nie chcę, żeby ludzie myśleli, że jestem taki jak on. Wyobraź sobie, to mój największy lęk. Że będę taki jak ojciec.

– Nikt nie pomyśli, kiedy wyjdzie na jaw, że chciałeś nas wypuścić.

– Nie boję się tego, co pomyślą inni. Ja naprawdę boję się, że stanę się taki jak on.

– Jesteś zupełnie inny. – Na serio tak uważam. – Art, chcę ci coś wyjawić... – Musi wiedzieć o tym, co wkrótce się wydarzy, ale podnoszę wzrok i widzę Crevana.

Siedzi na galerii. Nie wiem, od jak dawna tu jest; nie wiem, co słyszał. Mam nadzieję, że każde słowo swojego syna. Nasze oczy spotykają się przez szybę i po jego zrezygnowanym spojrzeniu poznaję, że dotarło do niego wszystko. Czerwona peleryna wydaje się za duża na jego pokonaną, skuloną sylwetkę. Sędzia wstaje i wychodzi z pomieszczenia.

Art zrywa się, żeby za nim pobiec, ale ostatekiem sił go powstrzymuję.

Do środka wpadają strażnicy, spostrzegają nas i biegną do drzwi izby.

Nie stawiamy oporu.



Spokojnie, spokojnie – powtarza Art, gdy strażnicy chwytają mnie w pasie, a ja wyję z bólu.

– Co tu się stało? – pyta strażnik.

– Porozmawiamy o tym gdzie indziej – odpowiada Art autorytarnym tonem.

– Ty weź ją, ja jego – rozkazuje strażnik.

– Wypełniałem polecenia ojca – tłumaczy Art, a strażnik rzuca mu pogardliwe spojrzenie i pod nosem nazywa go synusiem tatusia.

Zamiast wrócić do szklanej klatki, zostaję poprowadzona kręconymi schodami z dala od aresztu w podziemiach, do gabinetów Trybunału. Nigdy nie byłam w tej części zamku, nikt z zewnątrz nie jest tu wpuszczany, to prywatna część wyłącznie dla pracowników Trybunału.

Każdy krok sprawia mi ból, ale nie mam innego wyjścia, jak iść dalej. Docieramy do najwyższego piętra, tam wprowadzają mnie do pokoju w okrągłej wieży. Pośrodku stoi okrągły stół, wzdłuż ścian ciągną się półki z książkami, przerywane jedynie oknami, które wyglądają na dziedziniec i na miasto. Widzę, że Sanchez lubi podziwiać świat z wysokości. Właśnie tu podejmuje wszelkie decyzje.

Sanchez i Jackson mają zmartwione miny. Przy stracie jednego sędziego, który ogłosił światu strategię Redukcji Naznaczonych, są w kryzysie. Ja powinnam być najmniejszym z ich zmartwień, ale wiem, że znajduję się na

szczybie listy.

– Nie byłaś głodna? – pyta Sanchez, niemal na mnie zła, a ja gapię się na nią zszokowana. To ona dodała prochów do jedzenia. Tylko dlaczego?

I wtedy sobie uświadamiam. Nigdy nie chciała pójść ze mną na układ. Raz jeszcze zrobiła mnie w konia. Zależało jej, żebym przegapiła umówioną godzinę. Oczywiście, że było jej nie na rękę, by mój wyrok unieważniono publicznie – z tych samych powodów, z których nie chciała dopuścić do ujawnienia nagrania: to byłby upadek Trybunału, a ona stanęła na jego czele. Dostała to, czego tak bardzo pragnęła, więc czemu miałyby mi pomagać?

Nie czuję już tyle pewności siebie co wcześniej, skoro moi trzej pomocnicy, w tym adwokat, zostali odurzeni i leżą nieprzytomni kilka pięter pod nami. Powoli siadam przy stole, rana boli piekielnie. Ja kontra pozostały skład sędziów, mój los jest w ich rękach.

Sanchez kładzie przede mną kartkę i długopis z Zamkiem Highlandzkim, rzeczy ze sklepu z pamiątkami.

– Jak rozmawialiśmy, koniec dzisiejszych godzin urzędowania to ostateczny termin przyjęcia nowego układu.

– Nie powinnam mieć ze sobą obrońcy?

– Podobno nie można go dobudzić – odpowiada Jackson. – A pana Willinghama odesłałaś.

– Omówiliśmy już te warunki z twoim reprezentantem i daliśmy ci czas, żebyś je z nim przedyskutowała. Nic się nie zmieniło. Albo podpisujesz układ, albo nie. – Sanchez próbuje szybko zakończyć sprawę.

Milczę, serce wali mi jak opętane. Naprawdę nie znoszę tej kobiety.

– Oto warunki – wylicza. – Zamiast naznaczenia skazą uważamy, że stosowną karą powinien być sześciomiesięczny pobyt w więzieniu, zgodnie z prawem Naznaczonych. Cofamy wyrok, twój dziadek oraz pan Angelo otrzymują immunitety. W poniedziałek rozpoczniesz odsiadywanie wyroku w Highlandzkim Zakładzie Poprawczym dla Kobiet; ten okres będzie skrócony do trzech miesięcy, ponieważ trzy miesiące spędziłaś już w areszcie jako Naznaczona. Prawdopodobnie realna odsiadka potrwa miesiąc.

Patrzę na nią w osłupieniu.

– Nie taka była umowa.

Jackson marszczy brew i wzdycha, wyraźnie ma już tego wszystkiego dość.

– Ale teraz jest taka. – Z niecierpliwością stuka w kartkę. – Rozumiem, że w twoim wieku więzienie wydaje się czymś strasznym, ale to jednostka o niskim rygorze, a ty spędzisz tam nie dłużej niż trzydzieści dni, potem będziesz mogła żyć jako zwykła mieszkanka Humming.

Spoglądam na zegar stojący przy ścianie.

– A co w końcu z Carrickiem?

Jackson ma zdezorientowaną minę.

– Mówiłam już, Celestine. Nie ukarzymy go za to, że udzielił ci pomocy, ale jego skaza pozostanie. Przypadek Vane’a nie ma związku z twoją sprawą, nic na to nie poradzimy.

– Jakie konsekwencje wyciągnięcie wobec sędziego Crevana? Nie dostanie wyroku za to, co mi zrobił? Żadnego znaku za jego niemoralne pomyłki? – Nie daję żadnemu z nich szansy na odpowiedź. – Chciałaś tylko jego stanowiska. Mówiłaś, że chodzi o porządek w Trybunale, ale tak naprawdę pożądałaś władzy. W jeden dzień straciłaś syna i dostałaś nową robotę. Warto było?

Sanchez zamyka oczy, robi głęboki wdech, jak gdyby próbowała zachować cierpliwość do rozkapryszonego dziecka.

– Młoda damo – odzywa się sędzia Jackson. – Uważaj, co mówisz, i przemyśl to, jaką dostajesz szansę. Otrzymujesz dar od Trybunału. Okazję, by żyć po drugiej stronie. Nikt tego wcześniej nie otrzymał. Wyciągnij wnioski z tej nauki.

– Święte słowa. – Spoglądam w końcu na Jacksona. – Chętnie opowiem o tym, jakie wyciągnęłam wnioski i czego się nauczyłam, jeśli wolno. – Po raz kolejny zerkam na zegar. – To doświadczenie nauczyło mnie wiele, ale najwięcej o bardzo ważnej rzeczy: o zaufaniu. Komu ufać, a komu nie. Zanim zostałam napiętnowana, chyba nigdy nikt nie zrobił mi krzywdy, nie tak naprawdę. Ale od kiedy stałam się Naznaczoną, ludzie mnie zaskakują. To nie ja się zmieniłam. Nałożyliście mi na rękę tę literę i blizny na ciało, a nagle cały świat się zmienił. Musiałam się nauczyć do tego dostosować. Bardziej niż kiedykolwiek musiałam się zastanowić, kim jestem. Sędzia Crevan miał rację, kiedy w wywiadzie powiedział, że kara pomaga ludziom pogłębić samoświadomość. Więcej myślę o sobie i mam na swój temat coraz lepsze

zdanie. Głównie dlatego, że bardziej niż kiedykolwiek jestem świadoma swoich instynktów. Stały się moim drogowskazem.

Sędzia Sanchez przysłała do mnie trzy tygodnie temu, po procesie, oferując mi pomoc. Obawiała się wtedy, że wyrok jest niesprawiedliwy.

Sanchez odwraca głowę z prędkością światła.

Mówi podniesionym głosem.

– Nie sądzę, żeby to była dobra pora na kolejne kłamstwa...

– A ja chętnie tego posłucham – oznajmia Jackson zdecydowanym tonem. – Wiele z kłamstw tej dziewczyny ostatecznie okazało się prawdą. – Piorunuje swoją koleżankę wzrokiem, po czym znów zwraca uwagę na mnie.

Ciągnę dalej:

– Zrobiłam wszystko, o co mnie prosiła. Pojechałam do niej dziś rano z dowodami, które wystarczyłyby, żeby usunąć Crevana ze stanowiska. Dzięki nim można by nawet obalić cały Trybunał, nie tylko Crevana, postanowiła więc zaszantażować go i przejąć stanowisko przewodniczącego, a nie udzielić mi pomocy, czy dopilnować, by sprawiedliwości stało się zadość.

Jackson nerwowo spogląda na Sanchez.

Ja też na nią patrzę i się uśmiecham.

– Dziękuję za tę lekcję zaufania.

Sanchez spokojnie czeka, aż to się skończy, żebyśmy mogli przejść do rzeczy, w ogóle niedotknięta, nieporuszona, bez poczucia winy. Cieszę się. Dzięki temu to, co stanie się za chwilę, będzie dla mnie dużo łatwiejsze.

– Trybunał dobrze mnie wyszkolił. – Z namysłem kiwam głową. – Sądziłaś, że nie wiedziałam, że to się wydarzy?

Przymruża oczy.

– Sądziłaś, że nie przewidziałam, że nie użyjesz nagrania przeciwko Trybunałowi? – nie odpuszczam. – Myślisz, że naprawdę przysłałam do ciebie prosto z domu Mary May i oddałam ci wszystkie istniejące kopie? Naprawdę mi uwierzyłaś? Przypuszczałaś, że się nie domyślę, że spróbujesz jakoś mnie oszukać? – Uśmiecham się.

Zaczyna drgać jej powieka.

– Byłam o krok przed tobą. Przez cały ten czas. Jestem Naznaczoną. To ty

nie powinnaś ufać mnie.

Rzut oka na zegar. Osiemnasta. Idealna pora.



12 GODZIN WCZEŚNIEJ

Kiedy byliśmy małe, mama miała obsesję na punkcie słońca. Nie zachodzącego, które oznaczało koniec dnia, ale wschodzącego, które zwiastowało cud nowego. Nie wiem, czy to dlatego, że jest optymistką, radosną duszą, która cieszy się każdym nowym dniem, czy dlatego, że jako pesymistka obawiała się, że każdy dzień może być tym ostatnim. Tak czy inaczej, wstawała wcześnie, budziła nas i zabierała nad jezioro, gdzie razem oglądaliśmy wschód słońca. Kiedy podrosliśmy, nie chciało nam się zwlekać z łóżek w ciągu tygodnia, więc jeździliśmy w weekendy. Potem to były tylko niedzielne poranki, a później jako starsze nastolatki w ogóle nie lubiliśmy nigdzie z nią jeździć, więc wyprawiała się sama.

Dla własnej przyjemności planowała tak zwane „słoneczne poranki”, dni ustalone z wyprzedzeniem, kiedy miałyśmy jej towarzyszyć. Ale nasze towarzystwo było zniechęcające. Spałyśmy w samochodzie, czasem nie chciałyśmy nawet z niego wysiąść, co ją złościło i sprawiało jej przykrość. Pamiętam, jak pewnego razu obserwowałam ją z samochodu, ciepło owinięta kocem i zrezygnowana, że nasza dziwna matka wyciągnęła nas z ciepłych łóżek, żeby tu przyjechać. Ale kiedy teraz przywołuję tamtą chwilę, czuję wyrzuty sumienia, że nie przeżyłam jej razem z mamą.

To wspomnienie wywołuje też mój uśmiech. Obraz mojej mamy z twarzą skapaną w świetle wschodzącego słońca sprawia, że jeszcze bardziej ją

kocham.

Wysyłała nam zdjęcia wschodów słońca z całego świata, gdzie tylko zdarzyło się jej brać udział w sesjach fotograficznych. Wschód słońca nad katedrą w Mediolanie podczas mediolańskiego tygodnia mody, wschód słońca nad dachami Montmartre'u podczas paryskiego tygodnia mody. Wschodzącego nad horyzontem budynków na Manhattanie albo nad Camden Market w Londynie. Tata burczał pod nosem, że pewnie dopiero wraca do domu.

Wypełniała tymi fotkami całe albumy i zrobiła nam mnóstwo zdjęć ze wschodzącym słońcem w tle, a potem oglądała je, głównie nocami przy kominku, zwinięta w kłębek w piżamie, podczas gdy my siedzieliśmy wgapieni w telewizję. Takie przeglądanie zdjęć musiało podnosić ją na duchu. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek pytałam ją, dlaczego to robi. Teraz to pytanie wydaje mi się takie oczywiste, ale odkąd musiałam opuścić swoją rodzinę, do głowy przychodzą mi tysiące rzeczy, które chciałabym wiedzieć lub którymi chciałabym się podzielić. Nawet do Ewana, zaledwie ośmiolatek, miałabym mnóstwo pytań. Zdaję sobie sprawę, że tak dużo o nim nie wiem.

Po tym jak Carrick i ja zabieramy śnieżną kulę z domu Mary May, wymykamy się po cichu. Potwornie się boimy, że zostaniemy przyłapani w ostatniej chwili. Nie dzwoniemy jeszcze do Raphaela Angelo, żeby po nas przyjechał, tak jak mu obiecaliśmy. W zamian piszemy SMS-a do mamy, żeby spotkała się z nami nad jeziorem.

Jest wiele powodów, dlaczego skontaktowałam się z mamą. Po pierwsze, muszę się z nią zobaczyć, zanim wparuje do ośrodka, gdzie znajduje się Juniper. Oczywiście, to ważne, żeby pomogła mi z kolejnym etapem planu, ale przede wszystkim za nią tęsknię. Chcę do mamy. Chcę jej dotknąć, poczuć jej zapach, jej obecność. Chcę, żeby sprawiła, że wszystko stanie się lepsze, a przynajmniej, że będę mieć na to nadzieję. Uzbroi mnie w dodatkowy pancerz. Wiem, że jestem już dorosła, ale jej potrzebuję. Tak jak Mary May potrzebuje swojej matki. Tak jak Art, który płakał codziennie, kiedy jego odeszła. Jak Crevan, który prawie oszalał, kiedy jego syn stracił matkę, i jak Carrick, który zaryzykował wolność, aby znaleźć swoją.

Chcę, żeby Carrick poznał moją mamę. Bardzo tego pragnę.

Czekamy na piasku. Zbliży się druga w nocy. Jestem pewna, że mama nie śpi, skoro za kilka godzin ma zrobić awanturę w szpitalu rządowym

i wyciągnąć stamtąd Juniper. Nie mam wątpliwości, że knuje i planuje, ćwiczę i od początku wszystko powtarza z tatą, który chętnie sam by przeprowadził tę akcję, ale nie może, to musi być mama.

Pół godziny później wylaniają się światła samochodu. Kryjemy się. Mama parkuje i sprawdza, czy nikt za nią nie przyjechał. Idzie do nas w luźnym swetrze, niosąc koc i torbę. Wychodzimy z kryjówki. Mama zaczyna płakać, zanim jeszcze do mnie dobiega. Szeroko otwiera ramiona i po chwili ginę w otchłaniach luźnego swetra; otula mnie ciepło jej ciała. Czuję się tak, jakbym była w kokonie, w końcu mogę swobodnie oddychać, odprężyć się, płakać.

– Mamo, to Carrick – chlipię.

– Cześć. – Znow unosi swoje skrzydła i owija nimi jego postawną sylwetkę.

Dwie części mojego życia stają się jednym.

– Przyniosłam jedzenie. Głodni?

– Jak wilki – odpowiadamy wspólnie.

Pożeramy kanapki wielkimi gryzami, a ona się nam przygląda.

– Czujesz już smak?

Kręcę głową, ale i tak wpycham chleb w usta.

– Och, Celestine... – Odgarnia mi kosmyk z twarzy. – Wydajesz się taka dorosła.

– Minęły tylko trzy tygodnie. – Śmieję się, po czym z zakłopotaniem wymieniam spojrzenia z Carrickiem.

Mama spogląda wtedy na niego tak, jak gdyby zdała sobie sprawę, co między nami zaszło, zaczyna obserwować go w ciszy.

On przeżuwa powoli, wyczuwa na sobie jej spojrzenie. Podnosi wzrok, po czym szybko przenosi w dół.

– Ściąłaś włosy. – Dotykam jej krótkiej szczeciny.

– Zawsze sądziłam, że to taki banał, gdy kobiety ścinają włosy i mówią, jakiej to wymaga odwagi i siły. Tak jakby włosy miały jakiegokolwiek znaczenie. No to się myliłam. Moje włosy musiały być odpowiednie do reklam kosmetyków. Długie, blond, takie, siakie. I tak połowa to były doczepy, bo to

właśnie chcieliśmy sprzedać – piękne, idealne włosy. Musiały więc być gęste, bujne. Znudziło mi się. Ogoliłam sobie połowę głowy na parapetówkę Candy Crevan.

– Pamiętam.

– Po tym jak uciekłaś, ufarbowałam końce na różowo, ale nie podobałam się sobie. Wyglądałam jak babcia Barbie. No to je całkiem ścięłam. Wmawia się nam, że długie włosy są kobiece. A niech się wszyscy wypchają.

Carrick i ja się śmiejemy.

– Mówisz jak Juniper.

– Twój ojciec nie wie, co myśleć o moich zmianach – dodaje z uśmiechem.
– Ale nowa fryzura mu się podoba.

Czuję ucisk w gardle, a serce nieco przyspiesza na wspomnienie o tacie. Carrick patrzy na mnie uporczywie, ale jeszcze nie mogę przejść do rzeczy. Wyczuwa, że potrzebujemy z mamą chwili sam na sam, więc oświadcza, że idzie się przejść.

– Dlaczego zawsze przyjeżdżałaś tu przed świtem, mamó?

– Juniper miewała kolki, gdy była malutka, mało spała, zawsze coś ją bolało, krzyczała przez większość dnia i całą noc. Zwykle nocą chodziłam z nią po domu, kiedy twój tata miał drugą zmianę w pracy. To były najbardziej samotne i przerażające godziny mojego życia. Nasza ulica spała, a mnie się zdawało, że śpi cały świat. Sekundy ciągnęły się jak minuty, minuty jak godziny, a te krzyki... – Wzdryga się na to wspomnienie. – Pewnej nocy nie mogła się uspokoić, więc wsiadłam z nią do samochodu i jeździłam po okolicy. Nie miałam pojęcia, dokąd jadę, ale nie zamierzałam zostać w domu ani chwili dłużej. Czasem Juniper zasypiała w samochodzie, czasem nie. Raz zajechałyśmy aż nad jezioro. Usiadłam na plaży. Juniper wyła, ale miałam wrażenie, że woda i wiatr rozegnały napięcie. I nagle noc zaczęła się rozjaśniać, a ja poczułam, jakby ktoś zdjął ze mnie ogromny ciężar. Stres i strach zostały rozproszone przez światło. A Juniper, wyczerpana i ukojona wiatrem, może nawet wyczuwając moją poprawę nastroju, w końcu zasnęła.

Wracałam tu dzień w dzień, czy spała, czy nie. Pomogło mi to bardziej niż jej. Próbowaliśmy też robić tak możliwie najczęściej, kiedy urodził się Ewan, ale przy was dwóch było trudniej. Żegnałam się z dniem i witałam z kolejnym

– czułam się, jakbym zaczynała od nowa. Biała kartka. Wczorajsze problemy zniknęły, witaj, nowy dniu i nowy początku.

Siedzę obok niej na piasku, ona obejmuje mnie ramieniem, a ja przytulam się do niej. Obserwuję Carricka przy linii wody, który tak po prostu sobie stoi, z dłońmi w kieszeniach i głową spuszczoną w zamyśleniu.

– Bardzo przystojny.

– Też tak sędzę. – Uśmiecham się.

– No, zwier się matce...

– Nie muszę się z niczego zwierzać. Zawsze doskonale wiesz, co się dzieje. Uśmiecha się i widzę troskę w jej oczach.

– Wiem, wiem – mamrocę. – „Uważaj, bądź rozsądna” i tym podobne.

– Wydaje się, że dobry z niego chłopak. Zależy mu na tobie, to na pewno. Dużo ryzykuje, żeby ci pomóc.

– Ty też. – Nagle ogarnia mnie o nią strach. – I Juniper. – Oczy napełniają mi się łzami na myśl o siostrze w tym dziwnym ośrodku. I o dziadku w areszcie.

– Ja się nie boję, Juniper też dzielnie się trzyma – zapewnia. – Nie mogę się doczekać, kiedy tam wparuję i zażądam, żeby oddano mi córkę. To samo miałam ochotę zrobić, kiedy byłaś w Zamku Highlandzkim, ale nie mogłam, więc teraz mam drugą szansę.

– Dziękuję, mamó. Przepraszam, że postawiłam was w takiej sytuacji.

Dotyka dłonią mojego policzka.

– Nigdy nie przepraszaj za to, co się stało, próbowałaś pomóc człowiekowi. Wykazałaś się większą odwagą niż którekolwiek z nas.

Doceniam te słowa.

Na chwilę zalega cisza. Nadeszła pora.

– Jak tam tata?

– W porządku.

– Nadal pracuje w stacji?

– Tak, tylko nie może ścierpieć, że pracuje dla Crevanów, ale...

– Potrzebujecie pieniędzy.

– Nie, nie o to chodzi – odpowiada, co mnie zaskakuje. – To znaczy, oczywiście, pieniądze są nam potrzebne, ale on może pracować wszędzie. Tyle że chce wiedzieć, co się z tobą dzieje, a jak jest w Info24, dostaje zawsze najświeższe doniesienia.

Uśmiecham się i wyobrażam sobie, jak ma na mnie oko w stacji.

– Chyba znalazłam sposób, żeby przyjął bardziej aktywną rolę w naszej drużynie, jeśli zechce.

Mama patrzy na mnie zaintrygowana.

– Carrick sądzi, że spotkałam się z tobą, aby przedyskutować plany odbicia Juniper.

Obie zerkamy na niego raz jeszcze.

– Ale nie chcę, żeby o tym wiedział. Bo jeśli się dowie, cała akcja się nie uda. – Pokazuję jej USB. – To nagranie, jak Crevan wypala mi szóste znamię.

Wbija we mnie wzrok zaszokowana.

– Crevan cię naznaczył? Sam?

Przytakuję. Wcześniej nie chciałam rozmawiać z nią na ten temat.

– Pan Berry to nagrał – tłumaczę. – Teraz zaginął podobnie jak strażnicy. Właśnie tego nagrania szuka Crevan.

Bierze pendrive'a do ręki i ze złością zaciska go w dłoni, próbując pomieścić to wszystko w głowie. Ten człowiek skrzywdził jej córkę. Poznaje po niej, że teraz nie może się doczekać swojej inwazji.

– On właściwie nie chce mnie – podejmuję po chwili. – Jemu zależy wyłącznie na tym nagraniu. Musisz przekazać to tacie. Niech to skopiuje, a potem pojedzie do Enyi Sleepwell. Ona będzie wiedzieć, co z tym zrobić.

– Enyi Sleepwell, tej polityczki?

– Możemy jej zaufać.

– Dobrze, ale nie rozumiem tylko, dlaczego mamy nie mówić o tym Carrickowi.

– Bo to plan B. Im mniej osób o nim wie, tym większe szanse, że wypali. Weź też tego laptopa i przetrzymaj w bezpiecznym miejscu. Carrick przerzucił na niego nagranie. Muszę zachować oryginalne USB. Mam spotkanie z sędzią

Sanchez.

Mama rozdziawia usta.

– Co?

– Plan A – kwituję z szerokim uśmiechem.

Na horyzoncie pojawia się słońce i wstaje nowy dzień.



Spoglądam na zegar w pokoju w wieży, gdzie siedzę z Jacksonem i Sanchez.

– Powinniście włączyć telewizor, może zechcecie obejrzeć dzisiejszą audycję wyborczą Partii Niezbędnych – sugeruję.

Na ścianie wisi plazma.

Po tym, co usłyszał, Jackson nie kwestionuje moich słów, natychmiast wciska czerwony guzik na pilocie.

Cała drzę z nerwów, adrenaliny i z bólu od rany na brzuchu.

Sanchez robi wielkie oczy. Wygląda tak, jakby przestała oddychać.

– Witajcie, nazywam się Enya Sleepwell i jestem przewodniczącą Partii Niezbędnych. Powstaliśmy pięć lat temu jako niewielka grupka, ale rozrośliśmy się i jesteśmy najszybciej rosnącą partią w kraju. Odkąd dwa miesiące temu zostałam jej liderką, przyjrzeliliśmy się naszym zasadom i je przededefiniowaliśmy. Reprezentujemy prawdziwe pragnienia, nadzieje i marzenia prawdziwych ludzi. Jesteśmy partią, która trzyma się swoich przekonań, zadajemy trudne pytania, znajdujemy rozwiązania. Chcemy, aby ten kraj znów był silny, niepodzielony, pracujący w harmonii, wiodący inne kraje ku przyszłości ze współczuciem i logiką. Chcemy także podnieść zasłonę hipokryzji i odkryć prawdę na temat obecnych przywódców naszego społeczeństwa. To, co zobaczycie, jest szokujące. Nasz rząd dopuszcza do niebezpiecznych sytuacji, nasz rząd pozwala na takie rzeczy.

Pojawia się nagranie z Izby Naznaczeń. Ja przypięta pasami do fotela. Sędzia Crevan stoi przede mną w krwistoczerwonej pelerynie i krzyczy, żebym okazała skruchę. Odmawiam i w zamian wystawiam język, mój pierwszy akt nieposłuszeństwa. Bark umieszcza mi zacisk na języku i przykłada do niego gorący pręt z pieczęcią. Odgłosy, jakie słyhać, mogłoby wydawać zranione zwierzę.

Widok jest przerażający. Jackson łapie się za głowę. Wątpię, żeby kiedykolwiek widział naznaczanie.

Sędzia Crevan znów wrzeszczy, oskarża mnie, że jestem zepsuta do szpiku kości. Każe wypalić szóste znamię. Jackson siada prosto, odwraca się do Sanchez oniemiały, po czym znów patrzy na ekran. Nie może uwierzyć własnym oczom.

Z zewnątrz dobiegają mnie odgłosy. Krzyki tłumu.

Podchodzę do okna wychodzącego na dziedziniec. Ani Sanchez, ani Jackson mnie nie powstrzymują, tacy są zapatrzeni w obrazy na ekranie. Tysiące Naznaczonych, które zostały spędzone tu wcześniej, już się rozeszły, ale dziedziniec otwarto dla ludności – ta zawsze jest mile widziana; może sobie do woli obserwować oskarżonych w ich drodze z aresztu do sal rozpraw, znajdujących się po przeciwnych stronach dziedzińca.

Wiele osób na dole jest ubranych na czerwono, ale to nie Naznaczeni. To mieszkańcy miasta protestujący przeciw Trybunałowi. Założyli koszulki, takie jak te, które mieli na sobie mama, Juniper i Ewan, z napisem „Obalić Trybunał”. Na dziedzińcu demonstranci mieszają się ze zwykłymi obywatelami i wydają z siebie pełne oburzenia krzyki. Buczą.

I wtedy zdaję sobie sprawę dlaczego.

Wszyscy oglądają materiał z mojego naznaczenia na wielkim telebimie, na którym zwykle transmituje się rozprawy przed Trybunałem. Ktoś przełączył kanał z Telewizji Sądu Naznaczonych. Przez bramy zamku napływa coraz więcej osób, aby zobaczyć, o co to całe zamieszanie. Ludzie zasłaniają dłońmi usta na widok poczynań Crevana.

Bark odmawia naznaczenia mi kręgosłupa. Mówi, że nie ma już znieczulenia.

Słyszę zbiorowy jęk, widzowie chwytają swoich sąsiadów za ramiona.

Czekają na to, co zdarzy się dalej. Nie mogą się pogodzić z tym, co widzą. To nie są wyłącznie protestujący, to zwykli ludzie, oni tylko przyszli zobaczyć, jak kolejny oskarżony zostaje odprowadzony do sądu. Teraz przechodzą na drugą stronę barykady.

Crevan bierze rozgrzany pręt. Strażnicy nie panują nad emocjami, płaczą, starają się wesprzeć mnie słowami, przytrzymać nieruchomo. Sędzia naznacza mi kręgosłup, a mój krzyk odbija się echem od ścian zamku na dziedzińcu i w całym mieście.

Tłum wyje z obrzydzenia. Cała się trzęsę.

– Nie. – Sanchez wstaje. Cała drży, aż czerwona szata faluje wokół ciała.

– Co to jest? – pyta Jackson. – Ten film jest prawdziwy? – Spogląda na Sanchez, potem na mnie. – O matko.

Po wstrząsającym nagraniu na wizję powraca Enya Sleepwell.

– Przepraszam, że musiałam pokazać państwu te tortury. Przepraszam Celestine North za to, co jej się przydarzyło. Nie możemy pozwolić, aby coś takiego stało się po raz kolejny. Nie możemy pozwolić na niegodziwość wobec niewinnych obywateli naszego kraju. I dlatego jako Partia Niezbędnych w pełni opowiadamy się za obaleniem Trybunału. Jeśli Trybunał sam w sobie ma moralną skazę, jak może dalej działać? Musimy już teraz zająć się problemem. Koniec strategii małych kroków, czas wykonać wielkie susy, aby kraj wkroczył na nowy etap. Głosujcie na Partię Niezbędnych, za uczciwością i sprawiedliwością, za silnym przywództwem, które wprowadza kraj w nową erę ze współczuciem i logiką.

W pokoju zalega martwa cisza. Nawet strażnik stoi totalnie dezorientowany.

W ten sposób dochodzę do miejsca, w którym skończyły mi się pomysły. Nie mam już kolejnych planów awaryjnych, żadnych asów w rękawie. Nie mam bladego pojęcia, co dalej.



Do pokoju w wieży wpadają strażnicy.

– Zamieszki przed gmachem. Musimy ewakuować sędziów w bezpieczne miejsce.

Jackson wstaje tak gwałtownie, że przewraca krzesło, na którym siedział, i nawet nie myśli go podnosić. Czerwona szata powiewa za nim, tak szybko sędzia wybiega z pomieszczenia. Próżno liczyć, że odwróci się do mnie i powie przepraszam. Musi ratować samego siebie.

– No to chyba nie będzie żadnego układu – mówię do Sanchez.

Spogląda na mnie i przez chwilę prawie mi się wydaje, że widzę na jej twarzy podziw, udało mi się ją przechytrzyć. Ale wtedy z lodowatym spojrzeniem odwraca się ode mnie i pospiesznie wychodzi pod eskortą strażnika.

Zostaję sama w okrągłym gabinecie. Nie usłyszałam ani słowa.

Zastanawiam się, czy Carrick, Raphael i dziadek nadal są nieprzytomni. Chodzę w tę i z powrotem, serce mi łomocze. Wyglądam na zewnątrz i znów widzę demaskatorów w bojowym rynsztunku. Przez bramy wlewają się tłumy, nie traktują najlepiej straży Trybunału. Skandują z pięściami w górze, żądają odpowiedzi, zmian. Chcę być razem z nimi, a nie uwięziona w wieży.

Nagle drzwi otwierają się z impetem.

Art.

– Ponoć w wieży znajduje się dama w opałach – mówi. – Przyszedłem cię uratować, księżniczko – dodaje teatralnie z niezręcznym rechotem.

Przewracam oczami, to nie pora na żarty Arta.

Ale zanim zdołam cokolwiek powiedzieć, dodaje:

– Uratuję wszystkich.

– Są nieprzytomni. – Pędzę do drzwi, staram się nie zwracać uwagi na ból brzucha. – Jak ja ich wydostanę?

– Podstawiłem furgonetkę pod boczne wyjście, musimy ich tylko do niej władować. – Wbiega na spiralne schody. Na każdym poziomie widzimy pracowników Trybunału, którzy uciekają przez wyjścia ewakuacyjne.

– Prawnika będzie łatwo podnieść. Ja go wezmę, ty bierz dziadka – mówi, a ja kręcę głową na kolejny jego żart, sposób radzenia sobie w stresujących momentach.

Podczas gdy wszyscy wylewają się z budynku, my biegniemy w przeciwną stronę, w dół i w dół, do podziemi.

Przystaję.

– Art, zatrzymaj się, musimy pomyśleć. Poważnie, jak to zrobimy? Przecież ich nie wyniesiemy.

Odwraca się do mnie.

– Może już się ocknęli.

– Art, skup się. Kiedy ostatnio byłam tak odurzona, to minęło parę godzin, zanim otworzyłam oczy, a potem jeszcze długi czas byłam sparaliżowana od pasa w dół.

– Kiedy ostatnim razem... co?

– Tylko że wtedy to był zastrzyk, może teraz to coś innego. Może to tylko środki nasenne? Musimy coś wymyślić. Potrzebujemy pomocy. Może pomogliby nam ludzie z dziedzińca?

Zastanawia się.

– Naznaczeni wszczynają zamieszki, reszta ludzi szturmuje bramy na znak protestu. Jakiś gość przypadkiem przycisnął zły guzik i wyświetlił na dziedzińcu program wyborczy Partii Niezbędnych. Domagają się głowy mojego ojca.

– Przykro mi – mówię cicho.

– Ja do tego doprowadziłem.

Patrzę na niego w osłupieniu.

– Okej, to dobry pomysł, żeby sprowadzić na pomoc kogoś z zewnątrz, tylko... – Spuszcza wzrok na swój mundur.

– Tam nie będziesz bezpieczny. Zostań tu, upewnij się, że nikomu nic poważnego się nie stało, i otwórz cele. Ja sprowadzę pomoc.

Nasza zamiana ról to czysta przewrotność losu.

– Mogę otworzyć cele stąd. – Wchodzi do pomieszczenia tylko dla pracowników, pełnego monitorów ze zrzutami z kamer w areszcie.

Idę z nim, w pośpiechu przepatruję kwadraty ekranów, szukając dziadka, Raphaela i Carricka. Wciąż leżą tak, jak wtedy kiedy widziałam ich po raz ostatni, ani drgną.

– Mary May! – krzyczy nagle Art.

Natychmiast się odwracam.

Mary May stoi w drzwiach i przygląda się nam, znów w swoim demaskatorskim mundurze, w którym wygląda jak Mary Poppins, a jej twarz wyraża czystą wściekłość. Grymas jest tak mocny, że chyba nawet siłą nie dałoby się go rozprostować.

Instynktownie ruszam do wyjścia, nie chcę zostać z nią zamknięta w pokoju bez okien. Art rusza za mną.

– Zabieram ją stąd, Mary May, ona jest niewinna – mówi, zasłaniając mnie swoim ciałem. – Widziałaś program? Wszędzie go pokazują.

– Nie obchodzi mnie żaden program – prycha lekceważąco, jakby nie miała pojęcia, co zaszło. – Byłaś w moim domu – zwraca się do mnie, cedząc słowa. – Rozmawiałaś z moją matką. Byłaś w jej pokoju.

Art odwraca się do mnie i posyła mi spojrzenie, które w innych okolicznościach wydawałoby się komiczne, ale nie teraz. Oboje przenosimy wzrok na Mary May – w dłoni ściska pistolet.



Rany! Mary May, odłóż to! – Art wyciąga przed siebie dłonie. – Co ty... Skąd, do diabła, to wytrzasnęłaś?

Ignoruje go, jakby nie istniał, jakbyśmy liczyły się tylko my dwie. Robi kilka kroków do przodu, a ja zaczynam się cofać. Myślę o drzwiach cel na dole. Mam nadzieję, że reszta zda sobie sprawę, że są otwarte, i kiedy już się ockną, zdołają uciec.

– Byłaś w moim domu – powtarza Mary May. – Byłaś w sypialni mojej matki.

– Ty też byłaś w moim domu – odparowuję hardo, choć głos mi lekko drży. – Zabrałaś moje rzeczy. Przyszłam je odebrać.

– Coś ty zrobiła mojej matce? – pyta, jakby nie dotarło do niej ani słowo z tego, co powiedziałam, jak gdyby tylko słuchała głosu w swojej głowie.

Przyspiesza kroku, a ja nadal się wycofuję. Art trzyma mnie za łokieć. Nie chcę odwracać się do niej plecami. Wolę nie sprawdzać, czy do mnie strzeli. Czuję, jak nogi odmawiają mi posłuszeństwa, ale jednocześnie budzi się we mnie jakaś deliryczna euforia. Bo to po prostu nie może być prawda, że po wszystkim, co przeszłam, mój koniec będzie właśnie taki – zginę z rąk smutnej, samotnej kobiety w stanie psychozy.

– Nic nie zrobiłam twojej matce – rzucam nerwowo.

– Idź dalej – słyszę szept Arta prowadzącego mnie po korytarzu.

Poruszamy się tyłem, nie spuszczać Mary May i jej pistoletu z oka na choćby moment. Kiedy tylko skręcamy za róg, a ona traci nas z pola widzenia, puszczamy się pędem.

Art podbiega do drzwi wyjściowych. Przytyka kartę magnetyczną, ale nic się nie dzieje. Drzwi zostały awaryjnie zamknięte, aby protestujący nie wdarli się do środka.

– Chyba masz taki zwykły klucz? – pytam spanikowana. Art bluzga. Wyciąga pęk kluczy i rozedrganymi dłońmi próbuje włożyć jeden z nich do zamka.

W korytarzu pojawia się Mary May – nawet nie przyspieszyła, kroczy powoli, z determinacją, wyciągając przed siebie dłoń z pistoletem.

– Powiedziała, że siedziałaś przy jej łóżku – mówi jak gdyby w transie. – Nazwała cię swoim aniołem. – Przechyliła głowę. – Niby czemu, Celestine?

– Nie... nie wiem – bąkam.

Art nadal szuka właściwego klucza. Te drzwi są stare, a klucze ogromne. Art zawsze używał elektronicznej przepustki, więc zupełnie sobie nie radzi z dopasowywaniem klucza. Stykam się z nim plecami. Mary May wciąż się do nas zbliża.

– Chciała zobaczyć pozostałych. Odmówiłam jej. Alice nie zasługuje, żeby spotkać mamusię, nie po tym, co zrobiła. Żadne z nich nie jest tego warte. Wszyscy o nich wiedzieli. Zanim mama odeszła, powiedziała, że mi wybacza. Co mi niby wybacza? – syczy Mary May. – Każdemu to, na co zasługuje. Nie potrzebuję jej wybaczenia. Dostali, co powinni dostać. Alice mnie okradła i wszyscy o tym wiedzieli. Wszyscy. Oszczędziłam mamusię – mówi. – Wyświadczyłam jej przysługę. Byłaś w moim domu. Co zrobiłaś mojej matce?

– Nic. Wzięłam rzeczy, które ukradłaś z mojej sypialni. Zabrałam je sobie. Znalazłam nagranie, którego szukałaś. Puściliśmy je w telewizji. Ludzie je widzieli. Teraz wiedzą. To koniec. – Próbuję przywołać ją do tu i teraz.

– Obudziła się dziś rano. Dziesięć po ósmej. Nie chciała jeść jajek. Dwa jajka na twardo i dwie łydki szparagów to jej codzienne śniadanie. Nie wzięła ich do ust. Dziwne.

Mimo powagi sytuacji parskam śmiechem, chyba z nerwów.

– Przecież nie zabroniłam jej jeść jajek – odpowiadam.

Art klnie w żywy kamień, próbując otworzyć drzwi kolejnym kluczem.
– A jednak, bo nie żyje.



Co? – mamroczę szeptem.

Art przestaje majstrować przy drzwiach i spogląda na mnie.

– Niczego nie zrobiłam – zarzekam się. – Przysięgam. Otwieraj drzwi – krzyczę zdesperowana, bo już rozumiem jej motywację. Starsza kobieta nie żyje, a Mary May obwinia o to mnie, ściskając w dłoni pistolet. To się źle skończy.

– Nie zjadła jajek – powtarza. – Zawsze je jajka, więc wiedziałam, że coś jest nie tak. Powiedziała, że w nocy odwiedził ją anioł i że już czas, by poszła do Pana. Mówię jej, żeby przestała się wygłupiać. A ona na to, że znów kołaczą się jej po głowie absurdalne myśli, bo już nieraz tak bywało. Czasem coś sobie przypominała i szybko zapominała. Poprosiła o kąpiel w porze lunchu, więc ją umyłam.

Art w końcu znajduje właściwy klucz i otwiera drzwi. Natychmiast dochodzi mnie zapach świeżego tlenu, słyszę niosące się w eterze krzyki. Wciągam w płuca rześkie powietrze, wychodzę na zewnątrz i odsuwam się od Mary May tak szybko, jak mogę. Ale to szeroki plac, duży kwadrat z kocimi łbami, na którym nie ma gdzie się schować. Demaskatorka trzyma mnie na muszce.

To ganek służbowy, niedostępny dla odwiedzających. Przez zamkniętą bramę widzę zamieszanie na głównym dziedzińcu. Mała grupka pracowników Trybunału dostrzega Mary May z pistoletem, zaczyna krzyczeć i biegnie

w przeciwną stronę. Nie takiej reakcji bym oczekiwała. Gdzie są władze? Zdaję sobie sprawę, że nikt nie przyjdzie mi na pomoc. Chociaż to Mary May trzyma pistolet, który nie jest dozwoloną bronią demaskatorów, ja należę do Naznaczonych, a ona służy Trybunałowi, więc szach i mat. Gdyby ktoś udzielił mi wsparcia, zostałoby to po prostu uznane za pomoc Naznaczonej. Mogę liczyć jedynie na policję, ale znów moje ostatnie z nimi spotkanie, w supermarkecie, nie skończyło się najlepiej.

– Po kąpieli mamusia powiedziała, że jest zmęczona – ciągnie Mary May, jak gdybyśmy wcale nie przestraszyły grupy urzędników i teraz nie stały pośród chaosu protestujących Naznaczonych i zwykłych ludzi na dziedzińcu. Jest we własnym świecie. – Czasami ucina sobie poranną drzemkę. Więc położyłam ją do łóżka. I wtedy mi o tobie powiedziała. Że byłaś u niej poprzedniego wieczoru, że pomogłaś jej zaczerpnąć wody z jeziora. Wydawało mi się, że zmyśla. A potem oznajmiła, że mi wybacza. Że wstawi się za mną, gdy nadejdzie pora... – Nie kończy zdania, ale po policzku spływa jej łza, a ręce zaczynają się trząść. – Zabiłaś ją – mówi.

– Hej, przestań! – Art staje przede mną. – Odłóż pistolet, to jakieś szaleństwo!

– Zabiłaś moją mamusię – Ignoruje Arta.

Brama zostaje otwarta i kątem oka widzę, jak na plac wdzierają się ludzie. Naznaczeni i zwykli obywatele biegną z głównego dziedzińca. Wydaje mi się, że stado prowadzi Rogan, brat Carricka, ale nie jestem pewna. Boję się spuścić wzroku z Mary May i pistoletu.

– Tu jest! – krzyczy ktoś.

Spodziewam się, że biegną po mnie demaskatorzy, i przez moment czuję ulgę. Nieistotne, kto mnie uratuje, bylebym tylko nie dostała kulki. Trudno się jednak zorientować, kto konkretnie interweniuje, bo teraz wszyscy ubrani są na czerwono, więc ciężko odróżnić jednych od drugich. Jakbyśmy wszyscy byli tacy sami.

– Nie mów mi, co mam robić. – Mary May w końcu zwraca się do Arta. – Twój ojciec wydał rozkaz, żebym pilnowała tej dziewczyny, i zamierzam wypełnić zadanie. Praca to moje życie. Poświęciłam dla niej wszystko. Oddałam wszystko, by służyć twojemu ojcu. Na zawsze pozostanę mu wierna. I jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się nie dokończyć zadania – wrzeszczy. Robi

się coraz bardziej niespokojna z powodu tłumu gęstniejącego na placu.

Ona też zwraca na siebie uwagę. Ludzie przysuwają się bliżej. Nawołują, żeby odłożyła broń.

– Tutaj! Mówiłem, że tu będzie – słyszę znajomy głos i po swojej lewej stronie widzę Rogana. To naprawdę on. Podchodzi z grupką kilku osób i pokazuje na Mary May. – Powinnaś mnie wziąć, kiedy miałaś okazję – zwraca się do niej. – Patrz, kogo ci przyprowadziłem.

Do Mary May w końcu docierają te słowa, odwraca się w prawo. Spogląda na ludzi i wyraz jej twarzy natychmiast się zmienia, usta się otwierają, skóra blednie; szok, przerażenie.

– Teraz nie możesz już wyrzec się swojej rodziny – krzyczy jakiś mężczyzna.

– Pamiętasz nas, siostrzyczko? – odzywa się kobieta, a ja nie wierzę własnym oczom. To jej siostra Alice. I trzech bracia.

– Chcemy zobaczyć mamę – ciągnie Alice.

– Co jej zrobiłaś? – pyta jeden z braci.

– Nic. Nic. To ona – piszczy cienko demaskatorka. Przy sprzysiężonym przeciwko niej rodzeństwu, za którego naznaczenie jest odpowiedzialna, uchodzi z niej wszelka siła. Ojciec nie żyje, teraz też matka.

Jej władza zniknęła i Mary May jakby nagle to sobie uświadamia. Rozgląda się wokół po panującym dookoła chaosie. Naznaczeni, demaskatorzy i zwykli ludzie biegają bez ładu i składu. Teraz to demaskatorzy są ścigani, reszta stała się myśliwymi.

Mary May opuszcza pistolet, w jej oczach zaczyna się tlić panika. Kobieta wycofuje się, i to szybko. Nie ucieka jednak daleko, bo zza drzwi, skąd przyszliśmy, wyłania się dłoń. Dłoń, która przeczołgała całe ciało po chłodnych podłogach aresztu i w górę, po krętych schodach. Carrick jest zły, potem, zięje, ledwie żyje z wyczerpania, ale przyszedł w samą porę, aby zacisnąć palce na kostce Mary May, uniemożliwiając jej ucieczkę.

Demaskatorka traci równowagę, odruchowo wysuwa przed siebie ręce, żeby zamortyzować zetknięcie się z brukiem. Na ułamek sekundy zapomina, że wciąż ma w dłoni pistolet, zaciska palec na spuście.

Rozlega się huk strzału, który niesie się echem po dziedzińcu.

Wszyscy – wszyscy – padają na ziemię.



Ludzie leżą płasko na bruku, więc nie wiem, czy kula kogoś trafiła. Przez moment trwa cisza, kiedy wszyscy, zszokowani, tkwią w bezruchu.

Ale krzyk, który się rozlega, to wskazówka. Jest wysoki, histeryczny i nie do opanowania. Spanikowany. Mówi mi, że ktoś jest ranny.

I kiedy próbuję się skupić, skąd dobiega, zdaję sobie sprawę, że to ja krzyczę.



Art leży na mnie i osłania mnie niczym tarcza. Nie rusza się.

Nie rusza się.



Art! – wrzeszczę.

– Celestine! – woła Carrick.

– Carrick! – drze się Rogan i biegnie do brata.

– Art! – Próbuję wstać z ziemi, ale on jest taki ciężki, a nie chcę zrobić mu większej krzywdy.

– To był wypadek – odzywa się Mary May. – To był... ja nie chciałam...

Rodzina otacza ją pierścieniem. Brat odbiera jej pistolet.

Siostra zostawia braci i gna w naszą stronę.

– Jestem weterynarzem. A przynajmniej byłam. – Szuka pulsu.

– Żyje? – pytam przez łyżę.

– Celestine! – woła Carrick. – Nic ci nie jest?

Nie odpowiadam. Nie teraz.

Alice kiwa głową i obraca Artę, który wydaje z siebie jęk, a ja czuję przeogromną ulgę, słysząc jego głos.

– Nie dotykaj go! – grzmi Crevan. Podnoszę wzrok i widzę, jak biegnie do nas przez dziedziniec. – To mój syn.

Alice spogląda na Crevana i na Artę, łączy fakty. Przez jedną okropną sekundę obawiam się, że nie będzie chciała udzielić mu pomocy. Ale podejmuje decyzję.

– Z tego co wiem, nie ma przepisów, które zabraniają Naznaczonemu pomóc demaskatorowi – mówi.

– On nie jest demaskatorem – wtrącam się. – On organizował mi ucieczkę.
– Dla dobra Arta musi to usłyszeć jak najwięcej osób. Nie chciałby, żeby myślano o nim to samo co o ojcu. To był jego największy lęk.

– Celestine – znów wołanie.

Podnoszę wzrok. Carrick rozpaczliwie próbuje się do nas dostać. Rogan stara się go podnieść. Nie mam na to czasu, muszę się skupić na Arcie. Art, Art, Art.



Alice ściąga sweter, owija go wokół rany na brzuchu Arta i ją uciska.

Ośłaniał mnie, wystawił się na strzał, uratował mi życie.

– Karetka już w drodze. – Jakiś demaskator klęka przy nas.

Crevan także pada na ziemię. Głowa Arta spoczywa na moich kolanach. Podtrzymuję ją i delikatnie głaszczę drżącymi palcami. Jego loki są pokryte krwią.

Crevan siedzi po drugiej stronie i obsypuje twarz syna pocałunkami. Oboje nachylamy się nad nim, płaczemy.

– Nic mu nie będzie? – łka. – Powiedz, że nic mu nie będzie. Nie mogę go stracić. Jest wszystkim, co mam.

Artowi trzepoczą powieki, otwiera oczy, po chwili zamyka.

– Kto to zrobił? – ze złością pyta sędziego.

– Ona – odpowiadam z jadem w głosie.

Odwraca się – Mary May klęczy, jak gdyby modliła się o przebaczenie, pilnowana przez swoich trzech Naznaczonych braci, a oni mają takie miny, jakby chętnie w każdej chwili mogli posłać ją do piachu. Jest wydmuszką dawnej siebie, jakby jej duch umarł i całe życie się rozpadło.

– Panie sędzio. – Przełyka ślinę. – To był... Nie chciałam... Próbowałam... Ja tylko... To przez Celestine... – Znów buzuje w niej wściekłość na mnie. – Ta dziewczyna... Próbowałam załatwić ją dla pana.

– Mówiłem: pilnuj jej, a nie: zabij – wrzeszczy. – Sprowadź na dobrą drogę, a nie: stań się cholerną morderczynią!

– Proszę mi wybaczyć, ta praca to dla mnie wszystko. To całe moje życie. Zawsze byłam i zawsze będę pana lojalną podwładną.

– Teraz on ci nie wybaczy, Mary – mówi jej brat. – Poniosłaś klęskę. To koniec.

– Z Trybunału nic już nie zostało! – krzyczy na nią Crevan. – Rozejrzyj się tylko!

Mary May robi to i kuli się w sobie.

Obejmuję Arta, gdy na przemian odzyskuje i traci przytomność, powieki mu trzepoczą, kaszle, stęka.

– Celestine – po raz ostatni woła Carrick. Jego głos jest zachrypnięty od krzyku.

Widzę, jak siedzi przy drzwiach zamku, przez które uciekliśmy. Rogan jest obok niego. Nasze oczy się spotykają. Wygląda na smutnego, zagubionego, z resztką nadziei. W jego zielonych oczach tkwi pytanie.

I wtedy zamykają się drzwi karetki, przerywając nasze spojrzenie, kończy się czas na odpowiedź, ale to nic, bo teraz żadnej nie mam.



Siedzę w szpitalu przy łóżku Arta w całkowitym bezruchu. To ostry kontrast względem ostatnich godzin, które doprowadziły do tego, gdzie się znajduję.

Stan Arta jest stabilny. Zbiegiem okoliczności kula minęła jelita, wątrobę i naczynia krwionośne jamy brzusznej. Nic mu nie będzie. Przynajmniej fizycznie – co blizna po kuli zrobi jego i tak już zranionej psychice, dopiero się okaże.

Ociężałe powieki powoli opadają, jakby życie w końcu dało mi odpocząć. Przez ostatnie trzy tygodnie miałam wrażenie, że jeśli się zatrzymam, już nigdy nie ruszę z miejsca, teraz jednak los kazał mi przystanąć w pół kroku, jak gdyby mówił: „Wystarczy, Celestine, już wystarczy”. Nie czuję się już nawet, jakbym była w drodze. Nie wiedziałabym, dokąd pójść, gdybym znów miała się ruszyć. To teraz jedyne miejsce, w którym muszę być.

Na mojej skórze są wypalone znamiona, na brzuchu Arta jest rana po kuli. Nasze blizny i niedoskonałości mają swoje historie. Moje znaki dają mi siłę, przypominają o tym, że przetrwam najtrudniejsze chwile w życiu, jego blizna będzie mu przypominać, że mnie ochronił, że dobrze się spisał, że stanął w obronie Naznaczonej. Odkupił swoje winy, a tym samym obronił mnie na więcej sposobów, niż wydawało mu się możliwe. Bronił też moich czynów. Codziennie patrzymy na swoje ciała, żyjemy we własnej skórze, nigdy nie zapomnimy.

Przychodzi pielęgniarzka Judy, jest miła. Zabiera moją zimną, nietkniętą

zieloną herbatę z nocnego stolika i stawia świeżą, która pachnie jagodami.

– Będę próbować dalej – mówi serdecznie. – Przesłano to z zamku. – Podaje mi plecak, który dziś rano odebrano mi w magazynie przed paradą.

Cieszę się, bo bardzo chcę się przebrać ze stroju Naznaczonej aresztantki, nie tylko dlatego, że jest nasączony krwią Arta.

– Panie Crevan, ktoś do pana – zwraca się do sędziego, już bez serdeczności w głosie.

Crevan podnosi głowę z łóżka, którą wtulał się w Arta, odkąd się tu znaleźliśmy. Oczy ma przekrwione, zażawione. Z nosa też leje mu się nieustannie. Siedzimy tu razem, bez większego skrępowania i w całkowitej ciszy już od kilku godzin.

– Policja? – pyta, chlapiąc. – Proszę ich wpuścić. – Wyciera twarz rękawem koszuli.

Do środka wchodzi dwóch mężczyzn w garniturach.

– Chcielibyśmy zamienić z panem słowo na osobności.

– Proszę bardzo. – Wstaje i podciąga dzinsy w pasie. – Celestine była obecna, gdy to się wydarzyło. Również jest świadkiem. Rozmawialiśmy już z mundurowymi, ale cieszę się, że traktujecie tę sprawę tak poważnie. Jesteście panowie z policji?

Przytakują.

Podchodzi do nich, żeby uścisnąć im dłonie.

– Jesteśmy tu w związku z inną sprawą, nie pana syna. Mary May została aresztowana.

– Aha, w takim razie, o co chodzi?

Inspektorzy spoglądają na mnie. Czuję, jak wszystko wywraca mi się w żołądku. Chodzi o mnie. O nagranie, które zostało puszczane w telewizji.

– Jak już powiedzieliśmy, najlepiej będzie, jeśli porozmawiamy na osobności. – Tym razem mężczyzna jest bardziej oficjalny i stanowczy, ale Crevan się nie poddaje.

– Jeśli chodzi o działania Trybunału, to zapewniam panów, że sytuacja jest pod kontrolą. Co prawda ja już tam nie pracuję. Zostałem usunięty ze stanowiska. Z samego rana wydamy oświadczenie na konferencji prasowej.

Podobno toczy się też dochodzenie w sprawie werdyktów, ale Trybunał poradzi sobie z tym wewnątrz. Sugeruję, by kontaktować się z sędzią Sanchez.

Jeszcze nie wyszedł z roli sędziego, stara się wszystko i wszystkich kontrolować. Brakuje mu teraz władzy, nie ma na sobie jaskrawej czerwonej peleryny, herbu „Strażników Perfekcji”. Zastępują je pomięta koszula w kratę i zakrwawione dzinsy. To Crevan po godzinach, ten który sprząta w garażu, myje samochód, wozi Celestine i Arta na pobliski targ, ten, który próbuje przejąć kontrolę. Przypomina mi się cytat: „Piękno to przekleństwo. Nie pozwala nam zobaczyć, kto jest prawdziwym potworem”. Nigdy nie widziałam w nim potwora.

– Jeśli chodzi o Celestine, odzyskała wolność. To także uzgodniono z Trybunałem. Miała zacząć odsiadywać wyrok, ale wydaje mi się, że to zostanie wstrzymane, a właściwie wiem na pewno.

– Nie chodzi o działania Trybunału; chcemy rozmawiać o popełnionym przez pana przestępstwie względem Celestine North – odpowiada jeden z inspektorów.

Włącza się drugi; jest mniej taktowny niż kolega.

– Prowadzimy także dochodzenie w sprawie Pii Wang, Nathana Berry’ego, czterech strażników obecnych podczas przestępstwa w Izbie Naznaczeń oraz czterech nastolatków z liceum Grace O’Malley.

Przestępstwo.

I oto jest – mina, na którą od tak dawna czekałam. Wyraz szoku. Ludzie reprezentujący władzę i prawo pokazali mi, gdzie jego miejsce w szeregu. Świadomość klęski. Znak, że się pomylił, że nie jest nad wszystkimi, że to, na co skazał mnie i wiele innych osób, było złe. Widzę to na własne oczy – mętlik, wątpliwość i nienawiść do samego siebie, prośba o wybaczenie, wątpliwość. Kurtyna samozadowolenia opada.

– Słyszeliśmy, że stan pana syna jest stabilny. Czekaliśmy na tę wiadomość, żeby dopiero wtedy po pana przyjść. Prosimy z nami.

Crevan wydaje się rozdarty perspektywą zostawienia Arta. Przypominam sobie, jak zostałam siłą wyciągnięta z autobusu i rozdzielona z Juniper i Artem. W uszach dźwięczą mi gwizdki. Pamiętam, jak musiałam przejść do

Izby Naznaczeń, maszerować przez dziedziniec obok syczącego tłumu. Pamiętam ból sześciu znaków wypalanych na moim ciele, tydzień spędzony w łóżku, napaść i uwięzienie przez młodocianych przestępców udających przyjaciół, zamieszki w supermarkecie, leżenie żywcem pod ziemią, paradowanie w kusej halce ulicami miasta. Najgorsze było to, że musiałam opuścić rodzinę. A to wszystko przez niego.

Patrzę, jak policjanci odprowadzają Crevana. Nasze spojrzenia się spotykają – czuje to, co ja czułam przez ostatnie trzy miesiące. Pytanie brzmi, czy jest mi z tym lepiej.



Nie.

Aby ktoś mógł wygrać, ktoś musi przegrać. A żeby ta osoba mogła wygrać, najpierw musi coś stracić.

Ironia sprawiedliwości jest taka, że uczucia, które ją poprzedzają, i te, które z niej powstają, nigdy nie są w pełni uczciwe i zrównoważone. Nawet sama sprawiedliwość nie jest idealna.



Zostaję z Artem jeszcze trochę po tym, jak jego ojciec znika w asyście policjantów. Wygląda jak anioł, na twarzy nie ma żadnych obrażeń, skóra gładka jak u dziecka, wyłaniający się cień zarostu. Widzę go, jak gra na gitarze i śpiewa o żyrafie, która nie może znaleźć odpowiedniego dla siebie golfa, o małpie z lękiem wysokości, o lwie, który nie umie używać tabletu, o zebrze w kropki. Wszyscy płakaliśmy ze śmiechu, kiedy nas zabawiał, ale chyba nigdy nie domyśliliśmy się, o co właściwie mu chodzi. Zawsze śpiewał o czymś, co nie pasuje do reszty, o kimś wykluczonym, kto stracił coś lub za czymś tęskni.

„Piękno to przekleństwo, nie pozwala nam zobaczyć, kto jest prawdziwym potworem” – nie dostrzegamy też, że prawdziwe potwory nie mieszkają pod łóżkiem, ale w naszych głowach. Art żył z tymi potworami, odkąd zmarła jego mama. Nic dziwnego, że dołączył do demaskatorów. Teraz go rozumiem, wyobrażam sobie nawet, że mogłabym mu wybaczyć. Współczucie i logika to dwie rzeczy, które zawsze są potrzebne. Czy mogę mu wybaczyć? Tak, mogę.

Zasuwam zasłonę wokół jego łóżka, żeby zyskać odrobinę prywatności. Chcę się przebrać w dżinsy i T-shirt, ubrania, które miałam na sobie, kiedy Carrick pomógł mi uciec z sekretnego szpitala Crevana i kiedy włamaliśmy się do domu Mary May po kulę śniegową, kiedy zawieziono mnie z mieszkania Sanchez do doków, kiedy kazano mi wskoczyć w czerwoną halkę i paradować w niej przez miasto. Wyobrażam sobie, że pachną Carrickiem. Czy chcę jeszcze założyć te ciuchy? Czy poczuję, że się cofam?

Szukam w plecaku ewentualnie czegoś innego i napotykam coś palcami. Notesy Carricka. Przypominam sobie ostatni raz, kiedy go widziałam, zanim znów spotkaliśmy się w zamku. Pożegnałam się z mamą, on miał z nią pojechać, aby uratować Juniper przed operacją przeszczepu skóry. Mama zamierzała wpaść do środka i zażądać spotkania ze swoim dzieckiem, oskarżyć ich o to, że pojmali nie tę córkę co trzeba. Potem Raphael zabrał mnie do Sanchez, żebyśmy zawarły układ.

Pamiętam, jak odjeżdżał, miałam ochotę krzyknąć za nim, że zapomniał swoich notesów, które wcześniej włożył mi do plecaka, ale się powstrzymałam. Samolubnie chciałam je zatrzymać. Nie dlatego, żeby przeczytać, co tam napisał – to znaczy, oczywiście, chętnie bym przeczytała, ale nie zawiodłabym jego zaufania. Zdecydowałam się jednak ich nie oddawać tylko dlatego, że to było coś, co należy do niego, a zatem będę musiała znów go zobaczyć. To z kolei by znaczyło, że do tego czasu nic złego mu się nie stanie. Zwodniczy tok myślenia, ale właśnie tak pracował wtedy mój umysł. Carrick będzie musiał do mnie przyjść, aby je odebrać, albo ja będę musiała mu je oddać.

Po raz pierwszy teraz zaczynam się zastanawiać, dlaczego Carrick w ogóle znalazł się w tamtej celi. Jak się tam dostał? Jeśli pojechali z mamą po Juniper do szpitala i bezpiecznie z nimi wrócił, a Mona, Lennox, Fergus i Lorcan potwierdzili, że nie został schwytany, to jakim cudem znalazł się w Zamku Highlandzkim?

Zaczynam szukać informacji w telefonie, przeczesuję tysiące newsów, które dokumentują wydarzenia w naszym kraju, i widzę to czarno na białym. Carrick Vane oskarżany o ucieczkę z Celestine North i unikanie demaskatorów oraz łamanie reguł Trybunału oddał się w ręce władz.

Tak właśnie znalazł się z powrotem przy mnie. Chciał ze mną być.

A ja go zostawiłam.

I co się z nim teraz dzieje? Nawet nikogo nie zapytałam, nie zastanawiałam się. Siedziałam tu, zawieszona w czasie... Oczy wypełniają mi się łzami.

Wyciągam jego notesy, z poczuciem winy, ale też z determinacją, żeby wiedzieć, co jest w środku. Wydaję z siebie cichy jęk, kiedy spoglądam na pierwszą stronę.

Widzę jego dziecięce pismo i zdaję sobie sprawę, że to jego pamiętniki

z ośrodka wychowawczego, te, które pisał przez lata i chował przed nauczycielami.

Dziś robiliśmy test smaków i zapachów. Nauczyciele chcieli wiedzieć, co przypominają nam różne aromaty. Paul Cott zaczął płakać, kiedy powąchał cytrynę. Musiał im powiedzieć, dlaczego ryczy, a kiedy to zrobił, kazali mu o tym zapomnieć i stwierdzili, że jego rodzice to bardzo źli ludzie.

Zaspka dziecięca przypomina mi kąpiele. Chyba kąpała mnie mama. Chyba tak, bo tu są tylko prysznice. Pamiętam bąbelki, pod którymi mogłem się schować, i pamiętam, że mnie łaskotały. Pamiętam, jak nakładałem je sobie na buzię i udawałem, że to broda jak u dziadka. Potem przypomniałem sobie dziadka i babcię, i tyle innych rzeczy. Pamiętam, jak mama się śmiała. Pamiętam, jak owijała mnie wielkim ręcznikiem, jakbym był dzidziusiem, i zanosila do łóżka. Pamiętam, jak kopałem, krzyczałem i udawałem, że tego nie lubię, ale tak naprawdę to uwielbiałem. Pamiętam, jak piłem mleko czekoladowe, kiedy suszyła mi włosy.

Musiałem mieć wtedy z pięć lat. Trzy lata temu. Ale pamiętam.

Mówią, że nie jest dobra mamą. Że się nie nadaje. Tata też. Mówią, że jestem tu dla własnego dobra, że mamusia i tatuś chcą, żebym tu był, ale to raczej nieprawda. Pamiętam, że płakali, kiedy mnie zabierano. Krzyczeli i płakali. Jeśli mama jest taka zła, to dlaczego się uśmiecham, kiedy czuję jej perfumy na pani Harris (nigdy nie powiem, że pachnie jak mama), i dlaczego ściska mnie w brzuchu, kiedy o nich myślę?

Racja. Jeden zapach prowadzi do następnego. Pomaga zapamiętywać różne rzeczy i teraz nie mogę przestać myśleć i pamiętać o swoich rodzicach. To nauczyciele sprawili, że w ogóle zacząłem pamiętać, więc to nie moja wina. Nie będę taki jak inne dzieci i nie powiem, co pamiętam. A przynajmniej nie to, co pamiętam naprawdę. Bo nie chcę, żeby mi to odebrali.

Łzy spływają mi po twarzy, przerzucam kartki aż na sam koniec. Nie mam czasu czytać wszystkiego, muszę go znaleźć i oddać mu te notesy.

Powiedziano nam, że na szesnaste urodziny możemy wymyślić sobie nowe

nazwisko. Zarejestrują je, dostaniemy paszporty i będziemy mogli podróżować. Nie wolno nam zachować nazwiska po rodzicach, ale to odebrano nam już bardzo dawno temu. Byłbym wtedy Carrickiem Brightmanem. W swojej głowie nadal używam tego nazwiska. Nigdy nie wypowiadam go jednak na głos. Tu mamy tylko imię i numer.

W końcu zdecydowałem, jak będę się nazywał. Musiałem się przed komisją i wyjaśnić swój wybór. Wyrazili zgodę. Nie powiedziałem im prawdy, ale nigdy nie mówię im prawdy, odkąd zacząłem tu pisać. Myślę, że dzięki pisaniu łatwiej mi się kłamie, bo wiem, że gdzieś jednak mówię prawdę. Jeśli kiedykolwiek to znajdą, zostaną naznaczeni, ale w ogóle mnie to nie obchodzi.

Pamiętam, jak byłem gdzieś z tatą późnym wieczorem. Siedziałem mu na barana. Było całkowicie ciemno i biegliśmy. Myślałem, że to zabawa, ale teraz wydaje mi się, że uciekaliśmy przed demaskatorami, a tata tylko przede mną udawał.

Chyba się zgubiliśmy, albo przynajmniej tak mi się zdawało, wtedy tata nauczył mnie czegoś o gwiazdach. Pokazał mi gwiazdę polarną i wytłumaczył wszystko, co wynika z jej położenia.

Jeśli kiedykolwiek się zgubię, muszę znaleźć tę gwiazdę, nauczył mnie. Wiem, że kiedy stąd wyjdę za tysiąc dziewięćdziesiąt pięć dni, będę próbował ich znaleźć. Odnalezienie rodziców to najgorsza rzecz, jakiej możemy się dopuścić, słyszymy to codziennie. Ale chcę znaleźć kobietę, która owijała mnie ręcznikiem pachnącym dziecięcą zasypką, i mężczyznę, który uczył mnie o gwiazdach. Dwoje ludzi, dzięki którym czułem się bezpieczniejszy i szczęśliwszy w tych drobnych wspomnieniach, jakie mi jeszcze pozostały. Tu nikt mnie nie uszczęśliwia.

Nie wiem, gdzie są, ale wiem jedno. Będę szukał północy. Odpowiedzi są na północy i pozwolę, by zabrał mnie tam wiatr.

Dlatego na swoje nazwisko wybieram Vane – wiatrowskaz.

Carrick Vane.



Zapłakana zamykam dziennik, wzrasta we mnie poczucie, że muszę się spieszyć. Szybko przebieram się w pierwszą lepszą rzecz, już się nad tym nie zastanawiam. Mogę mieć na sobie byle co, nawet wczorajsze ubrania, a i tak ruszyłabym przed siebie. Bransoletka zaplątuje mi się w skarpetkę, więc siadam, żeby ściągnąć ją z kostki.

Zostawiam ją przy łóżku Arta.

– Zawsze przy mnie będziesz – szepczę i całuję go w usta. – Żegnaj, Art.

Wychodzę ze szpitalnego oddziału, spodziewam się, że zostanę zatrzymana, gdy znajdę się na zewnątrz. Ale pielęgniarki i lekarze ustępują mi drogi. Przy drzwiach na końcu korytarza stoją demaskatorzy. Znów mnie aresztują, myślę zrezygnowana. Życzliwa pielęgniarka zachęca mnie, żebym szła dalej. Marszczę czoło. Wtedy zauważa mnie jeden z demaskatorów. Chwyta za klamkę i otwiera przede mną drzwi.

Idę, a personel szpitala zaczyna klaskać. Jedni się uśmiechają, inni płaczą. Kroczę dalej, ciągle z obawą, że lada chwila ktoś się na mnie rzuci, ale nic takiego się nie dzieje. Wychodzę przez otwarte drzwi, prosto w nieznane.



Jestem na farmie dziadka. Lipiec. Słońce grzeje skórę. Mam na sobie letnią sukienkę na cienkich ramiączkach w ładny wzór w kwiatki, który dezorientuje pszczoły.

Stoję sama na polu truskawek, z zamkniętymi oczami, twarz unoszę do słońca. Jestem wolna, ale co ważniejsze: czuję się wolna. Byłam wolna już wcześniej, ale nie miałam tej świadomości. Dopiero teraz to czuję.

Słyszę śmiechy, podążam za odgłosami rozmów w oddali i zapachem palonego drewna z pieca traperskiego, w którym szykuje się nasz posiłek. Pracownicy farmy, moja rodzina, Pia Wang, Raphael Angelo z żoną i sześciorgiem dzieci, Carrick i jego bliscy. Pan Berry i Tina postanowili nie przychodzić. Nie wszystkim jest łatwo. Nikomu nie jest łatwo.

Minął miesiąc, odkąd odbyła się konferencja prasowa Trybunału. Planowano na niej ogłosić zwolnienie Crevana i awans Sanchez. Tymczasem oznajmiono zupełnie co innego – rozwiązanie Trybunału.

Ustanowiona przez rząd Komisja do spraw Prawdy i Pojednania napisze raport na temat swoich ustaleń co do działalności Trybunału. Wciąż trwa dochodzenie odnośnie do metod Crevana oraz jego przestępczych działań jako przewodniczącego Trybunału. Na razie wszyscy bliżej przyglądają się nagannym postępom, ale jeszcze nie wysnuto żadnych wniosków ani nie wyznaczono kar.

Enya Sleepwell dzięki ujawnionemu nagraniu wygrała wybory i jest teraz

naszym nowym premierem. Realizacji planów wprowadzenia Redukcji Naznaczonych zaniechano i nie ma szans, aby kiedykolwiek zostały wcielone w życie. Enya zleciła wykonanie niezależnej analizy roli każdego polityka, biznesmena i prawnika, który kiedykolwiek postawił nogę w Trybunale, i przedstawienie jej sprawozdania pod nazwą „Raport Sleepwell”. W jaki dokładnie sposób ci ludzie zostaną obarczeni odpowiedzialnością, trudno stwierdzić. Wnioski raportu oczekiwane są z niecierpliwością.

Enya mówiła, że nic nie może się zmienić z dnia na dzień, ale tak się stało. Po tygodniach debaty rząd zagłosował przeciw sądowi Naznaczonych i obowiązującym ich regulacjom. Kasacja przepisów dotyczących Naznaczonych nastąpiła o północy w dzień głosowania. W ciągu kilku godzin Naznaczeni uzyskali równe prawa z resztą społeczności, przestali być obywatelami drugiej kategorii. Naród – ci naznaczeni i nienaznaczeni – zebrali się na dziedzińcu Zamku Highlandzkiego, aby to uczcić. Byłam wśród nich.

Konsekwencje tej decyzji są ogromne. Kancelaria Raphaela Angelo stale się rozrasta i bierze sprawę za sprawą skierowaną przeciwko rządowi o odszkodowanie za krzywdy wyrządzone tym, którym wypalono skazę. I mimo że rząd przeznaczył na odszkodowania sto milionów, najcenniejszym zadośćuczynieniem były publiczne szczerze przeprosiny za bierną postawę władz, wygłoszone przez Enyę Sleepwell, skierowane do wszystkich ofiar Trybunału.

Słowa mogą być jedyną rzeczą, jaką uzyska wiele osób, ale Raphael Angelo nie spocznie, dopóki każdemu Naznaczonemu władze nie przywrócą dobrego imienia, a cierpienia i krzywdy doznane ze strony Trybunału nie zostaną zauważone.

Rząd ogłosił, że ten kraj już nigdy więcej nie zezwoli, aby „zatrzał nas taki brak humanizmu i odarł ludzi z ich podstawowych praw obywatelskich”. Wszyscy oglądają się wstecz i zastanawiają, jak to możliwe, że w ogóle na to pozwoliliśmy. Teraz to się wydaje takie proste.

Z kolei dzieci N.O.U., które zabrano z ich domów albo wyrwano z objęć matek tuż po narodzeniu, mają prawo wrócić do swoich rodzin, jeśli chcą. A co do tych, którzy wychowywali się bez rodziców, albo nie są już dziećmi, albo rodzice się zestarzelili lub nie żyją; którym wmawiano przez całe życie, że ich opiekunowie to potwory, że nie byli kochani czy chciani – ci muszą jakoś

pogodzić się z tym, że ich bliscy odeszli w poczuciu niesprawiedliwości, bez słowa przeprosin za zadane im cierpienie. Enya Sleepwell wyznaczyła Alpheę jako przewodniczącą Ligi Praw N.O.U – ma ona pomóc uporządkować ten ogromny chaos.

Ale co to właściwie oznacza dla każdego z nas?

Crevan zwyczajnie chodzi po ulicach jako wolny człowiek i czeka na proces w sprawie mojej szóstej skazy, za którą bez wątplenia dostanie zaledwie krótką odsiadkę w więzieniu. Jego reputacja została jednak zszargana, już nigdy nie zdobędzie żadnej pozycji społecznej ani nie będzie prowadził godnego życia. Ludzie rozpoznają go na ulicach, gapią się, wykrzykują obelgi pod jego adresem, oceniają. Wiem, z czym się mierzy każdego dnia, znam to z autopsji. Podobnie jak tysiące innych ludzi.

Art chce wyjechać z kraju i rozpocząć życie gdzieś, gdzie nikt nie będzie kojarzył go z ojcem. Podejmie studia na wydziale nauk ścisłych w wybranej przez siebie uczelni. Obiecuje, że zostaniemy w kontakcie. I chociaż to, co nas łączyło, osłabło, nie znaczy, że zniknęło. Pewnie nadal gdzieś w nas jest i zostanie do końca życia, tylko niewidoczne dla ludzkiego oka, nie w tej samej formie co kiedyś.

Jeśli chodzi o mnie, moja przyszłość jest bardziej niepewna. Zaproponowano mi powrót do szkoły, żebym podeszła do egzaminów, do których nie mogłam przystąpić jeszcze kilka tygodni temu. Nie wrócę, ale będę się uczyć, skończę szkołę. Enya Sleepwell ciągle dzwoni i pyta o współpracę z Partią Niezbędnych, podobnie jak media, które proszą o komentarz codziennych wydarzeń. Profesor Lambert mówi, że w jego firmie stoi już biurko z moim imieniem.

Przynajmniej raz nie będę planować i mieć oczekiwań. Będę żyć krok po kroku, susy zostawię na szczególne okoliczności. Będę się cieszyć słońcem na skórze, wiatrem na twarzy, bliskością Carricka, głosami swojej rodziny, ich miłością, lojalnością nowych przyjaciół. Niektórzy powiedzieliby, że to proste rzeczy, zależy jednak od tego, gdzie mieszkasz i jakie przysługują ci prawa, bo osiągnąć to, co mamy teraz, wcale nie było łatwo.

Zrywam truskawkę i wkładam ją do wiaderka, znów czuję się jak dziecko. Spoglądam w dół i widzę chwast wśród krzaczków. Odruchowo nachyliłam się, żeby go wyrwać. Ale zatrzymuję się w pół drogi. Niech sobie rośnie, myślę,

i uśmiecham się porozumiewawczo. To będzie nasz mały sekret.

Zanim wrócę do reszty towarzystwa, nie mogę się powstrzymać – truskawki są zbyt apetyczne. Ze względu na stare dobre czasy, dla uczczenia tego, jak Juniper i ja jako dziewczynki buszowałyśmy po krzaczkach dziadka, sięgam do wiaderka i wkładam jedną do ust. Czuję słodycz. I nie spodziewam się niczego więcej, już do tego przywykłam. Ale kiedy się w nią wgrzynam, szeroko otwieram oczy. Moje usta nie wiedzą, co począć z tym doznaniem.

Wydaję z siebie przeszywający pisk. Rozmowy i śmiechy natychmiast milkną. Biegnę do pozostałych.

Wszyscy patrzą na mnie zaniepokojeni, zmartwieni, gotowi do ataku, wypatrując napastników i intruzów, bo nieraz musieliśmy się już z nimi zmierzyć.

Carrick odrzuca łopatę i odbiega od dołu ziemnego, nad którym pracuje z dziadkiem, tatą i Adamem. Gna do mnie, rozglądając się czarnymi oczami.

– Co się stało?

Upuszczam blaszane wiaderko truskawek i skaczę Carrickowi w ramiona. On mnie łapie, owijam się nogami wokół jego talii i trzymam go mocno, biorąc w dłonie jego oniemiałą twarz.

To nic, że wszyscy nas obserwują. Ignoruję ich. Kelly patrzy na nas z rozmarzeniem, Juniper pohukuje i prycha, tata czuje się niezręcznie, a mama się z niego śmieje. Ewan udaje, że wymiotuje, dzieci Raphaela Angelo wykonują ten sam ruch, a zaraz potem rzucają się jedno na drugie, cmokając z przesadą. Mona, Lennox, Fergus i Lorcan nam kibicują. Dziadek wydaje z siebie radosny okrzyk, co jeszcze bardziej irytuje mojego ojca. Pia Wang, jej mąż i dwoje dzieci chichoczą.

Zgoda, przynajmniej udaję, że ignoruję to całe towarzystwo, bo czuję ich obecność, każdą cząsteczkę energii, pełną szczęścia.

Zaglądam Carrickowi w oczy. Nie mogłyby być bardziej zielone. Przyciskam usta do jego ust i w końcu smakuję jego pocałunek. Jest osoba, którą wydaje ci się, że powinieneś być, i osoba, którą naprawdę jesteś. Nie mam pewności, kim powinnam być, ale teraz wiem, kim jestem.

I moim zdaniem to idealne miejsce, by zacząć od nowa.

KONIEC

[1] Aspen, ash, elm, hazel, holly, cedar, myrtle – nazwy drzew, po kolei:
osika, jesion, wiąz, leszczyna, ostrokrzew, cedr, mirt (przyp. red.).

Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz